

*Trzymający w napięciu thriller pełen  
świetnych postaci i zwrotów akcji.*

**REESE WITHERSPOON**

# RUTH WARE

## KOBIETA Z KABINY

## DZIESIĄTEJ

**JAK ZNALEŹĆ KOGOŚ, KOGO NIGDY TU NIE BYŁO?**



Przełożyła Anna Tomczyk



**KOBIETA Z KABINY  
DZIESIĄTEJ**

**RUTH WARE**  
**KOBIETA Z KABINY**  
**DZIESIĄTEJ**

Przełożyła  
ANNA TOMCZYK



Tytuł oryginału: *The Woman in Cabin 10*

Copyright © Ruth Ware, 2016

First published as *The Woman in Cabin 10* in 2016 by Harvill Secker, an imprint of Vintage. Vintage is part of the Penguin Random House group of companies.

Copyright © for the Polish translation by Anna Tomczyk, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Joanna Zalewska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Aleksandra Deskur

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tucholka | panbook.pl

Projekt okładki: Dan Mogford

Zdjęcie na okładce: © Unsplash

Adaptacja okładki: Magda Bloch

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67891-26-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dla Eleanor – z wyrazami miłości*



*Śniło mi się, że tamta dziewczyna dryfowała głęboko, głęboko pod rozbijającymi się falami i krzykami mew, w zimnej, pozbawionej słońca głębi Morza Północnego. Jej roześmiane oczy były białe i spuchnięte od słonej wody, jasna skóra pomarszczona, a ubranie rozpadało się na strzępy, porozrywane przez ostre skały.*

*Przetrwały tylko jej długie włosy, unoszące się w wodzie niczym ciemne, pierzaste wodorosty, wplątujące się pomiędzy muszle i sieci rybackie, wyrzucane na brzeg w zwojach, niczym podarte liny. Potem leżały tak bezładnie, a moje uszy wypełniał ryk fal uderzających o kamienistą plażę.*

*Obudziłam się zdrętwiała ze strachu. Potrzebowałam chwili, żeby sobie przypomnieć, gdzie jestem, a jeszcze dłużej trwało, nim zdałam sobie sprawę, że ten ryk w moich uszach nie należał do snu, tylko był prawdziwy.*

*Pokój spowijała ciemność i ta sama wilgotna mgła, którą czułam we śnie, a gdy usiadłam, mój policzek musnął chłodny powiew. Wydawało mi się, że ten hałas dobiegał z łazienki.*

*Zeszłam z łóżka, lekko drżąc. Drzwi były zamknięte, ale gdy do nich podeszłam, usłyszałam, jak hałas się wzmacnia, a jednocześnie przyspieszyło bicie mojego serca. Zebrałam w sobie całą odwagę i otworzyłam drzwi na oścież. Wymacałam dłonią włącznik światła, małe pomieszczenie wypełniał hałas prysznic. Łazienkę zalało światło – i wtedy coś zauważyłam.*

*Na zaparowanej szybie literami wysokimi na może piętnaście centymetrów wypisano słowa:*

**PRZESTAŃ DRAŻYĆ.**





CZEŚĆ PIERWSZA  
PIĄTEK, 18 WRZEŚNIA





# 1

Po raz pierwszy mnie tknęło, że coś jest nie tak, kiedy obudziłam się w ciemnościach, a kot pacał mnie łapą po twarzy. Wieczorem musiałam zapomnieć zamknąć drzwi kuchenne. To kara za powrót do domu po pijaku.

– Spadaj – jęknęłam.

Delilah zamiauczała i szturchnęła mnie łebkiem. Próbowałam ukryć twarz w poduszce, ale ona dalej ocierała się o moje ucho, aż w końcu obróciłam się i bezdusznie zepchnęłam ją z łóżka.

Wylądowała na podłodze z oburzonym, cichym „miau”, a ja naciągnęłam sobie kołdrę na głowę. Jednak nawet spod przykrycia słyszałam jej drapanie w drzwi, które drżały w futrynie.

Były zamknięte.

Usiadłam, serce nagle zaczęło mi walić, a Delilah z zadowolonym pomrukiem ponownie wskoczyła na łóżko. Przycisnęłam ją do piersi, unieruchomiłam i nasłuchiwałam.

Mogłam zapomnieć zamknąć drzwi kuchenne albo równie dobrze mogłam po prostu nie zamknąć ich porządnie. Jednak te do mojej sypialni otwierały się na zewnątrz – taki urok dziwnego układu mieszkania. Nie było sposobu, by kotka sama zatrzasnęła się w środku. *Ktoś* musiał je zamknąć.

Siedziałam jak zastygła, przyciskając ciepłe, dyszące ciało Delilah do piersi, i próbowałam nasłuchiwać.

Nic.

A potem – ta myśl przyniosła mi ulgę – uznałam, że pewnie chowała się pod moim łóżkiem i po powrocie zamknęłam ją w środku. Nie pamiętałam, żebym zamykała drzwi sypialni, ale mogłam je odruchowo za sobą

zatrzasnąć. Szczerze mówiąc, cała droga ze stacji metra trochę mi się zamazywała. Gdy wracałam, dopadł mnie ból głowy, a teraz, kiedy panika ustępowała, znów poczułam ciśnienie w dole czaszki. *Naprawdę* powinnam przestać pić w środku tygodnia. To było okej, gdy miałam dwadzieścia lat, ale teraz już po prostu nie radziłam sobie z kacem tak jak dawniej.

Delilah zaczęła się niespokojnie wiercić, wpijając mi pazury w przedramię, więc puściłam ją, sięgnęłam po szlafrok i owinęłam się nim. Potem znów wzięłam kotkę na ręce, żeby wyrzucić ją do kuchni.

Kiedy otworzyłam drzwi sypialni, zobaczyłam jakiegoś mężczyznę.

Nie ma sensu zastanawiać się teraz nad tym, jak wyglądał, bo wiercie mi, przerabiałam to ze dwadzieścia pięć razy z policją. „Nie widziała pani nawet kawałka gołego nadgarstka?” – pytali. Nie, nie, nie. Miał na głowie kaptur, nos i usta zasłonięte chustą, a cała reszta była w cieniu. Poza dłońmi.

Na nich miał lateksowe rękawiczki. Ten szczegół wystraszył mnie na śmierć. Te rękawiczki zdradzały, że znał się na rzeczy. Mówiły, że przyszedł przygotowany. Że może chce czegoś więcej niż pieniądze.

Staliśmy tak przez długą sekundę naprzeciw siebie, a on wlepił we mnie swoje błyszczące oczy.

Przez głowę przebiegały mi tysiące myśli: *Gdzie, u diabła, jest mój telefon? Dlaczego tak dużo piłam wczoraj wieczorem? Usłyszałabym, jak wchodzi, gdybym była trzeźwa. O Chryste, szkoda, że nie ma ze mną Judah.*

I przede wszystkim – te rękawiczki. O mój Boże, te rękawiczki. Były takie profesjonalne. Takie *kliniczne*.

Nie odezwałam się. Nie poruszyłam. Po prostu stałam tak w zniszczonym, rozchodzącym się z przodu szlafroku i się trzęsłam. Delilah mi się wyślizgnęła; nie zaprotestowałam, a ona zwiłała korytarzem do kuchni.

Proszę, pomyślałam. Proszę, nie rób mi krzywdy.

O Boże, gdzie moja komórka?

I wtedy zobaczyłam coś w dłoniach tego mężczyzny. Moją torebkę – moją nową torebkę od Burberry, chociaż ten szczegół zdawał się w tym momencie zupełnie nieistotny. Liczyła się tylko jedna kwestia. W tej torebce miałam komórkę.

Jego oczy zmrużyły się w taki sposób, że przyszło mi do głowy, iż może uśmiechnął się pod tą chustą. Wtedy poczułam, że krew odpłynęła mi z głowy i palców, rozgościła się w samym środku ciała, gotowego walczyć lub uciekać, w zależności od tego, co okaże się konieczne.

Zrobił krok naprzód.

– Nie... – odezwałam się.

Chciałam, by zabrzmiało to jak rozkaz, ale wypadło jak prośba. Mój głos był cichy, piskliwy i żałośnie drżał ze strachu.

– Nie...

Nie zdążyłam nawet dokończyć. Mężczyzna zatrzaskał mi drzwi sypialni przed nosem, uderzając mnie nimi. Przez dłuższy czas stałam nieruchomo, z ręką przy twarzy, oniemiała z szoku i bólu. Moje palce wydawały się lodowate, ale na twarzy czułam coś ciepłego i mokrego i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to krew, bo listwa na drzwiach rozcięła mi policzek.

Chciałam pobiec z powrotem do łóżka, schować głowę pod poduszkę i zacząć krzyczeć. Ale jakiś cichy, nieprzyjemny głos w mojej głowie wciąż powtarzał: „On dalej tam jest. A jeśli wróci? A jeśli wróci po ciebie?”.

W korytarzu rozległ się jakiś dźwięk, jakby coś spadło, a ja poczułam falę strachu, która zamiast zmotywować mnie do działania, paraliżowała. „Nie wracaj. Nie wracaj”. Zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, i zmusiłam się, żeby zrobić wydech, długi i drżący, a potem powoli, powoli, wyciągnęłam rękę w stronę drzwi.

Na korytarzu rozległ się kolejny hałas – tłuczonego szkła – i pospiesznie chwyciłam klamkę, zaparłam się, wbijając gołe palce stóp w stare, dziurawe deski podłogowe, gotowa jak najdłużej utrzymać te drzwi zamknięte. Przykucnęłam, przycisnęłam kolana do klatki piersiowej, próbowałam stłumić szloch szlafrokiem, słuchając, jak on plądruje mieszkanie, i modląc się, żeby Delilah zdążyła uciec do ogrodu, w bezpieczne miejsce.

W końcu po długim, długim czasie usłyszałam, jak otwierają się i zamykają drzwi wejściowe. Siedziałam, płacząc w kolana; nie mogłam uwierzyć, że

naprawdę sobie poszedł. Że nie wrócił, by mnie skrzywdzić. Dłonie miałam bez czucia i boleśnie zeszywniałe, ale nie odważyłam się puścić klamki.

Znowu zobaczyłam te silne dłonie w białych, lateksowych rękawiczkach.

Nie wiem, co mogłoby się później stać. Może tkwiłabym tak całą noc, nie mogąc się poruszyć. Ale usłyszałam na zewnątrz Delilah, która miauczała i drapała drzwi z drugiej strony.

– Delilah – odezwałam się ochryple. Głos tak mocno mi drżał, że prawie w ogóle nie przypominał mojego. – Och, Delilah.

Przez drewno usłyszałam jej mruczenie, znajomy, głęboki zgrzyt przypominający piłę mechaniczną, i wtedy nagle jakby zdjęto ze mnie urok.

Zwolniłam uścisk skurczonych palców na klamce, rozciągnęłam je z bólem, a potem wstałam, próbując uspokoić drżące nogi.

Gałka się obróciła. Nawet zbyt łatwo – nie poczułam pod ręką żadnego oporu, zatrask nie przesunął się ani o centymetr. Ten ktoś musiał wyjąć trzpień od drugiej strony.

Cholera.

Cholera, cholera, cholera.

Znalazłam się w pułapce.



## 2

Minęły dwie godziny, nim zdołałam wydostać się z sypialni. Nie miałam telefonu stacjonarnego, więc nie mogłam wezwać pomocy, a w oknach były kraty. Złamałam swój najlepszy pilniczek do paznokci, podważając nim zatrask, ale przynajmniej drzwi się otworzyły i wyszłam na wąski korytarz. W moim mieszkaniu są tylko trzy pomieszczenia – kuchnia, sypialnia i mała łazienka – i z sypialni można właściwie zobaczyć jego większość, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zajrzeć za każde drzwi. Sprawdziłam nawet szafkę w korytarzu, gdzie trzymam odkurzacz. Upewniłam się, czy ten człowiek naprawdę sobie poszedł.

Głowa mi pulsowała, a ręce się trzęsły, kiedy wchodziłam po schodach wiodących do drzwi mojej sąsiadki. Czekając, aż do mnie wyjdzie, zerkałam przez ramię na ciemną ulicę. Przypuszczałam, że jest koło czwartej rano, i trzeba było sporo czasu oraz walenia do drzwi, żeby w końcu się obudziła. Usłyszałam gderanie oraz odgłosy kroków pani Johnson schodzącej po stopniach, a na jej twarzy, gdy mi otworzyła, malowały się zamglone zdezorientowanie oraz strach. Ale kiedy zobaczyła mnie skuloną na wycieraczce, w szlafroku, z twarzą i rękoma umazanymi krwią, jej mina zmieniła się w jednej chwili i kobieta zdjęła łańcuch, by szerzej otworzyć drzwi.

– A niech mnie! Co się stało?

– Ktoś się do mnie włamał.

Trudno mi było mówić. Nie wiem, czy to przez chłodne jesienne powietrze, czy szok, ale zaczęłam się konwulsyjnie trząść i zęby tak mi



szczękały, że przez chwilę wyobraziłam sobie, jak się rozpadam na kawałki. Odepchnęłam od siebie tę myśl.

– Masz krew na twarzy! – Pani Johnson miała minę pełną niepokoju. – Och, rany, wejdź, wejdź do środka.

Zaprowadziła mnie do salonu wyłożonego perskim dywanem w swoim malutkim dwupoziomowym mieszkaniu – pokój był mały, ciemny i zdecydowanie przegrzany, ale teraz stał się moim schronieniem.

– Siadaj, siadaj. – Wskazała na czerwoną pluszową kanapę, a potem, strzykając kolanami, podeszła do kominka gazowego i zaczęła przy nim majstrować.

Gaz strzelił i rozbłysnął płomieniem, a ja poczułam, że gorąco wzrasta jeszcze o stopień, podczas gdy ona z widocznym bólem podniosła się na nogi.

– Zrobię ci gorącej herbaty.

– Nie trzeba, naprawdę, pani Johnson. Czy myśli pani...

Ale ona zdecydowanie pokręciła głową.

– Nic tak dobrze nie działa na szok jak gorąca, słodka herbata.

Więc usiadłam, drżącymi dłońmi ścisnęłam kolana, podczas gdy ona zaczęła się tłuc po maleńkiej kuchni. Wróciła z dwoma kubkami na tacy. Sięgnęłam po ten stojący bliżej i wzięłam łyk, krzywiąc się, bo gorąco drażniło mi rozcięcie na dłoni. Herbata była tak słodka, że prawie nie poczułam krwi rozpuszczającej mi się w ustach, a to chyba dobrze.

Pani Johnson nie piła, tylko mi się przyglądała, czoło miała pomarszczone z troski.

– Czy on... – Zawahała się. – Czy on cię *skrzywdził*?

Wiedziałam, co miała na myśli. Pokręciłam głową, ale wzięłam kolejny parzący łyk, nim zdołałam znów się odezwać.

– Nie. Nie tknął mnie. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem, więc mam rozcięty policzek. A potem pokaleczyłam sobie dłoń, próbując się wydostać z sypialni. Uwięził mnie.

Zobaczyłam nagle siebie rozprawiającą się z zatrzaskiem za pomocą pilnika do paznokci i nożyczek. Judah zawsze żartował sobie z tego, że nigdy

nie używam odpowiednich narzędzi – na przykład odkręcam wtyczkę czubkiem kuchennego noża albo podważam oponę roweru rydlem. Jeszcze w weekend nabijał się z moich prób naprawienia słuchawki prysznicza taśmą klejącą i spędził całe popołudnie, sklejjąc ją starannie klejem epoksydowym. Ale teraz był w Ukrainie i nie mogłam o nim nawet myśleć. Gdybym to zrobiła, rozplakałabym się i możliwe, że nigdy bym nie przestała.

– Och, biedactwo.

Przełknęłam.

– Pani Johnson, dziękuję za herbatę, ale tak naprawdę przyszedłam spytać, czy mogłabym skorzystać z pani telefonu. Ten człowiek zabrał mi komórkę, więc nie mam jak wezwać policji.

– Oczywiście, oczywiście. Wypij tylko herbatę, a telefon mam tam.

Wskazała przykryty szydełkową serwetką stolik, na którym stał prawdopodobnie ostatni w Londynie aparat telefoniczny z tarczą – jeśliby tak pominąć jakiś sklepik ze starociami w dzielnicy Islington. Posłusznie dokończyłam herbatę, a potem sięgnęłam po słuchawkę. Mój palec zawisł na chwilę nad cyfrą dziewięć, lecz tylko westchnęłam. Mężczyzny już nie było. Co właściwie mieliby teraz zrobić? To przecież już nie był nagły wypadek.

Wybrałam więc numer 101, przeznaczony dla mniej pilnych interwencji, i odczekałam, aż mnie przełączą.

Siedziałam, myśląc o ubezpieczeniu, którego nie miałam, o wzmocnionym zamku, którego nie zamontowałam, oraz o tym, co się porobiło z minionym wieczorem.

Kilka godzin później wciąż jeszcze o tym rozmyślałam, patrząc, jak facet z pogotowia ślusarskiego wymienia mój gówniany zamek z zasuwką w drzwiach wejściowych na porządny antywłamaniowy, oraz wysłuchując jego wykładu na temat zabezpieczeń w domu oraz tego, jak beznadziejne są moje tylne drzwi.

– Kochana, to jest sama płyta MDF. Wystarczyłby jeden kopniak, żebym je roztrzaskał. Zaprezentować?

– Nie – odparłam pospiesznie. – Nie, dziękuję. Zajmę się tym. Nie robi pan drzwi, prawda?

– Nie, ale mój kumpel się tym zajmuje. Dam do niego numer. I niech pani poprosi męża, żeby tymczasem przykręcił do tej płyty porządny kawałek osiemnastomilimetrowej sklejki. Nie chce pani, żeby to się powtórzyło.

– Nie – przyznałam.

To było niedopowiedzenie wszech czasów.

– Mam kumpla z policji, który mówi, że jedna czwarta włamań się powtarza. Ten sam gość przychodzi drugi raz po więcej.

– Świetnie – odparłam słabo.

Właśnie to chciałam usłyszeć.

– Osiemnaście milimetrów. Mam zapisać dla męża?

– Nie, dziękuję. Nie mam męża. – I mimo że mam jajniki, *potrafię* zapamiętać dwucyfrową liczbę.

– Aaaa, dobra, rozumiem. No, i właśnie – stwierdził, jakbym tym samym coś mu udowodniła. – Ta futryna też jest bez szału. Mogłaby pani zamontować takie wzmocnienie pod samozamykacz, żeby była solidniejsza. W przeciwnym wypadku może mieć pani najlepszy zamek na rynku, ale jeżeli rozwałą pani futrynę, to na nic się nie zda. Mam w aucie chyba takie, które by pasowało. Wie pani w ogóle, o czym mówię?

– Wiem – odparłam niepewnie. – To taki kawałek metalu, który idzie pod zamkiem, prawda? – Podejrzywałam, że próbuje ze mnie wycisnąć, ile się da, ale w tym momencie mnie to nie obchodziło.

– Wie pani co... – Wstał i schował dłuto do tylnej kieszeni. – Założę pani to wzmocnienie i zamontuję kawałek płyty na tylne drzwi za darmo. Mam w aucie taki w odpowiednim rozmiarze. Niech się pani rozchmurzy, pani kochana. Nie ma szans, żeby dostał się *tędy* drugi raz.

Z jakiegoś powodu jego słowa mnie nie pocieszyły.



Po jego wyjściu zaparzyłam sobie herbatę i przeszłam się po mieszkaniu. Czułam się jak kiedyś Delilah po tym, jak jakiś dachowiec włamał się przez drzwiczki dla kota i nasikał w korytarzu – godzinami sprawdzała każde pomieszczenie, ocierając się o każdy kawałek mebla, zaglądając we wszystkie kąty i odzyskując swoją przestrzeń.

Nie posunęłam się tak daleko, żeby sikać na łóżko, ale miałam takie samo poczucie naruszenia mojej przestrzeni, potrzebę odzyskania tego, co zostało sprofanowane. „Sprofanowane?” – spytał sarkastyczny głosik w mojej głowie. „Proszę cię, dramatyzujesz”.

Ale ja czułam, że to profanacja. Moje małe mieszkanko wydawało się zrujnowane – naruszone i niedające mi bezpieczeństwa. Nawet zrelacjonowanie tego policji było męczarnią – tak, widziałam włamywacza, nie, nie potrafię go opisać. Co miałam w torebce? Och, po prostu, wie pan, całe życie: pieniądze, komórkę, prawo jazdy, leki, prawie wszystkie przydatne rzeczy, poczynając od tuszu do rzęs, kończąc na bilecie miesięcznym.

Dziarski, bezosobowy ton policjanta przy telefonie wciąż rozbrzmiewał mi w głowie.

– Jaką komórkę?

– Nic cennego – odparłam znużona. – Jakiś stary iPhone. Nie pamiętam modelu, ale mogę sprawdzić.

– Dziękuję. Wszystko, co może sobie pani przypomnieć w związku z tym konkretnym modelem i numerem seryjnym, może być pomocne. Wspomniała też pani o lekach, czy mogę zapytać, jakie to były leki?

Natychmiast przyjęłam postawę defensywną.

– Co tu ma do rzeczy moja historia medyczna?

– Nic. – Policjant był cierpliwy w irytujący sposób. – Po prostu niektóre tabletki mają sporą wartość na czarnym rynku.

Wiedziałam, że złość, która zalała mnie po jego pytaniach, był bezpodstawna – on tylko wykonywał swoją pracę. To włamywacz popełnił przestępstwo. Więc dlaczego czułam się tak, jakby przesłuchiowano mnie?

Byłam już w połowie drogi do salonu z herbatą, kiedy rozległo się pukanie do drzwi – tak głośne w cichym mieszkaniu, po którym poniosło się echem, że aż podskoczyłam, a potem zamarłam, na wpół stojąc, na wpół przykucając w drzwiach.

Przypomniał mi się przerażający, wstrząsający obraz zakapturzonej głowy i dłoni w lateksowych rękawiczkach.

Dopiero kiedy drzwi znów zadudniły, spojrzałam w dół i zorientowałam się, że kubek z herbatą leży teraz roztrzaskany na płytkach, a moje stopy stoją w szybko stygnącym płynie.

Drzwi znów zadudniły.

– Chwileczkę! – krzyknęłam, nagle wściekła i bliska łez. – Już idę! Proszę przestać walić do tych cholernych drzwi!

– Przepraszam panią – powiedział policjant, kiedy w końcu mu otworzyłam. – Nie byłem pewien, czy mnie pani słyszy. – A potem, na widok kałuży herbaty i potrzaskanych odłamków kubka, dodał: – Ajaj, co tu się nawyrabiało. Kolejne włamanie? Ha, ha!



Nim policjant skończył sporządzać protokół, zrobiło się już popołudnie, a po jego wyjściu uruchomiłam laptopa. Miałam go ze sobą w sypialni i był to jedyne sprzęt, którego nie zabrał włamywacz. Oprócz mojej pracy, której w większości nie miałam kopii zapasowych, zawierał wszystkie hasła, włącznie z – i tu wzdrygam się, kiedy o tym myślę – folderem o pomocnej nazwie „Sprawy bankowe”. Nie zapisywałam sobie co prawda numerów PIN, ale prawie wszystko inne tam było.

Moją skrzynkę jak zwykle zalała powódź mejli, ale rzucił mi się w oczy taki z nagłówkiem „Planujesz się dziś pojawić :)?” i nagle zdałam sobie sprawę, że zupełnie zapomniałam odezwać się do „Velocity”.

Myślałam, żeby odpisać na tego mejla, ale ostatecznie sięgnęłam po dwudziestofuntowy banknot, który trzymałam w puszcze po herbacie na

taksówkę w nagłych wypadkach, i poszłam do podejrzanego sklepiku z telefonami na stacji metra. Musiałam się trochę potargować, ale w końcu gościu sprzedał mi tani telefon z kartą prepaid za piętnaście funtów, więc usiadłam w kawiarni naprzeciwko i zadzwoniłam do asystentki redaktorki naczelnej, Jenn, która ma biurko naprzeciwko mojego.

Powiedziałam jej, co się stało, ujmując wszystko w zabawniejszy i bardziej absurdalny sposób, niż wyglądało to w rzeczywistości. Skupiłam się mocno na obrazie mnie samej rozbierającej zamek pilniczką do paznokci i nie powiedziałam jej ani o tych rękawiczkach, ani o ogólnym poczuciu bezradnego przerażenia, ani o straszliwie wyraźnych wspomnieniach, które wciąż mnie nachodziły.

– Cholera! – Jenn po drugiej stronie trzeszczącej linii brzmiała na przerażoną. – Nic ci nie jest?

– Nie, tak z grubsza jest w porządku. Ale dzisiaj nie przyjdę. Muszę posprzątać mieszkanie.

Chociaż tak naprawdę nie było wcale najgorzej. Włamywacz okazał się wzorowo porządny. W każdym razie jak na przestępcę.

– Boże, Lo, biedactwo. Słuchaj, chcesz, żebym znalazła kogoś, kto cię zastąpi z tym zleceniem dla Northern Lights?

Przez chwilę nie miałam pojęcia, o co jej chodzi – a potem mi się przypomniało. Aurora Borealis: butikowy, superluksusowy statek wycieczkowy pływający wokół norweskich fiordów. Jakimś cudem – nadal nie jestem pewna, jak to się stało, że miałam tyle szczęścia – zgarnęłam jedną z tych kilku wejściówek dla prasy na pierwszy rejs.

Był to ogromny przywilej. Mimo że pracuję dla magazynu podróżniczego, zwykle robię „kopiuj-wklej” z materiałów prasowych i szukam ilustracji do artykułów wysyłanych mi z luksusowych wycieczek przez moją szefową, Rowan. To ona miała tam popłynąć, ale niestety po tym, jak się zgodziła, okazało się, że ciąża jej nie służy – podobno cierpiała na niepowściągliwe wymioty ciężarnych – a ten rejs trafił się mnie, niczym wielki prezent, obarczony jednocześnie ogromną odpowiedzialnością i wielkimi możliwościami. Przekazanie mi takiej fuchy było dowodem zaufania,

zwłaszcza że Rowan mogła też wyświadczyć przysługę pracownikom starszym stażem. Wiedziałam, że jeśli dobrze rozegram ten wyjazd, będzie to duży punkt dla mnie, gdy przyjdzie do rozmów o zastępstwie dla Rowan podczas jej urlopu macierzyńskiego i może – ale tylko może – dostanę wreszcie ten awans, który obiecywała mi od kilku lat.

Zresztą to miało być w ten weekend. W niedzielę. Wyjazd za dwa dni.

– Nie – odparłam i nawet mnie zdziwiła pewność w moim głosie. – Nie, zdecydowanie nie chcę się wycofywać. Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna? A co z twoim paszportem?

– Miałam paszport w sypialni, nie znalazł go.

Dzięki Bogu.

– *Na pewno* jesteś zdecydowana? – spytała ponownie, a w jej głosie dosłyszałam zmartwienie. – To jest ważna sprawa, nie tylko dla ciebie, ale też dla pisma. Jeśli się nie czujesz na siłach, to Rowan nie chciałaby, żebyś...

– Czuję się na siłach – przerwałam jej.

Nie było mowy, żebym pozwoliła umknąć takiej okazji. Być może to moja ostatnia szansa.

– Przysięgam. Naprawdę chcę się tym zająć, Jenn.

– Okej... – Westchnęła, niemal z niechęcią. – No, to w takim razie cała naprzód, dobra? Dziś rano wysłali mi materiały prasowe, więc nadam ci to kurierem razem z biletami na pociąg. Mam też gdzieś notatki od Rowan. Najważniejsze chyba, żeby napisać pełen zachwyków tekst na temat tego statku, bo ona by chciała ich pozyskać jako reklamodawców, jednak wśród gości powinni być też jacyś ciekawi ludzie, więc im więcej dasz radę zrobić w kwestii sylwetek, tym lepiej.

– No jasne. – Sięgnęłam na kawiarniany blat po długopis i zaczęłam notować na papierowej serwetce. – A przypomnij mi, o której ruszam?

– Masz pociąg o dziesiątej trzydzieści z King's Cross, ale napiszę ci to wszystko w tych materiałach.

– W porządku. I dziękuję, Jenn.

– Nie ma sprawy – odparła.

Miała trochę rozżalony głos i zastanawiałam się, czy nie zamierzała sama zająć mojego miejsca.

– Uważaj na siebie, Lo. Cześć.



Było jeszcze prawie jasno, kiedy powoli i mozolnie pomaszerowałam do domu. Bolały mnie stopy, policzek piekł, chciałam wrócić i wziąć długą, gorącą kąpiel.

Drzwi do mojego mieszkania w suterenie były ukryte w cieniu, jak zawsze, i znowu pomyślałam, że powinnam tam zamontować jakieś światło zewnętrzne, chociażby po to, by łatwiej mi było znaleźć klucze w torebce. Jednak nawet w tym półmroku widziałam roztrzaskane drewno w miejscu, w którym wcześniej wyważono zamek. To cud, że nie usłyszałam tamtego człowieka. „No, czego się tu spodziewać, w końcu byłaś pijana” – powiedział złośliwy głosik w mojej głowie.

Kliknięcie nowego zamka antywłamaniowego wydawało się uspokajająco solidne; zamknęłam drzwi od środka, zdjęłam buty i powłóczyłam się korytarzem do łazienki. Tłumiąc ziewnięcie, odkręciłam krany i usiadłam na toalecie, żeby ściągnąć rajstopy. Potem zaczęłam rozpinąć bluzkę... i znieruchomiałam.

Zwykle zostawiam drzwi do łazienki otwarte – mieszkam tu sama z Delilah, a w ściany łatwo wchodzi wilgoć, ponieważ są częściowo pod ziemią. Nie przepadam też za zamkniętymi przestrzeniami, a kiedy rolety są spuszczone, to pomieszczenie wydaje się bardzo małe. Jednak mimo że drzwi wejściowe były zamknięte na klucz i zamontowano na nich wzmocnienie, i tak sprawdziłam najpierw okno, po czym zamknęłam drzwi łazienki na klucz, a dopiero potem dokończyłam się rozbierać.

Byłam zmęczona – Boże, byłam *taka* zmęczona. Wyobraziłam sobie, jak zasypiam w wannie, zsuwam się pod wodę, a Judah znajduje moje spuchnięte, nagie ciało tydzień później... Otrząsnęłam się. Musiałam



przestać tak cholernie dramatyzować. Wanna ma ledwo metr dwadzieścia. Trudno zanurzyć się w niej na tyle, by spłukać włosy, a co dopiero utonąć.

Kąpiel była tak gorąca, że zaczęło mnie szczypać rozcięcie na policzku, więc zamknęłam oczy i próbowałam sobie wyobrazić, że jestem w jakimś innym miejscu, różniącym się od tej chłodnej, klaustrofobicznej, małej przestrzeni, z dala od obskurnego, pełnego przestępców Londynu. Może spacer po chłodnym, skandynawskim brzegu morza, może w uszach szumi mi kojący dźwięk... yyy... czy to będzie Bałtyk? Jak na dziennikarkę podróżniczą jestem niepokojąco kiepska z geografii.

Jednak powracały do mnie niechciane obrazy. Ślusarz powtarzający, że „jedna czwarta włamań się powtarza”. Ja, skulona we własnej sypialni, zapierająca się stopami o deski podłogi. Widok silnych dłoni obleczonych w jasny lateks, prześwitujące przez rękawiczki ciemne włosy...

*Cholera. Cholera.*

Otworzyłam oczy, ale tym razem powrót do rzeczywistości mi nie pomógł. Zobaczyłam górujące nade mną wilgotne ściany łazienki, osaczające mnie...

„Znowu ci odbija” – warknął mój wewnętrzny głos. „Czujesz to, prawda?”

Zamknij się. Zamknij się, zamknij się, zamknij się. Zacisnęłam oczy i zaczęłam liczyć w myślach, próbując świadomie pozbyć się z głowy tych obrazów. *Jeden. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery. Pięć. Sześć. Wydech. Jeden. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery. Pięć. Sześć. Wydech.*

W końcu obrazy się wycofały, ale kąpiel przestała być przyjemnością i nagle zwyciężyła we mnie potrzeba, by wydostać się z tego małego, dusznego pomieszczenia. Wstałam, owinęłam się ręcznikiem, w drugi zawinęłam włosy i poszłam do sypialni, a tam na łóżku nadal leżał mój laptop.

Otworzyłam go, odpaliłam Google i wpisałam: „Jaki % włamywaczy wraca”.

Wyskoczyła mi strona linków, kliknęłam w jeden przypadkowy i przeleciałam treść wzrokiem, aż doszłam do akapitu: „Kiedy włamywacze wracają... Ogólnokrajowe badanie wykazało, że w ciągu dwunastu miesięcy

około 24–50% włamań wydarzyło się powtórnie; a pomiędzy 25 a 35% ofiar zostało nimi po raz wtóry. Dane zebrane przez brytyjską policję wskazują, że 28–51% powtórnych włamań ma miejsce w ciągu miesiąca, a 11–25% w ciągu tygodnia”.

Świetnie. Czyli wyglądało na to, że mój przyjazny, złowieszczy prorok, ślusarz, rzeczywiście *znał* ten problem, a nie tylko mnie straszyl – chociaż matematyka związana z prawdopodobieństwem około pięćdziesięciu procent i tylko trzydziestoma pięcioma procentami powtórnych ofiar przyprawiła mnie o ból głowy.

Obiecałam sobie, że tego wieczoru nie będę piła alkoholu, więc po sprawdzeniu drzwi wejściowych, tylnych, okien oraz ponownie drzwi wejściowych, a może nawet zrobieniu tego trzeci raz, położyłam swój telefon na kartę koło łóżka i zaparzyłam sobie rumianek.

Zabrałam napar do sypialni razem z laptopem, materiałami prasowymi o wycieczce oraz paczką herbatników czekoladowych. Zegar wskazywał dopiero dwudziestą, w ogóle nie jadłam obiadu, ale nagle poczułam się wykończona – zbyt wykończona, żeby gotować, a nawet żeby zamówić przez telefon coś na wynos. Otworzyłam materiały na temat skandynawskiego rejsu, zakopałam się pod kołdrą i czekałam, aż ogarnie mnie sen.

Ale tak się nie stało. Pożarłam całą paczkę herbatników, czytając kolejne strony liczb i ciekawostek na temat Aurory. Dziesięć luksusowo wyposażonych kabin pasażerskich... maksymalnie dwudziestu pasażerów... starannie wybrana obsługa z najlepszych na świecie hoteli i restauracji... Nawet techniczne szczegóły na temat głębokości zanurzenia i tonażu nie zdołały ukołysać mnie do snu. Nie mogłam zasnąć, byłam wykończona, ale jednocześnie przejęta.

Leżąc tak, otulona kokonem kołdry, starałam się nie myśleć o tamtym włamywaczu. Bardzo świadomie skupiałam się na pracy, na tych wszystkich sprawach, które musiałam załatwić przed niedzielą. Odebrać nową kartę bankową. Spakować się i zrobić research przed wyjazdem. Czy zdążę się zobaczyć z Jude’em? Będzie próbował się ze mną skontaktować na stary numer.

Odłożyłam materiały prasowe i otworzyłam mejla.

„Cześć, Kochany” – zaczęłam, a potem urwałam i przygryzłam paznokcie. Co mu napisać? Bez sensu opowiadać mu o włamaniu, zwłaszcza teraz. Będzie mu głupio, że nie było go tutaj, kiedy go potrzebowałam. „Zgubiłam telefon” – napisałam zamiast tego. „To długa historia, opowiem Ci, jak wrócisz. Ale jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, pisz mejle, nie esemesy. O której planujesz przyjechać w niedzielę? Ja wyjeżdżam z rana do Hull na tę skandynawską wyprawę. Mam nadzieję, że zdążymy się spotkać przed moim wyjazdem... A jeśli nie, to do zobaczenia w przyszły weekend? Lo :)”.

Wcisnęłam „wyślij” z nadzieją, że nie będzie się zastanawiał, co ja tu wyprawiam, wypisując do niego mejle kwadrans przed pierwszą w nocy, a potem zamknęłam laptopa, sięgnęłam po książkę i próbowałam poczytać, aż zasnę.

Nie zadziało.

Za dwadzieścia pięć czwarta nad ranem powlokłam się do kuchni i zrobiłam sobie najmocniejszy gin z tonikiem, jaki byłam w stanie wypić. Łyknęłam go jak lekarstwo, wzdrygnęłam się od drażniącego smaku, a potem przygotowałam sobie jeszcze jednego drinka i też go wypić, tym razem wolniej. Stałam tak przez chwilę, czując, jak alkohol łaskocze mnie w żyłach, rozluźnia mięśnie i uspokaja zszargane nerwy.

Wlałam sobie resztki ginu do szklanki i zabrałam ją do sypialni, gdzie się położyłam, spięta i niespokojna, ze wzrokiem utkwionym w świecącej tarczy zegara, i czekałam, aż alkohol zadziała.

*Raz. Dwa. Trzy. Wdech. Cztery... Pięć... Pięć...*



Nie pamiętam, kiedy zasnęłam, ale musiało tak się stać. W jednej chwili patrzyłam na zegar zamglonymi od bólu głowy oczami i czekałam, aż pokaże czwartą czterdzieści cztery, a w kolejnej już mrugałam i przed sobą miałam

futrzasty pyszczek Delilah, która szturchała mnie nosem z wąsikami, próbując mi przekazać, że już pora na śniadanie. Jęknęłam. Głowa bolała mnie jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia – chociaż nie byłam pewna, czy to przez ten policzek, czy znowu miałam kaca. Połowa ostatniego ginu z tonikiem stała na nocnym stoliku obok zegara. Powąchałam go i aż mnie zatkało. Dwie trzecie drinka to musiał być gin. Co ja sobie myślałam?

Zegar pokazywał cztery minuty po szóstej, co oznaczało, że spałam mniej niż półtorej godziny; ale już się rozbudziłam i nie było sensu z tym walczyć. Wstałam więc, odsunęłam zasłonę i popatrzyłam na szary świt oraz cienkie promyki słońca wpadające przez moje piwniczne okno. Dzień wydawał się chłodny i nieprzyjemny, więc włożyłam kapcie i trzęsąc się, wyszłam na korytarz do termostatu, żeby wyłączyć automatyczny zegar i zacząć już grać na dzień.

Była sobota, nie musiałam pracować, ale tak wyszło, że papierkowa robota związana z przypisaniem mojego numeru do nowego telefonu oraz wydaniem nowych kart bankowych zajęły mi większość dnia, a do wieczora byłam już umęczona.

Czułam się tak źle, jak wtedy, kiedy wracałam z Tajlandii przez Los Angeles – kolejne nocne loty sprawiły, że do domu dotarłam skrajnie niewyspana i tragicznie zdezorientowana. Gdzieś nad Atlantykiem zorientowałam się, że nie jestem już w stanie spać i równie dobrze mogę przestać próbować. Po powrocie rzuciłam się na łóżko, jakbym wpadła do studni, i pograżyłam się w zapomnieniu, przespałam dwadzieścia dwie godziny, wstałam otumaniona i zeszywniała, a Judah walił do moich drzwi z niedzielą gazetą w dłoni.

Jednak tym razem moje łóżko nie było już azylem.

*Musiałam* się pozbierać przed wyjazdem w tę podróż. Była to niepowtarzalna okazja, by po dziesięciu latach w końcu sprawdzić się w czymś innym niż w nudnej, czarnej robocie dziennikarskiej typu „kopiuj-wklej”. Nie mogłam jej przegapić. To była moja szansa, żeby pokazać, iż potrafię z tym skończyć – że podobnie jak Rowan umiem rozmawiać z ludźmi, wymieniać ploteczki i reprezentować „Velocity” wśród młodych

wilków. A Aurora Borealis była niezłym kąskiem dla młodych wilków. Zaledwie procent jej budżetu reklamowego pozwoliłby utrzymać „Velocity” przez kilka miesięcy, nie wspominając już o tych wszystkich gwiazdach branży podróżniczej i fotograficznej, które niewątpliwie zostały zaproszone na jej dziewiczy rejs. Ich nazwiska na naszej okładce rzeczywiście wyglądałyby bardzo dobrze.

Nie zamierzałam atakować Bullmera ofertami przy kolacji – nie ma nic bardziej prymitywnego i komercyjnego. Ale gdybym zdołała wciągnąć jego numer na listę swoich kontaktów i mieć pewność, że odbierze mój telefon, jeśli zadzwonię... cóż, wtedy udałoby mi się w końcu zdobyć ten awans.

Jadłam kolację, mechanicznie pakując sobie mrożoną pizzę do ust, aż poczułam się zbyt syta, by jeść dalej, wróciłam więc do materiałów prasowych w miejscu, w którym skończyłam, ale słowa i obrazy rozjeżdżały mi się przed oczami, wszystkie przymiotniki się zlewały: „butikowy... lśniący... luksusowy... ręcznie robiony... rzemieślniczy...”.

Ziewnęłam i wypuściłam stronę z rąk, potem zerknęłam na zegarek i zauważyłam, że minęła dwudziesta pierwsza. Dzięki Bogu, mogłam się położyć. Sprawdziłam, a potem raz jeszcze, drzwi i zamki. Pomyślałam, że dobrą stroną mojego zmęczenia są zerowe szanse na powtórkę poprzedniej nocy. Byłam tak wykończona, że nawet gdyby włamywacz rzeczywiście *przyszedł*, pewnie bym to przespała.



O dwudziestej drugiej czterdzieści siedem zdałam sobie sprawę, że się myliłam.

O dwudziestej trzeciej dwadzieścia trzy zaczęłam płakać, głupio i bezsilnie.

O co chodziło? Czy miałam już nigdy nie zasnąć?

Musiałam spać. *Musiałam*. Przespałam... Policzyłam na palcach, bo nie byłam w stanie tego zrobić w pamięci. Mniej niż cztery godziny w ciągu

ostatnich trzech dni.

Czułam przedsmak snu. *Czułam* go, tylko że był poza moim zasięgiem. Musiałam spać. Musiałam. Oszaleję, jeśli nie zasnę.

Znowu wróciły łzy – nawet nie wiedziałam, z jakiego powodu. Łzy frustracji? Wściekłości – na siebie, na włamywacza? Czy po prostu wyczerpania?

Wiedziałam tylko, że nie mogę zasnąć, że sen wisi zaledwie kilka centymetrów przede mną, niczym niedotrzymana obietnica. Czułam się, jakbym biegła w stronę mirażu, który wciąż się oddalał, umykając mi tym szybciej, im rozpaczliwiej za nim goniłam. A może to była raczej ryba w wodzie, coś, co musiałam złapać i utrzymać, ale wciąż wyslizgiwało mi się z palców.

*O Boże, chcę spać...*

Delilah obróciła na mnie łebek, zaskoczona. Naprawdę powiedziałam to na głos? Sama już nawet nie wiedziałam. Chryste, dostawałam świra.

*Mignięcie jakiejś twarzy – błyszczące, wodniste oczy w ciemności.*

Usiadłam, serce waliło mi tak szybko, że czułam je z tyłu czaszki.

Musiałam się stąd wydostać.

Wstałam, zataczając się z wyczerpania jak w transie, wcisnęłam stopy do butów i ramiona do płaszcza, zarzuciłam go na pizamę. Potem wzięłam torebkę. Jeśli nie mogę spać, to pójdę na spacer. Dokądś. Dokądkolwiek.

Jeśli sen nie mógł przyjść do mnie, to, cholera, równie dobrze mogłam go sama dopaść.



### 3

Ulice o północy nie były puste, ale nie wyglądały też tak samo jak każdego dnia, gdy zdążam nimi do pracy.

Pomiędzy siarkowożółtymi światłami ulicznymi były szare i zacienione, a zimny wiatr rzucał mi pod nogi jakieś papiery, liście oraz śmieci porwane z rynsztoków. Powinnam czuć strach – trzydziestodwuletnia kobieta, ewidentnie ubrana w piżamę, wędrująca ulicami po północy. Ale czułam się tam bezpieczniej niż we własnym mieszkaniu. Na zewnątrz przynajmniej ktoś usłyszy mój krzyk.

Nie miałam żadnego planu ani trasy, tylko włóczyłam się po ulicach, aż w końcu zrobiłam się zbyt zmęczona, by ustać na nogach. Gdzieś pomiędzy dzielnicami Highbury a Islington zorientowałam się, że zaczęło padać, i to już jakiś czas wcześniej, bo byłam przemoczona do suchej nitki. Stałam w chlupoczących butach, mój wycieńczony, skołowany mózg próbował ułożyć jakiś plan, ale stopy poniosły mnie niemal mimowolnie nie w stronę domu, lecz na południe, w kierunku Angel.

Nie zdawałam sobie sprawy, dokąd idę, póki tam nie dotarłam. Dopóki nie stanęłam pod gankiem jego budynku, w oszołomieniu marszcząc brwi i wpatrując się w dzwonek, nad którym wypisane jego własnym, drobnym, starannym charakterem pisma widniało nazwisko: „LEWIS”.

Nie było go. Wyjechał do Ukrainy, miał wrócić dopiero nazajutrz. Ale ja miałam w kieszeni jego zapasowe klucze i nie byłam w stanie zmierzyć się z powrotem do mojego mieszkania. „Mogłabyś pojechać taksówką” – zamarudził cichy, drwiący głosik w mojej głowie. „To nie ze spacerem nie możesz się zmierzyć. Ty tchórze”.



Pokręciłam głową, rozchlapując krople deszczu na tabliczce dzwonka ze stali nierdzewnej, i zaczęłam przeglądać pęk kluczy, póki nie odnalazłam tego do drzwi wejściowych. Wślizgnęłam się do środka, wprost w przytłaczające ciepło wspólnego korytarza.

Na górze, na drugim piętrze, ostrożnie weszłam do mieszkania.

Było tam całkowicie ciemno. Wszystkie drzwi zostały pozamykane, a przedpokój nie miał okien.

– Judah? – zawołałam.

Wiedziałam, że nie ma go w domu, ale niewykluczone, że pozwolił się tu zatrzymać jakiemuś kumpłowi, a ja nie chciałam przyprawiać nikogo o zawał serca w środku nocy. Wiedziałam aż za dobrze, jakie to uczucie.

– Jude, to tylko ja, Lo.

Ale nikt nie odpowiedział. Mieszkanie stało pogrążone w ciszy – kompletnej, całkowitej ciszy. Otworzyłam drzwi na lewo, prowadzące do kuchni z jadalnią, i na palcach weszłam do środka. Nie włączyłam światła. Zdarłam tylko z siebie wszystkie mokre ubrania – płaszcz, piżamę i resztę – a potem cisnęłam je do zlewu.

Następnie przeszłam nago do sypialni, w której szerokie, dwuosobowe łóżko Judah stało puste w blasku księżyca. Szara pościel była zmięta, jakby dopiero co z niego wstał. Weszłam na czworakach na sam środek, czując miękkość używanej pościeli, wdychając jego zapach – potu, wody po goleniu i po prostu *jego*.

Zamknęłam oczy.

*Raz. Dwa...*

Sen mnie pochłonał, porwał jak fala.



Zbudził mnie krzyk kobiety oraz uczucie, że ktoś na mnie leży, przytrzymuje mnie, mocuje się z moimi rękoma, jakbym walczyła.

Jakaś dłoń chwyciła mój nadgarstek, jej uścisk był dużo silniejszy od mojego. Oślepiąca, oszałała z paniki, macałam ciemność wolną ręką, szukając po omacku czegoś, czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń, aż w końcu zacisnęłam ją na lampce nocnej.

Dłoń mężczyzny była teraz na moich ustach, dusiła mnie, jego ciężar mnie dławił, więc z całą mocą uniosłam ciężką lampę i zamachnęłam się nią.

Rozległ się okrzyk bólu, a przez mgłę przerażenia usłyszałam jakiś głos, słowa były niewyraźne i pourywane.

– Lo, to ja! Chryste, przestań już!

Co?

O Boże.

Tak strasznie trzęsły mi się ręce, kiedy próbowałam znaleźć włącznik, a udało mi się tylko coś potrącić i przewrócić.

Za sobą słyszałam dyszącego Judah oraz jakiś bulgoczący dźwięk, którego się bałam. Gdzie się, do cholery, podziała ta lampa? Wtedy do mnie dotarło – trzasnęłam nią Judah w twarz.

Stoczyłam się z łóżka, nogi mi drżały, i znalazłam włącznik przy drzwiach. Pokój natychmiast zalało bezlitosne, jasne światło kilkunastu halogenowych żarówek, a każda z nich oświetlała dokładnie wszystkie szczegóły przerażającego obrazu, który się przede mną roztaczał.

Judah kulił się przy łóżku, trzymając się za twarz, a po brodzie i piersi spływała mu krew.

– O mój Boże, Jude!

Podbiegłam do niego, ręce nadal mi się trzęsły, i zaczęłam wyciągać chusteczki z pudełka przy łóżku. On przycisnął je sobie do twarzy.

– O Boże, co się stało? Kto tak krzyczał?

– Ty! – jęknął.

Chusteczki już prawie całe przesiąkły czerwienią.

– Co?

Nadal zalewała mnie adrenalina. Rozejrzałam się zagubiona po pokoju, szukając tamtej kobiety i napastnika.

– Jak to?

– Przyszedłem do domu – odpowiedział z bólem, jego brooklyński akcent tłumili chusteczki. – Ty zaczęłaś krzyczeć, na wpół przez sen. Więc próbowałem cię obudzić i... proszę.

– Oż, kurwa. – Przyłożyłam sobie dłonie do ust. – Strasznie przepraszam. Ten krzyk, to było takie wyraźne. To naprawdę byłam tylko ja?

On ostrożnie odjął sobie dłoń od ust. W czerwonym zawiniątku coś było, coś małego i białego. Dopiero kiedy spojrzałam na jego twarz, zorientowałam się, co to – brakowało mu jednego zęba.

– O Jezu.

On popatrzył na mnie, krew wciąż powoli kapała mu z ust i nosa.

– Co za powitanie – powiedział tylko.



– Strasznie przepraszam. – Czułam, jak łyzy szczypią mnie z tyłu gardła, ale nie zamierzałam płakać przy taksówkarzu. Przełknęłam je mimo silnego bólu. – Judah?

Nic nie powiedział, wyglądał tylko przez okno na szary świt, który zaczynał spowijać Londyn. Spędziliśmy dwie godziny na pogotowiu szpitala UCH, a oni założyli Judah szew na wargę, po czym odesłali go na dyżur dentystyczny, gdzie wciśnięto mu ząb z powrotem na miejsce i powiedziano z grubsza, że ma trzymać kciuki. Okazuje się, że ząb można uratować, jeśli z powrotem się przyjmie. Jeśli nie, to skończy się albo mostkiem, albo implantem. Wykończony Judah zacisnął powieki, a ja poczułam, jak wyrzuty sumienia wykręcają mi żołądek.

– Przepraszam – powtórzyłam, tym razem bardziej rozpaczliwie. – Nie wiem, co innego mogę powiedzieć.

– Nie, to ja przepraszam – odparł znużony.

Zabrzmiało to raczej jak „szepaszam”, jakby udawał pijanego Seana Connery’ego, bo miejscowe znieczulenie na ustach utrudniało mu mówienie.

– Ty? Za co ty mnie przepraszasz?

– Nie wiem. Za to, że spieprzyłem. Że mnie przy tobie nie było.

– Chodzi ci o tego włamywacza?

Pokiwał głową.

– O niego. Ale tak naprawdę o wszystko. Żałuję, że tak często mnie nie ma.

Nachyliłam się do niego, a on mnie objął. Oparłam głowę na jego ramieniu i słuchałam wolnego, równego bicia jego serca, krzepiąco nieprzyspieszonego w porównaniu z moim spanikowanym, bębniącym pulsem. Pod kurtką miał na sobie poplamioną krwią, spraną koszulkę, jej materiał był miękki pod moim policzkiem. Kiedy wciągnęłam powietrze, wzięłam długi, drżący wdech – pachniał jego potem – poczułam, jak mój puls zwalnia do jego rytmu.

– Nie mógłbyś nic na to poradzić – powiedziałam mu w pierś.

Pokręcił głową.

– Ale i tak powinienem tam być.



Jaśniało, kiedy zapłaciliśmy taksówkarzowi i powoli wspięliśmy się dwa piętra do mieszkania Jude’a. Kiedy zerknęłam na zegarek, zobaczyłam, że dochodzi szósta. Kurde, za parę godzin musiałam być już w pociągu do Hull.

W środku Judah ściągnął z siebie ubrania i padliśmy na łóżko, przytuleni skóra do skóry. Przygarnął mnie do siebie, wciągnął zapach moich włosów i przymknął oczy. Byłam taka zmęczona, ale zamiast się położyć i pozwolić, by zmorzył mnie sen, wspięłam się na niego, zaczęłam całować jego gardło, brzuch, ciemny pasek włosów prowadzący do jego krocza.

– Lo... – jęknął i próbował mnie podciągnąć w górę, żeby mnie pocałować, ale pokręciłam głową.

– Nie, twoje usta. Po prostu leż.

Opuścił głowę, jego gardło tworzyło łuk w bladym promieniu świtu docierającym spomiędzy zasłon.

Ostatnio widziałam go osiem dni wcześniej. Zobaczę go znowu dopiero za tydzień. Jeśli tego nie zrobimy...

Po wszystkim leżałam w jego ramionach, czekając, aż mój oddech i serce się uspokoją, i czułam, że jego policzek przy moim wygiął się w uśmiechu.

– No, bardziej o coś takiego mi chodziło.

– O co?

– Spodziewałem się powitania bardziej w tym stylu.

Skrzywiłam się, a on dotknął mojej twarzy.

– Lo, kochanie, to był żart.

Przez długi czas milczeliśmy. Myślałam, że on zasypia, i sama też zamknęłam oczy, chcąc pozwolić, by spłynęło na mnie zmęczenie, ale potem poczułam, że jego pierś się uniosła, mięśnie w ręce napięły, a Judah wziął głęboki wdech.

– Lo, nie będę cię o to znowu pytał, ale...

Nie dokończył, jednak nie musiał. Czułam, co zamierzał powiedzieć. Chodziło o to, o czym wspomniał w Nowy Rok – chciał, żebyśmy poszli dalej. Żebyśmy razem zamieszkali.

– Daj mi się zastanowić – odparłam w końcu głosem, który nie brzmiał jak mój, nietypowo zgaszonym tonem.

– To samo powiedziałaś parę miesięcy temu.

– Nadal się zastanawiam.

– Cóż, ja już zdecydowałam.

Dotknął mojej brody, delikatnie przyciągnął moją twarz do swojej. To, co w niej zobaczyłam, sprawiło, że serce mi zatrzepotało. Wyciągnęłam rękę, ale on ją chwycił i przytrzymał.

– Lo, przestań próbować to zepsuć. Jestem naprawdę cierpliwy, wiesz o tym, ale zaczynam się czuć, jakbyśmy nie byli w tym samym miejscu.

Poczułam, że w żołądku wzbiera mi znajoma panika – coś pomiędzy nadzieją a przerażeniem.

– Nie w tym samym miejscu? – Mój uśmiech wydawał się wymuszony. – Czy ty znowu naoglądałaś się „Oprah”?

Puścił wtedy moją dłoń, odwrócił się ode mnie, a na jego twarzy pojawiło się zacięcie. Przygryzłam wargę.

– Jude...

– Nie – powiedział. – Po prostu nie. Chciałem z tobą o tym porozmawiać, ale ty najwyraźniej nie chcesz, więc... Słuchaj, jestem zmęczony. Jest już prawie rano. Chodźmy spać.

– Jude – powtarzałam, przeklinając tę porę i nienawidząc siebie za to, że jestem taką suką, nienawidząc *jego* za to, że mnie w to wciągnął.

– Zrezygnowałem – powiedział zmęczony w poduszkę.

Myślałam, że chodzi mu o naszą rozmowę, ale potem dokończył:

– Z propozycji pracy. W Nowym Jorku. Odrzuciłem ją. Dla ciebie.

Kurwa.



## 4

Spałam głębokim, otumaniającym snem, jakby po lekach, a parę godzin później wyrwał mnie z niego dźwięk budzika.

Nie wiedziałam, od jak dawna dzwonił, ale przypuszczałam, że trochę to zajęło. Głowa mnie bolała i przez chwilę leżałam, próbując się odnaleźć, zanim się zebrałam, żeby wyciągnąć rękę i wyłączyć go, zanim obudzi Judah.

Przetarłam zaspane oczy i przeciągnęłam się, próbując rozruszać zdrętwiałą szyję i ramiona, a potem podniosłam się z bólem, wyszłam z łóżka i przeszłam do kuchni Judah. Kiedy kawa się parzyła, wzięłam moje tabletki, a potem przeszukałam łazienkę z nadzieją, że upoluję tam coś przeciwbólowego. Znalazłam ibuprofen, paracetamol, a także coś w brązowej, plastikowej buteleczce – niewyraźnie pamiętałam, że przepisano to Judah, kiedy skrzył kolano podczas meczu piłki nożnej. Odkręciłam zakrętkę z zabezpieczeniem przed dziećmi, po czym przyjrzałam się tabletkom. Były wielkie, czerwono-białe i wyglądały imponująco.

Ostatecznie stchórzyłam i nie wzięłam ich, zamiast tego wycisnęłam sobie na dłoń dwa ibuprofeny i jeden szybko działający paracetamol z paczuszek wyłożonych na półce w łazience. Popiłam je kawą – czarną, w pustej lodówce nie było mleka. Resztę kubka wypiłam już wolniej, wspominając poprzedni wieczór, moje głupie zachowanie, obwieszczenie Judah...

Byłam zaskoczona. Nie, bardziej niż zaskoczona – byłam w szoku. Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o jego długoterminowych planach, ale wiedziałam, że tęsknił za swoimi przyjaciółmi w Stanach, za mamą i młodszym bratem – nikogo z tego grona nie poznałam. To, co zrobił... czy zrobił to dla siebie? Czy dla nas?



W dzbanku zostało jeszcze trochę kawy, nalałam pół drugiego kubka i ostrożnie zniosłam go do sypialni.

Judah leżał rozciągnięty na materacu, jakby tam upadł. Ludzie w filmach zawsze wyglądają tak spokojnie we śnie – ale nie on. Jego poranione usta ukryły się pod wyrzuconym w górę ramieniem, a z tym swoim zakrzywionym nosem i zmarszczonym czołem wyglądał jak zły jastrząb, zestrzelony w locie przez łowczego i wciąż z tego powodu wkurzony.

Bardzo delikatnie postawiłam kawę na jego nocnym stoliku i położywszy głowę na poduszce obok niego, pocałowałam go w kark. Był ciepły i zaskakująco miękki.

Poruszył się we śnie, wyciągnął długą, opaloną rękę, żeby zarzucić ją na moje ramiona, a jego oczy się otworzyły – miały kolor o trzy odcienie ciemniejszy niż jego zwyczajny orzechowy.

– Cześć – powiedziałam cicho.

– Cześć.

Odsunął się i ziewnął, a potem wciągnął mnie do siebie, do łóżka. Przez sekundę się wzbraniałam, myśląc o statku, o pociągu i o aucie czekającym na mnie w Hull. Potem moje kończyny stopiły się niczym plastik i pozwoliłam sobie ułożyć się obok niego, wtulić w jego ciepło. Leżeliśmy tak przez chwilę, patrząc sobie nawzajem w oczy, a ja wyciągnęłam rękę i ostrożnie dotknęłam paska zamykającego ranę na jego wardze.

– Myślisz, że się ukorzeni?

– Nie wiem – odpowiedział. – Taką mam nadzieję, w poniedziałek muszę jechać do Moskwy i nie chciałbym tam sobie zawracać głowy dentystami.

Nic nie odpowiedziałam. On zamknął oczy i się przeciągnął, a ja usłyszałam kliknięcie jego stawów. Potem obrócił się na bok i delikatnie objął dłonią moją nagą pierś.

– Judah – odezwałam się. W swoim głosie słyszałam mieszaninę rozdrażnienia i tęsknoty.

– Co?

– Nie mogę. Muszę iść.

– Więc idź.

– Nie. Dość.

– Nie, dość? Czy: nie dość? – Uśmiechnął się powoli jedną stroną.

– Jedno i drugie. Wiesz, o co mi chodzi. – Podniosłam się i pokręciłam głową.

Zabolało mnie to i od razu pożałowałam tego ruchu.

– Jak twój policzek? – spytał Judah.

– W porządku. – Uniosłam do niego dłoń. Był spuchnięty, ale nie tak bardzo jak wcześniej.

On miał zmartwioną minę i wyciągnął palec, żeby pogłaskać mnie po siniaku, ale mimowolnie od niego odskoczyłam.

– Powinienem był tam być – powiedział.

– Cóż, nie było cię – odparłam, trochę bardziej zgryźliwie, niż zamierzałam. – Nigdy cię nie ma.

Zamrugnął i podciągnął się na łokciach, żeby na mnie spojrzeć. Jego twarz nadal była miękka od snu, z odgnieceniami po poduszce.

– Co do...?

– Słyszałeś. – Wiedziałam, że zachowuję się nieracjonalnie, ale te słowa same ze mnie wystrzeliły. – Jaką my mamy przyszłość, Jude? Nawet gdybym tutaj zamieszkała, to co dalej? Mam tu siedzieć i tkać całun jak Penelopa oraz pilnować ogniska domowego, podczas gdy ty będziesz pił szkocką w jakimś barze w Rosji z innymi korespondentami zagranicznymi?

– Skąd ci się to wszystko wzięło?

Pokręciłam głową i zestawiałam nogi z łóżka. Zaczęłam wciągać na siebie te zapasowe ciuchy, które rzuciłam na podłogę po wycieczce na pogotowie.

– Po prostu jestem zmęczona, Jude.

„Zmęczona” to mało powiedziane. Przez trzy ostatnie noce nie spałam dłużej niż dwie godziny.

– I nie widzę, do czego to zmierza. I tak jest już trudno, nawet kiedy jest nas tylko dwoje. Nie chcę być żoną, która siedzi w domu z dzieciakiem i dotkliwym przypadkiem depresji poporodowej, podczas gdy ty jesteś wysyłany do każdej najgorszej dziury po tej stronie równika.

– Z ostatnich wydarzeń można wywnioskować, że większe zagrożenie stanowi dla mnie własne mieszkanie – odpowiedział Judah, a potem się wzdrygnął na widok mojej miny. – Przepraszam, chamsko to zabrzmiało. To był wypadek, przecież wiem.

Zarzuciłam sobie na ramiona wciąż wilgotny płaszcz i podniosłam torbę.

– Cześć, Judah.

– Cześć? Co oznacza to „cześć”?

– Co chcesz.

– *Chcę*, żebyś przestała się zachowywać jak jakaś cholerna diwa i wprowadziła się do mojego mieszkania. Kocham cię, Lo.

Te słowa uderzyły mnie prosto w twarz. Zatrzymałam się w progu, czując wagę swojego zmęczenia, jakby coś fizycznie ciągnęło mnie w dół za szyję.

„Dłonie w bladym lateksie, śmiech...”

– Lo? – powtórzył niepewnie Judah.

– Nie dam rady – odpowiedziałam, stojąc twarzą do korytarza.

Nie byłam pewna, o co właściwie mi chodzi: nie dam rady odejść, nie dam rady zostać. Nie dam rady prowadzić tej rozmowy, tego życia, tego wszystkiego.

– Po prostu... muszę iść.

– Czyli ta praca... – powiedział, a w jego głosie zaczęła pobrzmiwać złość. – Ta, której odmówiłem. Mówisz, że źle zrobiłem?

– Nie prosiłam cię o to – odparłam. Głos mi drżał. – Nigdy cię o to nie prosiłam. Więc nie zwalaj tego na mnie. – Zarzuciłam sobie torbę na ramię i odwróciłam się w stronę drzwi.

Nic nie powiedział. Nie próbował mnie powstrzymać. Wyszłam z jego mieszkania, chwiejąc się, jakbym była na wpół pijana. Dopiero kiedy wsiadłam do metra, uderzyło mnie, co się tak naprawdę stało.



## 5

Uwielbiam porty. Uwielbiam zapach smoły i morskiego powietrza, a także krzyki mew. Może to przez lata podróżowania do Francji na letnie wakacje przystań daje mi takie poczucie wolności, jakiego nigdy nie odczuwam na lotnisku. Lotniska oznaczają pracę, kontrole bezpieczeństwa i opóźnienia. Porty oznaczają... sama nie wiem. Coś zupełnie innego. Może ucieczkę.

Przez całą podróż pociągiem unikałam myślenia o Judah i próbowałam zająć swoją uwagę szukaniem informacji na temat czekającej mnie podróży. Richard Bullmer był zaledwie parę lat ode mnie starszy, ale jego CV wystarczyło, żebym poczuła się beznadziejnie nie na miejscu – długa lista biznesów i stanowisk dyrektorskich, od których chciało mi się płakać, każdy punkt był kamieniem milowym prowadzącym na jeszcze wyższy poziom bogactwa i wpływów.

Kiedy otworzyłam Wikipedię na telefonie, zobaczyłam opalonego, przystojnego mężczyznę z bardzo czarnymi włosami oraz oszałamiająco piękną blondynką przed trzydziestką u boku. „Richard Bullmer z żoną, dziedziczką Anne Lyngstad, podczas ich ślubu w Stavanger” – głosił podpis.

Biorąc pod uwagę jego utytułowanie, zakładałam, że bogactwo zostało mu podane na tacy, ale wyglądało na to, przynajmniej na podstawie Wikipedii, że niesprawiedliwie go oceniłam. Na początku rzeczywiście było mu dość wygodnie – prywatna szkoła, Eton i Balliol. Jednak gdy był na pierwszym roku studiów, zmarł mu ojciec – matki chyba już wtedy przy nim nie było, to nie do końca jasne – i cały majątek rodziny pochłonęły podatki od spadku oraz długi, a tym samym Bullmer w wieku dziewiętnastu lat został bezdomny i sam.

W tych okolicznościach samo ukończenie Oxfordu byłoby dużym osiągnięciem, a on do tego na trzecim roku stworzył internetowy startup. Notowania giełdowe tego przedsięwzięcia w 2003 roku były początkiem pasma sukcesów, którego zwieńczeniem stał się ten butikowy statek wycieczkowy mieszczący dziesięć kajut, stworzony do superluksusowych rejsów po skandynawskiej linii brzegowej. „Dostępny na wesele twoich marzeń, oszałamiający wyjazd firmowy, który skradnie serca twoich klientów i wywoła efekt »wow«, albo po prostu ekskluzywne wakacje, których ty i twoja rodzina nigdy nie zapomnicie” – przeczytałam w materiałach dla prasy, podczas gdy pociąg gnał na północ, nim przesłam do planu kabin pokładowych.

Z przodu łodzi – to się chyba nazywa dziób – znajdowały się cztery wielkie apartamenty, a do tego była osobna część z sześcioma mniejszymi kajutami ułożonymi w kształt podkowy na tyle. Każda kajuta miała swój numer, parzyste i nieparzyste liczby znajdowały się po obu stronach centralnego korytarza: kajuta numer jeden na samym czubku dziobu, a kajuty numer dziewięć i dziesięć obok siebie w wygiętej łukowato rufie. Przypuszczałam, że dostanę jedną z mniejszych kajut – apartamenty były pewnie zarezerwowane dla VIP-ów. Na planie nie umieszczono żadnej skali i zmarszczyłam brwi, przypominając sobie niektóre z promów, którymi pływałam przez kanał, te ich klaustrofobiczne pokoiki pozbawione okien. Myśl, że miałabym spędzić pięć dni w czymś takim, nie była przyjemna, ale zapewne w przypadku tego typu statku mówimy o czymś znacznie bardziej przestronnym?

Znowu przewróciłam stronę z nadzieją, że znajdę zdjęcie którejś z kajut, które mnie w tym upewni, ale przede mną odmalowało się ujęcie olśniewającego wyboru skandynawskich rarytasów rozłożonych na białym płótnie. Najwyraźniej kucharz z Aurory szkolił się w Nomie oraz El Bulli. Ziewnęłam i przycisnęłam sobie palce do oczu, czując znów ziarenka zmęczenia i przygniatający mnie ciężar tego wszystkiego, co się wydarzyło w nocy.

Przypomniała mi się twarz Judah, takiego jak go zostawiłam, pozszywana po uderzeniu poprzedniej nocy, i aż się wzdrygnęłam. Nie byłam nawet pewna, co się stało. Czy my zerwaliśmy? Czy ja go rzuciłam? Za każdym razem, kiedy próbowałam odtworzyć tę rozmowę, mój wykończony mózg przejmował pałeczkę, dodając rzeczy, których nie powiedziałam; myślałam, jakich odpowiedzi mogłam udzielić, albo sprawiałam, że Judah mówił bardziej żałosne lub obraźliwe rzeczy, co pozwoliło mi uzasadnić swoje zachowanie; albo też wyobrażałam sobie, iż on kocha mnie bezwarunkowo, przekonując samą siebie, że wszystko będzie dobrze. *Nie prosiłam*, żeby zrezygnował z tej pracy. Więc dlaczego nagle miałabym być za to wdzięczna?

Przysnęłam na jakieś trzydzieści bolesnych minut w aucie z dworca do portu, a kiedy kierowca radośnie obwieścił koniec podróży, poczułam się, jakby ktoś ochlapał mi twarz zimną wodą. Wytoczyłam się z auta na palące słońce oraz szczypiący, słony wiatr zapuchnięta i otumaniona.

Kierowca wysadził mnie prawie tuż przed samym trapem Aurory, ale kiedy spojrzałam na drugi koniec stalowego mostku prowadzącego na łódź, nie mogłam uwierzyć, że jesteśmy we właściwym miejscu. To, co zobaczyłam, wyglądało podobnie jak w ulotce – wielkie, szklane okna odbijające słońce, na których nie było choćby jednego odcisku palca albo śladu słonej wody; błyszcząca biała farba tak świeża, że możliwe, iż malowanie skończono tamtego ranka. Ale brakowało mi poczucia skali. Aurora była taka *mała* – bardziej podobna do wielkiego jachtu niż statku wycieczkowego. Wtedy zrozumiałam, co się kryło pod określeniem „butikowy”; widywałam większe jednostki pływające pomiędzy greckimi wyspami. Wydawało się to niemożliwe, żeby wszystko, o czym wspomniano w ulotce – biblioteka, solarium, spa, sauna, bar z alkoholem oraz te pozostałe rzeczy najwyraźniej niezbędne rozpieszczanym pasażerom Aurory – mogły się zmieścić na takiej miniaturowej łodzi. Jej rozmiar w połączeniu z idealnym wykończeniem nadawał całości dziwny, zabawkowy wygląd, a kiedy weszłam na wąski, stalowy pomost, nabrałam nagle dezorientującego wrażenia, że Aurora jest statkiem uwięzionym w butelce – maleńkim, idealnym, odcięty od świata

i nierzeczywistym – a ja sama z każdym krokiem w jej stronę kurczę się, żeby do niej pasować. To było dziwne uczucie, podobne do patrzenia przez teleskop od złej strony, i zakręciło mi się w głowie, jakbym dostała zawrotów.

Trap przesuwiał się pod moimi stopami, gęste, atramentowe wody portu wirowały i bulgotały pod spodem, a ja miałam chwilowe złudzenie, że spadam, że stal pode mną się rozchodzi. Zaciśnęłam powieki i chwyciłam się zimnej, metalowej poręczy.

Wtedy usłyszałam znad głowy jakiś kobiecy głos.

– Cudowny zapach, prawda?!

Zamrugałam. W wejściu stała stewardesa. Była bardzo jasną, niemal białowłosą blondynką, opaloną na orzechowo, i uśmiechała się do mnie, jakbym była jej bogatą, dawno zaginioną krewną z Australii. Nabrałam powietrza, próbując złapać równowagę, a potem pokonałam resztę trapu i wkroczyłam na Aurorę Borealis.

– Dzień dobry, pani Blacklock – powiedziała stewardesa, kiedy weszłam.

Mówiła z akcentem, skracała samogłoski w sposób, którego nie potrafiłam do niczego dopasować, a jej słowa w jakiś sposób wywoływały wrażenie, że spotkanie ze mną było dla niej życiowym doświadczeniem porównywalnym z wygraną na loterii.

– *Niezmiernie* mi miło, że mogę panią powitać na pokładzie. Czy jeden z naszych portierów może się zająć pani bagażem?

Rozejrzałam się, próbując zrozumieć, skąd wiedziała, kim jestem. Moja walizka zniknęła, nim zdążyłam zaprotestować.

– Czy ma pani ochotę na kieliszek szampana?

– Yyy – odpowiedziałam błyskotliwie.

Stewardesa uznała to za potwierdzenie, a ja zorientowałam się, że już przyjmuję z jej rąk wysoki, zroszony kieliszek.

– Eee, dzięki.

Wnętrze Aurory szokowało. Może i była to mała łódź, ale upchnięto w niej tyle błyskotek, że wystarczyłoby na dziesięć razy większy statek. Drzwi przy trapie otwierały się na długą, zakręconą klatkę schodową, w której każdą



powierzchnię, jaką tylko się dało, wyłożono politurą, marmurem lub obito jedwabiem. Całe schody oświetlał oślepiający żyrandol, zalewający przestrzeń maleńkimi kropelkami światła, które przypominały mi wyraźnie widok słońca błyskającego na morzu w ciepły, letni dzień. Robiło się od tego trochę niedobrze – nie z powodu uwypuklenia niesprawiedliwości społecznej, choć jak się nad tym głębiej zastanowić, to też odgrywało swoją rolę, ale ze względu na to, iż przez ten żyrandol całość robiła się jeszcze bardziej dezorientująca. Kryształy działały jak pryzmaty na każdy promyk światła, oszałamiając człowieka i wytrącając go z równowagi, przez co miał wrażenie, jakby zaglądał do dziecięcego kalejdoskopu. Ten efekt w połączeniu z brakiem snu nie był zbyt przyjemny.

Stewardesa musiała widzieć, że mnie zatkało, bo uśmiechnęła się z dumą.

– Wielkie Schody są niczego sobie – przyznała. – Ten jeden żyrandol składa się z ponad dwóch tysięcy kryształów Swarovskiego.

– Rany – odparłam słabo.

Pulsowało mi w głowie i próbowałam sobie przypomnieć, czy spakowałam ibuprofen. Trudno było mi powstrzymać intensywne mruganie.

– Jesteśmy *bardzo* dumni z Aurory – ciągnęła ciepło stewardesa. – Ja nazywam się Camilla Lidman i jestem liderką gościnności na tym statku. Moje biuro znajduje się na dolnym pokładzie i jeśli jest coś, *cokolwiek*, co mogłabym zrobić, aby uczynić pani pobyt u nas przyjemniejszym, *proszę* nie wahać się o to prosić. Mój kolega Josef – wskazała na uśmiechniętego blondyna po swojej prawej stronie – zaprowadzi panią do kajuty oraz oprowadzi po obiekcie. Kolację podamy o dwudziestej, ale zapraszamy, by zechciała pani do nas dołączyć o dziewiętnastej w salonie Lindgren na prezentację udogodnień statku oraz atrakcji, których może się pani spodziewać podczas tego rejsu. Ach! Pan Lederer.

Wysoki, ciemny mężczyzna po czterdziestce szedł za nami po trapie, a za nim portier z trudem taszczący ogromną walizkę.

– Ostrożnie, proszę – powiedział Lederer, wyraźnie się krzywiąc, kiedy portier przeciągnął walizkę po podeście trapu. – W tym bagażu jest bardzo delikatny sprzęt.

– Panie Lederer – zagaiła Camilla Lidman z tym samym, niemal szaleńczym entuzjazmem, który włożyła wcześniej w moje powitanie.

Musiałam to przyznać, byłam pod wrażeniem jej zdolności aktorskich, choć w przypadku pana Lederera wymagało to pewnie mniejszego wysiłku, ponieważ był dość przystojny.

– Witam pana na pokładzie Aurory. Czy poczęstuje się pan kieliszkiem szampana? A gdzie jest pani Lederer?

– Pani Lederer się nie pojawi. – Mężczyzna przesunął dłonią po włosach i zerknął na żyrandol od Swarovskiego, lekko speszony.

– Och, bardzo mi przykro. – Idealne czoło Camilli Lidman zmarszczyło się w zmartwieniu. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

– Cóż, zdrowotnie nic jej nie dolega – odparł Lederer. – Po prostu pieprzy się z moim przyjacielem. – Uśmiechnął się, a potem sięgnął po szampana.

Camilla zamrugała, po czym gładko zmieniła temat.

– Josef, zabierz, proszę, panią Blacklock do jej kajuty.

Josef skłonił się lekko i wyciągnął rękę w stronę schodów prowadzących na dół.

– Zapraszam tędy – odezwał się.

W osłupieniu pokiwałam głową i dałam się odprowadzić, wciąż ściskając swój kieliszek szampana. Za sobą słyszałam, jak Camilla mówi panu Ledererowi o swoim biurze na dolnym pokładzie.

– Przygotowaliśmy dla pani kajutę numer dziewięć, to apartament Linneusza – powiedział mi Josef, kiedy zesłam za nim w beżowy półmrok korytarza wyłożonego grubym dywanem i pozbawionego okien. – Wszystkie kajuty zostały nazwane na cześć słynnych skandynawskich naukowców.

– Kto dostał Nobla? – zakpiłam nerwowo.

Korytarz wywoływał we mnie dziwne, dławiące uczucie, kark przygniatał ciężar klaustrofobii. Nie chodziło tylko o wymiary, ale usypiająco słabe lampy oraz brak naturalnego światła.

Josef odpowiedział mi poważnie:

– Podczas tej wyprawy apartament Nobla będą zajmować lord i dama Bullmerowie. Lord Bullmer jest dyrektorem firmy Northern Lights, do której

należy ta jednostka. Kajut jest w sumie dziesięć – wyjaśnił mi, kiedy zesliśmy kolejnym piętrem schodów. – Cztery na przodzie i sześć z tyłu, wszystkie na środkowym pokładzie. Każda kajuta to apartament składający się nawet z trzech pomieszczeń, z prywatną łazienką, w której stoi duża wanna, oraz osobnym prysznicem, a także z pełnowymiarowym dwuosobowym łóżkiem i prywatną werandą. W apartamencie Nobla jest również jacuzzi.

Weranda? Koncepcja werandy na statku wycieczkowym wydała mi się jakoś zupełnie nie na miejscu, ale gdy zastanowiłam się nad tym dłużej, uznałam, że nie jest to dziwniejsze niż każda inna przestrzeń na otwartym pokładzie. Jacuzzi? Cóż, lepiej o tym za dużo nie myśleć.

– Każda kajuta ma przypisanego stewarda, który będzie do dyspozycji w dzień i w nocy. Pani stewardami będziemy ja oraz moja koleżanka Karla, którą pozna pani wieczorem. Z przyjemnością pomożemy pani w każdy możliwy sposób podczas pani pobytu na Aurorze.

– Czyli to jest środkowy pokład? – spytałam.

– Tak, na tym pokładzie mieszczą się wyłącznie apartamenty pasażerów. Na górze znajdzie pani jadalnię, spa, salon, bibliotekę, taras słoneczny oraz pozostałe przestrzenie wspólne. Wszystkie zostały nazwane na cześć skandynawskich pisarzy: salon Lindgren, jadalnia Jansson i tak dalej.

– Jansson?

– Tove – odpowiedział.

– Och, oczywiście. Muminki – dopowiedziałam głupio. Boże, jak mnie bolała głowa.

Doszliśmy do żłobionych, drewnianych drzwi z dyskretną tabliczką „9: LINNEUSZ”. Josef je otworzył i odsunął się, żeby mnie wpuścić do środka.

To miejsce było, nie przesadzam, siedem albo osiem razy ładniejsze od mojego mieszkania i niewiele od niego mniejsze. Szafy z lustrami rozciągały się po mojej prawej, a pośrodku, odgródzone z jednej strony kanapą, a z drugiej komodą, stało wielkie, dwuosobowe łóżko, zasłane pością białą, gładką i świeżą, zapraszającą pościeli.

Ale największe wrażenie zrobiła na mnie nie przestrzeń – która była imponująca – lecz światło. Kiedy wchodziło się z wąskiego, sztucznie oświetlonego korytarza, to światło wpadające przez drzwi werandy naprzeciwko po prostu oślepiało. Czyste, białe zasłony powiewały na wietrze i zobaczyłam, że rozsuwane drzwi są otwarte. Od razu poczułam ulgę, jakby zelżał jakiś ucisk w mojej klatce piersiowej.

– Drzwi można zamknąć na zasuwkę – wyjaśnił zza mnie Josef. – Ale zamknięcie zwolni się automatycznie w przypadku niesprzyjających warunków pogodowych.

– Och, świetnie – odparłam wymijająco.

Byłam w stanie myśleć tylko o tym, jak bardzo chciałam, żeby Josef sobie *poszedł*, żebym mogła opaść na łóżko i osunąć się w zapomnienie.

Stałam jednak niezgrabnie, powstrzymując ziewanie, podczas gdy Josef opowiadał mi, jak działają łazienka (tak, korzystałam już kiedyś z łazienki, bardzo dziękuję), lodówka i minibarek (wszystko gratis, nieszczęśliwie dla mojej wątroby), oraz wytłumaczył, że lód będzie wymieniany dwa razy dziennie, a ja mogę w *każdej* chwili zadzwonić po niego lub Karlę.

W końcu moich coraz dłuższych ziewnięć nie dało się już ignorować, więc skłonił się znów lekko i pożegnał, zostawiając mnie, bym rozgościła się w kajucie.

Nie ma sensu udawać, że nie byłam pod wrażeniem. Byłam. Przemawiało do mnie łóżko, które niemal głośno zapraszało, żebym rzuciła się na nie i przespała od trzydziestu do czterdziestu godzin. Spojrzałam na nieskazitelnie białą kołdrę oraz złote i białe dekoracyjne poduszki, a tęsknota zalała mnie niczym jakaś realna substancja krążąca w żyłach, powodując łaskotanie od karku aż po same koniuszki palców u rąk i nóg. *Potrzebowałam* snu. Zaczynałam go pragnąć jak narkomanka odliczająca godziny do kolejnej dawki. Te trzydzieści minut w niewygodnej taksówce tylko to pogorszyło.

Ale nie mogłam zasnąć od razu. Gdybym to zrobiła, mogłabym się nie obudzić, a nie powinnam przegapić tego wieczoru. Może wypadaloby pominąć jakieś późniejsze wydarzenia, ale koniecznie *musiałam* iść na tę

kolację oraz prezentację. To był pierwszy wieczór na pokładzie – wszyscy powinni się poznawać i nawiązywać kontakty jak szaleni. Gdybym to przegapiła, skreślono by mnie i nie zdołałabym już tego nadrobić.

A więc, tłumiąc ziewnięcie, wyszłam na balkon z nadzieją, że świeże powietrze pomoże mi się otrząsnąć z ogarniającej mnie mgły wyczerpania, która zdawała się narastać za każdym razem, kiedy przestawałam się ruszać albo mówić.

Weranda była cudowna, jak przystało na prywatny balkon na luksusowym statku wycieczkowym. Barierkę wykonano ze szkła, więc siedząc w środku apartamentu, człowiek mógł się czuć, jakby pomiędzy nim a oceanem niczego nie było; stały tam dwa leżaki i mały stoliczek, żeby można było przesiadywać wieczorami na zewnątrz i cieszyć się białymi nocami albo zorzą polarną, w zależności od tego, który rejs się wykupiło.

Spędziłam długi, bardzo długi czas, obserwując małe statki wpływające do portu w Hull i z niego wypływające oraz czując we włosach słony wiatr, a potem nagle na statku coś się zmieniło. Przez minutę nie mogłam dociec, co to takiego – a potem do mnie dotarło. Silnik, który przez ostatnie pół godziny albo dłużej dyskretnie mruczał, zaczął pracować odrobinę głośniejsze i na łodzi coś się przesunęło. Ze zgrzytem i rykiem zaczęliśmy się obracać, tyłem do nabrzeża, by zwrócić się dziobem w kierunku morza.

Kiedy tak stałam i obserwowałam, statek wypłynął z portu pomiędzy zielonym a czerwonym światłem wyznaczającymi kanał. Poczułam zmianę w ruchu jednostki, kiedy opuściliśmy schronienie portu i wydostaliśmy się na Morze Północne, a gładkie, pluskające fale ustąpiły wielkiemu, burzliwemu falowaniu głębi oceanu.

Brzeg powoli się oddalał, zabudowania Hull malały na horyzoncie, aż stały się zaledwie ciemną linią, która mogła być czymkolwiek. Gdy patrzyłam, jak znikala, myślałam o Judah oraz o wszystkim, co pozostawiłam niedokończone. Komórka ciążyła mi w kieszeni i wyciągnęłam ją z nadzieją, że dostanę coś od niego, zanim wypłyniemy poza zasięg brytyjskich nadajników. „Do widzenia. Powodzenia. *Bon voyage*”.

Ale niczego takiego nie było. Zasięg spadł o jedną kreskę, a potem kolejną, aż w końcu telefon w mojej dłoni zamilkł. Gdy wybrzeże Anglii zniknęło mi z oczu, jedyny dźwięk wydawały rozbijające się fale.



Od: Judah Lewis  
Do: Laura Blacklock  
Data: Wtorek, 22 września  
Temat: Wszystko w porządku?

Cześć, kochanie, nie odzywasz się do mnie od Twojego ostatniego mejla w niedzielę. Nie jestem pewien, czy moje wiadomości do Ciebie docierają. Dostałaś moją odpowiedź albo wczorajszego esemesa?

Zaczynam się trochę martwić i mam nadzieję, że nie myślisz sobie, że gdzieś uciekłem jak dupek i liżę rany. Nie. Kocham Cię, tęsknię za Tobą i myślę o Tobie.

Nie przejmuj się tym, co się stało w domu – a z zębem wszystko w porządku. Chyba się ukorzeni, tak jak powiedział lekarz. Zresztą i tak lecę się wódką.

Daj mi znać, jak tam rejs – albo jeśli jesteś zajęta, puść mi tylko sygnał, żebyśmy wiedzieli, że nic Ci nie jest.

Kocham cię, J

Od: Rowan Lonsdale  
Do: Laura Blacklock  
DW: Jennifer West  
Data: Środa, 23 września  
Temat: Wieści?

Lo, czy możesz, proszę, odpowiedzieć na mojego mejla sprzed dwóch dni, w którym prosiłam Cię o wieści z rejsu? Jenn mi powiedziała, że niczego nie dostarczyłaś, a chcielibyśmy otrzymać jakieś materiały do jutra – przynajmniej na jakąś ramkę.

Proszę, jak najszybciej odezwij się do Jen w tej sprawie i daj mnie do wiadomości.

Rowan





# CZEŚĆ DRUGA





## 6

Nawet prysznice dla bogatych ludzi były lepsze.

Dysze tryskały i masowały z każdego kąta z paraliżującą wręcz zajadłością, więc po chwili trudno było określić, gdzie zaczynało się moje ciało, a gdzie kończyła woda.

Umyłam włosy, potem ogoliłam nogi, a na końcu po prostu stałam pod strumieniem wody, patrząc na morze, niebo oraz krążące mewy. Zostawiłam otwarte drzwi łazienki, żebym widziała łóżko, werandę i ciągnące się za nią morze. I to wrażenie było... Cóż, nie będę kłamać, było to dość miłe. Za te osiem tysięcy, czy ile oni tam liczą za osobę, coś się w końcu człowiekowi należy.

Ta kwota była trochę nieprzyzwoita w porównaniu z moją pensją – czy nawet pensją Rowan. Latami pożerałam wzrokiem sprawozdania, które wysyłała z jakichś willi na Bahamach czy jachtów na Malediwach, czekając na dzień, w którym również będę miała dość długi staż, by skorzystać z tego typu przyjemności. Teraz jednak, kiedy rzeczywiście ich zaznawałam, zastanawiałam się, jak ona to znosiła, te regularne zderzenia z życiem, na jakie zwyczajnych ludzi nigdy nie będzie stać.

Próbowałam właśnie bezskutecznie policzyć, ile miesięcy musiałabym pracować, żeby zapłacić za tydzień podróży na Aurorze, kiedy coś usłyszałam – jakiś niewyraźny, lekki hałas wśród szumu wody, którego nie umiałam zidentyfikować, jednak na pewno brzmiał on tak, jakby dochodził z mojego pokoju. Serce trochę mi przyspieszyło, ale starałam się zachować spokojny, miarowy oddech, po czym otworzyłam oczy, żeby zakręcić prysznic.

Zobaczyłam jednak, że drzwi łazienki zamykają się przede mną, jakby ktoś je gwałtownie pchnął zdecydowanym ruchem.

Zatrzasnęły się z głośnym stuknięciem ciężkiego drewna najlepszej jakości, a ja zostałam w gorących, mokrych ciemnościach, z wodą lejącą mi się na czubek głowy i sercem walącym tak mocno, że mógłby je odnotować okrętowy sonar.

Nie słyszałam niczego poza szumem własnej krwi w uszach oraz hałasem prysznica. I nie widziałam niczego prócz czerwonego blasku cyfrowego panelu prysznica. Kurwa. Kurwa. Dlaczego nie zamknęłam drzwi do kabiny na dwa zamki?

Poczułam, jak ściany łazienki zacieśniają się wokół mnie, wydawało mi się, że ta ciemność zaraz mnie pochłonie.

*Przestań panikować* – powiedziałam sobie. Nikt mnie nie skrzywdził. Nikt się nie włamał. Możliwe, że to pokojówka weszła pościelić łóżko albo drzwi zatrzasnęły się same. *Przestań. Panikować.*

Zmusiłam się, by wymacać przyciski. Woda zrobiła się lodowata, a potem boleśnie gorąca. Krzyknęłam i odskoczyłam do tyłu, uderzając kostką o ścianę, ale w końcu znalazłam właściwy guzik, strumień się urwał, a ja zaczęłam szukać po omacku włącznika światła.

Zapaliło się, zalewając małe pomieszczenie niewybaczalną jasnością, i popatrzyłam na siebie w lustrze – białą jak ściana, z mokrymi włosami przyklejonymi do czaszki, tak jak u tej dziewczynki z *Kręgu*.

Cholera.

I tak już miało być? Czy miałam się zamienić w osobę, która dostaje ataku paniki, jeśli ma przejść pieszo z metra do domu albo zostać w mieszkaniu na noc bez chłopaka?

Nie, pierdolę to. *Nie będę* taką dziewczyną.

Na drzwiach wisiał szlafrok, owinęłam się nim niedbale, a potem wzięłam głęboki, drżący wdech.

*Nie będę* taką dziewczyną.

Otworzyłam drzwi łazienki, serce waliło mi tak mocno i szybko, że widziałam przed sobą gwiazdki.

*Nie panikuj* – pomyślałam wściekle.

Pokój był pusty. Całkowicie pusty. Natomiast drzwi *były* zamknięte na dwa zamki, a nawet na łańcuch. Żadnych szans, żeby ktokolwiek wszedł do środka. Może po prostu usłyszałam kogoś na korytarzu. Tak czy inaczej, ewidentnie to ruch statku spowodował, że drzwi się zatrzasnęły pod wpływem własnego ciężaru.

Jeszcze raz sprawdziłam łańcuch, poczułam jego znaczny ciężar w dłoni – był krzepiąco solidny. Potem na miękkich nogach podeszłam do łóżka i położyłam się, a serce nadal mi waliło po opóźnionym wyrzucie adrenaliny. Czekałam, aż puls mi się uspokoi do poziomu bliskiego normalnego stanu.

Wyobraziłam sobie, jak kryję twarz w ramieniu Judah, i przez sekundę czułam się tak, że prawie wybuchłam płaczem, ale zacisnęłam zęby i przełknęłam łzy. Judah nie był odpowiedzią na to wszystko. Problem stanowiliśmy ja i moje tchórzowskie ataki paniki.

„Nic się nie stało. Nic się nie stało”. Powtarzałam to w rytmie swoich szybkich oddechów, aż w końcu poczułam, że zaczynam się uspokajać.

„Nic się nie stało. Ani teraz, ani wtedy. Nikt cię nie skrzywdził”.

Okej.

Boże, musiałam się napić.

W barku były tonik, lód oraz sześć małych buteleczek ginu, whisky, a także wódki. Wrzuciłam lód do szklanki, zalałam go dwiema buteleczkami ginu, wciąż lekko drżącą ręką. Na koniec dodałam trochę toniku i szybko to wypić.

Gin był tak mocny, że się zakrztusiłam, ale ciepło alkoholu błyskawicznie rozeszło się po wszystkich komórkach ciała oraz naczyniach krwionośnych – natychmiast poczułam się lepiej.

Kiedy szklanka była pusta, wstałam, z lekkością w głowie i kończynach, a potem wyciągnęłam komórkę z torby. Nie było zasięgu, więc ewidentnie znajdowaliśmy się już z dala od nadajników, ale mieliśmy Wi-Fi.

Kliknęłam w ikonkę poczty i patrzyłam, ogryzając paznokcie, jak mejle jeden po drugim wskakują mi do skrzynki. Nie było aż tak źle, jak się

obawiałam – w końcu to niedziela – ale kiedy przejrzałam całą listę, zdałam sobie sprawę, że ciało mam napięte jak struna. Jednocześnie zrozumiałam, czego tam szukałam i dlaczego. Żadnej wiadomości od Judah. Ramiona mi opadły.

Odpisałam na kilka pilnych wiadomości, resztę oznaczyłam jako nieprzeczytane, a potem kliknęłam „napisz”.

„Drogi Judah” – zaczęłam, ale kolejne słowa do mnie nie przychodziły. Zastanawiałam się, co on teraz robił. Pakował się? Leciał w ścisku jakimiś tanimi liniami? A może leżał w anonimowym pokoju hotelowym, tweetując, pisząc esemesy i myśląc o mnie...

Odtworzyłam w pamięci ten moment, kiedy uderzyłam go w twarz ciężką, metalową lampą. Co ja sobie wtedy *myślałam*?

Nie myślałaś – powiedziałam sobie. Byłaś na wpół śpiąca. To nie twoja wina. To był wypadek.

„Według Freuda nic nie dzieje się przypadkiem” – powiedział mój wewnętrzny głos. „Może to twoja wina...”

Pokręciłam głową, nie chciałam tego słuchać.

Drogi Judah, kocham cię.

Tęsknię za tobą.

Przepraszam.

Skasowałam tego mejla i zaczęłam pisać nowego.

Do: Pamela Crew

Od: Laura Blacklock

Data: Niedziela, 20 września

Temat: Cała i zdrowa

Cześć, Mamo,

dotarłam bezpiecznie na pokład statku, naprawdę eleganckiego. Byłabyś zachwycona! Przypominam Ci tylko, żebyś zabrała dziś wieczorem Delilah. Zostawiłam na stole jej koszyk, a jedzenie jest pod zlewem. Musiałam zmienić zamki – pani Johnson z góry ma nowy klucz.

Kocham Cię mocno i DZIĘKUJĘ!

Lo

Wcisnęłam „wyślij”, a potem otworzyłam Facebooka i napisałam do przyjaciółki, Lissie.

Jest tu szalenie ładnie. Mam NIEOGRANICZONY dostęp do drinków z minibaru w mojej kajucie – sorry, raczej w kurewsko ogromnym APARTAMENCIE – co nie wróży zbyt dobrze mojej pracy ani wątrobie. Do zobaczenia po drugiej stronie, jak dotrwam. Lo.

Nalałam sobie kolejny gin i wróciłam do mejla do Judah. Musiałam coś napisać. Nie mogłam zostawić sprawy na takim etapie jak wtedy, kiedy wyszłam. Myślałam przez chwilę, a potem napisałam: „Drogi J. Przepraszam, że przed wyjazdem byłam taką suką. To, co powiedziałam, było strasznie nie w porządku. Bardzo Cię kocham”. Musiałam przerwać, bo łzy przysłaśniały mi ekran. Urwałam i zrobiłam kilka drżących wdechów. Potem potarłam wściekle oczy i dokończyłam: „Napisz, jak już dojedziesz. Bezpiecznej podróży. Lo”.

Odświeżyłam skrzynkę odbiorczą, tym razem z mniejszą nadzieją, ale nic nowego się nie pobrało. Westchnęłam i osuszyłam mój drugi gin. Zegar przy łóżku wskazywał osiemnastą trzydzieści, co oznaczało, że należy wdziać pierwszą balową suknię.

Rowan poinformowała mnie, że na kolacjach na statku obowiązuje „formalny” (w tłumaczeniu: szalony) strój, a potem poradziła, żebym wypożyczyła przynajmniej siedem wieczorowych sukni, by nie wkładać żadnej dwa razy. Ale ponieważ nie zaproponowała, że się dorzuci, wypożyczyłam trzy, a to było i tak o trzy więcej, niż wzięłabym, gdybym przygotowywała się sama.

Najbardziej spodobała mi się taka najbardziej przesadna – długa, srebrnobiała, obcisła sukienka do kolan z kryształkami, w której, jak bez cienia ironii stwierdziła ekspedientka, wyglądałam niczym Liv Tyler we *Władcy Pierścieni*. Nie jestem pewna, czy zachowałam wtedy poważną minę, ponieważ rzucała mi podejrzliwe spojrzenia, kiedy mierzyłam kolejne stroje.



Nie czułam się jednak dość odważna, żeby zaczynać od kryształków, zwłaszcza że ludzie mogli się równie dobrze ubrać w dzinsy, więc wybrałam tę najskromniejszą – długą, wąską sukienkę na ramiączkach z ciemnoszarej satyny. Była delikatnie ozdobiona na prawym ramieniu cekinowym wzorem w liście, ale widocznie nie dało się tego uniknąć. Najwyraźniej większość sukni balowych była projektowana przez pięcioletnie dziewczynki uzbrojone w pistolety z brokatem – ta przynajmniej nie wyglądała całkiem jak po wybuchu w fabryce Barbie.

Wcisnęłam się w nią i zapiełam zamek z boku, a potem wytrząsnęłam z kosmetyczki pełen arsenał akcesoriów do makijażu. Zamierzałam użyć czegoś więcej, niż tylko musnąć usta błyszczkiem, żeby dziś wieczorem choć w połowie przypominać człowieka. Wcierałam właśnie korektor w rozcięcie na kości policzkowej, kiedy zauważyłam, że w tym wszystkim brakuje mojego tuszu do rzęs.

Zaczęłam szperać w torebce z próżną nadzieją, że może tam trafił, i próbowałam sobie przypomnieć, gdzie go ostatni raz widziałam. Był wcześniej w torebce, wepchnięty tam razem ze wszystkimi innymi rzeczami. Nie zawsze używam maskary, ale bez ciemnych rzęs moje przydymione oko wygląda dziwnie i nieproporcjonalnie – jakbym się w połowie poddała. Przez myśl przebiegł mi absurdalny pomysł, żeby zaimprovizować coś z eyelinerem w płynie, ale zdecydowałam się jednak na ostatnie, bezowocne poszukiwania w torebce – wysypałam wszystko na łóżko, na wypadek gdybym źle zapamiętała albo może miała jakąś zapasową maskarę, która utknęła w podszewce. W duchu wiedziałam jednak, że jej tam nie ma, i właśnie odkładałam wszystko z powrotem do torby, kiedy usłyszałam jakiś hałas z kajuty za ścianą – szum spłuczki ciśnieniowej, rozpoznawalny nawet przy cichym warkocie silnika.

Wzięłam do ręki klucz i wyszłam bosą na korytarz.

Na jesionowych drzwiach po mojej prawej wisiała mała tabliczka z napisem „10: Palmgren”, co skłoniło mnie do refleksji, że zapas wybitnych skandynawskich naukowców trochę się wyczerpał, kiedy kończyli urządzenie tego statku. Zapukałam z wahaniem.

Nikt nie odpowiedział. Zaczekałam. Może mieszkaniec był pod prysznicem.

Zapukałam jeszcze raz, trzema krótkimi uderzeniami, a potem zmieniłam zdanie i zastukałam głośno, na wypadek gdyby ta osoba nie dosłyszała.

Drzwi się nagle otworzyły, jakby mieszkaniec stał tuż za nimi po drugiej stronie.

– Co? – spytała dziewczyna, niemal jeszcze przed otwarciem drzwi. – Wszystko w porządku? – A potem jej mina się zmieniła. – Kurde. Kim pani jest?

– Jestem pani sąsiadką – odparłam.

Ona była młoda i ładna, miała długie, ciemne włosy i złachaną koszulkę Pink Floyd z dziurami, co jakoś sprawiło, że całkiem ją polubiłam.

– Nazywam się Laura Blacklock. Możemy przejść na ty? Mów mi Lo. Przepraszam, wiem, że to zabrzmie bardzo dziwnie, ale tak sobie myślałam, czy mogłabyś mi pożyczyć jakiś tusz do rzęs?

Na toaletce za nią widziałam porozrzucone tubki i kremy, poza tym była dość mocno umalowana, więc podejrzewałam, że stąkam po bezpiecznym gruncie.

– Och. – Wyglądała na speszoną. – Jasne. Chwileczkę.

Zniknęła, zamykając za sobą drzwi, a potem wróciła z tuszem Maybelline i wcisnęła mi go do ręki.

– Zatrzymaj go – powiedziała.

Odruchowo zaprotestowałam, ale ona machnęła ręką na moje słowa.

– Serio, nie chcę go z powrotem.

– Umyję szczoteczkę – zaproponowałam, ale ona niecierpliwie pokręciła głową.

– Powiedziałam. Nie chcę, żebyś mi go oddawała.

– Okej – odparłam zdumiona. – Dzięki.

– Nie ma za co. – Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wróciłam do swojej kajuty, myśląc o tym dziwacznym spotkaniu. Sama czułam się nieswojo na tej wycieczce, ale ona wydawała się jeszcze

bardziej nie u siebie. Może to czyjaś córka? Zastanawiałam się, czy spotkam ją na kolacji.

Skończyłam właśnie używać pożyczonej maskary, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Może jednak zmieniła zdanie.

– Cześć – powiedziałam, otwierając i przytrzymując drzwi.

Ale na zewnątrz stała inna dziewczyna, w stroju stewardesy, miała dość brutalnie wyskubane brwi, co nadawało jej twarzy wyraz wiecznego zdziwienia.

– Dobry wieczór – odparła ze śpiewnym, skandynawskim akcentem. – Mam na imię Karla i jestem stewardesą pani apartamentu, wraz z Josefem. Chciałam tylko uprzejmie przypomnieć pani o prezentacji w...

– Pamiętam – przerwałam jej bardziej szorstko, niż zamierzałam. – Dziewiętnasta w sali Pippi Pończoszanki czy jak to się tam nazywa.

– Ach, widzę, że zna pani literaturę skandynawską!

– Naukowcy mniej mnie kręcą – przyznałam. – Zaraz przyjdę.

– Wspaniale. Lord Bullmer nie może się doczekać, by powitać wszystkich państwa na pokładzie.

Kiedy poszła, przeszukałam walizkę w poszukiwaniu narzutki, która była w zestawie z sukienką – takiego szarego, jedwabnego szala, w którym czułam się jak jedna z sióstr Brontë. Zarzuciłam go sobie na ramiona.

Zamknęłam za sobą drzwi, wsunęłam kartę do pokoju za stanik, po czym poszłam korytarzem i w górę do salonu Lindgren.



## 7

Biel. *Biel*. Wszystko było białe. Jasna drewniana podłoga. Aksamitne kanapy. Długie zasłony z surowego jedwabiu. Nieskazitelne ściany. Było to spektakularnie niepraktyczne jak na taki statek – przypuszczałam, że celowo.

Z sufitu zwieszał się kolejny żyrandol od Swarovskiego, a ja mimowolnie zatrzymałam się w drzwiach, mocno oszołomiona. Nie chodziło tylko o światło, o to, jak odbijało się i załamywało w kryształkach pod sufitem, ale też o proporcje. Ten pokój zdawał się idealną repliką bawialni z pięciogwiazdkowego hotelu albo salonu z luksusowego statku Queen Elizabeth II, tylko że był *mały*. W środku nie mogło być więcej niż dwanaścioro lub piętnaścioro ludzi, a jednak wypełniali całą jego przestrzeń. Nawet ten żyrandol został proporcjonalnie zmniejszony. To jakby zaglądać przez drzwi do domku dla lalek, w którym wszystko zminiaturyzowano, choć trochę nieadekwatnie – stylizowane poduszki były odrobinę za duże i zbyt sztywne w stosunku do maleńkich krzeseł, a kieliszki do wina miały ten sam rozmiar co podrabiana butelka szampana.

Rozglądałam się po sali, szukając dziewczyny w koszulce Pink Floyd, kiedy z korytarza za mną dobiegł niski, rozbawiony głos.

– Nieźle daje po oczach.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że za mną stoi tajemniczy pan Lederer.

– Odrobinę – odparłam.

Podał mi rękę.

– Cole Lederer.

To nazwisko wydawało mi się trochę znajome, ale nie potrafiłam powiedzieć, skąd je kojarzę.

– Laura Blacklock.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wpuściłam go do środka. Nawet w dżinsach i koszulce, kiedy przeciskał się po trapie, wyglądał tak, że Lissie nazwałaby go ciachem. Teraz miał na sobie smoking, co przypomniało mi o popartej doświadczeniem zasadzie Lissie: smoking podnosi atrakcyjność mężczyzny o trzydzieści trzy procent.

– No – powiedział, sięgając po kieliszek z tacy podanej przez kolejną uśmiechniętą skandynawską stewardesę. – Co panią sprowadza na Aurorę, pani Blacklock?

– Och, proszę mi mówić Lo. Jestem dziennikarką. Pracuję dla „Velocity”.

– Bardzo mi miło, Lo. Napijesz się?

Wziął drugi wysoki kieliszek i podał mi go z uśmiechem. Przypomniały mi się puste buteleczki w kabinie i wahałam się przez chwilę, wiedząc, że jestem krok od tego, by wypić za dużo zbyt wcześnie, ale nie chciałam się wydać nieuprzejma. Mój brzuch był bardzo, bardzo pusty, a gin jeszcze nie całkiem przestał działać, ale przecież jeden kieliszek nie zaszkodzi?

– Dziękuję – odparłam w końcu.

Wręczył mi go, a jego palce musnęły moje w taki sposób, że nie byłam pewna, czy to przypadek. Wzięłam łyk, próbując stłumić zdenerwowanie.

– A ty? Co ty tutaj robisz?

– Jestem fotografem – odpowiedział.

Nagle zdałam sobie sprawę, gdzie wcześniej słyszałam jego nazwisko.

– Cole Lederer! – wykrzyknęłam. Prawie uderzyłam się ręką w czoło. Rowan uczepiłaby się go już od wejścia. – Oczywiście, to ty zrobiłeś te wspaniałe zdjęcia topniejących lodowców dla „Guardiana”.

– Tak jest. – Uśmiechnął się, bezwstydnie zadowolony, że został rozpoznany, choć można by pomyśleć, iż już mu się takie rzeczy znudziły. Gość był tylko parę kroków za Davidem Baileyem. – Zaproponowano mi pracę podczas tej wycieczki. Wiesz, nastrojowe zdjęcia fiordów i takie tam.

– To chyba nie jest typowe dla ciebie zlecenie? – spytałam powątpiewająco.

– Nie – przyznał. – Ostatnio zajmuję się zagrożonymi gatunkami oraz środowiskiem, a nie sędzę, żeby ci tutaj byli w jakimkolwiek stopniu zagrożeni wyginięciem. Wszyscy wyglądają na wyjątkowo dobrze odżywionych.

Rozejrzeliśmy się wspólnie po sali. Musiałam się z nim zgodzić co do mężczyzn. Na drugim końcu stała mała grupka takich, którzy wyglądali, jakby mogli przeżyć kilka tygodni na swoich zapasach tłuszczu, gdybyśmy się rozbili. Jednak kobiety to co innego. Wszystkie miały szczupłe, nienaganne sylwetki, będące reklamą modnej jogi Bikram oraz diety makrobiotycznej, i nie wyglądały, jakby miały przetrwać długo po zatonięciu statku. Może gdyby zjadły któregoś z mężczyzn.

Rozpoznałam kilka twarzy z innych prasowych imprezek – była wśród nich Tina West, szczupła jak chart i obwieszona biżuterią ważącą więcej od niej, czyli redaktorka „Vernean Times” (motto: „Osiemdziesiąt dni to dopiero początek”); dziennikarz podróżniczy Alexander Belhomme, piszący teksty i artykuły kulinarne dla różnych pokładowych magazynów lotniczych oraz promowych, elegancki i pulchny jak mors; a także Archer Fenlan, dobrze znany ekspert w temacie „podróży ekstremalnych”.

Archer miał może ze czterdzieści lat, ale wyglądał starzej z powodu wiecznie opalanej, zniszczonej twarzy. Przesępował z nogi na nogę i ewidentnie było mu niewygodnie pod krawatem i w smokingu. Nie potrafiłam zrozumieć, jak się tu w ogóle znalazł – zwykle spędzał czas, jedząc białe robaki w Amazonii – ale może właśnie zrobił sobie małe wolne.

Nigdzie nie zauważyłam tej dziewczyny z kajuty obok mnie.

– Bu! – rozległ się jakiś głos za mną.

Obróciłam się gwałtownie.

Ben Howard. Co on, do licha, tu robił? Szcherzył się do mnie znad gęstej, hipsterskiej brody, którą musiał zapuścić, odkąd ostatni raz się widzieliśmy.

– Ben – odezwałam się słabo, próbując ukryć zaskoczenie. – Jak się masz? Znasz już może Cole’a Lederera?

Pracowałam kiedyś z Benem w „Velocity”. Teraz pisał dla... Co to było? „Indie”? „Times”?

– Znamy się z Cole’em – odparł lekko Ben. – Robiliśmy razem ten materiał na temat Greenpeace. Cześć, stary.

– Cześć – odparł Cole.

Wykonali połowiczny uścisk typowy dla mężczyzn, którzy są zbyt metroseksualni na podanie sobie dłoni i nie dość hipsterscy, żeby przybić żółwika.

– Dobrze wyglądasz, Blacklock – zauważył Ben, odwracając się do mnie i obrzucając mnie wzrokiem w taki sposób, że miałam ochotę przyłożyć mu kolanem w krocze. Niestety ta opięta sukienka była za ciasna na takie rzeczy. – Chociaż... czy ty znowu... yyy, walczysz wręcz?

Przez chwilę nie rozumiałam, o co mu chodziło. Potem do mnie dotarło: o ten siniak na policzku. Widocznie nie posługiwałam się korektorem tak wprawnie, jak sądziłam.

Przed oczami przebiegło mi wspomnienie tego, jak drzwi trzasnęły mnie w policzek, oraz mężczyzny w moim mieszkaniu – mniej więcej wzrostu Bena, z takimi samymi błyszczącymi, ciemnymi oczami. Było tak wyraźne, że serce mi od razu przyspieszyło i poczułam ucisk w klatce piersiowej. Przez dłuższy czas nie wiedziałam, jak mu odpowiedzieć. Tylko na niego patrzyłam, nie próbując w ogóle ocieplić mojego lodowatego spojrzenia.

– Przepraszam, przepraszam. – Uniósł dłoń. – Nie moja sprawa, wiem. Chryste, ten kołnierzyk jest przeraźliwie ciasny. – Pociągnął za muszkę. – To jak trafiłaś na tę imprezkę? Wyrwałaś się w końcu w świat?

– Rowan jest chora – odparłam krótko.

– Cole!

Jakiś głos przerwał niezręczną ciszę i wszyscy się odwróciliśmy. To była Tina, kroczyła lekko po nieskazitelnej, jasnej dębowej podłodze, a jej srebrna sukienka szeleściła niczym węzowa skóra. Złożyła dwa długie pocałunki na obu policzkach Lederera, a mnie i Bena zignorowała.

– Kochany, *zdecydowanie* zbyt długo się nie widzieliśmy. – Jej głos był ochrypy z przejęcia. – I *kiedy wreszcie* zrobisz tę sesję, którą obiecałeś



„Vernean”?

– Cześć, Tina – odparł Cole z lekkim tylko znużeniem w głosie.

– Pozwól, że przedstawię cię Richardowi i Larsowi – zamruczała, wsunęła mu swoje ramię pod rękę i powiodła go do grupki mężczyzn, których zauważyłam na samym początku.

On pozwolił się odprowadzić, rzucił nam tylko przez ramię nieco smutny uśmiech. Ben odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do mnie i uniósł jedną brew z takim idealnym, komicznym wyczuciem czasu, że parsknęłam.

– Chyba już wiemy, kto tu jest królową balu – rzucił cierpko, a ja musiałam przyznać mu rację i kiwnęłam głową. – No, to jak się masz? – dodał. – Dalej z tym Jankesem?

Co miałam mu powiedzieć? Że nie wiem? Że jest duża możliwość, iż go straciłam, bo tak bardzo spieprzyłam sprawę?

– Nadal mocno zajęta – stwierdziłam w końcu kwaśno.

– Szkoda. Ale wiesz, co się dzieje na fiordach, zostaje na fiordach.

– Och, odpieprz się, Howard – warknęłam.

Uniósł ręce.

– Nie możesz mieć człowiekowi za złe, że próbuje.

Owszem, mogę, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Po prostu sięgnęłam po kolejny kieliszek od mijającej nas kelnerki i rozejrzałam się za czymś, żeby zmienić temat.

– No to kim jest ta cała reszta? – spytałam. – Odhaczyliśmy już ciebie, mnie, Cole’a, Tinę i Archera. Och, i Alexandra Belhomme’a. A co z tamtą ekipą? – Wskazałam na małą grupkę, z którą rozmawiała Tina. Było tam trzech mężczyzn i dwie kobiety, jedna z nich mniej więcej w moim wieku, ale ubrana o jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów drożej, a druga... Cóż, druga była trochę zaskoczeniem.

– To jest lord Bullmer i jego ziomki. Wiesz, on jest właścicielem statku i tego... chyba można go nazwać reprezentantem firmy?

Popatrzyłam na tę grupkę, próbując wypatrzyć lorda Bullmera, którego widziałam na Wikipedii. Początkowo nie mogłam rozgryźć, który to, ale

potem jeden z mężczyzn roześmiał się na cały głos, odrzucając głowę do tyłu, i od razu wiedziałam, że to on. Był wysoki, zdrowo szczupły i ubrany w tak dobrze skrojony garnitur, że musiał być szyty na miarę. Do tego miał mocną opaleniznę, jakby dużo czasu spędzał na zewnątrz. Jego jasnoniebieskie oczy zwęziły się tak, że wyglądały jak szparki, kiedy się śmiał. Na obu skroniach widać było u niego pasemka siwizny, ale to była raczej taka szarość, jaka towarzyszyła zwykle bardzo czarnym włosom, nie podeszłemu wiekowi.

– Jest bardzo młody. To trochę dziwaczne, że ktoś w naszym wieku ma taki status, nie?

– On jest chyba też hrabią czegoś tam. Oczywiście pieniądze należą głównie do jego żony. Jest dziedziczką Lyngstad, jej rodzina produkowała samochody. Wiesz, o kogo mi chodzi?

Pokiwałam głową. Może i miałam mgliste pojęcie o biznesie, a ta rodzina słynęła z dbałości o prywatność, ale nawet ja słyszałam o Fundacji Lyngstad. Za każdym razem, kiedy pokazywano zdjęcia z jakiejś międzynarodowej katastrofy, ich logo widniało na ciężarówkach i paczkach z pomocą. Nagle przypomniało mi się zdjęcie, które przed rokiem obiegiło wszystkie gazety – może nawet wykonane przez Cole’a. Była na nim syryjska matka stojąca przed ciężarówką z oznakowaniem Lyngstad, z dzieckiem w ramionach, wyciągająca to dziecko w stronę kierowcy niczym talizman, żeby się zatrzymał.

– A to jest ona?

Skinęłam głowę w kierunku smukłej, bardzo jasnej blondynki stojącej plecami do mnie, która śmiała się z czegoś, co powiedział jeden z pozostałych mężczyzn. Była ubrana w druzgocąco prostą suknię z naturalnego jedwabiu, przy której sama czułam się, jakbym wygrzebała swoją z dziecięcego pudła z przebraniem. Ben pokręcił głową.

– Nie, to jest Chloe Jenssen. Była modelka i żona tego blondyna, Larsa Jenssena. To jest duże nazwisko w finansach, dyrektor wielkiej szwedzkiej grupy inwestycyjnej. Bullmer pewnie zaprosił go tutaj jako potencjalnego inwestora. Nie, żona Bullmera stoi obok niego, to ta w chuście na głowie.

*Ach...* To ta, która mnie zaskoczyła. W przeciwieństwie do całej reszty kobieta w chuście wyglądała... cóż, wyglądała na chorą. Ubrała się w jakieś bezkształtne kimono z szarego jedwabiu pasujące do jej oczu, coś pomiędzy suknią wieczorową a szlafrokiem, ale nawet z daleka widziałam, że jedwabnym szalem owinęła łysą głowę. Jej skóra miała woskowy odcień. Ta bladość odcinała się mocno od reszty grupy, która w porównaniu z nią wyglądała niemal obscenicznie zdrowo. Zdałam sobie sprawę, że się gapię, i spuściłam wzrok.

– Ona choruje – poinformował niepotrzebnie Ben. – Rak piersi. Chyba dość poważny.

– Ile ma lat?

– Wydaje mi się, że niecałe trzydzieści. Na pewno jest od niego młodsza.

Ben opróżnił swój kieliszek i obejrzał się w poszukiwaniu kelnerki, a ja przyłapałam się na tym, że mój wzrok wędruje z powrotem do tamtej kobiety. Nigdy w życiu nie rozpoznałabym jej po tym zdjęciu, które widziałam w sieci. Może to przez poszarzałą cerę albo luźno dopasowane jedwabie, ale wydawała się dużo starsza, bez tej przepięknej grzywy złotych włosów zdawała się całkowicie inną kobietą.

Dlaczego była tutaj, a nie leżała w domu na kanapie? Z drugiej strony, dlaczego *nie miałyby* być tutaj? Może nie zostało jej dużo życia. Może starała się jak najlepiej wykorzystać swój czas. A może – to jest myśl – tylko może, wolałaby, żeby tamta druga kobieta w szarej sukience przestała się na nią gapić wzrokiem pełnym współczucia i zostawiła ją w spokoju.

Znowu przestałam się w nią wpatrywać i rozejrzałam się za kimś mniej bezbronny, na kogo temat mogłabym pospekulować. W tej grupce została jeszcze tylko jedna osoba, której nie zidentyfikowałam – wysoki, starszy mężczyzna ze starannie przystrzyżoną siwiejącą brodą oraz brzuchem, który musiał być konsekwencją wielu długich lunchów.

– Kim jest ten sobowtór Donalda Sutherlanda? – spytałam Bena.

Obejrzał się za siebie.

– Kto? Ach, to jest Owen White. Brytyjski inwestor. Taki w stylu Richarda Bransona, tylko na trochę mniejszą skalę.

– Jezu, Ben. Skąd ty to wszystko *wiesz*? Czy ty dysponujesz jakąś encyklopedyczną wiedzą na temat wyższych sfer, czy co?

– Yyy, nie. – Ben spojrzał na mnie z lekkim niedowierzaniem. – Zadzwońłem do biura prasowego z prośbą o listę gości, a potem wyszukałem ich w necie. Nie jestem Sherlockiem Holmesem.

Kurwa. *Kurwa*. Dlaczego ja tego nie zrobiłam? Każdy dobry dziennikarz tak by postąpił, a ja nawet o tym nie pomyślałam. Ale w końcu Ben nie spędził pewnie kilku ostatnich dni, nie śpiąc i doświadczając PTSD.

– Co powiesz na...

Cokolwiek powiedział Ben, zostało to zagłuszone dźwiękiem czegoś metalowego wystukującego „ding, ding, ding” o kieliszek szampana i lord Bullmer wystąpił na środek sali. Camilla Lidman odstawiła swój kieliszek, odłożyła łyżeczkę i zamierzała chyba wystąpić na środek, by go przedstawić, ale on machnął ręką, więc ze skromnym uśmiechem usunęła się na bok.

Salę wypełniła pełna szacunku, wyczekująca cisza, a lord Bullmer zaczął mówić.

– Dziękuję wszystkim za przybycie i dołączenie do naszej pierwszej wyprawy Aurorą – zaczął.

Głos miał ciepły i przemawiał takim neutralnym tonem, który wydaje się pożądany przez ludzi z prywatnych szkół. Jego niebieskie oczy były tak magnetyzujące, że trudno było oderwać od nich wzrok.

– Nazywam się Richard Bullmer i wspólnie z moją żoną Anne chciałbym państwa serdecznie powitać na pokładzie Aurory. Dążyliśmy do tego, żeby na tym statku każdy czuł się jak w domu.

– Jak w domu? – szepnął Ben. – Może jego dom ma balkon z widokiem na morze i minibarek. Mój na pewno nie.

– Nie wierzymy, że podróż musi się wiązać z kompromisami – ciągnął Bullmer. – Na Aurorze wszystko ma być tak, jak państwo sobie życzyście, a jeśli tak nie jest, moja załoga i ja chcemy o tym usłyszeć.

Urwał i mrugnął do Camilli, jakby potwierdzając, że to prawdopodobnie do niej będą trafiać wszelkie skargi.

– Ci z państwa, którzy mnie znają, wiedzą o moim zamiłowaniu do Skandynawii. Do serdeczności tamtejszych ludzi. – Tu uśmiechnął się przelotnie do Larsa i Anne. – Do wysmienitego jedzenia. – Skinął głową w stronę krążącej między nami tacy przekąsek z krewetkami i koperkiem. – Oraz do widowiskowej świetności samego regionu, poczynając od rozległych lasów Finlandii, poprzez usiane wysepkami szwedzkie archipelagi, aż po majestatyczne fiordy Norwegii, skąd pochodzi moja żona. Jednak moim zdaniem najważniejszą cechą skandynawskiego krajobrazu jest, może paradoksalnie, nie ląd, ale niebo: rozległe i niemal nadnaturalnie przejrzyste. To właśnie ten nieboskłon jest źródłem tego, co wielu uważa za najpiękniejsze zimowe doświadczenie w Skandynawii: zorzy polarnej, *aurora borealis*. W przypadku natury nic nie może być pewne, ale mam ogromną nadzieję, że podczas tej podróży wspólnie ujrzymy spektakularny majestat zorzy polarnej. Zorza to coś, co przed śmiercią powinien zobaczyć każdy. Więc proszę was teraz, wznieście toast, panie i panowie, za dziewiczą podróż Aurory Borealis, i niech piękno jej imienniczki nigdy nie przygasa.

– Za Aurorę Borealis – zawtórowaliśmy posłusznie i opróżniliśmy kieliszki do dna.

Poczułam, jak alkohol załaskotał mnie od środka, wygładzając wszystko, nawet mój wciąż obolały policzek.

– Dobra, Blacklock. Bierzemy się do roboty i idziemy na pogaduchy – rzucił Ben i odstawił swój pusty kieliszek.

Poczułam opór przed podchodzeniem do tej grupki razem z nim. Myśl, że moglibyśmy zostać uznani za parę, była niewygodna, biorąc pod uwagę naszą przeszłość, ale nie zamierzałam pozwolić Benowi zapoznawać się z ludźmi, a samej zostać w tyle. Gdy ruszyliśmy, zobaczyłam, jak Anne Bullmer dotknęła ramienia męża i szepnęła mu coś do ucha. On skinął głową, a ona otuliła się szalem i zaczęli się razem kierować w stronę drzwi. Richard z troską podtrzymywał ramię Anne. Minęliśmy się na środku sali, a ona uśmiechnęła się uroczo, rozświetlając w ten sposób tę wymizerowaną, drobną twarz zaledwie echem tego, co dawniej musiało być jej pięknem.

Zauważyłam, że w ogóle nie ma brwi. Ich brak w połączeniu ze spiczastymi kośćmi policzkowymi nadawał tej twarzy dziwaczny wygląd, przypominała nagą czaszkę.

– Na pewno mi państwo wybaczą – odezwała się. Mówiła idealnym angielskim prosto z BBC, bez śladu obcego akcentu. – Jestem bardzo zmęczona i niestety chyba wymigam się dziś od kolacji. Ale nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania.

– Oczywiście – odpowiedziałam niezręcznie, a potem spróbowałam się uśmiechnąć. – Też nie mogę się doczekać.

– Odprowadzę tylko żonę do kajuty – wyjaśnił Richard Bullmer. – Wrócę, zanim podadzą kolację.

Powiodłam za nimi wzrokiem, kiedy powoli wychodzili, a potem odezwałam się do Bena:

– Ona niesamowicie dobrze mówi po angielsku. Nikt by się nie domyślił, że jest Norweżką.

– Nie wydaje mi się, żeby długo tam mieszkała w młodości. Z tego, co wiem, większą część dzieciństwa spędziła w szkołach z internatem w Szwajcarii. Dobra, osłaniaj tyły, Blacklock, ja wchodzę.

Przeszedł przez salę, chwytając po drodze garść przystawek, a potem z wyćwiczoną łatwością urodzonego dziennikarza wmieszał się między ludzi.

– Belhomme – usłyszałam, jak powiedział ze sztuczną serdecznością rodem z Eton, o której wiedziałam, że nie ma nic wspólnego z jego prawdziwym pochodzeniem, bo dorastał na komunalnym osiedlu w Essex. – Dobrze państwa znowu widzieć. Lars Jenssen, jak mniemam? Czytałem ten artykuł o panu w „FT”. Bardzo podziwiam pańskie podejście do środowiska, łączenie wartości z biznesem nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać.

Uch, no proszę, ten skurczybyk już nawiązywał kontakty. Nic dziwnego, że pracował w „The Times”, zajmując się porządnym dziennikarstwem śledczym, podczas gdy ja utknęłam w cieniu Rowan w „Velocity”. Powinnam tam podejść, powinnam się wkręcić do ich rozmowy tak samo jak on.

To była moja szansa, byłam tego świadoma. Więc dlaczego stałam tam, trzymając kieliszek zimnymi palcami, niezdolna do wykonania żadnego ruchu?

Kelnerka minęła mnie z butelką szampana, a ja, odrobinę wbrew zdrowemu rozsądkowi, pozwoliłam jej napełnić swój kieliszek. Lekkomyślnie się napiłam.

– Grosik? – Koło mojego ucha odezwał się niski głos, a ja obróciłam się na pięcie i zobaczyłam stojącego za mną Cole’a Lederera.

– Słucham? – wykrztusiłam, choć dłonie zaczęły mi się pocić. *Musiałam się tego pozbyć.*

On się uśmiechnął, a ja dopiero zrozumiałam.

– No tak, za moje myśli – dodałam, wściekła na siebie, a także na niego, że zachowywał się tak pretensjonalnie.

– Przepraszam – odparł, wciąż z uśmiechem. – Głupi tekst. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Wyglądałaś po prostu na bardzo zamyśloną, stojąc tak i przygryzając wargę.

Przygryzałam wargę? To może jeszcze zaszuram pantofelkami i zatrzepoczę rżęsami?

Próbowałam sobie przypomnieć, o czym jeszcze myślałam, poza Benem i moim brakiem umiejętności nawiązywania kontaktów. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to ten skurwiel, który włamał mi się do mieszkania, ale nie było mowy, żebym o tym tutaj opowiadała. Chciałam, żeby Cole Lederer darzył mnie szacunkiem jako dziennikarkę, a nie żeby było mu mnie szkoda.

– Aaa... yyy... o polityce? – wydukałam w końcu.

Szampan i zmęczenie dawały o sobie znać. Mój mózg najwyraźniej nie pracował właściwie, zaczynała mnie boleć głowa. Zdałam sobie sprawę, że jestem już w pół drogi do upicia się, i to nie takiego pozytywnego.

Cole przyjrzał mi się sceptycznie.

– No to o czym *ty* myślałeś? – spytałam wkurzona.

Nie bez powodu zazwyczaj trzymamy nasze myśli w głowach, niebezpiecznie jest je wypuszczać na zewnątrz.

– Poza patrzeniem na twoje usta?

Powstrzymałam odruch, by przewrócić oczami, i spróbowałam odnaleźć swoją wewnętrzną Rowan, która flirtowałaby z nim tak długo, aż nie podałyby jej swojej wizytówki.

– Skoro już musisz wiedzieć – ciągnął Cole, opierając się o ścianę, bo statek przechylił się na fali i lód w wiaderkach z szampanem zagrzechotał – myślałem o mojej wkrótce byłej żonie.

– Och, przykro mi – odparłam.

Widziałam, że też był pijany, tylko dobrze to ukrywał.

– Pieprzy się z moim najlepszym przyjacielem, świadkiem z naszego ślubu. Myślałem o tym, jak bardzo chciałbym się odegrać.

– Przelecieć jej świadkową?

– Albo po prostu... kogokolwiek.

Ha. Jeśli chodzi o składanie propozycji, to na pewno był bezpośredni. Znowu się uśmiechnął i jakoś udało mu się uczynić tę uwagę dość uroczą, jakby po prostu próbował szczęścia, a nie zachowywał się jak obleśny artysta podrywacz.

– Cóż, nie sądzę, żebyś miał z tym duży kłopot – odpowiedziałam lekko. – Jestem pewna, że Tina by się skusiła.

Cole parsknął śmiechem, a ja poczułam ukłucie winy, myśląc o tym, jak sama bym się czuła, gdyby Ben i Tina podobnie żartowali na temat mnie rzucającej się na Cole'a dla dobra mojej kariery. No więc Tina wykorzystywała swój urok. I co z tego? To nie jest żadne przestępstwo.

– Przepraszam – powiedziałam, żałując, że nie mogę tego cofnąć. – To był tani chwyt.

– Ale trafiony – zauważył cierpko Cole. – Tina sprzedałaby własną babkę, gdyby tylko miała z tego jakiś temat. Martwię się jednak – wziął kolejny łyk szampana i się wyszczerzył – że nie wyszedłbym z tego spotkania cało.

– Panie i panowie. – Rozmowę przerwał nam głos stewarda. – Zapraszam państwa do jadalni Jansson, wkrótce podamy kolację.

Kiedy zaczęliśmy wychodzić, poczułam czyjś wzrok na karku i obróciłam się, by sprawdzić czyj. Za mną stała Tina i wpatrywała się we mnie bardzo dociekliwie.





## 8

Obsłudze zajęło zaskakująco długo przeprowadzenie nas do miniaturowej jadalni obok. Spodziewałam się w sumie czegoś bardziej praktycznego, jak na promach, którymi dotąd pływałam – rzędów stołów i długiej lady obiadowej. Oczywiście w rzeczywistości urządzono to zupełnie inaczej – to mógłby być czyjś dom, gdybym znała kogoś, kto ma zasłony z surowego jedwabiu i kryształowe kieliszki.

Zanim usiedliśmy, głowa już mi boleśnie pulsowała, a ja rozpaczliwie potrzebowałam jedzenia – albo lepiej: kawy, chociaż przypuszczałam, że z tym będę musiała poczekać do deseru. Czulałam, że do tego jeszcze daleko.

Goście zostali rozdzieleni na dwa sześćoosobowe stoły, ale przy każdym zostało jedno wolne miejsce. Czy jedno z nich należało do dziewczyny z kajuty numer dziesięć?

Przy pierwszym stole siedzieli Richard Bullmer, Tina, Alexander, Owen White i Ben Howard. Wolne miejsce znajdowało się naprzeciwko Richarda Bullmera.

Przy drugim stole byliśmy ja, Lars i Chloe Jensen, Archer i Cole, a między nimi puste krzesło.

– Może to pani sprzątnąć – powiedział Cole do kelnerki, która przyszła z butelką wina. Machnął ręką na wolne nakrycie. – Moja żona nie mogła się pojawić na wycieczce.

– Och, przykro mi. – Skłoniła się lekko, powiedziała coś do kolegi i nakrycie zostało sprzątnięte.

No, to jedna sprawa wyjaśniona. Puste miejsce przy pierwszym stole jednak zostało.

– Chablis? – spytał kelner.

– Tak, poproszę. – Cole wyciągnął swój kieliszek. Wtedy Chloe Jenssen pochyliła się nad stołem i wyciągnęła rękę w moją stronę.

– Chyba jeszcze się nie poznałyśmy. – Miała niski, chropawy głos, trochę nietypowy dla jej drobnej postury, z lekkim akcentem typowym dla Essex. – Jestem Chloe. Chloe Jenssen, chociaż zawodowo używam nazwiska Wylde.

No jasne. Kiedy to powiedziała, rozpoznałam ją, jej słynne szerokie kości policzkowe, słowiańskie, lekko skośne oczy i bardzo jasne blond włosy. Nawet bez scenicznego makijażu i oświetlenia wydawała się trochę z innego świata, jakby została wyciągnięta gdzieś z maleńkiej rybackiej wioski na Islandii albo syberyjskiej daczy. Jej wygląd czynił historię odkrycia jej w podmiejskim supermarkecie przez jakiegoś łowcę modelek jeszcze dziwniejszą.

– Miło mi poznać – odparłam i ścisnęłam jej dłoń.

Palce miała zimne, a jej uścisk był silny aż do bólu, tym bardziej że nosiła duże pierścionki, które wbiły mi się w knykcie. Z bliska była jeszcze bardziej olśniewająca, a surowe piękno jej sukienki wyraźnie przyćmiewało moją, więc czułam się, jakbyśmy pochodziły z dwóch zupełnie różnych planet. Powstrzymałam odruch, żeby poprawić sobie dekolt.

– Ja jestem Lo Blacklock.

– Lo Blacklock! – zaśmiała się bulgoczącym śmiechem. – Podoba mi się. Jak jakaś gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych, taka z talią osy i cyckami pod samą brodą.

– Nie miałabym nic przeciwko. – Mimo narastającego bólu głowy uśmiechnęłam się. W jej rozbawieniu było coś zaraźliwego. – A to pewnie twój mąż...?

– Tak, to Lars. – Spojrzała na niego, gotowa włączyć go do rozmowy i przedstawić, ale on był głęboko pogrążony w dyskusji z Cole'em i Archerem, więc tylko przewróciła oczami i zwróciła się znów do mnie.

– Ktoś jeszcze do nich dołączy? – Skinęłam głową w stronę wolnego miejsca przy pierwszym stole.

Chloe pokręciła głową.

– To chyba było dla Anne... wiesz, dla żony Richarda. Nie czuje się dobrze. Pewnie uznała, że zje kolację w kajucie.

– Oczywiście. – Powinam była się tego domyślić. – Dobrze ją znasz?

Chloe pokręciła głową.

– Nie, dość dobrze znam Richarda, przez Larsa, ale Anne nieczęsto opuszcza Norwegię. – Ściszyła głos i zaczęła mówić poufale. – Ona podobno jest raczej odludkiem, więc nawet się zdziwiłam, kiedy ją zobaczyłam na pokładzie... ale przypuszczam, że kiedy ma się raka, można się stać...

Ale cokolwiek zamierzała powiedzieć, zostało przerwane przez wniesienie pięciu ciemnych kwadratowych talerzy, na których leżały małe, tęcze kwadraciki oraz kopki piany ułożone na czymś przypominającym skoszoną trawę. Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co będziemy jeść.

– Małż nożeniec z piklowanym burakiem – obwieścił steward. – Z pianką żubrówkową oraz suszonym koprem morskim.

Kelner się wycofał, a Archer sięgnął po widelec i szturchnął nim najbardziej neonowy kwadracik.

– Małż nożeniec? – powiedział z powątpiewaniem. Jego akcent z Yorkshire wydawał się jakoś wyraźniejszy niż w telewizji. – Jakoś nigdy nie szalałam za surowymi owocami morza. Zawsze się ich cykam.

– Serio? – spytała Chloe. Rzuciła mu krzywy, koci uśmiech, coś pomiędzy flirtem a niedowierzaniem. – Myślałam, że australijskie potrawy to twój konik... wiesz, te wszystkie robaki i jaszczurki.

– Jak komuś płacą na co dzień za jedzenie odchodów, to w wolny dzień może mieć ochotę na dobrego steka – odpowiedział z uśmiechem. Odwrócił się i wyciągnął dłoń w moją stronę. – Archer Fenlan. Nie jestem pewien, czy zostaliśmy już sobie przedstawieni.

– Lo Blacklock – odpowiedziałam z ustami pełnymi czegoś, co, *miałam nadzieję*, nie było śliną kukulki, chociaż niczego nie należało być pewnym. – Poznaliśmy się już kiedyś, ale pewnie mnie nie pamiętasz. Pracuję dla „Velocity”.

- Ach, tak. Czyli dla Rowan Lonsdale?
- Zgadza się.
- Podobał jej się ten tekst, który dla niej napisałem?
- Tak, był bardzo popularny. Mieliśmy duży ruch na Twitterze.

*Dwanaście zaskakująco pysznych rzeczy, o których nie wiedziałeś, że są jadalne* albo coś w tym stylu. Ze zdjęciem Archera, na którym uśmiechał się do obiektywu i piekł coś ohydneho nad ogniskiem.

– Nie zamierzasz tego jeść? – spytała Chloe, kiwając głową w kierunku talerza Archera.

Jej talerz był już prawie pusty, przesunęła palcem po plamie z pianki i oblizwała go.

Archer się zawahał, po czym odsunął swoje nakrycie.

- Chyba sobie odpuszczę. Poczekam na następne danie.
- Jak wolisz – odparła Chloe.

Uśmiechnęła się znów powoli i krzywo. Kątem oka dostrzegłam jakieś poruszenie w okolicy jej ud i zobaczyłam, że pod stołem, nie całkiem schowani pod obrusem, trzymają się z Larsem za ręce, a jego kciuk rytmicznie gładzi jej knykie. Ten widok był jednocześnie bardzo intymny i bardzo publiczny, zaskoczył mnie. Może jej flirtująca osobowość to nie wszystko.

Zdałam sobie sprawę, że Archer się do mnie odezwał, więc się odwróciłam i z wysiłkiem skupiłam na nim.

- Przepraszam – powiedziałam. – Wyłączyłam się. Co mówiłeś?
- Pytałem, czy ci dolać. Masz pusty kieliszek.

Spojrzałam w dół. Chablis zniknęło, choć właściwie nie pamiętałam, żebym je piła.

- Tak, poproszę – odparłam.

Kiedy mi polewał, wpatrywałam się w kieliszek, próbując policzyć, ile już wypięłam. Wzięłam łyk. Wtedy Chloe się do mnie nachyliła.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko takim pytaniom, ale co ci się stało w policzek? – zapytała cicho.

Na mojej twarzy być może odmalowało się zaskoczenie, bo machnęła ręką, jakby chciała się wycofać.

– Przepraszam, nie odpowiadaj mi, to nie moja sprawa. Po prostu... cóż, mam za sobą parę kiepskich związków, tylko tyle.

– Och... nie. – Z jakiegoś powodu to nieporozumienie wywołało we mnie wstyd, jakby to była moja wina albo jakbym oczerniała Judah za jego plecami, choć ani jedno, ani drugie nie było prawdą. – Nie, to nic w tym stylu. Miałam włamanie.

– Naprawdę? – Wyglądała na zszokowaną. – Kiedy byłaś w domu?

– Tak. To podobno coraz częstsze, tak przynajmniej twierdzi policja.

– I on cię zaatakował? Jezu.

– Nie do końca.

Wchodziłam w te szczegóły z dziwną niechęcią, nie tylko dlatego, że to przywoływało nieprzyjemne obrazy tego, co się stało, ale też z powodu zawodowej dumy. Chciałam siedzieć przy tym stole jako profesjonalna, elegancka, zdolna dziennikarka gotowa poradzić sobie z każdym rozmówcą. Nie zamierzałam dodawać do swojego wizerunku obrazu przerażonej ofiary ukrywającej się we własnej sypialni.

Ale ta historia wyszła już na jaw – w przynajmniej dziewięćdziesięciu procentach – i nie wyjaśniając jej, czułabym, że proszę się o niezасłużone współczucie.

– To... to był właściwie wypadek. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem, dostałam w policzek. Chyba nie zamierzał zrobić mi krzywdy.

Powinnam była po prostu zostać w swoim pokoju z głową pod kołdrą, taka była prawda. Głupia Lo, zawsze nadstawia karku.

– Powinnaś się nauczyć samoobrony – wtrącił Archer. – Wiesz, ja sam tak zaczynałem. W marynarce królewskiej. Nie liczą się wtedy gabaryty; nawet taka dziewczyna jak ty może wygrać z facetem, jeśli wykorzysta swoją przewagę. Patrz, pokażę ci. – Odsunął swoje krzesło. – Wstań.

Wstałam, czując się trochę zażenowana, a on z wyjątkową zręcznością chwycił mnie za ramię i wykręcił mi je za plecy, wybijając mnie z równowagi. Wolną ręką chwyciłam się stołu, ale on dalej wykręcał moje

ramię, ciągnął mnie do tyłu, mięśnie dotkliwie mnie bolały. Wydałam jakiś jęk – trochę bólu, trochę strachu – a kątem oka zobaczyłam zaskoczoną twarz Chloe.

– Archer! – odezwała się. – Archer... straszysz ją! – dodała gwałtowniej.

Puścił mnie, a ja opadłam z powrotem na krzesło. Nogi mi drżały, starałam się nie okazać, jak bardzo protestowało moje ramię.

– Przepraszam – powiedział z uśmiechem Archer i przysunął swoje krzesło z powrotem do stołu. – Mam nadzieję, że nic ci nie zrobiłem. Sam nie czuję, jaki jestem silny. Ale widzisz, o co mi chodzi, bardzo trudno się z tego wywinąć, nawet jeśli napastnik jest od ciebie większy. Gdybyś potrzebowała lekcji, to w każdej chwili...

Próbowałam się roześmiać, ale zabrzmiało to sztucznie i drżąco.

– Wyglądasz, jakbyś musiała się napić – oznajmiła bez ogródek Chloe i dołała mi wina.

Potem Archer się odwrócił, żeby porozmawiać z kelnerem, a ona dodała ciszej:

– Zignoruj go. Zaczynam wierzyć, że te plotki o jego pierwszej żonie były prawdziwe. I słuchaj, jeśli chcesz czymś zamaskować tego siniaka, to zajrzyj w wolnej chwili do mojej kajuty. Znam całą masę sztuczek i jestem całkiem przyzwoitą makijażystką. W tym zawodzie to niezbędne.

– Wpadnę – odparłam, siląc się na uśmiech. Wydał mi się nienaturalny i spięty, więc sięgnęłam po kieliszek i napiłam się, żeby to ukryć. – Dzięki.



Po pierwszym daniu miejsca się pozmieniały i znalazłam się, trochę ku własnej uldze, przy innym stole niż Archer. Siedziałam pomiędzy Tiną a Alexandrem, którzy ponad moją głową toczyli bardzo uczoną rozmowę na temat jedzenia z całego świata.

– Oczywiście, jeśli masz spróbować sashimi, to *koniecznie* fugu – oznajmił wylewnie Alexander, wyglądając serwetkę ułożoną na jego

napiętym, szerokim pasie. – Smakuje po prostu cudownie.

– Fugu? – dopytałam, próbując się włączyć do tej dyskusji. – Czy to nie jest koszmarnie trujące?

– Oczywiście, i w tym właśnie cała rzecz. Nigdy nie zażywałem narkotyków, znam swoje słabości i jestem świadomy, że nie wyrwałbym się z wyspy Lotofagów, więc nigdy nie zaufałem sobie na tyle, by tego spróbować. Mogę tylko przypuszczać, że ten stan, którego doświadcza się po zjedzeniu fugu, jest podobny do narkotykowego haju. Jedzący igra ze śmiercią i wygrywa.

– Czy to prawda – spytała przeciągle Tina, popijając wino – że najlepsi kucharze starają się ukroić kawałek jak najbliższej trujących części ryby i zostawić w mięsie ledwie cząstkę toksyn, które wzmagają to doświadczenie?

– Słyszałem o tym – przyznał Alexander. – Podobno w bardzo małych ilościach działa to jak stymulant, chociaż akurat ta technika krojenia może mieć więcej wspólnego z tym, jak droga jest ta ryba; kucharze nie chcą zmarnować choćby odrobiny.

– Więc jak bardzo jest trująca? – spytałam. – Chodzi mi o ilość. Ile trzeba by zjeść?

– Cóż, w tym właśnie sęk. – Alexander pochylił się nad stołem z dość nieprzyjemnym błyskiem w oku, ten temat go rozpałał. – Różne części ryby mają odmienną zawartość toksyny, ale jeśli chodzi o te najbardziej trujące fragmenty, czyli wątrobę, oczy i jajniki, to mówimy o bardzo, bardzo niewielkiej ilości. To są gramy. Mówi się, że są tysiąc razy bardziej zabójcze od cyjanku. – Włożył sobie do ust porcję rybnego carpaccio i mówił teraz z ustami pełnymi delikatnego mięsa. – To musi być dość okropna śmierć. Kucharz, który nam ją przygotowywał w Tokio, z wielkim zachwytem opowiadał nam o procesie zatrucia. Ta toksyna paraliżuje mięśnie, ale umysł ofiary pozostaje nienaruszony i cały czas jest w pełni świadoma, podczas gdy atrofia mięśni postępuje i człowiek nie jest w stanie oddychać. – Przełknął, oblizał wilgotne usta i się uśmiechnął. – W końcu po prostu się dusi.



Spojrzałam w dół na kawałeczki ryby na moim talerzu i nie wiem, czy to zasługa wina, czy też barwnego opisu Alexandra albo może większych fal na morzu, ale nagle poczułam się dużo mniej głodna niż przed kolacją. Z wahaniem włożyłam kawałek do ust i zaczęłam przeżuwać.

– Opowiedz nam o sobie, kochana – odezwała się nagle Tina, zaskakując mnie przeniesieniem swojej uwagi z Alexandra na mnie. – Słyszałam, że pracujesz z Rowan?

Tina pod koniec lat osiemdziesiątych zaczynała w „Velocity” i poznała przelotnie Rowan, która z kolei nadal opowiadała o Tinie i jej legendarnej zajadłości.

– Zgadza się. – Przełknęłam kęs z nieprzyjemnym pośpiechem. – Pracuję tam od około dziesięciu lat.

– Musi być z ciebie bardzo zadowolona, skoro wysłała cię na taką wycieczkę. To chyba niemałe osiągnięcie?

Poruszyłam się na krześle. Jak mogłam na to odpowiedzieć? *W sumie to nie sądzę, żeby kiedykolwiek zaufała mi z czymś takim, gdyby nie to, że leży właśnie pod kroplówką.*

– Mam dużo szczęścia – stwierdziłam w końcu. – Być tutaj to wielki przywilej, a Rowan wie, jak bardzo chcę się wykazać.

– No, to moja rada jest taka, żebyś korzystała z okazji. – Tina poklepała mnie po ramieniu, jej pierścionki dotykające mojej skóry były chłodne. – Żyje się tylko raz. Tak teraz mówią?



## 9

Jeszcze dwukrotnie wymienialiśmy się miejscami, ale jakoś ani razu nie znalazłam się obok Bullmera i dopiero po podaniu kawy, kiedy to mogliśmy już przejść do salonu Lindgren, dostrzegłam szansę, by go zaczepić. Przechodziłam właśnie przez salę z filiżanką w dłoni, niepewnie balansując po pokładzie bujającego się statku, kiedy przed moimi oczami rozbłysnął flesz i potknęłam się, prawie oblewając się całą kawą. Kilka kropeł rozprysnęło się na rąbek wypożyczonej sukni i białą sofę obok.

– Uśmiech! – rozbrzmiał głos w moim uchu i zorientowałam się, że fotografem był Cole.

– Cholera, co za *idiot*a – rzuciłam wściekła, a potem natychmiast tego pożałowałam.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było to, żeby zaraportował o moich nieuprzejmych manierach Rowan. Musiałam być bardziej pijana, niż sądziłam.

– Nie ty – dodałam niezręcznie, próbując to jakoś zatuszować. – Chodziło mi o mnie. Ta kanapa.

Zauważył moje zmieszanie i roześmiał się.

– Ładnie wybrnęłaś. Nie przejmuj się, nie będę na ciebie skarżył twojej szefowej. Z moim ego nie jest aż tak źle.

– Nie chciałam... – brnęłam, ale jego słowa były tak zaskakująco blisko tego, co sobie rzeczywiście pomyślałam, że nie wiedziałam, jak dokończyć.  
– Po prostu...

– Daj spokój. Gdzie ty się w ogóle tak spieszyłaś? Zasuwałaś przez tę salę jak snajper za kulawą antylopą.

– Chcia... – Głupio mi było to przyznawać, ale w głowie szumiało mi od zmęczenia i alkoholu, a jakoś łatwiej było powiedzieć prawdę. – Miałam nadzieję, że porozmawiam z Richardem Bullmerem. Próbowałam do niego zagadać przez cały wieczór. Po prostu nie było ani jednej okazji.

– I właśnie miałaś wykonać swój ruch, a ja ci wszystko zepsułem – podsumował Cole z błyskiem w oku.

Znowu się uśmiechnął i zauważyłam, że jego siekacze nadają mu lekko wilczy, drapieżny wygląd.

– Dobra, i tak mogę to naprawić. Bullmer!

Wzdrygnęłam się, kiedy Richard Bullmer, pochłonięty rozmową z Larsem, odwrócił się i spojrzał w naszą stronę.

– Czyżbym usłyszał swoje nazwisko?

– Owszem – odparł Cole. – Proszę podejść i porozmawiać z tą miłą dziewczyną, wynagrodzić jej to, że się na nią zaczałem.

Bullmer się roześmiał, sięgnął po swoją filiżankę kawy stojącą na oparciu fotela obok niego i podszedł do nas. Poruszał się swobodnie, mimo lekkiego bujania statku, i zauważyłam, że jest bardzo wysportowany, a pod dobrze skrojonym garniturem kryje się silne ciało.

– Richardzie – oznajmił Cole, wykonując gest dłonią. – To jest Lo. Lo, oto Richard. Zaskoczyłem ją zniecacka z aparatem, kiedy zamierzała do ciebie podejść, i wylała jej się kawa.

Policzki zapłonęły mi czerwienią, ale Bullmer kręcił głową i patrzył na Cole'a.

– Wiesz co, mówiłem ci, żebyś obchodził się z tym dyskretnie. – Skinął głową na ciężki aparat wiszący na szyi Cole'a. – Nie każdy ma ochotę na zdjęcia z ukrycia w niefortunnych momentach.

– A tam, oni to uwielbiają – odparł lekko Cole, pokazując zęby w szerokim uśmiechu. – Czują się wtedy w tym bajeranckim wnętrzu jak prawdziwi celebryci.

– Mówię poważnie – dodał Richard i chociaż nadal się uśmiechał, jego ton nie był już taki rozbawiony. – Zwłaszcza Anne. – Ściszył głos. – Wiesz, że bardzo się krępuje, odkąd...

Cole pokiwał głową, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Tak, no oczywiście. To co innego. Ale Lo to nie przeszkadza, prawda, Lo?

Objął mnie ramieniem, przyciskając mnie do siebie tak mocno, że jego aparat wbił mi się w rękę, ale próbowałam się uśmiechnąć.

– Nie – powiedziałam zakłopotana. – Oczywiście, że nie.

– No, i to jest właściwe nastawienie – skwitował Bullmer i mrugnął do mnie.

Był to dziwaczny gest, taki sam, jaki zauważyłam u niego wcześniej, kiedy rozmawiał z Camillą Lidman – mógł być dobroduszny, ale nie, on raczej próbował wyrównać szanse, bo miał świadomość, że gramy w zatrważająco nierówną grę. Nie myśl o tym, że jestem międzynarodowym milionerem – takie było znaczenie tego mrugnięcia. Jestem po prostu zwyczajnym, bezpośrednim chłopakiem.

Próbowałam wymyślić jakąś odpowiedź, kiedy Owen White stuknął go w ramię, więc się obrócił.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Owen? – spytał, a nim w ogóle zdążyłam otworzyć usta, okazja przepadła.

– Cóż... – zaczęłam, a on spojrzał na mnie przez ramię.

– Wie pani co, na takich spotkaniach zawsze trudno się rozmawia. Może wpadłaby pani do mojej kajuty jutro po zaplanowanych wydarzeniach, żebyśmy mogli spokojnie pogadać?

– Dziękuję – odpowiedziałam, starając się nie okazywać, jak beznadziejnie wdzięczna mu byłam za tę propozycję.

– Świetnie. To będzie mój jutrzejszy priorytet. Do zobaczenia.

– Przepraszam – odezwał się cicho Cole, a jego oddech połaskotał moje włosy odgarnięte za ucho. – Staralem się. Jak by to powiedzieć? Wszyscy chcą tylko jego. Mogę ci to jakoś wynagrodzić?

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam zakłopotana.

Stał nieprzyjemnie blisko i chciałam się odsunąć na krok, ale dręczył mnie w głowie głos Rowan: „Kontakty, Lo!”.

– Opowiedz mi lepiej coś o sobie. Dlaczego tu przyjechałeś? Mówiłeś, że to nie jest dla ciebie typowe zlecenie.

– Richard to taki mój jakby dawny przyjaciel – wyjaśnił Cole. Chwycił kawę z tacy mijającej nas stewardesy i wypił łyk. – Studiowaliśmy razem w Balliol. Więc kiedy poprosił, żebym przyjechał, czułem, że nie mogę odmówić.

– Jesteście blisko?

– Nie powiedziałbym, że blisko. Tak naprawdę nie obracamy się w tych samych kręgach. To trudne, jeśli jeden jest początkującym fotografem, a drugi ożenił się z najzamożniejszą kobietą w Europie. – Uśmiechnął się. – Ale to dobry facet. Może wygląda to tak, jakby był w czepku urodzony, ale to nie jest cała prawda. Wiele przeszedł i przypuszczam, że dlatego jeszcze bardziej trzyma się... no, tego wszystkiego. – Zatoczył dłonią wokół, wskazując jedwabie, kryształ i lśniące wykończenia. – On wie, jak to jest stracić wszystko, co się posiada. Oraz ludzi.

Pomyślałam o Anne Bullmer i o tym, jak Richard odprowadził ją do kajuty, mimo że cała sala pełna gości chciała z nim porozmawiać. I uznałam, że może wiem, co Cole miał na myśli.



Było jakoś koło dwudziestej trzeciej, kiedy nareszcie wróciłam do swojego pokoju. Byłam pijana. Bardzo, bardzo pijana. Chociaż trudno było ocenić *jak bardzo*, bo znajdowaliśmy się teraz na środku oceanu i bujanie statku niebezpiecznie mieszało się z szampanem... oraz winem... aha, i mrożonymi szotami wódki. Chryste, co ja sobie myślałam?

Moment jasności nadszedł, kiedy dotarłam do swoich drzwi i stałam przed nimi chwilę, łapiąc równowagę przy futrynie. Wiedziałam, dlaczego się spałam. Doskonale wiedziałam dlaczego. Bo jeśli wystarczająco dużo wypiję, śpię jak zabita. Nie byłam w stanie zmierzyć się z kolejną zarwaną nocą – nie tutaj.

Odepchnęłam jednak od siebie tę myśl i przystąpiłam do wyciągania mojej karty do pokoju wetkniętej w głąb stanika.

– Nie potrzebujesz pomocy, Blacklock? – zabełkotał głos za mną, a na drzwi padł cień Bena Howarda.

– Poradzę sobie – odparłam, odwracając się plecami, żeby nie widział, jak się szarpię. W statek uderzyła kolejna fala, a ja się zatoczyłam i potknęłam. *Idź stąd, Ben.*

– Na pewno? – Pochylił się nade mną, rozmyślnie zaglądając mi przez ramię.

– Tak – rzuciłam przez zaciśnięte z wściekłości zęby. – Jestem pewna.

– Bo mógłbym ci pomóc. – Uśmiechnął się pożądliwie i skinął głową w kierunku góry mojej sukienki, którą ścisnęłam jedną dłonią, żeby mi się nie zsunęła. – Wyglądasz, jakby przydała ci się pomocna dłoń. Albo dwie.

– Spierdalaj – splawiłam go krótko.

Pod moją lewą łopatką było coś zatknięte, coś ciepłego i twardego, co wydawało mi się kartą. Gdybym tylko była w stanie sięgnąć tak daleko palcami...

Przysunął się bliżej i nim zdałam sobie sprawę, co zamierza zrobić, gwałtownie wsunął mi dłoń pod przód sukni. Poczułam ukłucie bólu, kiedy jego spinki do mankietów przesunęły się po mojej skórze, a potem jego palce chwyciły moją nagą pierś i mocno ją ścisnęły. Prawdopodobnie miał to być erotyczny gest.

Nie był.

Nawet się nie zastanowiłam. Rozległ się dźwięk rozdzierania tkaniny podobny do prychnięcia kota, a moje kolano wylądowało na kroczu Bena z takim impetem, że ten nawet nie krzyknął, tylko osunął się powoli na podłogę, wydając z siebie słabe, zdyszane kwilenie.

A ja wybuchłam płaczem.



Jakieś dwadzieścia minut później siedziałam na łóżku w mojej kajucie, wciąż szlochając i ścierając sobie z policzków pożyczony tusz do rzęs, podczas gdy Ben kulił się koło mnie, jedną ręką obejmując moje ramiona, a drugą przytrzymując sobie kubek z lodem na kroczu.

– Przepraszam – powtórzył, głos miał wciąż ochryply ze zduszonego bólu.

– Proszę, Lo, proszę, przestań płakać. Naprawdę przepraszam. Zachowałem się jak kutas, kompletny dupek. Zasłużyłem sobie.

– Nie chodzi o ciebie – wyszłochałam, choć nie byłam pewna, czy zrozumie moje słowa. – Ja już nie mogę, Ben, od tego włamania ja po prostu... Wydaje mi się, że dostaję świra.

– Jakiego włamania?

Opowiedziałam mu – między kolejnymi szlochami. Wszystko, czego nie powiedziałam Jude'owi. Jakie to było uczucie, obudzić się i zdać sobie sprawę, że ktoś jest w moim mieszkaniu; że nikt by nie usłyszał, gdybym krzyczała; że nie miałam jak wezwać pomocy; że nie miałam szans w starciu z intruzem; że tamtego wieczoru byłam tak bezradna, jak nigdy dotąd.

– Tak mi przykro – powtarzał Ben jak mantrę. Wolną dłonią masował mi plecy. – Tak mi przykro.

Jego zakłopotane współczucie sprawiło tylko, że zaczęłam jeszcze bardziej szlochać.

– Słuchaj, skarbie...

O, nie.

– Nie nazywaj mnie tak. – Wyprostowałam się, odrzuciłam włosy z twarzy i wywinełam się z jego uścisku.

– Przepraszam, po prostu... wyrwało mi się.

– Nie obchodzi mnie to, nie możesz już tak do mnie mówić, Ben.

– Wiem – odparł roztargniony. – Ale Lo, jeśli mam być szczery, to ja nigdy...

– Przestań – przerwałam mu gwałtownie.

– Lo, to co zrobiłem... Byłem gnojkiem, wiem, że byłem...

– Powiedziałam: *przestań*. To koniec.



Pokręcił głową, ale jego słowa jakoś sprawiły, że przestałam płakać. Może z powodu tego, jak wyglądał – zbolały, zgarbiony i strasznie zrozpaczony.

– Ale Lo... – Podniósł na mnie wzrok, a jego brązowe, urocze oczy wyglądały miękko w świetle nocnej lampki. – Lo, ja...

– Nie! – Zabrzmiało to ostrzej i głośniejszym głosem, niż zamierzałam, ale musiałam go uciszyć.

Nie byłam pewna, co chciał powiedzieć, ale cokolwiek to było, czułam, że nie mogę mu na to pozwolić. Nie mogłam dopuścić, żeby ośmieszył się jeszcze bardziej, niż już to zrobił, bo ta podróż stałaby się nie do zniesienia, codziennie przecież mieliśmy spędzać ze sobą czas w towarzystwie.

– Ben, nie – dodałam łagodniej. – To było dawno temu. Zresztą to *ty* chciałeś zerwać, pamiętasz?

– Wiem – odparł żałośnie. – Wiem, zachowałem się jak pizda.

– Nieprawda – zaprzeczyłam, ale natychmiast poczułam, że nie jestem szczerą. – No dobra, zachowałeś. Ale wiem, że nie byłam najłatwiejsza. Słuchaj, to nie jest teraz ważne. Jesteśmy przyjaciółmi, jasne? – To było określenie na wyrost, ale on pokiwał głową. – No, to nie spieprz tego.

– Dobra – powiedział.

Wstał z bólem i przetarł sobie twarz rękawem smokingu, po czym spojrzał na niego smutno.

– Mam nadzieję, że mają tu na pokładzie jakąś krawcową. – Skinęłam głową na rozdarcie całej góry mojej szarej, jedwabnej sukni.

– Nic ci nie będzie? – spytał Ben. – Mogę zostać. I nie mam na myśli niczego obleśnego. Mógłbym się przespać na kanapie.

– Mógłbyś, pewnie – przyznałam, badając wzrokiem jej długość, a potem pokręciłam głową, bo zdałam sobie sprawę, jak to brzmiało. – Nie, nie mógłbyś. Jest wystarczająco duża, ale nie możesz, nie potrzebuję tego. Wracaj do swojej kabiny. Chryste, jesteśmy na pokładzie statku na środku oceanu. To chyba najbezpieczniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić.

– Dobra. – Podeszedł, lekko kuśtykając, do drzwi, i otworzył je trochę, ale jeszcze nie wyszedł. – Wiesz... Przepraszam. Naprawdę.

Wiedziałam, na co czekał, na co miał nadzieję. Nie tylko na przebaczenie, ale też coś więcej, co powiedziałoby mu, że tamten uścisk nie był tak całkiem niechciany.

W życiu bym mu nie dała tego do zrozumienia.

– Idź spać, Ben – rzuciłam bardzo znużonym i trzeźwym tonem.

Ben zawahał się jeszcze na chwilę w drzwiach, o ułamek sekundy *za* długo, na tyle, że zaczęłam się zastanawiać – aż zabulgotało mi w żołądku, podobnie jak na morzu wokół nas – co bym zrobiła, gdyby nie poszedł. Co bym zrobiła, gdyby zatrzasnął te drzwi i zawrócił do pokoju. Ale wtedy odwrócił się i wyszedł, a ja zamknęłam za nim na klucz i opadłam na kanapę, chowając twarz w dłoniach.

Po dłuższej chwili, nie wiem, jak długiej, wstałam, nalałam sobie whisky z barku i wypiliśmy ją trzema dużymi haustami. Wzdrygnęłam się, otarłam usta, po czym ściągnęłam z siebie sukienkę i zostawiłam ją na podłodze niczym zrzuconą wężową skórę.

Rozpięłam stanik, zesłałam ze smutnej kupki ciuchów, a potem opadłam na łóżko i zasnęłam tak głęboko, że czułam się, jakbym utonęła.



Nie wiem, co mnie obudziło, po prostu nagle się ocknęłam, tak jakby ktoś wbił mi prosto w serce strzykawkę z adrenaliną. Leżałam tak zeszywniała ze strachu, serce waliło mi z prędkością jakichś dwustu uderzeń na minutę i zaczęłam się uciekać do tych uspokajających słów, które powtarzałam Benowi zaledwie parę godzin wcześniej.

„Nic ci nie jest” – mówiłam sobie. „Jesteś całkowicie bezpieczna. Jesteśmy na statku na środku oceanu, nikt nie może się tu dostać ani stąd uciec. To chyba najbezpieczniejsze miejsce, w jakim możesz się znajdować”.

Trzymałam się pościeli tak mocno, jakby moje dłonie zacisnęły się w stężeniu pośmiertnym, więc zmusiłam palce do tego, by się rozluźniły,

a potem powoli je rozciągnęłam, czując, jak ból w stawach ustępuje. Skupiłam się na wdechach i wydechach – powolnych, równych – aż w końcu moje serce wzięło z nich przykład i nie czułam już tego oszalałego dudnienia w klatce piersiowej.

Dzwonienie w uszach ucichło. Poza rytmicznym szumem fal oraz cichym pomrukiwaniem silnika, które przenikało każdą część statku, nie słyszałam niczego.

Kurde. *Kurde*. Musiałam się pozbierać.

Nie mogłam do końca tej wycieczki co noc leczyć się alkoholem, to byłby sabotaż mojej kariery zawodowej, zaprzepaściłabym wszelkie szanse na awans w „Velocity”. Więc pozostawało mi... co? Pigułki nasenne? Medytacja? Żadna z tych rzeczy nie wydawała się dużo lepsza.

Przewróciłam się na bok, włączyłam światło i zajrzałam do komórki: cztery po trzeciej nad ranem. Potem odświeżyłam skrzynkę mejlową. Nie znalazłam w niej niczego od Judah, ale byłam już zbyt rozbudzona, żeby z powrotem zasnąć. Westchnęłam, sięgnęłam po książkę, która leżała rozłożona na nocnym stoliku niczym ptak z uszkodzonym kręgosłupem, i zaczęłam czytać. Lecz choć próbowałam się skupić na słowach, coś mnie rozpraszało. To nie była tylko paranoja. *Coś* mnie obudziło. Coś sprawiło, że podskoczyłam i leżałam wycieńczona jak jakaś ćpunka. Dlaczego moje myśli krążyły wokół jakiegoś krzyku?

Przewróciłam stronę, kiedy usłyszałam coś jeszcze, coś, co ledwie wychwyciłam wśród dźwięków silnika i rozbijających się fal. Dźwięk tak cichy, że niemal zagłuszyło go szuranie kartki o kartkę.

Był to odgłos delikatnego rozsuwania drzwi na werandę w sąsiedniej kajucie.

Wstrzymałam oddech, nasłuchując.

I wtedy rozległ się plusk.

Nie mały plusk.

Taki plusk, jaki wywołuje uderzenie ciała o wodę.



JUDAH LEWIS

24 września, 8.50

Hej, niepokoję się o Lo. Nie daje nic znać od kilku dni, odkąd wyjechała w tę służbową podróż. Czy ktoś miał od niej jakieś wieści?

Trochę się martwię. Pozdrawiam.

Lubię to! [Komentarz](#) [Udostępnij](#)

LISSIE WIGHT Cześć, Jude! Pisała do mnie w niedzielę, chyba 20? Twierdziła, że ten statek jest niesamowity!

Lubię to! [Odpowiedz](#) 24 września, 9.02

JUDAH LEWIS No, ja też wtedy się z nią kontaktowałem, ale nie odpowiedziała ani na mojego mejla, ani na esemesa w poniedziałek. Nie wrzucała też nic tutaj ani na Twittera.

Lubię to! [Odpowiedz](#) 24 września, 9.03

JUDAH LEWIS Ktokolwiek? Pamela Crew? Jennifer West? Carl Fox? Emma Stenton? Przepraszam, jeśli oznaczam przypadkowe osoby, po prostu... Szczerze mówiąc, trochę się denerwuję.

Lubię to! [Odpowiedz](#) 24 września, 10.44

PAMELA CREW Jude, wysłała mi mejla w niedzielę. Pisała, że na statku jest cudnie. Chcesz, żebym spytała jej ojca?

Lubię to! [Odpowiedz](#) 24 września, 11.13

JUDAH LEWIS Tak, poproszę, Pam. Nie chcę was martwić, wydaje mi się, że normalnie powinna się już ze mną skontaktować. Ale ja utknąłem w Moskwie, więc nie wiem, czy może nie próbowała dzwonić, tylko nie udało jej się do mnie dobić.

Lubię to! [Odpowiedz](#) 24 września, 11.21

JUDAH LEWIS Pam, mówiła Ci może, jak się nazywał ten statek? Nie mogę tego znaleźć.

Lubię to! Odpowiedz 24 września, 11.33

PAMELA CREW Cześć, Judah, przepraszam, rozmawiałam z jej ojcem. On też nie miał od niej żadnych wiadomości. Statek nazywał się podobno Aurora. Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz. Pa, kochany.

Lubię to! Odpowiedz 24 września, 11.48

JUDAH LEWIS Dziękuję, Pam. Spróbuję znaleźć ten statek. Ale jeśli ktokolwiek się czegoś dowie, proszę, dajcie mi znać.

Lubię to! Odpowiedz 24 września, 11.49

JUDAH LEWIS Jakież wieści?

Lubię to! Odpowiedz 24 września, 15.47

JUDAH LEWIS Słuchajcie, proszę, cokolwiek?

Lubię to! Odpowiedz 24 września, 18.09



# CZEŚĆ TRZECIA







## 10

W ogóle się nie zastanowiłam nad tym, co zrobić.

Podbiegłam do werandy, rozsunęłam szklane drzwi i wychyliłam się przez poręcz, desperacko rozglądając się, czy nie mignie mi coś – albo ktoś – wśród bujających się fal. Ciemna powierzchnia była upstrzona jasnym, odbitym światłem z okien statku, przez co niemal niemożliwe było wypatrzenie czegoś w tych głębinach, ale przez sekundę miałam wrażenie, że zobaczyłam coś pod grzbietem czarnej fali – jakiś wirujący biały kształt podobny do kobiecej dłoni, który unosił się na powierzchni, a potem zatonął.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na balkon sąsiadujący z moim.

Były od siebie oddzielone mleczną szybą, więc nie dostrzegłam wiele, ale kiedy tak się wpatrywałam, zauważyłam dwie rzeczy.

Po pierwsze, jakąś smugę na zabezpieczającym go szkle. Smugę czegoś ciemnego i oleistego. Smugę, która mocno wyglądała na krwawą.

Po drugie, zdałam sobie sprawę z czegoś, co przyprawiło mnie o ścisk żołądka. Ktokolwiek tam stał – ktokolwiek wyrzucił to ciało za burtę – nie mógł nie zauważyć, że rzuciłam się biegiem na balkon. Ta osoba najprawdopodobniej stała wtedy na werandzie obok. Musiała usłyszeć trzaśnięcie drzwi. Pewnie widziała moją twarz.

Wskoczyłam z powrotem do pokoju, zatrzasnęłam za sobą wyjście na werandę i sprawdziłam, czy drzwi do kajuty są zamknięte na dwa zamki. Potem jeszcze powiesiłam łańcuch. Serce waliło mi w piersi, ale czułam spokój, nie byłam taka spokojna całe wieki.

To było to. Prawdziwe niebezpieczeństwo, a ja sobie z nim radziłam.

Po zabezpieczeniu drzwi do kajuty pobiegłam z powrotem i sprawdziłam jeszcze wyjście na werandę. Nie było tam zamka antywłamaniowego, tylko zwykła zasuwka, ale zabezpieczyłam je na tyle, na ile byłam w stanie.

Potem sięgnęłam po telefon przy łóżku – moje palce drżały tylko odrobinę – i wybrałam zero, by połączyć się z operatorem.

– Halo? – odezwał się śpiewny głos. – W czym mogę pomóc, pani Blacklock?

Przez minutę byłam całkiem rozkojarzona tym, że ona wiedziała, kto dzwoni. Zupełnie mnie to zbiło z tropu. Potem zrozumiałam – na telefonie obsługi musiał się pokazać numer mojej kajuty. Oczywiście, że to byłam ja. Kto inny miałby dzwonić z mojej kabiny w środku nocy?

– Dzi-dzień dobry – wydusiłam. Mimo drżenia mój głos brzmiał zaskakująco spokojnie. – Dzień dobry. Z kim rozmawiam?

– Tu stewardesa pani kajuty, Karla, pani Blacklock. W czym mogę pomóc?

– Do jej radosnego tonu telefonicznej rozmowy wkradła się troska. – Wszystko w porządku?

– Nie, nie, nie wszystko jest w porządku. Przed... – Urwałam, świadoma, jak to musi absurdalnie brzmieć.

– Pani Blacklock?

– Wydaje mi się... – Przełknęłam. – Wydaje mi się, że przed chwilą widziałam morderstwo.

– O mój Boże.

Głos Karli był zaskoczony i powiedziała coś w języku, którego nie rozumiałam. Może po szwedzku, może po duńsku. Następnie chyba odzyskała panowanie nad sobą i zadała mi pytanie:

– Czy jest pani bezpieczna, pani Blacklock?

*Czy byłam bezpieczna?* Spojrzałam na drzwi do kajuty. Byłam przekonana, że nikt nie może się dostać do środka.

– Tak, tak mi się wydaje. To było w kajucie obok, pod numerem dziesiątym. Palmgren. Chy... chyba ktoś wyrzucił stamtąd ciało za burtę.

Głos mi się załamał, kiedy to powiedziałam, i nagle poczułam, że mam ochotę się roześmiać – albo może rozpłakać. Wzięłam głęboki wdech

i uszczypnęłam się w czubek nosa, próbując się opanować.

– Zaraz kogoś do pani przyślę, pani Blacklock. Proszę się nie ruszać. Zadzwońię do pani, kiedy będzie pod drzwiami, żeby pani wiedziała, kto przyszedł. Proszę chwileczkę poczekać, zaraz oddzwonię.

Rozległo się kliknięcie i rozłączyła się.

Delikatnie odłożyłam słuchawkę, czując się dziwnie oderwana od tego wszystkiego, prawie jakbym doświadczyła jakiejś eksterioryzacji. Głowa mi pękała i zdałam sobie sprawę, że muszę się ubrać, zanim przyjdą.

Sięgnęłam po szlafrok, który wisiał na drzwiach łazienki – i замуrowało mnie. Kiedy schodziłam na kolację, zostawiłam go na podłodze, razem z ubraniami, które miałam na sobie w pociągu. Pamiętałam, jak obejrzałam się przez ramię na ten bałagan, którego narobiłam w łazience – ciuchy na podłodze, kosmetyki rozrzucone po blacie, chusteczki ubrudzone szminką w zlewie – i pomyślałam: *Zajmę się tym później.*

Niczego nie było. Szlafrok został powieszony, moje brudne ubrania i bielizna zniknęły, odłożone Bóg wie gdzie.

Na toaletce moje kosmetyki zostały starannie poustawiane w rzędkach, razem ze szczoteczką i pastą do zębów. Tylko tampony i pigułki zostały w kosmetyczce, a ten wstydlivy ruch wydał mi się jeszcze gorszy, niż gdyby wszystko zostało wybebeszone. Wzdrygnęłam się.

Ktoś był w moim pokoju. Oczywiście, że tak. Przecież na tym polega obsługa pokojówki, na Boga. Ale ktoś był w moim pokoju, ruszał moje rzeczy, dotykał moich podartych rajstop i w połowie zużytej kredki do oczu.

Dlaczego ta myśl sprawiała, że chciało mi się płakać?

Siedziałam na łóżku z głową w dłoniach i myślałam o zawartości minibarku, kiedy zadzwonił telefon; parę sekund później, gdy przeczołgałam się po kołdrze, by go odebrać, rozległo się pukanie do drzwi.

Podniosłam słuchawkę.

– Halo?

– Halo, pani Blacklock? – To była Karla.

– Tak, ktoś jest pod moimi drzwiami. Mam otworzyć?

– Tak, bardzo proszę. To nasz szef ochrony, Johann Nilsson. Powierzam mu panią, pani Blacklock, ale proszę dzwonić w każdej chwili, gdyby potrzebowała pani dalszej pomocy.

Rozległo się kliknięcie i sygnał umilkł, a pukanie do drzwi się powtórzyło. Ciaśniej owinęłam się szlafrokiem i poszłam otworzyć drzwi.

Na zewnątrz stał mężczyzna, którego wcześniej nie widziałam, ubrany w jakiś służbowy strój. Nie wiem, czego się spodziewałam – kogoś raczej w stylu policjanta. To był bardziej mundur marynarski, podobny do głównego stewarda albo kogoś takiego. Mężczyzna miał koło czterdziestu lat i był tak wysoki, że musiał się schylić, przechodząc przez próg. Jego włosy były zmierzwione, jakby dopiero co wstał z łóżka, a oczy zaskakiwały takim niebieskim kolorem, jakby nosił niebieskie soczewki kontaktowe. Gapiłam się na nie, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że wyciągnął do mnie rękę.

– Dzień dobry, mam przyjemność z panią Blacklock? – spytał. Bardzo dobrze mówił po angielsku. Miał nikły ślad skandynawskiego akcentu, więc można by go wziąć niemal za Szkota albo Kanadyjczyka. – Nazywam się Johann Nilsson. Jestem szefem ochrony na Aurorze. Rozumiem, że zauważyła pani coś, co wzbudziło pani niepokój.

– Tak – odparłam stanowczo, nagle boleśnie świadoma tego, że jestem w szlafroku, a maskara spłynęła mi do połowy policzków, on tymczasem był w pełnym stroju służbowym. Jeszcze raz poprawiłam pasek, tym razem nerwowo. – Tak. Widziałam... usłyszałam wyrzucanie czegoś za burtę. Wydaje mi się, że to było... to musiało być... jakieś ciało.

– Widziała pani czy słyszała? – dopytał Nilsson, przekrzywiając głowę na bok.

– Usłyszałam plusk, bardzo głośny plusk. Było to dość oczywiste, że za burtę wypadło coś bardzo dużego... albo zostało wypchnięte. A potem podbiegłam do balkonu i coś zobaczyłam... Wyglądało na ciało... znikające wśród fal.

Nilsson miał poważny, ale nieprzenikniony wyraz twarzy, a kiedy mówiłam, jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

– A na szklanej szybie balkonu jest krew – dodałam.

Jego usta się wtedy zacisnęły i skinął krótko w stronę drzwi na werandę.

– Pani balkonu?

– Ta krew? Nie. Za ścianą.

– Może mi pani pokazać?

Pokiwałam głową, znów poprawiłam pasek i patrzyłam, jak Nilsson otwiera zasuwkę na drzwiach balkonowych.

Na zewnątrz wzmógł się wiatr, było bardzo zimno. Wyszłam pierwsza na tę wąską przestrzeń, która nagle wydała się boleśnie mała, kiedy stał za mną postawny Nilsson. Zajmował sobą całą tę werandę i nie tylko, ale po części się cieszyłam, że jest ze mną. Nie sądziłam, żebym była w stanie wyjść tam jeszcze raz sama.

– Tam. – Wskazałam na szklany panel oddzielający moją werandę od tej należącej do kajuty numer dziesięć. – Proszę tam spojrzeć. Zobaczy pan, o czym mówię.

Nilsson wyjrzał przez barierkę, a potem popatrzył znów na mnie, lekko marszcząc brwi.

– Nie wiem, co ma pani na myśli. Czy może mi pani pokazać to miejsce?

– Jak to? Na całej długości szyby była wielka smuga.

Wycofał się i zapraszającym gestem wyciągnął rękę w stronę przegrody, a ja precyzyjnie przycisnęłam się obok niego, żeby wyjrzeć. Nie mogłam powstrzymać coraz szybszego bicia serca. Nie spodziewałam się, że zobaczę tam mordercę ani że dostanę pięścią w twarz, ani że koło ucha przeleci mi kula. Czułam się jednak potwornie bezbronna, nie wiedząc, czego się mogę spodziewać po drugiej stronie.

Ale odkryłam tam... wielkie nic.

Żadnego przykucniętego mordercy, który zaraz na mnie naskoczy. Żadnej smugi krwi. Szklana przegroda lśniła w blasku księżyca, czysta, bez choćby odcisku palca.

Odwróciłam się z powrotem do Nilssona, wiedząc, że na mojej twarzy musi malować się szok. Pokręciłam głową, spróbowałam coś powiedzieć. On patrzył na mnie, a w jego niebieskich oczach dostrzegłam współczucie.

Właśnie to współczucie zabolowało mnie bardziej niż cokolwiek innego.

– Ale to tam było – powiedziałam ze złością. – On widocznie wszystko powycierał.

– On?

– Ten morderca! Oczywiście, że ten pieprzony morderca!

– Nie ma potrzeby się tak wyrażać, pani Blacklock – odpowiedział łagodnie i wrócił do kajuty.

Poszłam za nim, a on starannie zamknął i zabezpieczył zasuwą drzwi za mną, po czym stanął z rękoma po bokach, jakby czekał, aż coś powiem. Czułam zapach jego wody kolońskiej – nie był nieprzyjemny, trochę drzewny. Ale nagle ten przestronny pokój wydał mi się uciążliwie mały.

– Co? – powiedziałam w końcu, starając się, żeby to nie zabrzmiało agresywnie, ale nie wyszło mi. – Powiedziałam panu, co widziałam. Twierdzi pan, że kłamię.

– Chodźmy do tej sąsiedniej kajuty – odparł dyplomatycznie.

Znów zacisnęłam mocniej pasek od szlafroka, tak mocno, aż poczułam, jak wbija mi się w brzuch, i boso poszłam za nim na korytarz. Zapukał krótko pod numer dziesiąty, a kiedy nikt nie odpowiedział, wyciągnął z kieszeni uniwersalny klucz i otworzył drzwi.

Stanęliśmy w progu. Nilsson się nie odzywał, ale czułam jego obecność za moimi plecami, kiedy z rozdziawionymi ustami gapiłam się na ten pokój.

Był całkowicie pusty. Nie tylko nie było tam żadnego człowieka, ale też po prostu niczego. Żadnych walizek. Żadnych ubrań. Żadnych kosmetyków w łazience. Nawet łóżko zostało rozebrane do gołego materaca.

– Tu była jakaś dziewczyna – powiedziałam w końcu, głos mi się łamał. Schowałam dłonie do kieszeni szlafroka, żeby nie widział, jak zaciskam je w pięści. – Tu była jakaś dziewczyna. W tej kajucie. *Rozmawiałam z nią.* Spotkałyśmy się. Ona tu była!

Nilsson nic nie powiedział. Przeszedł przez cichy, oświetlony księżycem apartament i otworzył drzwi na werandę, po czym wyjrzał na zewnątrz, przyglądając się szklanej przegrodzie z niemal obraźliwą dla mnie skrupulatnością. Ale już z daleka widziałam, że niczego tam nie ma. Szyba

lśniła w księżycowym blasku, lekko zamglona rozpryskującymi się falami oceanu, ale poza tym wyglądała nieskazitelnie.

– Ona tu była – powtórzyłam, słysząc, że jestem na granicy hysterii, wkurzało mnie to. – Dlaczego mi pan nie wierzy?

– Nie powiedziałem, że pani nie wierzę. – Nilsson wrócił do pokoju i zamknął zasuwę drzwi tarasowych. Potem wyprowadził mnie z tej kajuty i zamknął ją za nami.

– Nie musi pan – zauważyłam gorzko.

Otworzył moje drzwi, wprowadził mnie do środka.

– Ale mówię panu, że ona tam była. Pożyczyła mi... Och! – Coś nagle mnie uderzyło i pobiegłam do łazienki. – Pożyczyła mi tusz do rzęs. Cholera, gdzie on jest?

Zaczęłam szperać wśród ostrożnie rozstawionych kosmetyków, ale nie było go tam. Gdzie on zniknął?

– Musi tu być – powiedziałam rozpaczliwie. – Wiem, że gdzieś jest.

Rozejrzałam się niespokojnie i coś zauważyłam, jakiś błysk intensywnego różu za wysuwającym lusterkiem do golenia u boku umywalki. Wyciągnęłam je i oto był, niewinne małe opakowanie z zieloną zakrętką.

– Proszę. – Wycelowałam nim triumfalnie w Nilssona jak bronią.

On zrobił krok w tył, a potem delikatnie przyjął maskarę z mojej dłoni.

– Rozumiem – powiedział. – Ale, z całym szacunkiem, pani Blacklock, nie jestem pewien, czy to czegokolwiek dowodzi, poza tym, że pożyczyła dziś pani od kogoś tusz do rzęs...

– Czego to dowodzi? Tego, że ona naprawdę tam była! Mam dowód na to, że istniała!

– To dowodzi, że widziała pani jakąś dziewczynę, owszem, ale...

– Czego pan *chce*? – przerwałam mu rozpaczliwie. – Czego więcej pan ode mnie chce? Powiedziałam panu, co usłyszałam... co widziałam. Powiedziałam panu, że w tamtej kajucie była jakaś dziewczyna, a teraz jej nie ma. Proszę sprawdzić listę gości, ktoś zaginął. Dlaczego nie jest pan tym bardziej przejęty?

– Ta kabina jest pusta – powiedział łagodnie.



– Wiem o tym! – krzyknęłam, a potem, kiedy zobaczyłam jego minę, włożyłam duży wysiłek w to, żeby się skupić i opanować. – Wiem, to właśnie próbuję panu powiedzieć, na Boga.

– Nie – odparł z tą samą cichą delikatnością, delikatnością ważnego człowieka, który niczego nie musi nikomu udowadniać. – To właśnie próbuję wyjaśnić, pani Blacklock. Ta kajuta *zawsze* była pusta. W tamtej kajucie nie było żadnego gościa. Od samego początku.



## 11

Wpatrywałam się w niego z otwartymi ustami.

– Jak to? – wykrztusiłam w końcu. – Co pan przez to rozumie, jak to: żadnego gościa?

– Ta kajuta jest pusta – powiedział. – Zarezerwowano ją dla kogoś innego, dla inwestora o nazwisku Ernst Solberg. Ale on zrezygnował w ostatniej chwili, jak zrozumiałem, z powodów osobistych.

– Czyli ta dziewczyna, którą widziałam... nie powinno jej tam być?

– Może to był ktoś z załogi albo sprzątaczką.

– *Nie*. Ona się wtedy ubierała. *Mieszkała* tam.

Nic nie odpowiedział. Nie musiał – to pytanie było oczywiste. Jeżeli tam się zatrzymała, to gdzie były jej wszystkie rzeczy?

– Ktoś mógł je wynieść – powiedziałam słabo. – Pomiędzy tym, jak mnie zobaczył, a pana przyjściem.

– Naprawdę?

Nilsson mówił cicho, jego pytanie nie było sceptyczne ani prześmiewcze, tylko... pełne niezrozumienia. Usiadł na kanapie, sprężyny zaskrzypiały pod jego masywnym ciałem, a ja opadłam na łóżko i schowałam twarz w dłoniach.

Miał rację. Nie było szans, by ktoś opróżnił ten pokój. Nie wiedziałam, ile dokładnie czasu minęło między tym, jak zadzwoniłam do Karli, a pojawieniem się Nilssona pod moimi drzwiami, ale nie było mowy, żeby to trwało dłużej niż kilka minut. Pięć, maksymalnie siedem. Pewnie nawet mniej.

Ktokolwiek tam był, *mógł* mieć czas na wytarcie krwi z szyby, ale tylko tyle. Nie zdołałby opróżnić całej kajuty. Co zresztą miałby zrobić z tymi rzeczami? Usłyszałabym, gdyby je wyrzucił za burtę. A po prostu nie było czasu, żeby to spakował i wyniósł gdzieś korytarzem.

– Cholera – powiedziałam w końcu w dłonie. – Cholera.

– Pani Blacklock – odezwał się powoli Nilsson, a ja wyczułam nagle, że nie spodoba mi się jego kolejne pytanie. – Pani Blacklock, ile pani wypła wczoraj wieczorem?

Podniosłam wzrok, dzięki czemu zobaczył mój rozmazany makijaż i wściekłość w zamroczonych snem oczach.

– *Przepraszam* bardzo?

– Spytałem tylko...

Nie było sensu temu zaprzeczać. Wystarczająco dużo ludzi widziało mnie poprzedniego wieczoru, jak piłam szampana, potem wino, potem szoty po kolacji, żeby nie było sensu upierać się przy tym, iż byłam trzeźwa.

– Tak, piłam – powiedziałam niemiło. – Ale jeśli pana zdaniem pół kieliszka wina zmienia mnie w jakąś rozhisteryzowaną pijaczkę, która nie odróżnia prawdy od fantazji, to grubo się pan pomylił.

Nie odpowiedział na to, ale jego wzrok powędrował do kosza obok minibarku, w którym leżało kilka miniaturowych buteleczek po whisky i ginie oraz znacznie mniej puszek po toniku.

Zapadła cisza. Nilsson nie upierał się przy swoim, ale nie musiał. Skurczybyki, te pokojówki.

– Może i piłam – odezwałam się przez zaciśnięte zęby. – Ale *nie* byłam pijana. Nie do tego stopnia. Wiem, co widziałam. Dlaczego miałabym to zmyślać?

Zdawał się to akceptować i ostrożnie skinął głową.

– No, dobrze, pani Blacklock.

Potarł sobie dłonią twarz, a ja usłyszałam, jak krótki blond zarost zaszeleścił mu pod ręką. Był zmęczony. Zauważyłam, nagle i poniewczasie, że miał krzywo zapiętą marynarkę, a na dole widać było samotną dziurkę od guzika.

– Jest późno, pani jest zmęczona.

– *Sam* pan jesteś zmęczony – odpaliłam z niemałą dozą złośliwości, ale on tylko pokiwał głową, nie zaprzeczając.

– Tak, jestem zmęczony. Sądzę, że do rana i tak nie możemy już nic zdziałać.

– Jakaś kobieta została wyrzucona...

– Nie ma pani dowodów! – powiedział głośniej, przerywając mi, i po raz pierwszy w jego tonie pobrzmiała irytacja. – Przepraszam, pani Blacklock – dodał ciszej. – Nie powinienem się z panią spierać. Ale nie uważam, żeby było dość dowodów, by budzić w tej chwili pozostałych pasażerów. Niech każde z nas się wyśpi... – „A pani wytrzeźwieje” wybrzmiało w podtekście. – I spróbujemy rozwiązać tę sprawę rano. Być może zabiorę panią na spotkanie z załogą, żebyśmy mogli namierzyć tę dziewczynę, którą widziała pani w kajucie. Ewidentnie nie była ona pasażerką, prawda?

– Nie było jej wczoraj na kolacji – przyznałam. – Ale co, jeśli nie należała do załogi? Co, jeśli ktoś zaginął, a my tracimy czas, nie podnosząc alarmu?

– Porozmawiam teraz z kapitanem oraz głównym stewardem, powiadomię ich o sytuacji. Ale z tego, co wiem, nie zniknął nikt z obsługi; gdyby tak było, ktoś by to zauważył. To jest mały statek ze zgraną załogą, trudno, żeby ktoś zaginął niezauważony, nawet jeśli tylko na parę godzin.

– Myślę po prostu... – zaczęłam, ale on mi przerwał, tym razem grzecznie i zdecydowanie:

– Pani Blacklock, nie będę budził śpiącej załogi oraz pasażerów bez powodu. Przykro mi. Poinformuję kapitana oraz głównego stewarda, a oni podejmą takie działanie, jakie uznają za stosowne. Tymczasem może mogłaby pani opisać mi tę dziewczynę, którą pani widziała, a ja jeszcze raz sprawdzę listę pasażerów i zwołam wyjątkowe zebranie wszystkich członków załogi pasujących do tego opisu, żeby mogła się z nimi pani spotkać jutro po śniadaniu.

– W porządku – odpowiedziałam chmurnie.

Zostałam pokonana. *Wiedziałam*, co zobaczyłam, co usłyszałam, ale Nilssona to nie ruszało, tyle zrozumiałam. A co innego mogłam zrobić tu, na

środku oceanu?

– No więc – ciągnął. – Ile miała lat, ile wzrostu? Pochodzenia kaukaskiego, azjatyckiego, czarna...?

– Przed trzydziestką – odparłam. – Mniej więcej mojego wzrostu. Biała, właściwie to miała bardzo jasną cerę. Mówiła po angielsku.

– Z akcentem? – dopytał Nilsson.

Pokręciłam głową.

– Nie, ona była Angielką... a jeśli nie, to musiała być całkiem dwujęzyczna. Miała długie, ciemne włosy... Nie przypominam sobie koloru oczu. Chyba ciemnobrązowe. Nie jestem pewna. Szczupłej budowy... Była po prostu... piękna. To wszystko, co pamiętam.

– Piękna?

– Tak, piękna. Wie pan. Ładne rysy. Zdrowa cera. Miała makijaż. Mocno pomalowane oczy. O, i była ubrana w koszulkę z Pink Floyd.

Nilsson zanotował to wszystko z powagą, a potem wstał i sprężyny zaskrzypiały w proteście lub może z ulgą.

– Dziękuję, pani Blacklock. A teraz myślę, że oboje powinniśmy się trochę przespać. – Potarł sobie twarz i wyglądał zupełnie jak wielki blond niedźwiedź wyrwany ze snu zimowego.

– O jakiej porze mam się jutro pana spodziewać?

– A jaka pani pasuje? Dziesiąta? Dziesiąta trzydzieści?

– Wcześniej – odparłam. – Nie zasnę, nie teraz. – Byłam podenerwowana i czułam, że nigdy nie zdołam zasnąć.

– Cóż, zaczynam zmianę o ósmej. Czy to za wcześnie?

– Idealnie – powiedziałam stanowczo.

Nilsson podszedł do drzwi, powstrzymując przy tym ziewnięcie, a ja patrzyłam, jak ruszył korytarzem w stronę schodów. Potem zamknęłam za nim na dwa zamki i poszłam się położyć na łóżku.

Zapatrzyłam się na morze. Fale w blasku księżyca były ciemne i lśniły, podnosiły się niczym grzbiety wielorybów, a potem opadały. Leżałam i czułam, jak statek unosi się i opada wraz z falą.

Nie byłam w stanie zasnąć. Wiedziałam o tym. Nie z krwią szumiącą mi w uszach i sercem walącym w piersi w rytm wściekłego *staccato*. Nie potrafiłam się wyciszyć.

Byłam wściekła – tylko nie do końca wiedziałam dlaczego. Bo ciało jakiejś kobiety nadal dryfowało w czarną ciemność Morza Północnego i prawdopodobnie nigdy nie miało zostać odnalezione? Czy też chodziło o coś mniejszego, bardziej pierwotnego – o to, że Nilsson mi nie uwierzył?

„Może on ma rację” – wyszeptał wredny głosik w mojej głowie. Przebiegły mi przed oczami obrazy – mnie przerażonej pod prysznicem dlatego, że drzwi zatrzasnęły się same. Mnie broniącej się przed nieistniejącym napastnikiem i atakującej Judah. „Jesteś pewna? Nie sprawiasz wrażenia bardzo wiarygodnego świadka. Co ty właściwie widziałaś?”

Widziałam krew, powiedziałam sobie stanowczo. I zaginęła jakaś dziewczyna. Jak to wyjaśnić?

Zgasiłam światło i nakryłam się kołdrą, ale nie spałam. Leżałam na boku, obserwując morze, które unosiło się i opadało w dziwnej, hipnotyzującej ciszy za grubymi, wiatroodpornymi oknami. I pomyślałam, że na tym statku znajduje się morderca. I że nie wie o tym nikt prócz mnie.





## 12

– Pani Blacklock!

– Znow rozległo się pukanie i usłyszałam chrobotanie uniwersalnego klucza w zamku oraz uderzenie, kiedy drzwi otworzyły się o centymetr i napotkały opór łańcucha.

– Pani Blacklock, tu Johann Nilsson. Wszystko w porządku? Jest ósma rano. Prosiła pani, żebym przyszedł.

*Co?* Podniosłam się na łokciach, a głowa pękała mi z wysiłku. Dlaczego, u licha, prosiłam, żeby budzono mnie o ósmej rano?

– Chwileczkę! – wykrztusiłam.

Usta miałam suche, jakbym nałykała się popiołu, więc sięgnęłam po szklankę stojącą przy łóżku i trochę wypiałam. Wtedy zalały mnie wspomnienia poprzedniej nocy.

Ten hałas, który mnie obudził.

Ta krew na szybie werandy.

To ciało.

Ten plusk...

Zestawiłam nogi z łóżka i poczułam, jak statek się buja i przechyła, a wtedy natychmiast zebrało mi się na mdłości.

Pobiegłam do łazienki i zdążyłam tylko pochylić się nad toaletą, a wtedy moja kolacja popłynęła gwałtowną falą wymiotów na czystą, białą porcelanę.

– Pani Blacklock?

*Idź. Stąd.*

Nie powiedziałam tego na głos, ale być może chlupoczące odgłosy wymiotów przekazały moje intencje, bo drzwi zostały bardzo cicho zamknięte, a ja mogłam wstać i przyjrzeć się sobie bez publiczności.

Wyglądałam okropnie. Resztki makijażu rozmazały mi się smugami na policzkach, we włosach miałam wymiociny, a moje oczy były przekrwione i zapuchnięte. Siniak na policzku tylko potęgował ten efekt.

Tego ranka morze było bardziej niespokojne i wszystko wokół przesunęło się oraz brzęczało. Owinęłam się szlafrokiem, wróciłam do kajuty i leciutko uchyliłam drzwi – tylko na tyle, żeby przez nie wyjrzeć.

– Muszę wziąć prysznic – rzuciłam zwięźle. – Może pan zaczekać? – A potem zamknęłam za sobą drzwi.

W łazience spłukałam toaletę i wytarłam jej brzegi, starając się usunąć wszelkie ślady wymiotów. Kiedy jednak się wyprostowałam, to nie moja blada, wymęczona twarz rzuciła mi się w oczy, tylko opakowanie maskary od Maybelline stojące samotnie przy umywalce. Wstałam, chwytając się toaletki, oddech miałam krótki i ostry, a statek znów się zakołysał i wszystko na blacie przesunęło się i poprzewracało, a to opakowanie spadło z cichutkim trzaskiem i wpadło do kosza. Sięgnęłam po nie i wyciągnęłam, ściskając je w pięści.

To był jedyny namacalny dowód na to, że tamta dziewczyna *istniała*, a ja nie oszalałam.



Dziesięć minut później byłam już ubrana w dżinsy i świeżą, białą koszulę, wyprasowaną przez osobę, która wypakowała moją walizkę. Moja twarz była blada, ale czysta. Odblokowałam zamek i otworzyłam drzwi, a Nilsson czekał cierpliwie na korytarzu, rozmawiając przez krótkofalówkę. Podniósł wzrok, gdy mnie zauważył, i wyłączył urządzenie.

– Bardzo przepraszam, pani Blacklock – odezwał się. – Być może nie powinienem pani budzić, ale wczorajszej nocy tak bardzo pani nalegała...

– Nie ma sprawy – uciełam przez zaciśnięte zęby.

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak szorstko, ale gdybym zbyt mocno otworzyła usta, znowu mogłoby mi się zrobić niedobrze. Dzięki Bogu, że kołysanie statku było jakąś wymówką dla rozstrojonego żołądka. Choroba morska nie była może niczym pięknym, ale w każdym razie nie narażała tak bardzo mojego zawodowego wizerunku jak bycie uznaną za alkoholiczkę.

– Rozmawiałem już z załogą – oznajmił Nilsson. – Nie zgłoszono niczyjego zaginięcia, ale proponuję, żeby zeszła pani do naszych kwater i sprawdziła, czy nie ma tam kobiety, z którą pani rozmawiała. Być może to panią uspokoi.

Już miałam zaprotestować, że ona *nie należała* do załogi, chyba że panie sprząające pracowały w pokojach ubrane wyłącznie w koszulki Pink Floyd. Ale zamknęłam się. Chciałam sama obejrzeć niższe pokłady.

Poszłam za nim długim, krętym korytarzem do małych drzwi służbowych przy klatce schodowej. Znajdował się na nich zamek cyfrowy, na którym Nilsson szybko wystukał sześćelementowy kod, a drzwi się otworzyły. Po ich wyglądzie spodziewałabym się za nimi raczej szafki na miotły, a tymczasem było tam małe, słabo oświetlone piętro oraz wąskie schody prowadzące w głąb statku. Kiedy schodziliśmy, z niepokojem zdałam sobie sprawę, że musieliśmy już znaleźć się pod poziomem wody albo w jego pobliżu.

Wyszliśmy na ciasny korytarz, który sprawiał zupełnie inne wrażenie niż pasażerska część statku. Wszystko było inne: sufit znajdował się niżej, było tam o parę stopni cieplej, a ściany stały bliżej siebie i pomalowano je na jakiś paskudny odcień beżu. Świeciły słabe jarzeniówki z taką dziwną, wysoką częstotliwością migotania, że niemal natychmiast odczuwało się zmęczenie oczu.

Na lewo i prawo zobaczyłam drzwi, osiem lub dziesięć kajut upchniętych na takiej samej przestrzeni jak na wyższym piętrze dwie. Minęliśmy otwarte drzwi i zobaczyłam kabinę bez okna, oświetloną tym samym szarawym światłem jarzeniówki, oraz kobietę o azjatyckich rysach siedzącą w środku na koi. Wciągała rajstopy, a jej głowa i ramiona kuliły się wąskiej

przestrzeni pod górną koją. Nerwowo zerknęła, kiedy minął ją Nilsson, a na mój widok zamarła jak przerażony królik przed reflektorami auta. Przez chwilę po prostu siedziała bez ruchu, po czym gwałtownie sięgnęła stopą do drzwi i zatrzasnęła je. Dźwięk w tej ciasnej przestrzeni był głośny niczym wystrzał z broni palnej.

Poczułam, że się rumienię, jakbym była jakąś podglądaczką, i pospieszyłam za oddalającym się Nilssonem.

– Tędy – rzucił przez ramię i stanęliśmy przed drzwiami oznaczonymi jako „Mesa”.

To pomieszczenie było przynajmniej większe i poczułam, że narastające wrażenie klaustrofobii lekko ustąpiło. Sufit nadal był tam niski i brakowało okien, ale sala otwierała się na małą jadalnię, jakby miniaturową wersję szpitalnej stołówki. Stały tam tylko trzy stoły, przy każdym zmieściłoby się może z sześć osób, ale laminowane blaty, stalowe poręcze i silny zapach charakterystyczny dla publicznych stołówek tylko podkreślały rozdźwięk pomiędzy tym piętrem a tym powyżej.

Camilla Lidman siedziała sama przy jednym ze stołów, pijąc kawę i przeglądając jakąś tabelę na laptopie. Po drugiej stronie sali pięć dziewczyn zajmowało miejsca przy innym stole, jedząc pieczywo śniadaniowe. Kiedy weszliśmy, spojrzały na nas.

– *Hej, Johann* – odezwała się jedna z nich, a potem dodała coś po szwedzku albo może duńsku, nie byłam pewna.

– Proszę, rozmawiajmy po angielsku – odpowiedział Nilsson. – Bo mam ze sobą gościa. Pani Blacklock próbuje namierzyć osobę, którą widziała w kajucie obok swojej, pod dziesiątką, Palmgren. Widziana przez nią kobieta była biała, w wieku około trzydziestu lat, miała długie, ciemne włosy i mówiła dobrze po angielsku.

– Cóż, to mogłam być ja albo Birgitta – powiedziała z uśmiechem jedna z dziewczyn, kiwając głową na koleżankę naprzeciwko. – Mam na imię Hanni. Ale nie wydaje mi się, żebym była w Palmgren. Pracuję głównie za barem. Birgitta?

Ale ja pokręciłam głową. I Hanni, i Birgitta miały bladą cerę i ciemne włosy, ale żadna z nich nie była dziewczyną z tamtej kajuty, a chociaż Hanni doskonale władała angielskim, miała zauważalny skandynawski akcent.

– A ja jestem Karla, pani Blacklock – odezwała się jedna z blond dziewczyn. – Poznałyśmy się wczoraj, jeśli pani pamięta. I rozmawiałyśmy w nocy przez telefon.

– Oczywiście – odpowiedziałam nieuważnie, ale byłam zbyt zajęta przyglądaniem się twarzom pozostałych dziewczyn, żeby zwrócić na nią uwagę.

Karla i ta czwarta dziewczyna przy stole były blondynkami, a piąta miała śródziemnomorską karnację i bardzo krótkie włosy, prawie w stylu pixie. Co ważniejsze, żadna z nich nie przypominała tej ożywionej, niecierplivej twarzy, którą zapamiętałam.

– To nie jest żadna z was – powiedziałam. – Czy jest jeszcze ktoś, kto pasowałby do tego opisu? Co z paniami sprzątającymi? Albo z załogą marynarską?

Birgitta zmarszczyła brwi i powiedziała do Hanni coś po szwedzku. Hanni pokręciła głową i odezwała się po angielsku.

– Do załogi należą głównie mężczyźni. Jest tam jedna kobieta, ale ruda i chyba koło czterdziestki albo pięćdziesiątki. Ale Iwona, jedna ze sprzątaczek, pasowałaby do tego opisu. Ona jest Polką.

– Pójdę po nią – oznajmiła Karla.

Wstała z uśmiechem i przecisnęła się, wychodząc zza stołu.

– Jest jeszcze Eva – powiedział z namysłem Nilsson, kiedy Karla wyszła.

– To jedna z terapeutek w spa – wyjaśnił mi.

– Jest pewnie na górze, w spa – powiedziała Hanni. – Przygotowuje się do pracy. Ale ona jest przynajmniej po trzydziestce albo może nawet po czterdziestce.

– Pójdziemy z nią później porozmawiać – powiedział Nilsson.

– Nie zapomnijcie o Ulli. – Dziewczyna z krótkimi włosami odezwała się po raz pierwszy.

– Ach, tak – przypomniał sobie Nilsson. – Ona ma teraz zmianę? Ulla to jedna z naszych stewardes w przednich kajutach oraz apartamencie Nobla – wyjaśnił mi.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Tak, ale chyba zaraz kończy.

– Pani Blacklock – odezwał się jakiś głos za mną, a ja się odwróciłam i zobaczyłam, że Karla chciała mi przedstawić pracownicę, niską, przysadzistą kobietę po czterdziestce z włosami pofarbowanymi na czarno i siwymi odrostami. – To jest Iwona.

– Mogę pomóc? – spytała Iwona z wyraźnym polskim akcentem. – Jest problem?

Pokręciłam głową.

– Bardzo przepraszam... – Nie byłam pewna, czy kierować moją odpowiedź do Iwony, Nilssona czy Karli. – To... Pani nie jest tą kobietą, którą widziałam. Ale chcę tylko powiedzieć... nie ma mowy, żeby ta kobieta miała jakieś kłopoty. Nie chodzi o to, że coś ukradła ani nic takiego. Martwię się o nią... Słyszałam jakiś krzyk.

– Krzyk?

Wąskie brwi Hanni prawie zniknęły pod jej grzywką i wymieniła spojrzenia z Karlą, która otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale właśnie wtedy po raz pierwszy wypowiedziała się stojąca za nami Camilla Lidman.

– Jestem pewna, że nikt z załogi nie jest tą kobietą, której pani szuka, pani Blacklock. – Przeszła przez pomieszczenie i stanęła przy stole, kładąc dłoń na ramieniu Hanni. – Wiedzielibyśmy o tym, gdyby działo się coś niepokojącego. Jesteśmy bardzo... jak to się mówi? Bardzo ściśle związani.

– Bardzo blisko – dodała Karla.

Zerknęła na Camillę Lidman, a potem z powrotem na mnie i uśmiechnęła się, chociaż jej uniesione, przesadnie wyskubane brwi czyniły ten wyraz twarzy dziwnie nieprzekonującym i raczej budzącym niepokój.

– Jesteśmy zgraną ekipą.

– Nieważne – powiedziałam.

Widziałam, że do niczego nie dojdę z tymi dziewczynami. Popełniłam błąd, wspominając o tym krzyku, teraz zwarli przeciwko mnie szyki. A może rozmowa z nimi w obecności Camilli i Nilssona też była błędem.

– Proszę się nie przejmować. Pójdę porozmawiać z... Evą, tak? I Ullą. Dziękuję za poświęcony czas. Ale jeśli coś panie usłyszą, cokolwiek, to jestem w kajucie dziewiątej, Linneusza. Proszę, przyjdźcie do mnie, o każdej porze.

– Niczego nie słyszałyśmy – stwierdziła stanowczo Hanni. – Ale oczywiście damy pani znać, jeśli coś się zmieni. Pięknego dnia, pani Blacklock.

– Dzięki – odparłam.

Kiedy się obróciłam, statek się przechylił, a dziewczyny wydały z siebie roześmiane piski i chwyciły za swoje kawy. Zatoczyłam się i byłabym się przewróciła, gdyby Nilsson nie złapał mnie za ramię.

– Wszystko w porządku, pani Blacklock?

Pokiwałam głową, chociaż tak naprawdę jego uścisk mnie zabolął, czułam go jeszcze na ramieniu. Zaskoczenie tym ruchem sprawiło, że głowę również przeszył mi ból i pożałowałam, że przed wyjściem nie łyknęłam aspiryny.

– Podoba mi się, że Aurora jest mniejszym statkiem, a nie jednym z tych karaibskich potworów, ale to oznacza, że duże fale są bardziej odczuwalne niż na dużych jednostkach. Na pewno nic pani nie jest?

– Nic mi nie jest – odparłam krótko, rozcierając sobie rękę. – Chodźmy porozmawiać z Evą.

– Najpierw zahaczmy na chwilę o kuchnię – powiedział Nilsson. – Potem możemy iść do spa porozmawiać z Evą, a na koniec do sali śniadaniowej. – W dłoni miał listę zatrudnionych osób i wykreślał na niej nazwiska. – To powinni być wszyscy, może z wyjątkiem dwóch członkiń załogi żeglarskiej i paru stewardes kajutowych, których możemy poszukać na końcu.

– Dobrze – rzuciłam krótko.

Tak naprawdę chciałam już wyjść spośród tych klaustrofobicznych ścian i dusznych korytarzy, znaleźć się z dala od tego szarego oświetlenia oraz uczucia, że jestem odcięta, uwięziona pod powierzchnią wody. Przed oczami

mignął mi przelotny, straszny obraz rozbijającego się statku, wody zalewającej tę ograniczoną przestrzeń, ust łapiących ostatnie hausty uciekającego powietrza.

Ale nie mogłam się wtedy poddać. Gdybym tak zrobiła, przyznałabym się do porażki i do tego, że Nilsson miał rację. Ruszyłam za nim korytarzem w stronę dziobu statku, czując, jak podłoga przesuwana się i kiwa pod moją, a zapach gotowanego jedzenia staje się coraz silniejszy. Czułam bekon i gorący tłuszcz, a także wyraźny, maślany aromat pieczonych croissantów, ale też gotowaną rybę i sos pieczeniowy oraz coś słodkiego. To połączenie sprawiło, że usta miałam pełne śliny, w taki nieprzyjemny sposób, więc znów zacisnęłam zęby i chwyciłam się poręczy, bo statek zachybotał na kolejnej fali i opadł w dół, a mój żołądek za nim nie nadążył.

Zastanawiałam się właśnie, czy już za późno, żeby prosić Nilssona, byśmy zawrócili, kiedy zatrzymał się przed stalowymi drzwiami z dwoma małymi, szklanymi okienkami, i pchnął je naprzód. W naszą stronę obróciły się głowy w białych czepkach, a na twarzach wypisało się uprzejme zaskoczenie, bo zobaczono mnie stojącą za Nilssonem.

– *Hej, alla* – powiedział Nilsson, a potem dodał coś jeszcze po szwedzku. Odwrócił się do mnie. – Bardzo przepraszam, wszyscy na pokładzie i z obsługi mówią po angielsku, ale nie dotyczy to kucharzy. Wyjaśniam tylko, dlaczego przyszliśmy.

Pracownicy zaczęli się uśmiechać i kiwać głowami, a jeden z szefów kuchni wyszedł na przód z wyciągniętą dłonią.

– Dzień dobry, pani Blacklock – odezwał się doskonałym angielskim. – Nazywam się Otto Jansson. Moi pracownicy z przyjemnością pani pomogą, choć nie wszyscy mówią dobrze po angielsku. Mogę tłumaczyć. Co chciałaby pani wiedzieć?

Ale nie byłam w stanie się odezwać. Nabrałam tylko powietrza, patrząc na jego wyciągniętą dłoń w bladej, lateksowej rękawiczce gastronomicznej, a w uszach szumiała mi krew.

Popatrzyłam w jego przyjazne, niebieskie oczy, a potem z powrotem na rękawiczkę, spod której prześwitywały ciemne włosy przyciśnięte do



tworzywa, i myślałam: *Nie mogę krzyczeć. Nie mogę krzyczeć.*

Jansson spojrział na swoją dłoń, jakby chciał sprawdzić, na co się gapię, a potem się roześmiał i drugą dłonią ściągnął rękawiczkę.

– Bardzo przepraszam, zapomniałem, że mam je na sobie. Wie pani, noszę je do wykładania posiłków.

Wrzucił bladą, wiotką rękawiczkę do kosza, a potem potrząsnął moją bezwładną, niestawiającą oporu dłonią. Jego uścisk był stanowczy, palce ciepłe i lekko pokryte pyłem z lateksu.

– Szukam pewnej dziewczyny – oznajmiłam, czując, że zachowuję się obcesowo, ale byłam zbyt wstrząśnięta, żeby wysilić się na większą grzeczność. – Ciemnowłosej, mniej więcej w moim wieku lub trochę starszej. Ładnej, z bladą cerą. Nie mówiła z obcym akcentem, albo była z Anglii, albo w pełni dwujęzyczna.

– Przykro mi – odparł z żalem Jansson i naprawdę wyglądał, jakby było mu przykro. – Nie sędzę, by którakolwiek z moich pracownic pasowała do tego opisu, chociaż oczywiście może się pani sama rozejrzeć i sprawdzić, czy nie ma tu dziewczyny, której pani szuka. Pracują u mnie tylko dwie kobiety i żadna z nich nie mówi za dobrze po angielsku. Jameela jest przy okienku wydawczym, a Ingrid przy ladzie sałatkowej, tam, za grillem. Ale żadna z nich nie pasuje do pani opisu. Może to któraś ze stewardes albo kelnerek?

Przechyliłam głowę, żeby zobaczyć te dwie wskazane przez niego kobiety, i zdałam sobie sprawę, że miał rację. Żadna z nich w najmniejszym stopniu nie przypominała dziewczyny, którą widziałam. Mimo że Jameela miała pochyloną głowę i stała odwrócona tyłem, byłam pewna, że jest tą Azjatką, którą wcześniej dostrzegłam w otwartej kajucie. Pomyślałam, że musi pochodzić z Pakistanu lub Bangladeszu – była taka maleńka, pewnie nie miała nawet metra pięćdziesiąt. Z kolei Ingrid była Skandynawką, ważyła z pięćdziesiąt kilogramów i przewyższała mnie o przynajmniej piętnaście centymetrów. Gdy na nią spojrzałam, położyła sobie dłonie na biodrach i zmierzyła mnie wzrokiem niemal agresywnie, choć wiedziałam,

że niesprawiedliwie ją oceniałam – to jej wzrost sprawiał, że taki gest wydawał się groźny.

– Nieważne – powiedziałam. – Przepraszam, że przeszkadzam.

– *Tack*, Otto – powiedział Nilsson, a potem zażartował po szwedzku i Otto zaczął się śmiać.

Szef kuchni poklepał Nilssona po plecach i powiedział coś, na co Nilsson zarechotał głośnym, głębokim śmiechem, aż zatrzęsł mu się brzuch. Uniósł dłoń, by pożegnać resztę ekipy.

– *Hej då!* – zawołał, a potem wyprowadził mnie na korytarz.

– Przepraszam za to – powiedział przez ramię, kiedy prowadził mnie w stronę schodów. – Oficjalnym językiem na statku jest angielski i mamy zasadę, żeby nie mówić w innych językach przy naszych angielskich gościach, jednak uznałem, że biorąc pod uwagę okoliczności... – Urwał, a ja pokiwałam głową.

– Nie ma sprawy. Lepiej, żeby wszyscy czuli się swobodnie i dobrze rozumieli, o co się ich pyta.

Znów mijaliśmy kajuty załogi i zerknęłam na kilka par otwartych drzwi, ponownie wstrząśnięta tym, jak ohydnie wyglądały te ciasne kwatery. Nie umiałam sobie wyobrazić, że miałabym spędzać tygodnie – albo nawet miesiące – w takich pozbawionych okien klinkach. Być może Nilsson wyczuł moje milczenie za plecami, bo znów się odezwał:

– Są trochę małe, prawda? Ale na pokładzie jest tylko około dwunastu osób z obsługi, nie licząc załogi żeglarskiej, więc nie potrzebujemy wiele miejsca. I mogę pani zaręczyć, że jest tu dużo lepiej niż na większości konkurencyjnych jednostek.

Nie powiedziałam, o czym myślałam – że nie chodziło mi o samą przestrzeń, która szokowała, ale o kontrast z jasnymi, dużymi pokojami na górze. Tak naprawdę te pomieszczenia nie były gorsze od wielu promów kursujących kanałem La Manche, którymi podróżowałam; właściwie to nawet były od niektórych większe. Ale najsmutniejsze było to drastyczne porównanie pomiędzy zamożnymi i niezamożnymi, współczesny podział klasowy w czystej postaci.

– Czy wszyscy mają wieloosobowe kajuty? – spytałam, kiedy mijaliśmy jedną, w której ktoś się przebierał przy otwartych drzwiach, podczas gdy jego współlokator chrapał na koi.

Nilsson pokręcił głową.

– Młodszy stażem mają wspólne kajuty, sprzątaczkę, początkujący stewardzi i tak dalej, ale wszyscy seniorzy mieszkają w jedykach.

Doszliśmy do klatki schodowej prowadzącej na wyższy pokład i powoli weszłam na górę, za szerokimi plecami Nilssona, trzymając się poręczy. On otworzył drzwi dzielące część przeznaczoną dla gości od pracowniczej, po czym odwrócił się do mnie i zamknął je za nami.

– Przepraszam, że nie wyszło to za dobrze – odezwał się. – Miałem nadzieję, że jedna z dziewczyn będzie tą kobietą, którą pani widziała, a to pozwoli się pani uspokoić.

– Wie pan co... – Potarłam sobie twarz, czując szorstkość gojącej się rany na policzku oraz zbliżający się napięciowy ból głowy. – Nie jestem pewna...

– Pospieszmy się i porozmawiajmy z Evą – przerwał mi stanowczo Nilsson.

Odwrócił się i poprowadził mnie korytarzem w kierunku kolejnych schodów.

Statek zdawał się mocno kołysać, opadał z jednej dużej fali na kolejną. Przełknęłam wzbierającą mi w ustach ślinę i poczułam lekki pot na plecach pod koszulą. Przez chwilę rozważałam niemal, czy nie ukryć się z powrotem w swojej kajucie. Nie chodziło tylko o moją głowę. Nadal musiałam dokończyć czytanie materiałów prasowych i zacząć pracować nad tekstem, którego Rowan będzie się spodziewała po moim powrocie. Byłam przeraźliwie świadoma tego, że Ben, Tina, Alexander i inni pewnie robili już notatki, dostarczali fragmenty, czytali o Bullmerze w internecie i przygotowywali zdjęcia.

Ale wtedy się opanowałam. Jeżeli chciałam, by Nilsson traktował mnie poważnie, musiałam to dokończyć. Choć bardzo pragnęłam awansu w „Velocity”, niektóre sprawy były ważniejsze.



Ewę spotkaliśmy w recepcji spa – pięknym, spokojnym pomieszczeniu na górnym pokładzie, prawie całym ze szkła, z długimi zasłonami, które załopotwały na wietrze, kiedy otworzyliśmy drzwi.

Gdy weszliśmy tam z Nilssonem, spojrzała na nas olśniewająca ciemnowłosa kobieta po czterdziestce z grubymi, złotymi obręczami w uszach.

– Johann! – odezwała się miło. – Co mogę dla ciebie zrobić? A pani to pewnie...?

– Lo Blacklock – powiedziałam, wyciągając dłoń.

Poza ciasnymi przestrzeniami kwater obsługi natychmiast poczułam się lepiej, a nieprzyjemne mdłości ustąpiły przy powiewie morskiego powietrza.

– Dzień dobry, pani Blacklock – przywitała mnie z uśmiechem.

Uścisnęłam jej dłoń, potrząsnęła nią zdecydowanie. Palce miała kościste, lecz silne. Zdumiewająco dobrze mówiła po angielsku – prawie tak jak tamta dziewczyna w kajucie, ale to nie była ona. Eva okazała się dużo starsza, jej starannie nawilżoną cerę zdradzało to delikatne zniszczenie charakterystyczne dla skóry, która widziała za dużo słońca.

– W czym mogę pani pomóc?

– Przepraszam – powiedziałam. – Szukam kogoś i dziewczyny z dołu zasugerowały, że to może być pani, ale niestety nie.

– Pani Blacklock widziała wczoraj wieczorem jakąś kobietę – wtrącił Nilsson. – W kajucie obok jej własnej. Była przed trzydziestką, miała długie, ciemne włosy i bladą cerę. Pani Blacklock słyszała jakieś hałasy, które ją zaniepokoiły, i staramy się ustalić, czy nie był to może ktoś z obsługi.

– Obawiam się, że to nie byłam ja – oznajmiła Eva dość uprzejmie.

Nie przejawiała choćby cienia tego wspólnotowego mechanizmu obronnego, jaki zaprezentowały dziewczyny z dołu. Zaśmiała się cicho.

– Jeśli mam być szczerą, to przed trzydziestką byłam już bardzo dawno temu. Rozmawiała pani ze stewardesami? Hanni i Birgitta mają ciemne

włosy i obie są mniej więcej w tym wieku. Podobnie Ulla.

– Tak, rozmawialiśmy z nimi – odparł Nilsson. – I zaraz pójdziemy się zobaczyć z Ullą.

– Nic jej nie grozi – dodałam. – To znaczy tej kobiecie. Martwię się o nią. Gdyby przypomniał się pani ktoś, kto mógłby...

– Przykro mi, że nie jestem w stanie pomóc – powiedziała Eva.

Zwracała się bezpośrednio do mnie i wyglądała, jakby rzeczywiście było jej przykro, wydawała się najszczerzej zmartwiona ze wszystkich osób, z którymi do tej pory rozmawiałam. Między jej pięknie wyregulowanymi brwiami pojawiła się maleńka zmarszczka.

– Naprawdę. Jeśli o czymś usłyszę...

– Dziękuję – odparłam.

– Dzięki, Eva – powtórzył Nilsson i odwrócił się do wyjścia.

– Nie ma za co. – Eva odprowadziła nas do drzwi. – Zobaczymy się później, pani Blacklock.

– Później?

– O jedenastej. Zabieg spa dla kobiet, ma go pani w swoim prasowym harmonogramie?

– Dzięki – odparłam. – W takim razie do zobaczenia. – Odwróciłam się do wyjścia, z poczuciem winy pomyślałam o tych nieprzeczytanych stronach z moich materiałów prasowych, które zostawiłam w kajucie.

Wyszliśmy ze spa drzwiami prowadzącymi na pokład; kiedy się zamykały, wyrwał mi je z ręki silny podmuch i mocno uderzyły o gumowy ogranicznik postawiony tam w tym właśnie celu. Nilsson zamknął je za mną i podeszłam do balustrady statku, trzęsąc się na wietrze.

– Zimno pani? – zawołał Nilsson, przekrzykując wycie wiatru i hałas silników.

Pokręciłam głową.

– Nie, to znaczy tak, zimno mi, ale potrzebuję świeżego powietrza.

– Nadal źle się pani czuje?

– Nie, tutaj nie. Ale boli mnie głowa.

Stałam, trzymając się zimnej żelaznej, malowanej poręczy, i wychyliłam się, patrząc na oszklone balkony kajut znajdujących się na rufie, na spienione fale kilwaterny oraz wielką przestrzeń morza przed nami, niewiarygodnie głęboką i zimną. Pomyślałam o setkach metrów wirującej czerni pod nami, o ciemności i ciszy pod nią i tym, jak coś – ktoś – może przez wiele dni spadać przez te mroczne głębiny, nim w końcu spocznie na pograżonym w mroku morskim dnie.

Pomyślałam o tej dziewczynie z poprzedniej nocy, o tym, jakie to by było dla kogoś łatwe – dla Nilssona, Ewy, kogokolwiek – po prostu zejść mnie od tyłu, lekko mnie popchnąć.

Zadrżałam.

Co tam się *stało*? Niemożliwe, żebym to sobie wyobraziła. Może ten krzyk i plusk. Ale nie krew. Niemożliwe, żebym to sobie wyobraziła.

Nabrałam pełne płuca czystego powietrza znad Morza Północnego, obróciłam się i uśmiechnęłam znacząco do Nilssona, strząsając włosy, które wiatr przerzucił mi na twarz.

– To gdzie mniej więcej jesteśmy?

– Na wodach międzynarodowych – odparł Nilsson. – Sądzę, że w trasie do Trondheim.

– Trondheim? – Próbowałam sobie przypomnieć tamto przemówienie z poprzedniego wieczoru. – Lord Bullmer powiedział chyba, że najpierw kierujemy się do Bergen.

– Może zmieniono plany. Wiem, że lord Bullmer ma wielką nadzieję, iż uda się państwu ujrzeć zorzę polarną. Być może warunki mają być dziś wieczorem wyjątkowo dobre, więc chciał przyspieszyć podróż na północ. Albo może tak zasugerował kapitan, mogą być jakieś pogodowe przyczyny, dla których lepiej odbyć podróż w ten sposób. Nie mamy sztywnego kalendarza. Jesteśmy w stanie spełniać zachcianki naszych pasażerów. Możliwe, że wczoraj wieczorem przy kolacji komuś bardzo się spieszyło, żeby zobaczyć Trondheim.

– Co jest w Trondheim?

– W samym Trondheim? No, znajduje się tam słynna katedra. I niektóre części miasta są bardzo atrakcyjne. Ale przede wszystkim fiordy. Oraz oczywiście fakt, że to miasto jest położone dużo dalej na północy niż Bergen, więc są większe szanse na zobaczenie aurory. Możliwe jednak, że będziemy się musieli udać jeszcze bardziej na północ, do Bodø albo nawet do Tromsø. O tej porze roku jest to bardzo niepewne.

– Rozumiem.

Z jakiegoś powodu jego słowa mnie zaniepokoiły. Co innego brać udział w zorganizowanej wycieczce, a zupełnie co innego zdać sobie sprawę, że jest się bezradną pasażerką, a ktoś inny przejmuje ster.

– Pani Blacklock...

– Proszę mi mówić Lo – przerwałam mu.

– W takim razie: Lo. – Szeroka, przyjemna twarz Nilssona przybrała zbolały wyraz. – Nie chcę, żebyś myślała, że ci nie wierzę, Lo, ale w świetle dnia...

– Czy nadal jestem pewna? – dokończyłam.

On pokiwał głową. Westchnęłam smutno, wracając myślami do moich wątpliwości z ostatniej nocy oraz tego, jak niewypowiedziane pytanie Nilssona łączyło się z tym, co mówił cichy, wredny głosik w mojej głowie. Nim się odezwałam, zawinęłam sobie palce w materiał koszulki.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Było późno i masz rację, piłam. Mogłam się pomylić co do tego krzyku oraz plusku. Nawet co do krwi. Niewykluczone, że to *mogła* być gra świateł, choć jestem niemal pewna tego, co widziałam. Ale tamta kobieta w kajucie obok... Nie ma szans, żebym ją sobie wyobraziła. To po prostu niemożliwe. *Widziałam ją, rozmawiałam z nią.* Jeśli jej tu nie ma, to znaczy na statku, to... to gdzie ona jest?

Zapadła długa cisza.

– Cóż, nie rozmawialiśmy jeszcze z Ullą – odezwał się w końcu. – Po twoim opisie nie przypuszczam, żeby chodziło o nią, ale powinniśmy ją przynajmniej wykluczyć.

Wyciągnął służbową krótkofalówkę i zaczął wstukiwać coś na przyciskach.

– Nie wiem, jak tobie, ale mnie by się przydała kawa, więc może moglibyśmy ją poprosić o spotkanie w sali śniadaniowej?



Sala śniadaniowa była tym samym pomieszczeniem, w którym poprzedniego wieczoru jedliśmy kolację, ale dwa duże stoły zostały rozbite na sześć mniejszych. Kiedy Nilsson otworzył drzwi, nie było tam nikogo prócz młodego kelnera z włosami koloru kukurydzy zaczesanymi z przedziałką na boku. Podszedł powitać mnie z uśmiechem.

– Pani Blacklock? Jest pani gotowa na śniadanie?

– Tak, poproszę – odparłam nieuważnie, rozglądając się po sali. – Gdzie powinnam usiąść?

– Gdzie pani zechce. – Wskazał dłonią puste stoliki. – Większość gości zdecydowała się zjeść śniadanie w swoich kajutach. Może przy oknie? Przynieść pani herbatę, kawę?

– Poproszę kawę. Białą, bez cukru.

– Dla mnie też, Bjorn – dodał Nilsson. – O, dzień dobry, Ulla – przywitał się ponad ramieniem Bjorna.

Odwróciłam się i zobaczyłam oszałamiająco piękną dziewczynę z dużym, czarnym kokiem, idącą przez jadalnię w stronę naszego stolika.

– Dzień dobry, Johann – odpowiedziała.

Jej akcent przesądził sprawę, ale jeszcze zanim się odezwała, wiedziałam, że to nie ta dziewczyna z kajuty. Była wyjątkowo piękna, jej cera kontrastująca z czarnymi włosami zdawała się jasna i czysta jak porcelana. Tamta dziewczyna z kajuty wyglądała bardzo dobrze, ale nie miała w sobie takiej delikatności, klasycznej urody prosto z renesansowych obrazów. Poza tym Ulla musiała mieć prawie metr osiemdziesiąt, a ta z kajuty była mniej więcej mojego wzrostu, na pewno niższa od Ulli. Nilsson zerknął na mnie pytająco, ale pokręciłam głową.



Bjorn wrócił z dwiema filiżankami na tacy i menu dla mnie, a Nilsson odchrząknął.

– Może się z nami napijesz, Ulla?

– Dziękuję – odpowiedziała, kręcąc głową, tak że jej ciężki kok zakłósał się nad karkiem. – Jadłam już śniadanie, ale usiądę na chwilę.

Wsunęła się na krzesło naprzeciwko i spojrzała na nas oboje, uśmiechając się wyczekująco. Nilsson znów odkaszlnął.

– Pani Blacklock, to jest Ulla. Pracuje jako stewardesa dla kajut na dziobie, czyli dla Bullmerów, Jenssenów, Cole’a Lederera oraz Owena White’a. Ulla, pani Blacklock poszukuje dziewczyny, którą widziała wczoraj, i bardzo się o nią niepokoi. Nie ma jej na liście pasażerów, więc myślimy, że może to któraś z członkiń załogi, ale nie udaje nam się jej odnaleźć. Pani Blacklock, czy zechciałaby pani opisać tę dziewczynę?

Podaliśmy szybki opis, zdawało mi się, że po raz setny.

– Przychodzi pani ktoś do głowy? – Uświadomiłam sobie, że mój głos zaczął brzmieć błagalnie. – *Ktokolwiek*, kto pasowałby do tego opisu?

– Cóż, oczywiście ja mam ciemne włosy – odparła ze śmiechem Ulla. – Ale to nie byłam ja, więc poza tym to nie wiem. Jest Hanni, ona ma ciemne włosy, i Birgitta...

– Już się z nimi widziałam – przerwałam jej. – To nie one. Ktoś jeszcze? Jakaś pani sprzątająca? Ktoś z marynarzy?

– No... nie. Wśród załogi marynarskiej nie ma nikogo, kto pasowałby do tego opisu – powiedziała powoli Ulla. – W obsłudze jest też Eva, ale ona jest starsza. Rozmawiała pani z pracownikami kuchni?

– No dobrze, nieważne.

Zaczęłam rozpaczać. Czułam się powoli jak w powracającym koszmarze, rozmawiałam z jedną osobą po drugiej, podczas gdy tamto wspomnienie ciemnowłosej dziewczyny zaczynało się rozmywać i zacierać, uciekało mi przez palce niczym woda. Im więcej widziałam twarzy – a każda z nich trochę, lecz nie do końca pasowała do mojego wspomnienia – tym trudniej było mi utrzymać w głowie tamten obraz.

A jednak w tamtej dziewczynie było coś charakterystycznego. Byłam pewna, że bym ją rozpoznała, gdybym znów ją zobaczyła. Nie chodziło o jej rysy – były ładne, ale dość zwyczajne. Nie chodziło też o włosy ani o tamtą koszulkę Pink Floyd. To było coś w *niej*, sam jej temperament i żywa mimika, kiedy gwałtownie wyjrzała na korytarz, jej zaskoczenie na widok mojej twarzy.

Czy to możliwe, że nie żyła?

Ale alternatywa nie była dużo lepsza. Bo jeśli nie, to jedyna inna możliwość – i nagle nie byłam już pewna, czy lepsza, czy gorsza – była taka, że to ja zaczęłam osuwać się w szaleństwo.



## 13

Zarówno Ulla, jak i Nilsson pożegnali się, kiedy podano mi śniadanie, jadłam więc, gapiąc się w okno. Tutaj, z widokiem na morze i pokład, nie było mi tak niedobrze i udało mi się zjeść przyzwoitą porcję śniadania, po którym poczułam, że do kończyn wróciła mi energia, a dokuczające mdłości ustąpiły. Uderzyło mnie, że czułam się tak beznadziejnie po części dlatego, że miałam niski cukier. Zawsze jest mi dziwnie i cała się trzęsę z pustym żołądkiem.

Lecz choć jedzenie i widok na ocean poprawiły moje fizyczne samopoczucie, nie mogłam przestać myśleć o wydarzeniach poprzedniej nocy, odgrywać w głowie rozmowy z tamtą dziewczyną, przypominać sobie zaskoczenia na jej twarzy oraz tej nuty irytacji, z którą wcisnęła mi do ręki swoją maskarę. Byłam pewna, że coś tam się działo. Czułam się, jakbym weszła w połowie jakiegoś filmu i próbowała rozgryźć, kim są te postaci. Przerwałam tej dziewczynie jakąś *czynność*. Tylko jaką?

Cokolwiek to było, prawdopodobnie miało związek z jej zniknięciem. I niezależnie od tego, co myślał sobie Nilsson, nie mogłam uwierzyć, że ona mogła po prostu sprzątać tamten pokój. Nikt nie sprzątał pokoi w sięgającej ud koszulce Pink Floyd. A poza tym ona po prostu *nie wyglądała* jak sprzątaczką. Za pensję pani sprzątajacej nie można sobie pozwolić na takie włosy ani paznokcie. Połysk na tej gęstej, ciemnej grzywie świadczył o długich latach nakładania odżywek pod turban oraz kosztownym rozjaśnianiu delikatnych pasemek. Może była szpiegiem przemysłowym? Pasażerką na gapę? Kochanką? Przypomniałam sobie zimny błysk w oku Cole'a, kiedy mówił o swojej byłej żonie, oraz o mdłych zapewnieniach

Camilli Lidman na dole. Myślałam o ociążonej sile Nilssona, o tym, jak Alexander nieprzyjemnie rozwodził się na temat trucizn oraz nienaturalnych śmierci poprzedniego wieczoru przy kolacji – ale każda z tych możliwości wydawała się jeszcze mniej prawdopodobna od poprzedniej.

Martwiła mnie jej twarz. Im bardziej próbowałam sobie ją przypomnieć, tym szybciej się rozmywała. Pamiętałam konkretne rzeczy – jej wzrost, kolor włosów, stan paznokci. Ale rysy twarzy... Ładny nos, wąskie, ciemne brwi, starannie wyregulowane... I tyle. Mogłabym powiedzieć, jaka *nie była*: pulchna, stara, z trądzikiem. Dużo trudniej było mi określić, jaka *była*. Nos miała... normalny. Usta normalne. Nie szerokie, nie w kształcie pąków róży, nie wydatne. Po prostu normalne. Nie było w nich niczego charakterystycznego, co umiałabym wskazać.

To równie dobrze mogłabym być ja.

Wiedziałam, czego chciał Nilsson. Chciał, żebym zapomniała o tym, co słyszałam – o krzyku, o ukradkowym rozsunięciu drzwi werandy oraz o tym przerażającym, głośnym, przeciągłym plusku.

Chciał, żebym zaczęła powątpiewać we własną relację. Traktował mnie poważnie tylko po to, żebym sama zaczęła podważać swoje słowa. Pozwalał mi zadawać wszystkie pytania, na jakie miałam ochotę – aż końcu miałam się przekonać o własnej omyłności.

I po części wcale nie miałam mu tego za złe. To pierwsza wyprawa Aurory, statek był pełen dziennikarzy, fotografów i różnych wpływowych ludzi. Trudno o gorszy moment, żeby coś poszło nie tak. Wyobrażałam sobie te nagłówki: *Podróż ku śmierci: zatonięcie pasażerki na luksusowym rejsie dziennikarskim*. Jako szefowi ochrony Nilssonowi oberwałoby się za to najbardziej. Co najmniej straciłby pracę, gdyby coś poszło nie tak na jego warcie podczas pierwszej podróży.

Ale co gorsza – takie informacje o niespodziewanej śmierci mogłyby doprowadzić do bankructwa całej firmy. W ten sposób Aurora mogłaby przestać istnieć, nim w ogóle zaczęła działać, a wtedy pracę straciliby dosłownie wszyscy – poczynając od kapitana, a kończąc na sprzątacze Iwonie.

Wiedziałam o tym.

Ale *coś* słyszałam.

Coś, co wyrwało mnie ze snu z sercem bijącym w tempie dwustu uderzeń na minutę, dłońmi mokrymi od potu oraz przekonaniem, że gdzieś bardzo blisko inna kobieta znalazła się w poważnych tarapatach. *Wiedziałam*, jak to jest być taką dziewczyną – w krótkiej chwili zdać sobie sprawę, jak ulotne jest ludzkie życie, jak cienkie są w rzeczywistości ściany naszego poczucia bezpieczeństwa.

I niezależnie od tego, co mówił Nilsson, jeżeli nic się tej dziewczynie nie stało, to gdzie była? Ten krzyk, ta krew – to wszystko mogłam sobie wyobrazić. Ale dziewczyna – z pewnością nie wyobraziłam sobie samej dziewczyny. A nie mogła się przecież rozpuścić w powietrzu bez niczyjej pomocy.

Przetarłam powieki, czując szorstkie resztki makijażu oczu z poprzedniego dnia, i pomyślałam o jedynej rzeczy, która dowodziła, że ona nie była tylko wytworem mojej wyobraźni: o tej maskarce Maybelline.

Do głowy zaczęły mi przychodzić szalone myśli, jedna za drugą. Mogłabym ją zabrać do Anglii w foliowym woreczku i kazać zdjąć z niej odciski palców. Albo jeszcze lepiej, zrobić na niej test DNA. Na pewno można przeprowadzić DNA ze szczoteczki od maskary? W *CSI: Kryminalne zagadki Miami* oparliby całe oskarżenie na jednej znalezionej rzęsie. Musiało być *coś*, co można było z tym zrobić.

Odsunęłam od siebie wizualizację tego, jak wkraczam na komisariat przy Crouch End z maskarą w torebce i żądam zaawansowanej procedury śledczej od jakiegoś policjanta, który ledwie powstrzymuje uśmiech rozbawienia. *Ktoś* by mi uwierzył. Musieliby. A jeśli nie... To zapłaciłabym sama, żeby to zrobić.

Wyciągnęłam komórkę i już miałam wyszukać „koszt prywatnego testu DNA”, ale zanim w ogóle zdążyłam odblokować ekran, zdałam sobie sprawę, jakie to szaleństwo. Nie otrzymałabym przecież analizy DNA na poziomie policyjnym od jakiejś internetowej firmy specjalizującej się

w zdradach małżeńskich. I co zresztą dałyby mi te wyniki, skoro nie miałabym ich z czym porównać?

Zamiast tego sprawdziłam więc mejla. Nie przyszło nic od Judah. Właściwie to zupełnie nic. Nie miałam zasięgu, ale wyglądało na to, że byłam podłączona do Wi-Fi na statku, więc odświeżyłam skrzynkę. Ale nic się nie wydarzyło. Mała ikonka kółka kręciła się i kręciła, a potem wyskoczył komunikat „Brak połączenia z siecią”.

Westchnęłam, schowałam telefon do kieszeni i zaczęłam oglądać borówki na talerzu. Placki były przepyszne, ale straciłam apetyt. Wydawało mi się to niemożliwe, wręcz surrealistyczne: byłam świadkiem morderstwa – a przynajmniej je słyszałam – a teraz, proszę, próbowałam wmusić w siebie placki i kawę, podczas gdy morderca przez cały ten czas chodził na wolności, a ja nie mogłam w żaden sposób zadziałać.

Czy wiedział, że został usłyszany? Przy całym tym zamieszaniu, którego narobiłam, oraz pytaniach zadawanych przeze mnie na całym statku, jeśli nie wiedział wczoraj, to kolejnego dnia już na pewno.

Statek napotkał kolejną falę, tym razem od strony burty. Odsunęłam od siebie talerz i wstałam.

– Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze, pani Blacklock? – spytał Bjorn, a ja gwałtownie podskoczyłam i się obróciłam.

Pojawił się jakby za sprawą jakiejś magii zza drzwi ukrytych w panelach ściennych na końcu sali. Prawie nie sposób było ich zobaczyć, jeśli ktoś nie wiedział o ich istnieniu. Czy on tam stał przez cały czas, obserwując mnie? Mieli tam jakiś *wizjer*?

Pokręciłam głową i starałam się uśmiechnąć, idąc po lekko przechylającej się podłodze.

– Nie, dziękuję, Bjorn. Bardzo dziękuję za pomoc.

– Życzę pani cudownego poranka. Ma pani jakieś plany? Jeśli pani tego jeszcze nie sprawdzała, to widok z jacuzzi na górnym pokładzie zapiera dech w piersiach.

Nagle sobie wyobraziłam, jak siedzę sama w jacuzzi, a jakaś dłoń w lateksowej rękawiczce wpycha mnie pod wodę...

Znowu pokręciłam głową.

– Chyba powinnam iść do spa. Ale może najpierw położę się jeszcze na chwilę w kajucie. Jestem bardzo zmęczona. Nie spałam za dobrze w nocy.

– Oczywiście. Jak najbardziej rozumiem. Być może przyda się pani mała sjesta.

– Sjesta?

– Nie tak się mówi? Sjesta, wypoczynek?

– Ach! – Zarumieniłam się. – Sjesta, oczywiście. Przepraszam... Jak wspominałam, jestem bardzo zmęczona... – Zbliżałam się do drzwi i skóra mi ścierpła na myśl o tym, czyje niewidzialne oczy mogły obserwować naszą rozmowę. W swojej kajucie mogłam przynajmniej mieć pewność, że jestem sama.

– Przyjemnego wypoczynku!

– Dziękuję.

Odwróciłam się do wyjścia... i weszłam prosto na zaspanego Bena Howarda.

– Blacklock!

– Howard.

– Wczoraj w nocy... – zaczął niezręcznie.

Pokręciłam głową. Nie zamierzałam prowadzić tej rozmowy przy uprzejmym Bjornie, który uśmiechał się po drugiej stronie sali.

– Nie wracajmy do tego – ucięłam krótko. – Oboje byliśmy pijani. Dopiero wstałeś?

– No. – Zduślił wielkie ziewnięcie. – Po tym, jak wyszedłem z twojej kajuty, wpadłem na Archera i skończyło się na tym, że do jakiejś nieprzyzwoitej godziny graliśmy w pokera z Larsem i Richardem Bullmerem.

– Och. – Przygryzłam wargę. – O której się położyłeś?

– Chryste, nie wiem. Chyba jakoś koło czwartej.

– Bo wiesz... – zaczęłam. Ale urwałam.

Nilsson mi nie uwierzył. Dochodziłam już do momentu, w którym sama sobie prawie nie wierzyłam. Ale Ben... On by dał wiarę... chyba?



Przypomniałam sobie czasy, kiedy byliśmy razem, jak to się skończyło... Nagle nie byłam już taka pewna.

– Nieważne – rzuciłam krótko. – Opowiem ci później. Zjedz śniadanie.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy się odwróciłam, żeby odejść. – Wyglądasz strasznie.

– Mam się świetnie. Dzięki.

– Nie, chodziło mi o to... Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała.

– Nie spałam. – Nie miałam zamiaru być niemiła, ale niepokój i zmęczenie sprawiały, że zachowywałam się bardziej opryskliwie, niż chciałam. – Trochę mi przeszkadza to morze.

– Tak? Ja mam szczęście, nigdy nie cierpiałem na chorobę morską. – W jego głosie pobrzmiwał irytujący ton samozadowolenia, ale powstrzymałam odruch, żeby odwarknąć mu coś nieprzyjemnie ostrego. – W każdym razie jutro rano będziemy w Trondheim.

– Jutro?

Mój głos musiał zdradzać niezadowolenie, bo zerknął na mnie.

– Tak. A dlaczego, o co chodzi?

– Myślałam... Spodziewałam się, że dziś... – Urwałam.

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, to długa droga.

– No, nieważne. – Musiałam wrócić do swojego pokoju, przemyśleć to, spróbować rozgryźć, co takiego widziałam, a czego nie. – Wracam do siebie, muszę się położyć.

– Pewnie. Do zobaczenia, Blacklock.

Jego ton brzmiał lekko. Ale oczy, które patrzyły, jak się oddalałam, były zmartwione.



Myślałam, że poszłam w stronę schodów prowadzących na pokład z kajutami, ale musiałam źle skręcić, bo wylądowałam w bibliotece, która

okazała się miniaturową wersją wiejskiej biblioteki, miała nawet lampki do czytania z zielonymi abażurami i wielopoziomowe półki.

Westchnęłam, próbując się domyślić, gdzie się pomyliłam oraz czy jest jakaś szybsza droga powrotna niż po własnych śladach, żebym nie musiała ponownie natknąć się na Bena. To wprost niemożliwe zgubić się na tak małym statku, a jednak w tym układzie pomieszczeń było coś mylącego, jakby stanowił układankę zaprojektowaną tak, żeby wykorzystać każdy centymetr wolnej przestrzeni. Nawigowanie po tym labiryncie było jeszcze trudniejsze ze względu na to, jak bujanie się statku wpływało na mój zmysł orientacji.

Nie pomagał też fakt, że inaczej niż na promach, tu nie było żadnych rozrysowanych planów ani choćby najmniejszych oznakowań – prawdopodobnie po to, by wywołać wrażenie, że to prywatny dom, który człowiek akurat dzieli z całą masą bogatych ludzi.

Były tam dwa wyjścia i z grubsza przypadkowo otworzyłam drzwi prowadzące na pokład. Na zewnątrz przynajmniej miałam pewność, w którą stronę szłam. A tam w twarz uderzył mnie wiatr i usłyszałam za sobą ochryply, przesiąknięty nikotyną głos.

– Kochana, że ty się w ogóle trzymasz na nogach! Jak się dziś czujesz?

Obróciłam się. To była Tina, stała pod wygiętym szklanym daszkiem dla palaczy z papierosem w dłoni.

Zaciągnęła się mocno.

– Chyba trochę cię przeorało?

Powstrzymałam odruch, by odwrócić się na pięcie i uciec. Miałam nawiązywać kontakty. Nie mogłam pozwolić na to, by przeszkodził mi w tym kac, którego sama sobie zafundowałam. Spróbowałam się uśmiechnąć i miałam nadzieję, że wyszło przekonująco.

– Trochę. Nie powinnam była tyle pić.

– Cóż, byłam pod wrażeniem twojej mocnej głowy – stwierdziła z lekko drwiącym uśmiechem. – Jak to powiedział mi kiedyś mój dawny szef, kiedy zaczynałam pracować dla „Expressu”, jeżeli podczas *bardzo* długiego lunchu jesteś w stanie wypić więcej niż twój rozmówca, to twój pierwszy sukces.

Przyjrzałam jej się przez chmurę dymu. Branżowe plotki głośiły, że wspięła się po korporacyjnej drabinie po plecach niezliczonych młodych kobiet, a potem, kiedy już przebiła szklany sufit, zabrała drabinę ze sobą. Pamiętam, że Rowan powiedziała kiedyś: „Tina jest jedną z tych kobiet, które uważają, że każda kropla estrogenu w sali konferencyjnej jest dla nich bezpośrednim zagrożeniem”.

Ale jakoś nie mogłam dopasować tej uwagi do stojącej przede mną kobiety. Miałam przynajmniej jedną byłą koleżankę z pracy, która twierdziła, iż zawdzięcza Tinie swoją karierę. Kiedy patrzyłam na nią teraz, taką uśmiechniętą, z mocno umalowanymi oczami, pomyślałam, co to musiało znaczyć – być dziennikarką w tamtym pokoleniu, przedzierać się przez szeregi starych facetów, którzy znali się od dawna. Teraz też było trudno. Może to nie wina Tiny, że nie mogła zabrać ze sobą po drodze wszystkich innych kobiet.

– Chodź, kochana, zdradzę ci mały sekret – powiedziała i przywołała mnie gestem, a na jej kościstych palcach zabrzączały pierścionki. – Najpierw mały klin, a potem długie, niespieszne ruchanko.

Była tylko jedna możliwa odpowiedź, która nie zaczynała się od „Fuuuuj”, i było nią wymijające milczenie. Tina znów się zaśmiała tym swoim ochryplym papierosowym śmiechem.

– Zaskoczyłam cię.

– Nie bardzo. Po prostu... wiesz... Trochę tu mamy mały wybór.

– Myślałam, że dość przyjaźnie sobie poczynacie z tym uroczym Benem Howardem... – zauważyła przeciągle.

Powstrzymałam wzdrygnięcie.

– Dawno temu byliśmy z Benem parą – odparłam stanowczo. – Nie zamierzam do tego wracać.

– Bardzo rozsądnie, kochana. – Poklepała mnie po ramieniu, a jej pierścionki zastukały w moją skórę. – Jak to mawiają Afgańczycy, człowiek nie powinien się kąpać dwa razy w tym samym jeziorze.

Nie byłam pewna, co odpowiedzieć.

– Przypomnisz mi, jak masz na imię? – spytała nagle. – Louise?

- Lo. To zdrobnienie od Laura.
- Bardzo mi miło, Lo. Pracujesz dla Rowan w „Velocity”, zgadza się?
- Tak, to prawda. Jestem publicystką. – A potem zaskoczyłam samą siebie.
- Ale mam nadzieję, że zastąpię ją podczas jej urlopu macierzyńskiego. Chyba po części dlatego wysłali mnie na tę wycieczkę. Chcą mnie sprawdzić. Zobaczyć, jak sobie poradzę.

Choć jeśli rzeczywiście był to test, byłam na dobrej drodze, żeby go oblać. Oskarżanie gospodarzy o zatuszowanie śmierci to na pewno nie to, na co liczyło „Velocity”.

Tina znów się zaciągnęła, a potem wypuściła smugę dymu i przyjrzała mi się taksującym wzrokiem.

- To duża odpowiedzialność. Ale dobrze, że chcesz iść naprzód. A co zrobisz, kiedy ona wróci?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć... i zamilkłam. Co *mogłabym* zrobić? Wróciłabym do starej pracy? Zastanawiałam się nad tym, kiedy Tina sama znów się odezwała.

- Zadzwoń do mnie kiedyś, jak już wrócimy do biur. Nieustająco poszukuję freelancerów, a zwłaszcza takich łebskich stworzeń z odrobiną ambicji.

- Mam umowę o pracę – odpowiedziałam z żalem.

Doceniłam ten komplement i nie chciałam odrzucać takiej oferty, ale byłam pewna, że mój zapis o konkurencji nie pozwalał na dorabianie.

- Jak tam chcesz – odparła Tina, wzruszając ramionami.

Statek się zakołysał, a ona zatoczyła się na metalową poręcz.

- Cholera, fajka mi zgasła. Nie masz czasem zapalniczki, skarbie? Zostawiłam swoją w salonie.

- Nie palę.

- Pierdolę.

Wyrzuciła niedopałek przez poręcz i obie patrzyłyśmy, jak porwał go wiatr. Zniknął nam z oczu, nim jeszcze zdążył wpaść do wzburzonej wody. Naprawdę powinnam była dać jej swoją wizytówkę albo przynajmniej zacząć delikatnie wypytywać o plany „Vernean” co do kolejnych numerów

oraz o to, jak bardzo udało jej się przypocholebić sobie lorda Bullmera. Tak zrobiłaby Rowan. Ben pewnie już by podpisał umowę na artykuł, nie zwracając sobie głowy zapisami o konkurencji.

Ale w tamtym momencie – kiedy Nilsson prawdopodobnie zdawał niepełną relację z mojej historii kapitanowi – moja kariera wydawała się mniej istotna. Jeśli już, to powinnam Tinę przesłuchiwać, wypytywać o to, gdzie była w nocy. W końcu Ben grał w pokera z Larsem, Archerem i Bullmerem, co pozostawiało stosunkowo małą garstkę osób, które mogły się znajdować w kajucie obok mnie. Czy Tina była dość silna, żeby wypchnąć za burtę jakąś kobietę? Przyjrzałam jej się ukradkiem, kiedy zaczęła iść niepewnie po wilgotnym od solanki pokładzie w stronę drzwi, a jej wąskie obcasy ślizgały się lekko po metalowej powierzchni. Była szczupła jak chart, miała więcej ścięgien niż mięśni, ale potrafiłam sobie wyobrazić, że w tych żylastych ramionach kryje się duża siła, zwłaszcza że Rowan odmalowała mi wcześniej wizerunek kobiety, której bezwzględność kompensowała wątłą posturę.

– A jak u ciebie? – spytałam, idąc za nią do drzwi. – Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Ona zatrzymała się na to gwałtownie, trzymając jedną ręką ciężkie drzwi. Palce miała zaciśnięte na metalowym skrzydle, ścięgna na grzbiecie dłoni wystawały jej niczym żelazne kable. Odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Co powiedziałaś? – Szyję miała wyciągniętą jak welociraptor, przeszywała mnie wzrokiem.

– Po... – Urwałam, zaskoczona gwałtownością jej odpowiedzi. – Nie... Ja tylko byłam ciekawa...

– No to sugeruję, żebyś przestała się interesować i zachowała takie insynuacje dla siebie. Bystra dziewczyna taka jak ty powinna wiedzieć, że w tej branży lepiej nie robić sobie wrogów.

Potem puściła drzwi i zatrzasnęły się za nią.

Stałam na pokładzie, patrząc tępo, jak oddala się po drugiej stronie, za przymgloną od soli szybą, i zastanawiałam się, co tam, u licha, się wydarzyło.

Pokręciłam głową i pozbierałam się. Nie było sensu się nad tym teraz zastanawiać. Powinnam wrócić do kabiny, żeby ocalić ostatni skrawek dowodów, jaki mi został.



Przed wyjściem z Nilssonem zamknęłam drzwi, ale idąc ostrożnie po schodach na pokład z kajutami i obserwując sprzątaczkę ciągnącą za sobą odkurzacze, z wózekkami pełnymi ręczników i pościeli, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam powiesić tabliczki „Nie przeszkadzać”.

Mój apartament został wysprzątnięty co do centymetra. Umywalkę wypolerowano, na oknach nie było śladu morskiej wody, nawet moje brudne ubrania i podarta wieczorowa suknia magicznie zniknęły.

Ale żadna z tych rzeczy mnie nie obchodziła. Poszłam prosto do łazienki, do starannie ustawionych na toalecie przyborów do oczyszczania twarzy i makijażu.

Gdzie to było?

Odsunęłam pomadkę, błyszczący, pastę do zębów, krem do twarzy, płyn do demakijażu, na wpół zużyte opakowanie tabletek... ale nie było go tam. Nigdzie śladu niczego zielono-różowego. Może w takim razie pod blatem... w koszu? Nic.

Przeszłam do sypialni, jedna po drugiej otwierałam szuflady, szukałam pod krzesłami. Gdzie to było. Gdzie to *było*?

Ale tak naprawdę znałam odpowiedź. Opadłam na łóżko i ukryłam twarz w dłoniach. To opakowanie tuszu do rzęs – mój jedyny dowód na spotkanie z zaginioną dziewczyną – zniknęło.



„Harringay Echo”, sobota 26 września

Londyńska turystka zaginęła na norweskim okręcie rejsowym

Rodzina i przyjaciele zaginionej mieszkanki Londynu Laury Blacklock twierdzą, że coraz bardziej martwią się o jej bezpieczeństwo. Zaginięcie Blacklock (32 l.), która mieszka na West Grove w dzielnicy Harringay, zostało zgłoszone przez jej partnera Judah Lewisa (35 l.). Miało do niego dojść podczas zagranicznych wakacji na luksusowym statku wycieczkowym Aurora Borealis.

Pan Lewis, który nie popłynął z panią Blacklock, twierdzi, że zaczął się o nią niepokoić po tym, jak partnerka nie odpowiadała na wiadomości, przebywając na pokładzie jednostki, i nie udało mu się z nią w żaden sposób skontaktować.

Rzecznik Aurora Borealis, która w ubiegłą niedzielę wypłynęła z Hull w swój pierwszy rejs, potwierdził, że Blacklock nie widziano od momentu zaplanowanej wycieczki do Trondheim we wtorek 22 września, ale firma przyznała, iż początkowo zakładano, że postanowiła skrócić sobie wycieczkę. Dopiero gdy pani Blacklock nie wróciła do Wielkiej Brytanii w piątek i jej partner wszczął alarm, uświadomili sobie, że jej wyjazd nie był zaplanowany.

Paulina Crew, matka zaginionej, przyznała, że brak kontaktu to bardzo nietypowe zachowanie dla jej córki, i prosi o kontakt każdego, kto mógł widzieć Laurę Blacklock, znaną także jako Lo.





# CZEŚĆ CZWARTA





## 14

Starałam się nie pozwolić, by zawładnęła mną panika.

Ktoś musiał być w moim pokoju.

Ktoś, kto *wiedział*.

Kto wiedział, co zobaczyłam, co usłyszałam i co powiedziałam.

Minibarek został uzupełniony i z pierwotną gwałtownością zapragnęłam drinka, ale odsunęłam myśl o nim na bok i zaczęłam spacerować po kajucie, która wczoraj wydawała mi się taka wielka, a dziś zdawała się coraz bardziej kurczyć.

Ktoś tu był. Ale kto?

Niemal przytłaczała mnie chęć, by krzyknąć, uciekać, schować się pod łóżkiem i już nigdy spod niego nie wychodzić, ale stąd nie było ucieczki – przynajmniej dopóki nie dotrzemy do Trondheim.

Gdy zdałam sobie z tego sprawę, zapanowałam nad swoimi przerażonymi myślami i stanęłam, opierając dłonie na toalecie, ze zgarbionymi ramionami, wpatrując się w swoją białą, wymizеровaną twarz w lustrze. Zaskodził jej nie tylko brak snu. Pod oczami miałam duże cienie z wyczerpania, ale też w samych oczach dostrzegłam coś, co mnie zatrzymało – spojrzenie pełne przerażenia, jak u uciekającego zwierzęcia.

Z korytarza dobiegło wysokie wycie, aż podskoczyłam i przypomniałam sobie o sprzątaczkach obsługujących pokoje. Wzięłam głęboki wdech, stanęłam prosto i odrzuciłam włosy na ramiona. Potem otworzyłam drzwi i wyrzłam na korytarz, gdzie wciąż było słychać szum odkurzacza. Iwona, ta Polka, którą przedstawiono mi na dole, sprzątała właśnie kajutę Bena kawałek dalej, drzwi były otwarte na oścież.

– Przepraszam bardzo! – zawołałam, ale mnie nie usłyszała. Podeszłam bliżej. – Przepraszam bardzo!

Podskoczyła i odwróciła się z ręką na piersi.

– Przepraszam – odpowiedziała zdyszana i położyła stopę na wyłączniku, żeby uciszyć odkurzacz. Miała na sobie granatowy fartuszek, taki jak nosiły pozostałe sprzątaczkę, a jej grubo ciosana twarz zaróżowiła się z wysiłku. – Się przestraszyłam.

– Przepraszam – powtórzyłam ze skrucą. – Nie zamierzałam pani zaskoczyć. Chciałam tylko spytać... czy sprzątała pani mój pokój?

– Tak, już sprzątałam. Coś nie jest czyste?

– Nie, jest bardzo czysto, wręcz przepięknie. Zastanawiałam się tylko... czy widziała tam może pani maskarę?

– Mas...? – Pokręciła głową, jej twarz wyrażała niezrozumienie. – Co to jest?

– Maskarę. Do oczu... Coś takiego. – Pokazałam gestem, jak się go nakłada, a jej twarz się rozjaśniła.

– Aha! Tak, wiem – powiedziała, a potem dodała coś w stylu „tusz do rzesz”. Nie miałam pojęcia, czy to po polsku oznacza maskarę, czy „włożyłam do kosza”, ale żywo pokiwałam głową.

– Tak, tak, w takim różowo-zielonym opakowaniu. Taki... – Wyciągnęłam komórkę, bo chciałam wyszukać ten produkt Maybelline, ale Wi-Fi nadal nie działało. – Aj, cholera, nieważne. Ale jest różowo-zielony. Widziała go pani?

– Tak, widziałam wczoraj wieczorem, jak sprzątam.

Kurde.

– Ale dziś rano nie?

– Nie. – Pokręciła głową ze zmartwioną miną. – Nie ma w łazience?

– Nie.

– Przykro mi. Nie widziałam. Mogę zapytać Karlę, stewardesę, czy to możliwe, żeby... yyy... jak powiedzieć... kupi nowy...?

Jej kulejący angielski i zmartwiona mina uświadomiły mi nagle, jak to musi wyglądać – jakaś szalona kobieta w zawołany sposób oskarża

sprzątaczkę o kradzież używanej maskary. Pokręciłam głową i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jej ramienia.

– Przepraszam. To nic ważnego. Proszę się nie przejmować.

– Ale tak, to ważne!

– Nie, naprawdę. To pewnie moja wina. Przypuszczam, że zostawiłam go w jakiejś kieszeni.

Ale znałam prawdę. Maskara zniknęła.



Z powrotem w kajucie zamknęłam drzwi na dwa zamki i przewiesiłam łańcuch, a potem sięgnęłam po telefon, wcisnęłam zero i poprosiłam o połączenie z Nilssonem. Zabrzmiała długa muzyczka oczekiwania na połączenie, a potem znów odezwała się kobieta brzmiąca podobnie do Camilli Lidman.

– Pani Blacklock? Dziękuję, że pani poczekała. Już przełączam.

Rozległo się kliknięcie i trzask, a potem usłyszałam niski, męski głos.

– Halo? Mówi Johann Nilsson. W czym mogę pomóc?

– Nie ma maskary – powiedziałam bez wstępów.

Zapadła cisza. Czuję, jak Nilsson przegląda w głowie swoje wewnętrzne notatki z informacjami.

– Maskara – dodałam niecierpliwie. – Ta, o której mówiłam poprzedniej nocy. Ta, którą dała mi tamta kobieta z kajuty dziesiątej. To *potwierdza* moją tezę, rozumiesz?

– Nie rozumiem...

– Ktoś wszedł do mojej kajuty i ją zabrał.

Mówiłam powoli, starając się nad sobą zapanować. Miałam dziwne poczucie, że jeśli nie będę się wyrażać spokojnie i jasno, być może zaraz zacznę krzyczeć do tego telefonu.

– Dlaczego ktoś miałby to zrobić, gdyby nie miał niczego do ukrycia?

Zapadła długa cisza.

– Nilsson?

– Przyjdę do ciebie – odezwał się w końcu. – Jesteś w swojej kajucie?

– Tak.

– Będę za jakieś dziesięć minut. Jestem u kapitana, muszę coś dokończyć, ale przyjdę, jak tylko będę mógł.

– Do zobaczenia – odpowiedziałam i głośno odłożyłam słuchawkę, bardziej zła niż przestraszona, chociaż nie byłam pewna, czy to na siebie, czy na Nilssona.

Znowu zaczęłam spacerować po małej kajucie, przypominając sobie wydarzenia ostatniej nocy, te obrazy, dźwięki, lęki tłoczące się w mojej głowie. Uczucie, którego nie mogłam się pozbyć, było związane z naruszeniem prywatności – ktoś był w moim *pokoju*. Ktoś wykorzystał fakt, że poszłam z Nilssonem, i przyszedł grzebać w moich rzeczach, a następnie wyciągnął jeden jedyny dowód na poparcie mojej relacji.

Ale kto miał dostęp do klucza? Iwona? Karla? Josef?

Rozległo się pukanie do drzwi, gwałtownie się odwróciłam i poszłam je otworzyć. Nilsson stał na zewnątrz, przypominał trochę niedźwiedzia, wojowniczego, ale zmęczonego. Cienie pod jego oczami nie były takie wielkie jak moje, ale niewiele im brakowało.

– Ktoś zabrał tę maskarę – powtórzyłam.

Pokiwał głową.

– Mogę wejść?

Odsunęłam się, a on mnie wyminął i wszedł do pokoju.

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Usiadł, kanapa cicho zaprotestowała, a ja przysiadłam naprzeciw niego, na krześle od toaletki. Żadne z nas się nie odzywało. Ja czekałam, aż on zacznie – może on robił to samo albo po prostu szukał właściwych słów. Uszczypnął się w grzbiet nosa, ten delikatny gest wyglądał dziwnie zabawnie u tak potężnego mężczyzny.

– Pani Blacklock...

– Lo – poprawiłam go stanowczo.

Westchnął i zaczął od nowa.

– Niech będzie, Lo. Rozmawiałem z kapitanem. Nie brakuje nikogo z załogi, jesteście tego teraz pewni. Rozmawialiśmy również ze wszystkimi jej członkami i nikt nie widział niczego podejrzanego związanego z tą kajutą, a wszystko to prowadzi nas do wniosku...

– Hej – przerwałam mu zawzięcie, jakby powstrzymanie go od wypowiedzenia tych słów mogło jakoś wpłynąć na to, co uradził z kapitanem.

– Pani Blacklock...

– Nie. Nie, nie możesz tak robić.

– Jak nie mogę robić?

– Raz nazywasz mnie panią Blacklock, wyrażasz szacunek wobec moich obaw, twierdzisz, że jestem ważną pasażerką, bla, bla, bla, a potem nagle przekreślasz mnie jak jakąś rozhisteryzowaną kobietę, która nie widziała tego, o czym mówi.

– Ja nie... – zaczął, jednak przerwałam mu, bo byłam zbyt wściekła, by go wysłuchać.

– Nie możesz tak sobie pogrywać. Albo mi wierzysz, albo... och, nie, chwileczkę! – Urwałam, bo nie mogłam uwierzyć, że nie pomyślałam o tym wcześniej. – A co z monitoringiem? Nie macie jakiegoś systemu bezpieczeństwa?

– Pani Blacklock...

– Moglibyście sprawdzić nagrania z korytarza. Ta dziewczyna na nich będzie... musi być!

– Pani Blacklock! – powtórzył głośniejszym głosem. – Rozmawiałem z panem Howardem.

– Co?

– Rozmawiałem z panem Howardem – powtórzył ostrożniej. – Benem Howardem.

– No i? – spytałam, ale serce mocno mi waliło. – Jakie pojęcie może mieć o tym Ben?



– Jego kajuta znajduje się po drugiej stronie tej pustej. Poszedłem z nim porozmawiać, sprawdzić, czy czegoś nie słyszał, czy może potwierdzić pani relację dotyczącą tego plusku.

– Nie było go wtedy – odparłam. – Grał w pokera.

– Wiem o tym. Ale powiedział mi... – Nilsson urwał.

*Och, Ben, pomyślałam i ścisnęło mnie w żołądku. Ben, ty zdrajco. Co ty narobiłeś?*

Wiedziałam, co powiedział. Poznałam to po twarzy Nilssona, ale nie zamierzałam mu tak łatwo odpuścić.

– Tak? – spytałam przez zaciśnięte zęby. Zamierzałam go zmusić, żeby zrobił to porządnie. Powinien to powiedzieć wyraźnie, wymówić jedną bolesną sylabę po drugiej.

– Powiedział mi o mężczyźnie w pani mieszkaniu. O tym włamywaczu.

– To nie ma tu nic do rzeczy.

– To, hm...

Odkasznął i najpierw założył ramiona na piersi, a potem skrzyżował nogi. Ten obraz wielkiego mężczyzny, który przysiadł niewygodnie na kanapie, starając się wtopić w tło, był niemal absurdalnie śmieszny. Nic nie powiedziałam. Wybornie było obserwować, jak się wił. *Wiesz – myślałam sobie okrutnie. Doskonale wiesz, że zachowujesz się jak skończony dupek.*

– Pan Howard powiedział mi, że... yyy... że od włamania nie spała pani dobrze – spróbował.

Nie odpowiedziałam. Siedziałam zimna i nieprzystępna, przepełniała mnie wściekłość na Nilssona, ale przede wszystkim na Bena Howarda. To był ostatni raz, kiedy mu się zwierzyłam. Czy ja się kiedyś nauczę?

– A do tego jeszcze ten alkohol – dodał. Jego pomarszczona twarz z blond czupryną wyglądała nieszczęśliwie. – Nie miesza się dobrze z...

Urwał. Odwrócił głowę w stronę drzwi łazienki, w kierunku żaloznej kupki moich rzeczy osobistych.

– Z czym? – spytałam, a mój głos był niski i ostry, zupełnie dla mnie nietypowy.

Nilsson wzniosł oczy do sufitu, jego zakłopotanie emanowało na cały pokój.

– Z... antydepresantami – odparł niemal szeptem, a jego wzrok znów uciekł w stronę pogniecionego, na wpół zużytego opakowania tabletek obok zlewu, i potem znów spojrzął na mnie, całym swoim ciałem wyrażając skruchę.

Jednak słowa zostały wypowiedziane. Nie dało się ich cofnąć i oboje o tym wiedzieliśmy.

Siedziałam w milczeniu, ale policzki mnie paliły, jakby ktoś mnie uderzył. A więc tak. Ben Howard naprawdę mi wszystko powiedział, ten skończony dupek. Rozmawiał z Nilssonem parę minut. W ciągu jednej konwersacji zdążył nie tylko zaprzeczyć mojej wersji wydarzeń, ale wyjawiał także każdy najmniejszy szczegół z mojej biografii, jaki znał, dzięki czemu udało mu się przedstawić mnie jako niewiarygodną i niezrównoważoną neurotyczkę.

Tak. Tak, biorę antydepresanty. I co z tego?

Nieważne, że przyjmuję te tabletki od lat – i mimo to piję. Nieważne, że miewałam ataki paniki, nie urojenia.

Ale nawet gdybym cierpiała na pełnoobjawową psychozę, to nie umniejszałoby faktu, że z tabletkami czy bez, *widziałam to, co widziałam*.

– A więc tak – powiedziałam w końcu bezbarwnym tonem. – Myślisz, że z powodu garści tabletek jestem paranoiczną świruską, która nie potrafi odróżnić prawdy od fikcji. Wiesz, że setki ludzi przyjmuje te same leki, co ja?

– Absolutnie nie to starałem się przekazać – powiedział zakłopotany. – Ale fakty są takie, że nie mamy żadnych dowodów, które poparłyby pani relację i, pani Blacklock, z całym szacunkiem, to, co pani zdaniem się stało, jest bardzo podobne do pani własnych doś...

– *Nie!* – krzyknęłam i wstałam, patrząc z góry na jego skulone ciało, mimo że normalnie musiał być ode mnie z piętnaście centymetrów wyższy. – Powiedziałam, *nie możesz* tak robić. Nie możesz się zwracać do mnie tak służalczo, a potem negocjować to, co powiedziałam. Tak, nie spałam dużo. Tak,

piłam alkohol. Tak, ktoś się włamał do mojego mieszkania. Ale to nie ma *nic wspólnego z tym, co zobaczyłam*.

– Ale w tym właśnie problem, prawda? – Też wstał, poirytowany, z rumieńcami na szerokich policzkach. – Niczego pani nie widziała. Widziała pani jakąś dziewczynę, których niemało na statku, a dużo później usłyszała plusk. Z tego wysnuła pani wniosek bardzo podobny do traumatycznego wydarzenia, którego doświadczyła parę nocy wcześniej. Mogła się pani pomylić. Coś takiego nie uprawnia do wszczęcia śledztwa w sprawie morderstwa, pani Blacklock.

– Spadaj – powiedziałam.

Wydawało mi się, że lód wokół mojego serca topnieje. Czułam, że zaraz zamieni się w coś bardzo głupiego.

– Pani...

– *Spadaj! Stąd!*

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Ręce mi się trzęsły.

– Spadaj – powtórzyłam. – Chyba że mam zadzwonić do kapitana i powiedzieć, że samotna podróżniczka wiele razy prosiła, byś opuścił jej kajutę, a ty odmówiłeś. WYPIERDALAJ Z MOJEJ KAJUTY!

Nilsson skulił się i sztywno podszedł do drzwi. Na chwilę przystanął, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale być może za sprawą mojej twarzy lub czegoś w moich oczach, kiedy podchwycił moje spojrzenie, wzdrygnął się i odwrócił.

– Do widzenia – powiedział. – Pani...

Ale nie czekałam, aż dokończy. Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem, a potem rzuciłam się na łóżko, żeby się wyszlochać.



## 15

Nie ma żadnego powodu, przynajmniej w teorii, dla którego potrzebowałabym w życiu tych tabletek. Miałam wspaniałe dzieciństwo, kochających rodziców, wszystko. Nie byłam bita, wykorzystywana, nikt nie oczekiwał, że będę przynosić same piątki. Dostałam wyłącznie miłość i wsparcie. Ale z jakiegoś powodu to nie wystarczyło.

Moja koleżanka Erin mówi, że każdy ma swoje demony, głosy namawiające nas do złego albo szepczące, że jeśli nie zdobędziemy jakiegoś awansu lub nie wymieciemy na jakimś egzaminie, to cały świat się dowie, że w rzeczywistości jesteśmy nikim. Może to prawda. Może moje demony są po prostu głośniejsze.

Ale nie wydaje mi się, żeby to było takie proste. Depresja, na którą zachorowałam po studiach, nie była związana z egzaminami ani poczuciem własnej wartości, to było coś dziwniejszego, coś na poziomie chemicznym, czego nie mogły naprawić żadne rozmowy.

Terapia poznawczo-behawioralna, wsparcie psychologa, psychoterapia – żadna z tych rzeczy nie działała tak, jak tabletki. Lissie mówi, że przeraża ją koncepcja chemicznej naprawy człowieka, że dla niej jest to przyjmowanie czegoś, co mogłoby zmienić to, kim ona jest w rzeczywistości. Ale ja tego tak nie postrzegam; dla mnie to jak makijaż – nie przebranie, ale sposób, by stać się *bardziej* sobą, mniej surową. Najlepszą wersją siebie.

Ben widział mnie bez tego makijażu. I oszedł. Przez długi czas byłam wściekła, ale ostatecznie zdałam sobie sprawę, że nie mam mu tego za złe. Rok, w którym skończyłam dwadzieścia pięć lat, był dość koszmarny. Gdybym *sama* mogła od siebie wtedy odejść, zrobiłabym to.

Ale to nie było usprawiedliwienie dla tego, co zrobił teraz.



– Otwieraj!

Stukanie klawiszy ustało i usłyszałam szurnięcie odsuwanej krzesła. Potem drzwi kajuty otworzyły się ostrożnie.

– Tak? – Twarz Bena wyjrzała przez szparę, a jego wzrok padł na mnie. – Lo! Co ty tutaj robisz?

– Co ty sobie wyobrażasz?

Miał dość przyzwoitości, żeby wyglądać na choć trochę speszzonego.

– A, o to chodzi.

– Tak, *o to*. – Minęłam go i wepchnęłam się do jego pokoju. – Rozmawiałeś z Nilssonem – rzuciłam krótko.

– Słuchaj... – Uniósł dłoń w pojednawczym geście, ale mnie nie dało się udobruchać.

– Nawet nie zaczynaj. Jak mogłeś, Ben? Ile to trwało, zanim wygadałeś mi wszystko? O załamaniu, o lekach, o tym, że prawie straciłam pracę... Powiedziałeś mi wszystko? Opowiedziałeś mi o tych dniach, w których nie byłam w stanie się ubrać, nie mogłam wyjść z domu?

– Nie! Oczywiście, że nie. Chryste, jak możesz tak w ogóle myśleć?

– Czyli tylko o tabletkach? I o tym, że ktoś się do mnie włamał, i jeszcze może parę innych pikantnych szczegółów, żeby dać mu do zrozumienia, iż na pewno nie można mi wierzyć?

– Nie! W ogóle tak nie było! – Podszedł do drzwi werandy, a potem obrócił się twarzą do mnie i przesunął dłonią po włosach tak, że zaczęły mu sterczeć. – Ja tylko... Cholera, to samo wyszło. Sam nie wiem jak. On jest niezły w swojej pracy.

– Ty jesteś dziennikarzem! Co się, u diabła, stało z „bez komentarza”?

– Bez komentarza – jęknął.

– Nie masz pojęcia, do czego doprowadziłeś.

Pięści miałam zaciśnięte, paznokcie wbijały mi się w dłonie i zmusiłam się, żeby je rozluźnić, rozcierając sobie bolące dłonie o dżinsy.

– O czym ty mówisz? Słuchaj, poczekaj chwilę, potrzebuję kawy. Też chcesz?

Chciałam mu powiedzieć, żeby spierdalał. Ale szczerze mówiąc, chciałam kawy. Krótko skinęłam głową.

– Biała bez cukru, tak?

– Tak.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – stwierdził i napełnił ekspres wodą mineralną, a potem wsunął kapsułkę.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie.

– Cholernie dużo się zmieniło, a ty doskonale o tym wiesz. Jak *mogłeś* mi powiedzieć takie rzeczy?

– Nie... Sam nie wiem. – Znowu wsunął rękę w poczochrane włosy, chwytając za nie tak, jakby był w stanie wyciągnąć z nich jakąś wymówkę, gdyby dostatecznie mocno za nie pociągnął. – Wpadłem na niego, jak wracałem ze śniadania. Zatrzymał mnie na korytarzu i zaczął mówić, że się o ciebie martwi, jakieś rzeczy o hałasach w nocy... Byłem na kacu i właściwie to w ogóle nie wiedziałem, o co mu chodzi. Na początku sądziłem, że mówi o tamtym włamaniu. Potem zaczął coś o tym, że jesteś w kiepskim stanie... Jezu, Lo, przepraszam, to nie było tak, że poszedłem, zapukałem do jego drzwi i rozpaczliwie chciałem pogadać. O co mu chodziło?

– Nieważne.

Wzięłam od niego kawę. Była za gorąca do picia, oparłam ją sobie o udo.

– Ważne. Ewidentnie cię to rozwalilo. Co się stało w nocy?

W dziewięćdziesięciu pięciu procentach chciałam powiedzieć Benowi Howardowi, żeby się odpieprzył i że stracił moje zaufanie, kiedy wypaplał szczegóły z mojego życia prywatnego i zniszczył moją wiarygodność w oczach Nilssona. Niestety pozostałe pięć procent chyba było bardzo silne.

– No...

Przełknęłam mimo bólu w gardle oraz pragnienia, by powiedzieć *komuś*, co się stało. Może gdybym powiedziała Benowi, to on mógłby zasugerować coś, o czym nie pomyślałam? W końcu *był* tym dziennikarzem. I choć trudno było mi to przyznać, dość poważanym.

Wzięłam głęboki wdech, a potem zrelacjonowałam mu tę historię, którą w nocy opowiedziałam Nilssonowi, tym razem bardzo szybko, bo rozpaczliwie chciałam zabrzmieć przekonująco.

– I chodzi o to, że ona tam *była*, Ben – dokończyłam. – Musisz mi uwierzyć!

– Hej, hej – odparł Ben. Zamrugał. – Oczywiście, że ci wierzę.

– Naprawdę? – Byłam tak zaskoczona, że ze stuknięciem odstawiłam kawę na szklany stolik. – Serio?

– Oczywiście, że tak. Nigdy się nie zdarzyło, żebyś coś sobie ubzdurała.

– Nilsson mi nie wierzy.

– Rozumiem, dlaczego Nilsson *nie chce* ci uwierzyć – odpowiedział Ben.

– To znaczy, wszyscy wiemy, że przestępstwa na statkach wycieczkowych to dość mętny temat.

Pokiwałam głową. Wiedziałam równie dobrze co on – podobnie jak każdy dziennikarz podróżniczy – jakie plotki mnożą się wokół takich statków rejsowych. Nie chodzi o to, że wśród ich właścicieli jest więcej kryminalistów niż w pozostałych sektorach branży podróżniczej, tylko po prostu z przestępstwami dokonywanymi na morzu nieuniknienie wiąże się pewna działalność poza marginesem prawa.

Aurora nie była takim statkiem jak niektóre, o jakich pisywałam – przypominające raczej pływające miasta niż wycieczkowce – ale jej status prawny na wodach międzynarodowych był tak samo dyskusyjny. Nawet dobrze udokumentowane zaginięcia często zamiatano pod dywan. Bez jasnej jurysdykcji policji, która mogłaby przejąć dowodzenie, prowadzenie śledztwa często pozostawiano pokładowym służbom ochrony zatrudnianym na jednostce, niemogącym sobie pozwolić na działanie na niekorzyść pracodawcy, choćby chciały jak najlepiej.



Potarłam ramiona. Nagle zrobiło mi się zimno, mimo ciepła dusznej kajuty. Poszłam do Bena, żeby go opierdzielić i poczuć się dzięki temu lepiej. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, było to, że on poprzez mój niepokój.

– Najbardziej martwi mnie to... – powiedziałam powoli, a potem urwałam.

– Co?

– Ona... ona pożyczyła mi maskarę. Tak ją poznałam... Nie wiedziałam, że ta kajuta powinna być pusta, zapukałam do drzwi i spytałam, czy może mi pożyczyć maskarę...

– Okej... – Ben wziął kolejny łyk kawy. Jego twarz nad filiżanką wyglądała na zdziwioną, wyraźnie nie wiedział, do czego zmierzam. – I?

– I... zniknęła.

– Co... ta maskara? Jak to: zniknęła?

– Zniknęła. Została zabrana z mojej kajuty, kiedy ja byłam z Nilssonem. Mogłabym odpuścić, ale jeżeli nie było nic na rzeczy, to po co zabierać tę maskarę? To była jedyna namacalna rzecz, którą mogłabym udowodnić, że ktoś *był* w tamtej kajucie i przepadł.

Ben wstał, podszedł do werandy i zasunął cienkie zasłony, choć ten gest wydawał się przesadny i niepotrzebny. Miałam dziwne, przelotne poczucie, że chciał przede mną ukryć twarz i zastanawiał się, co powiedzieć.

Potem się odwrócił i usiadł z powrotem w nogach łóżka, na jego twarzy malowało się czysto zawodowe skupienie.

– Kto jeszcze o tym wie?

– O maskarze?

Dobre pytanie, zauważyłam z ukłuciem rozgoryczenia, że sama o tym nie pomyślałam.

– Yyy... chyba... nikt prócz Nilssona.

Nie była to krzepiąca myśl. Patrzyliśmy długo na siebie, w oczach Bena odbijały się te same nieprzyjemne pytania, które nagle zaczęły się kłębić we mnie.

– Ale on był ze mną – powiedziałam w końcu. – Kiedy została zabrana.

– Przez cały czas?

– No... mniej więcej. Nie, czekaj, niezupełnie. Jadłam śniadanie. I rozmawiałam z Tiną.

– Więc mógł ją zabrać.

– Tak – odparłam powoli. – Mógł.

Czy to *on* był w mojej kajucie? Czy *stąd* wiedział o moich lekach i o zaleceniu, by nie mieszać ich z alkoholem?

– Słuchaj – powiedział w końcu Ben. – Chyba powinnaś iść pogadać z Richardem Bullmerem.

– Lordem Bullmerem?

– Tak, mówiłem ci, grałem z nim wczoraj w nocy w pokera i wydaje się, że to przyzwoity gość. Nie ma sensu zawracać sobie głowy Nilssonem, to Bullmer ponosi całą odpowiedzialność. Mój tata zawsze mawiał, że jeśli ma się jakąś skargę, to trzeba iść do samego szefa.

– To nie jest sprawa z kategorii obsługi klienta, Ben.

– Mimo wszystko. A ten Nilsson... Nie wygląda to dobrze, nie? I jeżeli ktokolwiek może go pociągnąć do odpowiedzialności, to Bullmer.

– Ale czy to zrobi? To znaczy: pociągnie kogokolwiek do odpowiedzialności? Ma tyle samo powodów co Nilsson, by próbować to wyciszyć. A w sumie więcej. Sam zauważyłeś, że to może się potencjalnie rozegrać bardzo niekorzystnie dla niego, Ben. Jeśli to się wyda, przyszłość Aurory będzie bardzo niepewna. Kto, do licha, będzie chciał zapłacić dziesiątki tysięcy funtów za luksusową wycieczkę statkiem, na którym zginęła jakaś dziewczyna?

– Na pewno jest to jakaś nisza rynkowa – odpowiedział Ben z trochę krzywym uśmiechem.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Słuchaj, nie zaszkodzi pójść się z nim spotkać – nalegał. – Wiemy przynajmniej, gdzie był wczoraj przez całą noc, a to więcej, niż możemy powiedzieć o Nilssonie.

– Jesteś pewien, że nikt, kto był z tobą, nie opuszczał kajuty?

– Stuprocentowo. Byliśmy w apartamencie Jenssenów, tam są tylko jedne drzwi, a ja całą noc przesiedziałem przodem do nich. Ludzie wstawali i wychodzili do toalety, ale wszyscy korzystali z łazienki w kajucie. Chloe przez jakiś czas siedziała i czytała, a potem poszła do sypialni za ścianą. Stamtąd można wyjść tylko przez główny pokój w apartamencie. Nikt się nie ruszył przynajmniej do czwartej rano. Możesz wykluczyć wszystkich czterech mężczyzn i Chloe.

Zmarszczyłam brwi i zaczęłam wyliczać na palcach.

– Czyli to będzie... ty, Bullmer... Archer... Lars i Chloe. Zostają nam Cole, Tina, Alexander, Owen White i lady Bullmer. Plus obsługa.

– Lady Bullmer? – Ben uniósł brew. – To chyba przesada?

– No co? – Przyjęłam obronny ton. – Może nie jest wcale taka chora, jak wygląda.

– No pewnie, przez cztery lata udawała, że choruje na nawracający nowotwór, a do tego przyjmowała wyczerpującą chemię i radioterapię tylko po to, żeby mieć alibi na czas morderstwa jakiejś obcej dziewczyny.

– Nie musisz być taki sarkastyczny. To była tylko sugestia.

– Myślę jednak, że pasażerowie to fałszywy trop. Nie można zapominać, że ty i Nilsson byliście jedynymi osobami, które wiedziały o tej maskarce. Jeśli on jej nie zabrał, to musiał o niej powiedzieć tej osobie, która to zrobiła.

– No... – Urwałam. Jakieś dziwne uczucie, podobne do wyrzutów sumienia, łaskotało mnie po karku.

– Co?

– No... zastanawiałam się. Kiedy Nilsson wziął mnie na obchód po załodze... Nie do końca pamiętam... Możliwe, że o niej wspomniałam.

– Jezu, Lo. – Ben się we mnie wpatrywał. – Powiedziałaś czy nie? To trochę ważne.

– Wiem o tym – odparłam cierpko.

Okręt uniósł się i opadł, a ja znów poczułam zalewającą mnie falę mdłości i na wpół strawione placki przesunęły się niespokojnie w moich wnętrznościach. Próbowałam sobie przypomnieć tamte rozmowy pod pokładami, ale to było trudne. Miałam strasznego kaca, byłam mocno

rozproszona przez klaustrofobiczne, sztuczne oświetlenie w tamtych wąskich, pozbawionych okien pomieszczeniach. Zamknęłam oczy, poczułam, jak kanapa kołysze się i przechyla pode mną, próbowałam wrócić myślami do tamtej stołówki. Zobaczyłam przyjemne, czyste twarze tamtych dziewczyn. Co ja, *do diabła*, wtedy powiedziałam?

– Nie pamiętam – przyznałam w końcu. – Naprawdę nie pamiętam. Ale możliwe, że o niej wspomniałam. Nie *wydaje mi się*, żeby tak było, ale nie mogę temu na sto procent zaprzeczyć.

– Cholera. W takim razie to znacznie poszerza możliwości.

Poważnie pokiwałam głową.

– Słuchaj – powiedział w końcu Ben. – Może któryś z pozostałych pasażerów coś widział. Kogoś wchodzącego do pustej kajuty albo z niej wychodzącego. Albo jak osoba, która ukradła maskarę, wchodziła do twojego apartamentu. Kto jeszcze ma pokoje na rufie?

– Hm... – Zaczęłam liczyć na palcach. – No, ja jestem w dziewiątce, ty w ósemce. Alexander jest w... Może w szóstce?

– Tina jest w piątce – powiedział z namysłem Ben. – Widziałem wczoraj wieczorem, jak do niej wchodziła. A to znaczy, że Archer musi być w siódemce. Okej. Chcesz zrobić mały obchód?

– Dobra.

Z jakiegoś powodu, może w przypiływie złości albo dzięki przekonaniu, że ktoś mi wierzy; albo po prostu dzięki temu, że miałam jakiś plan, od razu się lepiej poczułam. Ale wtedy zauważyłam zegar na laptopie Bena.

– Cholera, teraz nie mogę. Mam ten pieprzony zabieg dla kobiet w spa.

– O której się kończy?

– Nie mam pojęcia. Ale nie wydaje mi się, żeby to trwało dłużej niż do pory lunchu. Co w tym czasie mają robić mężczyźni?

Ben wstał i przejrzał leżącą na stole ulotkę.

– Orowadzanie po mostku kapitańskim. Pięknie i seksistowsko. Faceci zajmą się technologią, a kobiety aromaterapią. A nie, czekaj, jutro rano jest też spa dla mężczyzn. Może chodzi o brak miejsca. – Wziął notes i ołówek z toaletki. – Ja też muszę w takim razie iść, ale zobaczmy, czego uda nam się

rano dowiedzieć, a potem możemy się tu spotkać po lunchu i obejść kajuty pozostałych pasażerów. Następnie możemy z tym wszystkim pójść do Bullmera. Pewnie mógłby zboczyć z kursu i wpuścić na pokład lokalną policję.

Pokiwałam głową. Nilsson nie potraktował mnie poważnie, ale gdybyśmy mogli znaleźć kogoś, kto by potwierdził moją historię – może chociaż kogoś, kto też słyszał ten plusk – Bullmerowi byłoby dużo trudniej to zignorować.

– Ciągle o niej myślę – wypaliłam, kiedy staliśmy już przy drzwiach.

Ben przystanął z dłonią na zasuwce.

– O kim?

– O tej dziewczynie, dziewczynie z Palmgren.

Jak się musiała czuć, kiedy on po nią przyszedł. Czy jeszcze żyła, kiedy trafiła za burtę. Ciągle myślałam o tym, jakie to musiało być uczucie, ten szok wywołany lodowatą wodą, widok oddalającego się statku...

Czy krzyczała, gdy pochłaniały ją fale? Czy próbowała kogoś zawołać, kiedy słona woda zalewała jej płuca, klatka piersiowa unosiła się szybko, gdy zimna woda wychłodziła ją jeszcze bardziej, a we krwi zabrakło tlenu i tonęła, zapadała się coraz głębiej, coraz głębiej...

Jej ciało dryfujące przez zimną, milczącą czerń głębi oceanu, białe jak śnieg, ryby skubiące jej oczy, włosy falujące z prądem niczym pasmo ciemnego dymu... O tym wszystkim też myślałam, choć nie powiedziałam tego na głos.

– Przestań. Nie daj się ponieść wyobraźni, Lo.

– Wiem, jak to jest – oznajmiłam, gdy otworzył drzwi. – Nie rozumiesz tego? Wiem, jak musiała się czuć, kiedy ktoś po nią przyszedł w środku nocy. Dlatego muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.

I dlatego, że jeśli się nie dowiem, to wkrótce może przyjść też po mnie.



## 16

Kiedy przyszłam, Chloe i Tina czekały już w spa. Tina opierała się o blat, czytając coś na laptopie, który Eva zostawiła otwarty na blacie, a Chloe zaszyła się głęboko w luksusowo wyściełanym wintydzowym skórzanym fotelu, grając na komórce. Zdziwiłam się, że bez makijażu wygląda zupełnie inaczej, wielkie ciemne oczy i wystające kości policzkowe z poprzedniego wieczoru jakoś wyblakły i spłaszczyły się w świetle dnia.

Zauważyła w lustrze, że jej się przyglądam, i uśmiechnęła się.

– Zastanawiasz się nad moją tapetą? Podobno mam mieć jakieś zabiegi na twarz, więc ją zmyłam. Mówiłam ci, dobra ze mnie makijażystka.

– Och, ja nie... – Urwałam i poczułam, że się rumienię.

– Konturowanie – wyjaśniła Chloe. Obróciła się fotelem w moją stronę i mrugnęła. – Serio, to odmieni twoje życie. Mogłabym cię zmienić w każdego, poczynając od Kim Kardashian, a kończąc na Natalie Portman, używając tylko tego, co mam w swojej kajucie.

Miałam właśnie zażartować, kiedy kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i z zaskoczeniem zauważyłam, że jedno z wysokich lusterek za biurkiem się poruszyło i otworzyło do środka. Kolejne drzwi? Serio, ile ukrytych wejść było na tym statku?

Tina oderwała się od laptopa, a zza drzwi wyszła Eva z uprzejmym uśmiechem.

– Czy mogę w czymś pomóc, pani West? – spytała. – Na tym laptopie przechowujemy listy klientów i poufne informacje, więc obawiam się, że nie możemy pozwolić gościom na korzystanie z niego. Gdyby chciała pani

skorzystać z komputera, Camilla Lidman z przyjemnością przygotowuje dla pani jakiś w kajucie.

Tina wyprostowała się zakłopotana i obróciła laptop na biurku.

– Przepraszam, kochana. – Miała dość przyzwoitości, by wyglądać na choć trochę zawstydzoną. – Ja... yyy... szukałam tylko listy zabiegów.

Ponieważ pełna lista znajdowała się w materiałach prasowych, była to trochę głupia odpowiedź.

– Z przyjemnością dam pani wydruk – odparła Eva.

W jej tonie nie dało się wyczuć cienia chłodu, ale spoglądała na Tinę dość oceniająco.

– Mamy standardowe rodzaje masaży i kuracji, zabiegi na twarz, pedicure i tak dalej. Zabiegi na dłonie i włosy przeprowadzamy w tym pomieszczeniu.

– Wskazała fotel, na którym przysiadła Chloe.

Zastanawiałam się właśnie, gdzie się odbywają pozostałe usługi, bo w spa był tylko jeden fotel, a z tego, co widziałam, na górnym pokładzie nie mieli innych pomieszczeń – większość przestrzeni zajmowały jacuzzi i sauna – kiedy drzwi na pokład otworzyły się szeroko i ku mojemu zaskoczeniu do środka weszła Anne Bullmer. Wyglądała nieco lepiej niż poprzedniego wieczoru, jej cera była mniej ziemista, a twarz jakby mniej wymizerowana, ale ciemne oczy miała okolone cieniami, tak jakby nie spała.

– Przepraszam – powiedziała zdyszana, próbując się uśmiechnąć. – Strasznie długo zajmuje mi teraz chodzenie po schodach.

– Proszę! – Chloe wstała pośpiesznie i próbowała usunąć się z drogi w pusty kąt pomieszczenia. – Usiądź na moim miejscu.

– Nie trzeba – odparła Anne.

Chloe zaczęła naciskać, ale Eva przerwała z uśmiechem tę wymianę uprzejmości.

– Tak czy inaczej będziemy już przechodzić do gabinetów zabiegowych, drogie panie. Lady Bullmer, czy zechciałaby pani tu usiąść? Pani West, pani Blacklock i pani Jenssen, czy możemy zejść na dół?

Na dół? Nim zdążyłam pomyśleć, co to oznacza, otworzyła drzwi z lustrem za biurkiem – jedno dotknięcie brzegu uchyliło je do środka – i zaczęłyśmy



schodzić gęsiego po wąskich, ciemnych schodach.

Kontrast po tej jasnej i przestronnej recepcji był ogromny. Zaczęłam mrugać, a moje oczy próbowały się dostosować do słabego światła. Małe elektryczne tealighty umieszczono w uchwytych zamontowanych w równych odstępach wzdłuż schodów, ale ich migający, żółtawy blask tylko podkreślał otaczającą je ciemność, a kiedy statek przechylił się na dużej fali, na chwilę zakręciło mi się w głowie. Może to przez klatkę schodową niknącą pod nami w ciemnościach albo świadomość, że nawet delikatne pchnięcie mnie przez Chloe – która szła tuż za mną – rzuciłoby mnie wprost na Tinę i Evę przede mną. Gdybym złamała kark, nikt by się nie dowiedział, że to nie było tylko potknięcie w ciemnościach.

W końcu po zejściu, które zdawało się trwać w nieskończoność, zatrzymałyśmy się w małym holu. Słychać tam było szum wody z małej fontanny w zagłębieniu ściany, takiej, w której strużka wciąż tej samej wody w nieskończoność ścieka po kamiennej kuli. Ten dźwięk powinien być kojący i tak pewnie by działał na suchym lądzie, ale na statku było jakoś inaczej. Zaczęłam myśleć o przeciekach i wyjściach ewakuacyjnych. Czy byliśmy tu poniżej linii wody? Nie widziałam ani jednego okna.

Zaczęłam czuć, jak kurczy mi się klatka piersiowa, i zacisnęłam oczy. *Nie panikuj. Nie dostań tu, na Boga, ataku paniki.*

*Raz. Dwa. Trzy...*

Zdałam sobie sprawę, że Eva coś mówi, i próbowałam się skupić na jej słowach, a nie na nisko zawieszonym suficie oraz ciasnej, dusznej przestrzeni. Może po przejściu do gabinetów zabiegowych zrobi się mniej ciasno, coś się poprawi.

– ...tu mamy trzy pokoje zabiegowe – mówiła Eva. – Plus fotel na górze, więc pozwoliłam sobie wybrać zabiegi, które możemy przeprowadzić równocześnie.

Proszę, proszę, proszę, niech mój będzie ten na górze. Wbijałam sobie paznokcie w dłonie.

– Pani West, zapisałam panią na sesję aromaterapii w sali pierwszej z Hanni – powiedziała Eva, zaglądając do swojej listy. Pani Jenssen, będzie

miała pani zabieg na twarz w dwójce z Klausem. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko męskiemu terapeutycie? Pani Blacklock, zarezerwowałam pani kąpiel błotną w sali trzeciej z Ullą.

Poczułam, jak oddech mi przyspieszył.

– A co z lady Bullmer? – spytała Chloe, rozglądając się. – Gdzie ona jest?

– Będzie miała manicure na górze.

– Yyy – odezwałam się nieśmiało. – Nie wydaje mi się... Nie mogłabym też pójść na manicure na górze?

– Przykro mi – odparła Eva i rzeczywiście brzmiała, jakby było jej przykro. – Ale na górze jest tylko jeden fotel. Z przyjemnością zapiszę panią na manicure po południu, po pani zabiegu. Czy może wolałaby pani coś innego? Możemy zaproponować *reiki*, masaż szwedzki, masaż tajski, refleksologię... Mamy także kapsułę do floatingu. Jeśli nigdy pani tego nie próbowała, to niezwykle kojące.

– Nie! – zaprotestowałam odruchowo.

Tina i Chloe odwróciły głowy, a ja zdałam sobie sprawę, jak głośno się odezwałam, więc świadomie ściszyłam głos.

– Nie, nie, dziękuję. Floating to... to niezbyt dla mnie.

Sama myśl, że miałabym tam leżeć zamknięta w plastikowej trumnie pełnej wody...

– Nie ma problemu – odparła z uśmiechem Eva. – No, to czy wszystkie panie są gotowe? Sale zabiegowe znajdują się w głębi korytarza. W każdej jest prysznic. Do dyspozycji są szlafroki i ręczniki.

Pokiwałam głową, prawie nie słuchając jej instrukcji, a kiedy się odwróciła, żeby znów iść na górę, poszłam za Chloe i Tiną korytarzem z nadzieją, że nie było po mnie widać narastającego strachu. Dam radę. *Nie mogę* pozwolić, by moje fobie przeszkodziły mi w wykonaniu dobrej roboty. „Cześć, Rowan, nie, nie wypróbowałam spa, bo było dwa piętra niżej i nie miało okien. Sorry”. Nie, nie ma mowy. Poprawi się, jak wyjdziemy z tego wąskiego korytarza i znajdziemy się w naszych gabinetach.

Miałam nadzieję, że zabiegi w spa dadzą mi szansę na rozmowę z Tiną, Anne oraz Chloe i że wybadam je co do ich wczorajszych wieczornych

zająć, ale kiedy Chloe zniknęła w swoim gabinecie zabiegowym i zamknęły się za nią drzwi, zdałam sobie sprawę, że to się nie wydarzy.

Po drugiej stronie korytarza Tina zatrzymała się przy drzwiach oznaczonych jako „Gabinet zabiegowy 1”. Czekałam, aż wejdzie, żeby iść dalej korytarzem, ale ona odwróciła się twarzą do mnie, trzymając dłoń na klamce.

– Kochana – zaczęła niezręcznie. – Hm... Być może byłam trochę opryskliwa, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

Przez sekundę nie pamiętałam, o co jej chodzi, ale potem zrozumiałam, że o to nasze spotkanie na pokładzie i jej wściekłą furię w odpowiedzi na moje pytania. Dlaczego *była* taka drażliwa, kiedy spytałam ją o poprzedni wieczór?

– Cóż mogę powiedzieć... kac... brak fajek. Ale to nie jest żadne wytłumaczenie, nie powinnam na ciebie krzyczeć. – Cała jej postawa i sposób bycia były bardziej typowe dla kobiety, która zwykła wymagać przeprosin, a nie ich udzielać.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam sztywno. – W pełni rozumiem. Ja też nie jestem rannym ptaszkiem. Nie... poważnie, zapomnijmy o tym. – Ale poczułam, że twarz mi się zarumieniła po tym kłamstwie.

Tina wyciągnęła rękę i ścisnęła moje ramię gestem, który miał być prawdopodobnie przyjacielskim pożegnaniem, ale jej pierścionki były nieprzyjemnie zimne na mojej skórze. Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, na całym ciele poczułam powstrzymywany wcześniej dreszcz.

Wtedy wzięłam głęboki wdech i zapukałam do drzwi trzeciej z sal.

– Proszę wejść, pani Blacklock! – odezwał się ze środka kobiecy głos.

Drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się w nich uśmiechnięta Ulla ubrana w służbowy fartuch pracowników spa. Weszłam do pokoju i się rozejrzałam. Był mały, ale nie tak wąski jak korytarz i ponieważ w środku byliśmy tylko we dwie, wydawał się znacznie mniej zatłoczony. Poczułam, jak ucisk w mojej klatce piersiowej trochę się zmniejszył.

W pokoju paliły się te same elektryczne migające świece co na klatce schodowej, a na środku stało wysokie łóżko przykryte przezroczystym,

plastikowym ochraniaczem. W nogach leżało złożone białe prześcieradło.

– Witamy w spa, pani Blacklock – powiedziała Ulla. – Dziś przygotowaliśmy dla pani okłady błotne. Czy ma już pani z tym jakieś doświadczenia?

Milcząco pokręciłam głową.

– To bardzo przyjemny zabieg i dobry dla oczyszczenia skóry z toksyn. Najpierw poproszę panią, żeby się rozebrała i położyła na łóżku, przykrywając prześcieradłem.

– Mam zostać w bieliźnie? – spytałam, starając się, by zabrzmiało to tak, jakbym na co dzień chodziła do spa.

– Nie, błoto zostawia plamy – odparła stanowczo Ulla. Moje odczucia musiały się uwidocznic na twarzy, bo pochyliła się i sięgnęła do szafki po coś, co wyglądało jak kawałek pogniecionego ręcznika.

– Jeśli pani woli, proponujemy jednorazowe figi. Niektórzy goście ich używają, inni nie, to zależy wyłącznie od pani komfortu. A teraz pozwolę się pani rozebrać. Jeśli życzy sobie pani wziąć prysznic, jest tutaj.

Wskazała drzwi na lewo od łóżka, a potem wycofała się z pokoju z uśmiechem i cicho zamknęła za sobą drzwi, a ja zaczęłam ściągać z siebie kolejne warstwy ubrań, czując się coraz bardziej niezręcznie. Ułożyłam je na stosiku razem z butami i potem, już zupełnie naga, wsunęłam na siebie cienkie papierowe majtki i wspierałam się na łóżko, a moja skóra przykleiła się nieprzyjemnie do folii. Nakryłam się pod brodę białym prześcieradłem.

Niemal w tej samej chwili – na tyle szybko, że zaczęłam się nerwowo zastanawiać, czy w tym pomieszczeniu była jakaś kamera – rozległo się ciche pukanie do drzwi i usłyszałam głos Ulli.

– Czy mogę wejść, pani Blacklock?

– Tak – odpowiedziałam ochryple, a ona weszła, trzymając w dłoniach miskę z czymś, co wyglądało jak ciepłe błoto i pewnie nim było.

– Gdyby mogła się pani położyć na brzuchu – powiedziała cicho Ulla, a ja się przekręciłam.

Było to zaskakująco trudne, bo klejąca folia przywierała mi do skóry i czułam, jak prześcieradło się ześlizguje, ale Ulla zręcznie umieściła je

z powrotem na miejscu. Dotknęła czegoś z boku drzwi, a pokój wypełniły ciche dźwięki wielorybów oraz szum fal. Znowu miałam przed oczami nieprzyjemny obraz ciężaru wody zaledwie po drugiej stronie cienkiego metalowego kadłuba.

– Czy mogłaby pani... – odezwałam się niezręcznie, odwrócona twarzą do łóżka. – Ma pani może inne nagranie?

– Oczywiście – odparła Ulla. Wcisnęła coś, a muzyka zmieniła się w dźwięki dzwonek tybetańskich i wietrznych. – Tak lepiej?

Pokiwałam głową.

– A teraz, jeśli jest już pani gotowa...?

Zabieg był zaskakująco kojący, kiedy już się zmusiłam, by trochę się odprężyć. Przyzwyczaiałam się nawet do uczucia, że jakaś zupełnie obca osoba wmasowuje błoto w moje prawie nagie ciało. W połowie podskoczyłam, bo zdałam sobie sprawę, że Ulla do mnie mówi.

– Przepraszam – wykrztusiłam zaspianym głosem. – Może pani powtórzyć?

– Gdyby zechciała się pani odwrócić... – wymruczała, a ja przewróciłam się na plecy, błoto zjeżdżało i ślizgało się po folii.

Ulla znów ułożyła prześcieradło na mojej górnej połowie ciała i zaczęła masować przód moich nóg.

Pracowała metodycznie nad kolejnymi partiami, od dołu do góry, aż w końcu wygładziła błoto na moim czole, policzkach i zamkniętych oczach i znów przemówiła swoim cichym, kojącym tonem:

– Teraz panią owinę, pani Blacklock, żeby błoto mogło zadziałać, i wrócę do pani za około pół godziny, pomóc się pani rozwinąć i wziąć prysznic. Gdyby czegoś pani potrzebowała, po pani prawej stronie znajduje się przycisk. – Przyłożyła moją dłoń do guzika umieszczonego z boku łóżka. – Czy wszystko jest w porządku?

– Wszystko w porządku – odparłam sennie.

Ciepło tego pokoju i ciche pobrząkiwania muzyki działały wyjątkowo usypiająco. Trudno było mi pamiętać o tym wszystkim, co się wydarzyło w nocy. Jeszcze trudniej się tym przejmować. Chciałam tylko spać...

Poczułam wokół siebie folię, a potem coś ciężkiego i ciepłego na wierzchu – pomyślałam, że to ręcznik. Przez zamknięte powieki dostrzegłam, że światło zostało przygaszone.

– Będę tuż obok – powiedziała.

Usłyszałam ciche kliknięcie drzwi. Przestałam walczyć ze zmęczeniem i pozwoliłam, by ciepło oraz ciemność zamknęły się nad moją głową.



Śniło mi się, że tamta dziewczyna dryfowała głęboko, głęboko pod rozbijającymi się falami i krzykami mew, w zimnej, pozbawionej słońca głębi Morza Północnego. Jej roześmiane oczy były białe i spuchnięte od słonej wody, jasna skóra pomarszczona, a ubranie rozpadało się na strzępy, porozrywane przez ostre skały.

Przetrwały tylko jej długie włosy, unoszące się w wodzie niczym ciemne, pierzaste wodorosty, wplątujące się pomiędzy muszle i sieci rybackie wyrzucane na brzeg w zwojach, niczym podarte liny. Potem leżały tak bezładnie, a moje uszy wypełniał ryk fal uderzających o kamienistą plażę.

Obudziłam się zdrętwiała ze strachu. Potrzebowałam chwili, żeby sobie przypomnieć, gdzie jestem, a jeszcze dłużej trwało, nim zdałam sobie sprawę, że ten ryk w moich uszach nie należał do snu, tylko był prawdziwy.

Pokój spowijały ciemność i ta sama wilgotna mgła, którą czułam we śnie, a gdy usiadłam, poczułam na policzku chłodny powiew. Wydawało mi się, że ten hałas dobiegał z łazienki.

Zeszłam z łóżka, lekko drżąc. Drzwi były zamknięte, ale gdy do nich podeszłam, usłyszałam, jak hałas się wzmaga, a jednocześnie przyspieszyło bicie mojego serca. Zebrałam w sobie całą odwagę i otworzyłam drzwi na oścież. Wymacałam dłonią włącznik światła, małe pomieszczenie wypełniał hałas prysznic. Łazienkę zalało światło – i wtedy coś zauważyłam.

Na zaparowanej szybie literami wysokimi na może piętnaście centymetrów wypisano słowa:

PRZESTAŃ DRAŻYĆ.





BBC News, poniedziałek 28 września

Zaginięcie Brytyjki Laury Blacklock: Duńscy rybacy znaleźli ciało

Duńscy rybacy łowiący na Morzu Północnym przy norweskim wybrzeżu znaleźli ciało kobiety.

Scotland Yard został wezwany do współpracy z norweską policją przy śledztwie dotyczącym ciała wyłowionego we wczesnych godzinach porannych przez duńskich rybaków, co doprowadziło do spekulacji na temat tego, czy zmarłą może być zaginiona brytyjska dziennikarka Laura Blacklock (32 l.), która w ubiegłym tygodniu zniknęła podczas wakacji w Norwegii. Rzecznik Scotland Yardu potwierdził, że brytyjska policja została wezwana do pomocy w śledztwie, ale odmówił komentarza na temat możliwych powiązań sprawy z zaginięciem pani Blacklock.

Norweska policja ujawniła, że ciało należało do młodej kobiety rasy kaukaskiej i że proces ustalania jej tożsamości jest w toku.

Partner Laury Blacklock, Judah Lewis, przebywający obecnie w swoim domu w północnym Londynie, odmówił komentarza, przyznał tylko, że jest „wstrząśnięty przedłużającą się nieobecnością Laury”.



# CZEŚĆ PIĄTA





Przez sekundę nie mogłam zrobić niczego. Po prostu stałam, wpatrując się w ściekające litery, a serce tak mi waliło, iż w końcu pomyślałam, że zwymiotuję. W uszach słyszałam dziwny szum oraz szloch, jak u przestraszonego zwierzęcia – to był potworny dźwięk, częściowo wyrażający przerażenie, częściowo ból, a jakaś dziwaczna, oderwana od mnie część wiedziała, że to ja wydaję z siebie te odgłosy.

Potem wydawało mi się, że pomieszczenie się przesuwa, a ściany pochylają, i zdałam sobie sprawę, że to atak paniki i jeżeli nie znajdę się w bezpiecznym miejscu, to zemdleję. Na wpół pełznąć, na wpół się słaniając, dotarłam do łóżka i położyłam się na nim, zwijając się w pozycji embrionalnej. Próbowałam zwolnić oddech. Przypomniałam sobie, co mawiał mój terapeuta poznawczo-behawioralny: „Spokojny, świadomy oddech, Lo, i stopniowe rozluźnienie, jeden miesiąc po drugim. Spokojny oddech... świadome rozluźnienie. Spokojny... i świadomy. Świadomy... i... spokojny...”.

Nienawidziłam go już wtedy. Prawie w ogóle nie pomagał w tamtych atakach, a co dopiero teraz, kiedy naprawdę miałam powód do paniki.

„Świadomy... i spokojny...” Usłyszałam w głowie jego cichy, zadowolony z siebie tenor i tamta dobrze zapamiętana wściekłość jakoś mnie zakotwiczyła, dała mi dość siły, by spowolnić płytkie, spanikowane oddechy, a w końcu by usiąść. Przeciągnęłam rękoma po mokrych włosach i zaczęłam się rozglądać za telefonem.

Oczywiście na blacie za pustym opakowaniem po błocie stał jakiś telefon. Dłonie mi drżały i kruszyło się z nich wyschnięte błoto, więc ledwo byłam

w stanie podnieść słuchawkę, a co dopiero wybrać zero, ale kiedy mi się udało, usłyszałam głos ze skandynawskim akcentem:

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

Nie odezwałam się, siedziałam tylko z palcem zawieszonym nad przyciskami.

A potem z kliknięciem odłożyłam słuchawkę.

Napis zniknął. Siedząc na łóżku, widziałam lustro w łazience, a po wyłączeniu prysznic i dzięki pracy wiatraczka przy wentylacji cała para zniknęła. Widziałam tylko stróżkę wody w miejscu, gdzie wcześniej było „T” ze słowa „PRZESTAŃ”, i tyle.

Nilsson nigdy by mi nie uwierzył.



Wzięłam prysznic i się ubrałam, a potem znów poszłam korytarzem. Drzwi prowadzące do dwóch pozostałych gabinetów stały otworem. Zajrzałam do nich, przechodząc, ale były całkiem puste, czyste kanapy czekały na kolejnych klientów. Jak długo spałam?

Wspięłam się schodami do recepcji, ale była tam tylko Eva, która siedziała przy biurku, pisząc coś na laptopie. Podniosła głowę, gdy wyszłam zza schowanych drzwi, i uśmiechnęła się.

– Ach! Pani Blacklock. Czy jest pani zadowolona z zabiegu? Ulla zeszła na dół jakiś czas temu, żeby zdjąć pani okłady, ale bardzo mocno pani spała. Zamierzała wrócić za kwadrans. Mam nadzieję, że nie czuła się pani zagubiona po samotnej pobudce w gabinecie.

– W porządku – odparłam oschle. – Kiedy wyszły Chloe i Tina?

– Wydaje mi się, że jakoś przed dwudziestoma minutami.

Skinęłam na drzwi za sobą, teraz znów zamknięte i niewidoczne, o ile nie znało się sekretu tego lustra.

– Czy to są jedyne drzwi do spa?

– To zależy, co ma pani na myśli – odparła powoli, wyraźnie zakłopotana tym pytaniem. – To jedyne wejście, ale nie jedyne wyjście. Na dole znajduje się też wyjście ewakuacyjne prowadzące do pokoi obsługi, ale ono jest... jak to się mówi? Jednokierunkowe? Otwiera się tylko na zewnątrz. I zamontowano na nim alarm, więc nie polecam ich używać, chyba że zostanie zarządzone ewakuacja. Dlaczego pani pyta?

– Bez powodu.

Popełniłam błąd, paplając rano przy Nilssonie. Nie zamierzałam popełnić go ponownie.

– W salonie Lindgren podają teraz lunch – oznajmiła Eva. – Ale proszę się nie przejmować, nic pani nie ominęło. Podajemy go w formie bufetu, więc każdy może przyjść i wyjść w dowolnym momencie. Ach, i byłabym zapomniała – dodała, kiedy odwróciłam się w kierunku wyjścia. – Czy pan Howard panią odnalazł?

– Nie. – Znieruchomiałam z dłonią na klamce. – Dlaczego?

– Przyszedł tu pani szukać. Wyjaśniłam, że jest pani w trakcie zabiegu i nie może z panią porozmawiać osobiście, ale zszedł na dół i zostawił wiadomość Ulli. Czy chciałaby pani, żebym ją odszukała?

– Nie – odparłam krótko. – Sama go znajdę. Czy ktoś jeszcze tam schodził? Pokręciła głową.

– Nie, byłam tu przez cały czas. Pani Blacklock, czy jest pani *pewna*, że wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się tylko i wyszłam ze spa, czując chłodną wilgoć na skórze pod ubraniami oraz zimny strach, który sięgał dużo głębiej.



W salonie Lindgren byli tylko Cole, który siedział przy stole przed swoim aparatem, oraz Chloe po drugiej stronie sali – wyglądała przez okna

i nieuważnie jadła widelcem sałatkę. Gdy weszłam, podniosła wzrok i wskazała głową krzesło obok siebie.

– Hej! Prawda, że to spa jest cudowne?

– Chyba tak – powiedziałam, odsunęłam sobie krzesło, a potem zdałam sobie sprawę, jak to musiało dziwnie i niewdziecznie zabrzmieć, więc spróbowałam od nowa: – To znaczy tak, było. Mój zabieg był bardzo przyjemny. Tylko po prostu... nie czuję się dobrze w zamkniętych przestrzeniach. Mam trochę klaustrofobię.

– Och! – Jej twarz się rozjaśniła. – Zastanawiałam się, dlaczego wyglądałaś na dole na taką spiętą. Myślałam, że masz kaca.

– Cóż. – Zaśmiałam się sztucznie. – To pewnie też.

Czy to mogła być ona, tam na dole, w spa? Niewykluczone. Ale Ben był pewien, że wczorajszej nocy nie wychodziła z pokoju.

A co z Tiną? Pomyślałam o jej żylastej sile oraz o gwałtownej reakcji na moje pytanie o to, jak spędziła poprzedni wieczór. Byłam w pełni przekonana, że ona mogłaby wypchnąć kogoś za burtę.

Czy to mógłby być *Ben*? *On* zszedł na dół do spa i przecież jego wczorajsze alibi opierało się wyłącznie na jego własnych zapewnieniach.

Chciałam krzyknąć. To doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Wiesz co – zagadałam swobodnie Chloe. – Graliście wczoraj wieczorem w pokera, prawda?

– Ja nie grałam. Ale tak, byłam tam. Oskubali biednego Larsa, ale z drugiej strony jego na to stać. – Zaśmiała się krótko i dość bezdusznie, a Cole uniósł głowę znad drugiego stolika i rzucił jej uśmiech.

– To pytanie może zabrzmieć dziwnie... ale czy ktokolwiek z was opuszczał wczoraj kajutę?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparła Chloe. – Po jakimś czasie poszłam do sypialni. Poker jest strasznie nudny do oglądania. Cole był tam przez jakiś czas, prawda, Cole?

– Tylko przez jakieś pół godziny. Chloe ma rację, poker nie jest zbyt widowiskowym sportem. Pamiętam, że Howard gdzieś wychodził. Poszedł po portfel.



Nagle poczułam suchość w ustach.

– Dlaczego pytasz? – dodał.

– To nic takiego. – Próbowałam się zmusić do uśmiechu i zmieniłam temat, nim zaczął dalej drążyć. – Jak tam zdjęcia?

– Możesz spojrzeć, jeśli masz ochotę – powiedział i rzucił mi aparat z taką niefrasobliwością, że krzyknęłam i prawie go upuściłam. – Wciśnij sobie przycisk play z tyłu i możesz je przewijać. Wyślę ci wydruki, jak któreś ci się spodoba.

Zaczęłam przeglądać zdjęcia, cofając się w tej podróży, przewinęłam nastrojowe ujęcia chmur i krążących mew, potem grę w pokera poprzedniego wieczoru, zdjęcia roześmianego Bullmera zagarniającego do siebie żetony Bena i załamanego Larsa, który wyłożył parę dwójek przeciwko trzem piątkom Bena. Jedno z poprzedniego wieczoru prawie zaparło mi dech w piersiach. Było to ujęcie Chloe zrobione z bardzo bliska. Akurat zerknęła w obiektyw. Widać było małe włoski na policzku, złote w świetle flesza, oraz uśmiech w kącie ust, i było w tym kadrze coś tak intymnego, że patrząc na niego, czułam się niemal jak intruz. Bez namysłu spojrzałam na Chloe – zastanawiałam się nad nią i Cole'em – a ona uniosła wzrok.

– Co tam? Znalazłaś jakieś moje zdjęcie?

Pokręciłam głową i pospiesznie przewinęłam do kolejnego, zanim zdążyła spojrzeć mi przez ramię na mały ekran. Na następnym byłam ja; to było to zdjęcie, którym Cole mnie zaskoczył i sprawił, że wylałam kawę. Uchwycił, jak zaniepokojona uniosłam głowę – wzdrygnęłam się, kiedy zobaczyłam swoje oczy.

Przewinęłam dalej.

Były to kolejne zdjęcia ze statku. Na jednym Tina patrzyła przeszywająco w obiektyw, oczy miała jak drapieźnik. Na innym Ben niósł po kładce duży plecak. Znowu przypomniawszy mi się ogromna walizka Cole'a. Co w niej było? Powiedział, że sprzęt fotograficzny, ale jak dotąd nie widziałam, żeby używał czegokolwiek poza tym automatem.

Minęłam zdjęcia statku i przeszłam do tych z imprezy zapoznawczej. Już miałam oddać aparat, kiedy serce zatrzepotało mi w piersi

i znieruchomiałam. Na ekranie widniało zdjęcie mężczyzny jedzącego przekąskę.

– Kto to? – spytała przez ramię Chloe. – Czekaj, czy tam w tle nie widać czasem Alexandra Belhomme’a, który rozmawia z Archerem?

Tak było. Ale ja nie patrzyłam ani na Alexandra, ani na Archera.

Chodziło o kelnerkę trzymającą tacę przekąsek.

Jej twarz była na wpół odwrócona od obiektywu, a ciemne włosy wysunęły się z upięcia na policzek.

Jednak byłam prawie pewna – niemal całkowicie pewna – że to ona była kobietą z kajuty dziesiątej.



## 18

Ostrożnie oddałam aparat, dłonie mi się trzęsły i zastanawiałam się, czy powinnam coś powiedzieć. To był dowód – niepodważalny dowód, że Cole, Archer i Alexander byli w tym samym pomieszczeniu co widziana przeze mnie kobieta. Może powinnam spytać Cole'a, czy ją zna?

Siedziałam i nie umiałam podjąć decyzji, a on wyłączył aparat i zaczął go pakować.

Kurde. *Kurde*. Powinnam coś powiedzieć?

Nie miałam pojęcia, co robić. Możliwe, że Cole nie zdawał sobie sprawy z tego, jaką wartość ma zrobione przez niego zdjęcie. Dziewczyna była w połowie poza kadrem, ostrość ustawiono na zupełnie inną osobę, nieznanego mi mężczyznę.

Gdyby Cole miał coś do ukrycia, byłoby to z mojej strony niewiarygodnie głupie, ujawniać się z tym, co właśnie zobaczyłam. Zaprzeczyłby, a potem pewnie usunął zdjęcie.

Z drugiej strony, bardzo prawdopodobne, że nie miał pojęcia, kim była ta dziewczyna, i może mógłby mi dać tę fotografię. Ale gdybym poruszyła ten temat teraz, przy Chloe, gdy kto wie, kto jeszcze mógł tego słuchać...

Pomyślałam o tym, jak Bjorn wyszedł zza paneli przy śniadaniu, i mimowolnie spojrzałam przez ramię. Ostatnie, czego chciałam, to to, żeby to zdjęcie zniknęło w taki sam sposób jak maskara. Nie zamierzałam popełnić dwa razy tego samego błędu. Gdybym zdecydowała się skonfrontować z Cole'em, powinnam to zrobić na osobności. Skoro zdjęcie aż do tej pory było bezpieczne w jego aparacie, to może jeszcze trochę zaczekać.

Wstałam, kolana nagle zaczęły mi się trząść.

– Właściwie... właściwie to nie jestem bardzo głodna – powiedziałam do Chloe. – I miałam się zobaczyć z Benem Howardem.

– Och, zapomniałam – odparła swobodnie. – Był tu i cię szukał. Natknęłam się na niego, jak wychodziłam ze spa. Mówił, że ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– Wspominał może, dokąd się wybiera?

– Chyba do swojej kajuty, popracować.

– Dzięki.

Bjorn pojawił się znowu jak dżin zza ukrytego ekranu.

– Czy podać pani coś do picia, pani Blacklock?

Pokręciłam głową.

– Nie, przypomniałam sobie, że mam się z kimś spotkać. Czy mógłby pan wysłać jakąś kanapkę do mojego apartamentu?

– Oczywiście. – Skinął głową.

Wymknęłam się z sali, kiwając przepaszająco Cole'owi i Chloe.



Popędziłam korytarzem prowadzącym do kabin na rufie, wybiegłam zza rogu i wpadłam – dosłownie – na Bena. Zderzyliśmy się tak mocno, że zaparło mi dech.

– Lo! – Chwycił mnie za ramię. – Szukam cię wszędzie.

– Wiem. Co robiłeś na dole w spa?

– Słyszałaś, co właśnie powiedziałem? Szukałem ciebie.

Przyjrzałam mu się, jego twarzy wyrażającej niewinność, oczom ponad ciemną brodą – okrągłym i niecierpliwym. Czy mogłam mu zaufać? Nie miałam pojęcia. Kilka lat wcześniej powiedziałabym, że znałam Bena na wylot – dopóki mnie nie zostawił. Teraz nauczyłam się już, że nie mogę do końca wierzyć nawet sobie, a co dopiero komuś innemu.

– Wchodziłeś do mojego gabinetu zabiegowego? – spytałam wprost.

– Co? – Przez chwilę wydawał się zagubiony. – Nie, oczywiście, że nie. Powiedzieli mi, że robią ci błotne okłady. Przypuszczałem, że wolałabyś, abym się tam nie pakował. Poradzono mi, żebym poszukał dziewczyny o imieniu Ulla, ale nie było jej tam, więc wsunąłem karteczkę pod twoje drzwi i wróciłem na górę.

– Nie widziałam żadnej karteczki.

– Ale ja ją zostawiłem. O co chodzi?

Czułam, że w mojej piersi zaraz coś wybuchnie – mieszanina strachu i frustracji. Skąd mogłam wiedzieć, czy Ben mówił mi prawdę? W każdym razie ta wiadomość byłaby głupim kłamstwem – nawet jeżeli to on napisał te słowa na lustrze, to po co miałby kręcić, że zostawił mi kartkę? Może tam *była*, a ja w panice jej nie zauważyłam.

– Ktoś inny zostawił mi wiadomość – wyjaśniłam w końcu. – Wypisaną na zaparowanym lustrze w łazience obok, kiedy miałam zabieg. Napisał: „przestań drażnić”.

– Co?

Na jego zaróżowionej twarzy odmalował się szok, szczęka mu opadła. Jeśli udawał, to był to jego najlepszy występ, jaki widziałam.

– Mówisz poważnie?

– W stu procentach.

– Ale... ale nie widziałaś, żeby ktoś wchodził? Czy do tej łazienki jest jakieś inne wejście?

– Nie. Musiał przejść przez gabinet. A ja... – Było mi dziwnie wstyd to powiedzieć, ale zebrałam się na odwagę, nie zamierzałam nikogo przeproszać. – Zasnęłam. Do spa jest tylko jedno wejście i Eva twierdzi, że nikt tam nie schodził poza Tiną i Chloe... i tobą.

– I obsługą spa – przypomniał mi Ben. – Poza tym na pewno mają na dole jakieś wyjście pożarowe?

– Mają, ale ono jest jednokierunkowe. Prowadzi do kajut załogi, ale nie otwiera się od drugiej strony. Pytałam.

Ben wyglądał na nieprzekonanego.

– Raczej nietrudno, żeby ktoś je podważył od drugiej strony.

– Nie, ale mają podpięty alarm. Wszędzie rozległyby się syreny.

– No, jednak jeśli dość dobrze zna się system, można chyba przestawić ustawienia alarmowe. A wiesz co, Eva też nie siedziała tam ciągle.

– Jak to?

– Nie było jej, kiedy wróciłem na górę. Anne Bullmer była... Czekala, aż wyschnie jej lakier na paznokciach. Ale Eva gdzieś poszła. Więc jeśli twierdzi, że siedziała tam przez cały czas, to nie mówi prawdy.

O Boże. Pomyślałam o tym, jak leżałam tam na wpół naga pod cienkimi okładami z folii i ręczników, a ktoś – ktokolwiek – mógł wejść do środka, położyć mi dłoń na ustach, owinać mi folię wokół głowy...

– To dlaczego mnie szukałeś? – spytałam, starając się zabrzmieć normalnie.

Ben spojrział na mnie nerwowo.

– Och... rzeczywiście. No bo wiesz, byliśmy na tym oprowadzaniu po mostku kapitańskim i tak dalej.

Pokiwałam głową.

– Archer próbował chyba do kogoś napisać i upuścił komórkę. Podniosłem ją i zobaczyłem otwartą listę kontaktów.

– No i?

– Zobaczyłem kogoś opisanego tylko jako „Jess”, ale na zdjęciu była dziewczyna bardzo podobna do tej, którą opisałaś. Przed trzydziestką, z długimi, ciemnymi włosami, ciemnymi oczami... No i właśnie... miała na sobie koszulkę Pink Floyd.

Coś zimnego przeszło mój kręgosłup. Przypomniałam sobie Archera z poprzedniego wieczoru, jego roześmianą twarz, kiedy wykręcił mi rękę do tyłu. Do tego krytyczne słowa Chloe: „Może te pogłoski o jego pierwszej żonie były prawdziwe...”.

– Czy to do niej próbował napisać? – spytałam.

Ben pokręcił głową.

– Nie wiem. Może wcisnął jakieś przyciski, kiedy telefon wypadł mu z ręki.

Odruchowo wyciągnęłam swoją komórkę, żeby wyszukać „Jess Archer Fenlan”, ale ikonka wyszukiwania kręciła się bezowocnie. Internet nadal nie działał, a moje mejle wciąż się nie łądowały.

– Działa ci internet? – spytałam Bena.

Pokręcił głową.

– Nie, podobno są jakieś problemy z routerem. Widocznie początkowe kłopoty są nieodłącznym elementem dziewiczych rejsów, ale to już naprawdę wkurzające. Archer narzekał na to podczas lunchu; wyładował się nawet na biednej Hanni. W każdym razie porozmawiał z tą Camillą Jakąstą i podobno mają to wkrótce naprawić. Cholera, mam nadzieję, że tak się stanie, bo muszę wysłać tekst.

Zmarszczyłam brwi i schowałam komórkę z powrotem do kieszeni. Czy Archer mógł być tą osobą, która napisała wiadomość na zaparowanym lustrze? Pomyślałam o jego sile, o cieniu okrucieństwa w jego uśmiechu poprzedniej nocy i zrobiło mi się niedobrze na myśl, że to on miałby przemykać obok mnie na palcach, kiedy spałam.

– Zeszliśmy zobaczyć silnik – dodał Ben, niemal jakby czytał mi w myślach. – Znajduje się trzy pokłady niżej. Prawdopodobnie przechodziliśmy dość blisko tego wyjścia ze spa, o którym mówiłaś.

– Zauważyłbyś, gdyby ktoś się odłączył od grupy?

Ben pokręcił głową.

– Wątpię. Ten pokład z silnikiem był bardzo ciasny, wszyscy się rozproszyliśmy, przemykaliśmy z jednej wąskiej przestrzeni do drugiej. Zebraliśmy się razem dopiero wtedy, kiedy wyszliśmy na górę.

Wezbrało we mnie nagle mdlące, klaustrofobiczne uczucie, jakby duszące bogactwo tego statku zaciskało się wokół mnie.

– Muszę wyjść. Gdziekolwiek.

– Lo. – Ben wyciągnął dłoń w stronę mojego ramienia, ale wyrwałam mu się z uścisku i zatoczyłam w stronę drzwi na pokład, po czym otworzyłam je gwałtownie, mimo wiatru.

Niespodziewany poryw uderzył mnie w twarz niczym cios z pięści i zatoczyłam się w kierunku poręczy, przewiesiłam się przez nią, czując, jak



statek unosi się w górę i w dół. Ciemnoszare fale rozciągały się przede mną niczym pustynia – kilometr po kilometrze, aż po horyzont, bez śladu lądu na horyzoncie ani nawet żadnego statku. Zacisnęłam oczy i zobaczyłam bezowocnie obracającą się ikonkę wyszukiwarki internetowej. Nie było dosłownie żadnego sposobu, by wezwać pomoc.

– Wszystko w porządku? – usłyszałam ponad ramieniem, słowa przecinał wiatr.

Ben poszedł za mną. Zamknęłam mocno oczy, chroniąc się przed słonymi kroplami uderzającymi w kadłub statku, i pokręciłam głową.

– Lo...?

– Nie dotykaj mnie – rzuciłam przez zaciśnięte zęby, a potem łódź uniosła się na wyjątkowo wysokiej fali i poczułam, jak przewróciło mi się w żołądku, a potem zwymiotowałam przez poręcz. Moim brzuchem wstrząsały kolejne torsje, aż w końcu oczy zasły mi łzami i w żołądku pozostał tylko kwas. Zobaczyłam, z nieco okrutną satysfakcją, że moje wymiociny rozprysnęły się po kadłubie i bulaju poniżej. „Już nie jest tak idealnie wykończony” – pomyślałam, ocierając usta rękawem.

– Wszystko okej? – spytał zza moich pleców Ben, a ja zacisnęłam pięści na poręczy. „Bądź miła, Lo”.

Odwróciłam się i zmusiłam do skinięcia głową.

– W sumie to czuję się trochę lepiej. Nigdy nie lubiłam żeglugi.

– Och, Lo. – Objął mnie ramieniem i uścisnął, a ja pozwoliłam mu się przyciągnąć, powstrzymując odruch odsunięcia się.

Potrzebowałam Bena po swojej stronie. Chciałam, żeby mi wierzył, żeby myślał, że mu ufam...

Wyczułam zapach dymu tytoniowego i usłyszałam stuk, stuk wysokich obcasów idących po pokładzie.

– O Boże. – Wyprostowałam się i odsunęłam się od Bena niemal jakby przez przypadek. – To Tina, możemy wejść do środka? Nie chcę się z nią teraz widzieć.

Nie teraz. Nie ze łzami zaschniętymi na policzkach i wymiocinami na rękawie. Nie byłby to na pewno profesjonalny wizerunek ambitnej

dziennikarki, jaki chciałam podtrzymać.

– Pewnie – odparł troskliwie, otworzył drzwi i weszliśmy szybko do środka dokładnie w chwili, gdy Tina wyszła zza zakrętu.

Po tym wyjąłym wietrze korytarz wydawał się nagle cichy i gorąco duszny. Obserwowaliśmy w milczeniu, jak Tina podchodzi do barierki i wychyla się przez nią zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą wymiotowałam.

– Jeśli chcesz znać prawdę – powiedział Ben, spoglądając przez szybę na plecy Tiny – to ja stawiam na nią. To jest zimna i wyniosła suka.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Ben czasami traktował wrogo kobiety, z którymi pracował, ale jeszcze nigdy nie słyszałam w jego głosie takiej jawnej niechęci.

– *Przepraszam* bardzo? Dlatego, że jest ambitną kobietą?

– Nie tylko dlatego. Ty z nią nie pracowałaś, ale ja tak. Poznałem w życiu parę osób skupionych na karierze, ale u niej to zupełnie inna liga. Przysięgam, że byłaby w stanie zabić, by zdobyć jakiś temat albo awans, a wygląda na to, że wybiera sobie na celownik inne kobiety. Nie cierpię tego typu. Żadnej nie przepuści.

Milczałam. Jego słowa i ton balansowały na skraju mizoginii, ale jednocześnie wydawało się to nieprzyjemnie podobne do tego, co powiedziała Rowan, i nie byłam pewna, czy powinnam tak po prostu puścić jego spostrzeżenie mimo uszu.

Tina *była* ze mną na dole w spa, kiedy pojawił się tamten napis. A do tego jeszcze jej defensywna postawa wcześniej tego ranka...

– Pytałam ją, gdzie była wczoraj wieczorem – wspomniałam niechętnie. – Zachowała się naprawdę dziwnie. Bardzo agresywnie. Powiedziała, że nie powinnam robić sobie wrogów.

– Ach, *tak* – odparł Ben. Uśmiechnął się, ale nie w przyjemny sposób, raczej było w tym coś niemiłego. – Nie przyznałaby ci się do tego, ale ja akurat wiem, że spędziła go z Josefem.

– Josefem? Stewardem Josefem? Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie. Dowiedziałem się tego na oprowadzaniu od Alexandra. Widział, jak Josef wychodził na palcach z kajuty Tiny o bardzo wczesnej porze, w stanie... powiedzmy, że w negliżu.

– Rety.

– Rety, rety. Kto by pomyślał, że Josef posunie się tak daleko w zapewnianiu komfortu pasażerom. On nie jest za bardzo w moim typie, ale ciekawe, czy dałbym radę go przekonać, żeby zrobił to samo...

Nie zaśmiałam się. Nie mogłam, myśląc o tych wąskich, pozbawionych naturalnego światła pokojach zaledwie kilka pokładów pod miejscem, w którym akurat staliśmy.

Jak daleko ktoś mógłby się posunąć, żeby uciec ze swojego zamknięcia?

Ale wtedy Tina, stojąca i paląca przy poręczy, odwróciła się i zauważyła nas w środku. Wyrzuciła niedopałek za burtę i mrugnęła do mnie, zanim ruszyła z powrotem wzdłuż pokładu, a ja nagle poczułam się ohydnie na myśl o tych wszystkich mężczyznach chichoczących za jej plecami o jej małej przygodzie.

– Skoro już przy nim jesteśmy, to co z Alexandrem? – rzuciłam oskarżycielskim tonem. – Jego kajuta znajduje się na rufie, obok naszych. I dlaczego śledził Tinę w środku nocy?

Ben parsknął.

– Żartujesz sobie. On musi ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. Nie wyobrażam sobie, żeby miał przetrząść przez barierkę dorosłą kobietę.

– Nie grał w pokera, więc nie mamy pojęcia, gdzie był, za to wiemy, że kręcił się tu nad ranem. – Nagle mnie zmroziło, że to on był na tamtym zdjęciu w aparacie Cole'a.

– On jest wielki jak mors. Poza tym ma chore serce. Widziałaś kiedyś, jak wchodzi po schodach? Albo, jeszcze lepiej, czy go słyszałaś? Brzmi jak pociąg parowy i człowiek zaczyna się martwić, że jak on już się wdrapie na górę, to się stamtąd stoczy i spadnie na ciebie. Nie wyobrażam sobie, żeby był w stanie pokonać kogokolwiek w walce.

– Ona mogła być bardzo pijana. Albo naćpana. Założę się, że każdy byłby w stanie wypchnąć za burtę nieprzytomną kobietę, to tylko kwestia

odpowiedniej dźwigni.

– Gdyby była nieprzytomna, to skąd ten krzyk? – spytał Ben, a ja nagle poczułam przypływ wściekłości.

– Boże, rób, jak chcesz, mam już serdecznie dość tego, że wszyscy się mnie czepiają i wypytują, jakbym to ja powinna znać wszystkie odpowiedzi. Nie *wiem*, Ben. Nie wiem już, co mam myśleć. Okej?

– Okej – odpowiedział pojednawczo. – Przepraszam... nie chciałem być taki. Tylko myślałem na głos. Alexander...

– Wymawiacie moje imię nadaremno? – rozbrzmiał głos w głębi korytarza i oboje się obróciliśmy.

Poczułam, jak czerwienieją mi policzki. Jak długo Alexander tam był? Czy słyszał moje spekulacje?

– O, dzień dobry, Belhomme – odpowiedział gładko Ben. Nie wydawał się ani trochę zmieszany. – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

– Tak słyszałem. – Alexander dołączył do nas, lekko dysząc.

Zdałam sobie sprawę, że Ben miał rację. Najmniejszy wysiłek pozbawiał go tchu.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

– Oczywiście – powiedział Ben. – Rozmawialiśmy właśnie o dzisiejszej kolacji. Lo opowiadała, jak dobrze się znasz na jedzeniu.

Przez minutę nie mogłam wymyślić, co powiedzieć, zdumiona tym, jak dobrze Ben nauczył się kłamać od czasów naszego związku. A może zawsze był takim sprytnym oszustem, tylko ja tego nie zauważyłam?

Potem zdałam sobie sprawę, że zarówno Ben, jak i Alexander czekają, aż się odezwę.

– Och, tak, pamiętasz? – wyjąkałam. – Opowiadałeś mi o fugu.

– Oczywiście. To *takie* emocje. Uważam, że każdy ponosi odpowiedzialność za wyciśnięcie z własnego życia każdej *kropki*. W przeciwnym razie jest to tylko krótki, brzydki i brutalny czas zwieńczony śmiercią.

Uśmiechnął się szeroko, trochę jak krokodyl, i wyciągnął coś spod pachy. Była to książka, dostrzegłam, że Patricii Highsmith.

– Nie mówcie nikomu – powiedział poufale Alexander – ale ten kolor nie jest w *stu procentach* naturalny. – Dotknął swojego policzka w odcieniu, wtedy to zauważyłam, orzecha włoskiego. – Wybieram się do spa na małe poprawki. Moja żona zawsze mówi, że lepiej wyglądam z odrobiną koloru na twarzy.

– Nie wiedziałam, że masz żonę – powiedziałam z nadzieją, że moje zaskoczenie w głosie nie jest tak ewidentne.

Alexander pokiwał głową.

– Pokutuję za grzechy. W tym roku stuknie trzydzieści osiem lat. Mniej się chyba dostaje za morderstwo!

Zaśmiał się ochryple, a ja wzdrygnęłam się wewnętrznie. Jeśli nie słyszał naszej wcześniejszej rozmowy, to była to dziwna uwaga. A jeżeli *słyszał*, była bardzo nie na miejscu.

– Przyjemnego czasu w spa – powiedziałam głupio.

Znowu się uśmiechnął.

– Dziękuję. Do zobaczenia przy kolacji!

Już się odwracał, żeby odejść, kiedy nagle za sprawą jakiegoś niepowstrzymanego odruchu zawołałam za nim:

– Chwileczkę, Alexander...

Odwrócił się i uniósł jedną brew. Poczułam, jak moja odwaga słabnie, ale dokończyłam.

– Ja... to zabrzmiało trochę dziwnie, ale w nocy słyszałam jakieś hałasy dochodzące z kajuty dziesiątej, tej na końcu statku. Powinna być pusta, ale wczoraj była tam jakaś kobieta... tylko że nie możemy jej namierzyć. Może widziałeś coś albo słyszałeś w nocy? Jakiś plusk? Albo inny dźwięk? Ben mówił, że nie spałeś.

– *Rzeczywiście* nie spałem – odarł cierpko Alexander. – Mam problemy ze snem, wiecie, w tym wieku tak już jest, a nowe łóżko zawsze tylko pogarsza sprawę. Więc wymknąłem się na pokład na mały nocny spacer. A po drodze rzeczywiście widziałem parę kręcących się osób. U naszej drogiej koleżanki Tiny gościł *bardzo* troskliwy steward. I ten przystojny pan Lederer również kręcił się w pewnym momencie to tu, to tam. Nie wiem, *co* on takiego robił

w tych okolicach. Jego kajuta znajduje się po zupełnie przeciwnej stronie statku. Zastanawiałem się, czy może nie przyszedł spotkać się z tobą...?

Uniósł brew w moją stronę, a ja zarumieniłam się wściekła.

– Nie, na pewno nie. Czy to możliwe, że wchodził do kabiny dziesiątej?

– Nie zauważyłem tego – przyznał z żalem Alexander. – Tylko kątem oka widziałem, jak zniknął za rogiem. Może wracał do kajuty, żeby zapewnić sobie alibi na czas swoich przestępstw?

– O której to było? – spytał Ben.

Alexander zacisnął wargi.

– Hmm... musiało być jakoś koło czwartej, czwartej trzydzieści.

Wymieniłam spojrzenia z Benem. Ja się obudziłam cztery po trzeciej. Więc widok Josefa o czwartej prawdopodobnie wykluczał Tinę – zapewne spędził w jej kajucie całą noc. Ale Cole... Jaki mógłby mieć powód, żeby zachodzić aż na ten koniec statku?

Raz jeszcze pomyślałam o tamtej wielkiej walizce sprzętu wciąganej po trapie.

– A kim była ta kobieta, którą widziałem wychodzącą z *pańskiej* kajuty? – rzucił przebiegle Alexander, zerkając na Bena.

Ben zamrugał.

– Przepraszam? Jesteś pewien, że chodzi o moją kajutę?

– Numer osiem, prawda?

– Tak, to moja – odparł Ben, śmiejąc się nerwowo. – Ale zapewniam, że nie było w niej nikogo prócz mnie.

– Ach, tak? – Alexander znów uniósł brew, a potem zachichotał. – No, skoro tak twierdzisz. Rzeczywiście *było* ciemno. Może pomyliłem kajuty. – Znów wsunął sobie pod ramię książkę. – No to, moi drodzy, macie do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Nie-e – odpowiedziałam z lekkim oporem. – W każdym razie teraz. Czy mogę się do ciebie zgłosić, jeśli coś mi jeszcze przyjdzie do głowy?

– Oczywiście. W takim razie do zobaczenia przy kolacji, na której pojawię się brązowy niczym młody Adonis i zamarynowany jak świąteczny indyk. Papatki!

Ruszył korytarzem, posapując. Patrzyliśmy z Benem, jak znika za rogiem.

– Niezły koleś, co? – zauważył po chwili Ben.

– Jest... jest interesujący. Myślisz, że to jest wszystko taka gra? Czy naprawdę tak się zachowuje przez całą dobę?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że zaczęło się od takiego udawania, ale teraz może to już jego druga natura.

– A ta żona... Poznałeś ją?

– Nie. Ale podobno naprawdę istnieje. I jest rzekomo straszną żoną. To córka jakiegoś niemieckiego księcia i dawniej ponoć była prawdziwą pięknoscią. Mają razem niesamowity dom na South Kensington, pełen oryginalnych dzieł sztuki. Rubens, Tycjan albo dwa, zupełnie niewiarygodne rzeczy. Pisali o tym w „Hello!” jakiś czas temu i chodziły wtedy te wszystkie plotki, że oni tak naprawdę zabrali to wszystko nazistom za przyzwoleniem IFAR, ale to chyba bzdury.

– Nie wiem, czy on powiedział cokolwiek przydatnego. – Potarłam sobie dłońmi twarz, próbując zetrzeć zmęczenie, które zaczęło mnie przysłaniać niczym ciemna chmura. – Te rzeczy o Cole’u były dziwne, nie?

– N-no... chyba tak. Ale jeżeli to było koło czwartej, w czym nam to pomaga? I szczerze mówiąc, zaczynam podejrzewać, że on może zmyślać, żeby zrobić lepsze wrażenie. To, że w mojej kajucie była jakaś dziewczyna, to czyste brednie. *Wierzysz mi, prawda?*

– Ja...

Poczułam gulę w gardle. Byłam taka zmęczona. *Taka* zmęczona. Ale nie mogłam odpocząć. Jezu, nie ma szans, żeby ta podróż stała się początkiem mojej dalszej kariery. Jeśli dalej będę chodzić i szukać problemów, to skończę z zeszytem pełnym wrogów, a nie kontaktów zawodowych.

– Tak, oczywiście – wydusiłam.

Ben spojrzał na mnie, jakby próbując ocenić, czy mówię prawdę.

– To dobrze – powiedział w końcu. – Bo przysięgam, że w mojej kajucie nikogo nie było. Chyba że ktoś się tam dostał pod moją nieobecność, rzecz jasna.

– Myślisz, że on nas słyszał? – spytałam, raczej żeby zmienić temat niż z ciekawości. – To znaczy wcześniej. Jak wyszedł zza tamtego rogu... Trudno uwierzyć, że ktoś taki wielki byłby w stanie się zakraść w ten sposób.

Ben wzruszył ramionami.

– Wątpię. Zresztą i tak nie sądzę, żeby to był taki typ, który chowa urazy.

Nie odpowiedziałam, ale w głębi ducha nie byłam pewna, czy się z nim zgadzam. Alexander zrobił na mnie wrażenie *dokładnie* takiej osoby, która chowa urazy i lubi je w sobie pielęgnować.

– Czego zamierzasz się teraz dowiedzieć? – spytał Ben. – Chcesz, żebym poszedł z tobą poszukać Bullmera?

Pokręciłam głową. Musiałam wrócić do kajuty, zjeść coś. A poza tym wcale nie byłam pewna, czy chcę, żeby Ben szedł ze mną na spotkanie z Bullmerem.





## 19

Drzwi mojej kajuty były zamknięte, ale w środku na toalecie stała taca z kanapką i butelką wody mineralnej. Sądząc po strużkach ściekających po bokach, musiały tam czekać już od jakiegoś czasu.

Nie byłam głodna, ale nie jadłam niczego od śniadania, a do tego większość zwymiotowałam, więc usiadłam i zmusiłam się do jedzenia. Krewetki i jajko na twardo na razowym żytnim chlebie. Przeżuwając, patrzyłam, jak morze za oknem wznosi się i opada. Jego nieustający ruch podobny był do niespokojnych myśli tłukących się po mojej głowie.

Cole, Alexander i Archer byli wręcz w tym samym pomieszczeniu co tamta dziewczyna – co do tego miałam niemal absolutną pewność. Jej twarz odwróciła się od obiektywu, a mnie było trudno sobie przypomnieć tamten przelotny widok rysów, które dostrzegłam wczoraj w otwartych drzwiach kajuty, ale impuls rozpoznania, który poczułam przy tym zdjęciu, przypominał porażenie prądem – *musiałam* się trzymać tej pewności.

Archer miał przynajmniej jakieś alibi – ale zaczynałam sobie zdawać sprawę, że opierało się ono wyłącznie na słowach Bena, a on miał własne powody, by się zabezpieczyć. I niezależnie od tego, jak to odwrócić, on świadomie mnie okłamał. Gdyby nie przypadkowa uwaga Cole'a, nigdy bym się nie dowiedziała, że Ben sam opuszczał tamtą kajutę.

Ale Ben... *Ben*? Na pewno nie. Jeżeli komukolwiek na pokładzie tego statku mogłam ufać, to przecież wyłącznie jemu.

Nie byłam już tego taka pewna.

Przełknęłam ostatnią skórkę chleba, wytarłam palce w serwetkę i wstałam, czując kołysanie i przechyły statku pod sobą. Kiedy jadłam, pojawiła się

morska mgła, a pokój zrobił się ciemniejszy, więc zapaliłam światło, a potem zajrzałam do komórki. Niczego tam nie było. Odświeżyłam pocztę z nadzieją, że zobaczę jakieś mejle, od kogokolwiek. Nie śmiałam nawet myśleć o Judah – o tym, co oznaczałoby jego milczenie.

Gdy pojawił się komunikat „Brak połączenia”, poczułam w żołądku coś pomiędzy strachem a ulgą. Ulgą, bo to znaczyło, że być może, tylko być może, Judah próbował się ze mną skontaktować. Że jego milczenie nie znamionowało tego, czego się obawiałam.

Ale też strach, bo im dłużej nie działał internet, tym bardziej zastanawiałam się nad tym, czy czasem ktoś celowo nie odcina mi dostępu do sieci. A to naprawdę zaczynało mnie martwić.



Drzwi kajuty pierwszej, Nobla, wykonane były z takiego samego białego, anonimowego drewna jak pozostałe, ale po samym położeniu na dziobie statku, z pustą przestrzenią korytarza ciągnącego się za mną, dało się poznać, że to musi być bardzo wyjątkowe miejsce.

Ostrożnie zapukałam. Nie wiem do końca, czego się spodziewałam – Richarda Bullmera albo może jego gosposi, nic by mnie nie zdziwiło. Ale zupełnie wytrąciło mnie z równowagi, gdy drzwi się otworzyły, a w nich stała Anne Bullmer.

Musiała wcześniej płakać: jej ciemne oczy miały czerwone obwódki, pod nimi pojawiły się głębokie cienie, a na zapadłych policzkach wciąż jeszcze widniały ślady łez.

Zamrugałam i całkiem straciłam wątek mojej starannie przygotowanej prośby, którą powtarzałam sobie w myślach. Przez głowę przebiegały mi różne zdania, a każde jeszcze bardziej niestosowne i nieadekwatne: „Wszystko w porządku? Co się stało? Czy mogę w czymś pomóc?”.

Żadnego z nich nie wypowiedziałam, tylko przełknęłam.

– Tak? – spytała, nieco lekceważąco. Uniosła róg jedwabnego szlafroka i przetarła sobie oczy, a potem zadarła brodę. – Czy mogę w czymś pomóc?

Znowu przełknęłam, nim przemówiłam.

– T-tak, mam nadzieję. Przepraszam, że przeszkadzam, musisz być zmęczona po porannym spa.

– Nie bardzo – odparła dość krótko.

Przygryzłam wargę. Może odwoływanie się do jej choroby nie było uprzejme.

– Właściwie to miałam nadzieję porozmawiać z twoim mężem.

– Z Richardem? Obawiam się, że jest zajęty. Czy to coś, w czym sama mogłabym pomóc?

– Nie... nie wydaje mi się – odpowiedziałam niezręcznie, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy mam ją przeprosić i sobie iść, czy zostać i wyjaśnić.

Miałam wyrzuty sumienia, że jej przeszkodziłam, ale równie nie na miejscu wydawało się takie szybkie wycofanie. Dodatkowo w zakłopotanie wprawiały mnie jej łzy – czy powinnam ją zostawić i pozwolić na smutek w prywatności, czy też zostać i zaproponować pocieszenie? Ale też jej wymizerowana, smutna twarz była bardzo niepokojąca. Pod każdym innym względem wyglądała nienagannie. To było wprost nie do zniesienia, widzieć kogoś takiego jak Anne Bullmer, tak uprzywilejowanego, ze wszystkimi ułatwieniami, jakie można sobie kupić za pieniądze – najnowsze leki, najlepsi lekarze i wszelkie dostępne formy leczenia – na naszych oczach walczącego o życie.

Chciałam uciec, ale ta wiedza zmusiła mnie, by stawić jej czoła.

– Cóż, przykro mi – powiedziała. – Może to mogłoby poczekać? Mogę mu przekazać, czego dotyczy sprawa?

– Ja...

Splotłam palce. Co takiego mogłam powiedzieć? Nie było mowy, bym zdradziła swoje podejrzenia przed tą słabowitą, udręczoną kobietą.

– O-on obiecał mi wywiad – oznajmiłam, przypominając sobie jego zaproszenie rzucone mimochodem po kolacji poprzedniego wieczoru.

W końcu to była na wpół prawda. – Powiedział, żebym zajrzała dziś po południu do jego kajuty.

– Och. – Jej twarz się rozjaśniła. – Przepraszam. Musiał zapomnieć. Wydaje mi się, że poszedł do jacuzzi z Larsem i paroma innymi osobami. Być może uda ci się go złapać przy kolacji.

Nie miałam zamiaru czekać tak długo, ale nie powiedziałam tego, tylko skinęłam głową.

– A czy... my też się zobaczymy na kolacji? – spytałam, wzdrygając się na to, jak potykałam się o kolejne słowa. „Rany boskie. Przecież ona jest chora, nie trędowata”.

Pokiwała głową.

– Mam nadzieję. Dziś czuję się odrobinę lepiej. Bardzo się męczę, ale to by była kapitulacja, gdybym zbyt często pozwalała swojemu ciału się pokonać.

– Nadal się leczysz? – spytałam.

Pokręciła głową, a miękki, jedwabny szal na jej głowie zaszeleścił.

– Nie, w tej chwili nie. Skończyłam ostatni etap chemioterapii, przynajmniej na razie. Po powrocie pójdę na radioterapię, a potem pewnie zobaczymy.

– W takim razie trzymam kciuki – powiedziałam, a potem się skrzywiłam, bo pomyślałam, że ta niewinna uwaga czyni z jej walki o przetrwanie jakąś grę losową. – I, yyy, dzięki.

– Nie ma sprawy.

Zamknęła drzwi, a ja się odwróciłam i poszłam z powrotem w kierunku schodów na górny pokład, czując, że twarz mnie pali ze wstydu.



Nie byłam jeszcze w jacuzzi, ale wiedziałam, gdzie powinno się znajdować – na pokładzie powyżej salonu Lindgren, tuż przed spa. Poszłam po schodach wyłożonych grubym dywanem w kierunku pokładu, na którym znajdowała się

restauracja, z nadzieją, że doświadczę znów tego samego światła i przestrzeni co wcześniej – ale zapomniałam o mgle. Kiedy doszłam do drzwi prowadzących na pokład, za szybą powitała mnie ściana szarości, otulająca statek warstwami, tak że trudno było dojrzeć, co się znajduje po drugiej stronie pokładu, i wywołująca dziwny efekt przytłumienia.

Ta wilgoć ochłodziła powietrze i osiadła mi drobnymi kropelkami na włoskach na ramionach. Stałam niepewnie w przejściu, chowając się przed zimnem i próbując zebrać się na odwagę. Wtedy usłyszałam przeciągły, żalospny dźwięk buczonego mgłowego.

Spowijająca wszystko biel sprawiła, że statek wyglądał obco i potrzebowałam kilku minut, żeby odnaleźć schody na górny pokład, jednak w końcu zdałam sobie sprawę, że muszą być po mojej prawej, w głębi, bliżej dziobu statku. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by ktokolwiek chciał korzystać z jacuzzi przy tej pogodzie, i przez chwilę się zastanawiałam, czy Anne Bullmer może się nie pomyliła. Ale kiedy minęłam przeszklony róg restauracji, usłyszałam śmiechy dochodzące z wyższego pokładu. Najwyraźniej znajdowali się tam ludzie szaleni na tyle, żeby kąpać się nawet w tym zimnie.

Żałowałam, że nie wzięłam płaszcza, ale nie było sensu po niego wracać, więc objęłam się ramionami i wspierałam się po śliskich, przyprawiających mnie o zawroty głowy schodach na górny pokład, podążając za głosami i śmiechami.

Pokład był do połowy odgrodzony szybą, a kiedy ją obeszłam, zobaczyłam Larsa, Chloe, Richarda Bullmera i Cole'a siedzących w największym jacuzzi, jakie w życiu widziałam. Musiało mieć średnicę ze dwóch i pół albo i trzech metrów, a oni opierali się po jego bokach i wystawały im tylko głowy oraz ramiona. Z bulgoczącej wody unosiła się tak gęsta para, że przez chwilę trudno było dostrzec, kto się tam znajduje.

– Pani Blacklock! – zawołał serdecznie Richard Bullmer, jego głos swobodnie niósł się ponad hałasem wodnych dyszy. – Doszła już pani do siebie po wczorajszym?

Wyciągnął opalone, umięśnione ramię, parujące i pokryte gęsią skórką na zimnym powietrzu, a ja uścisnęłam jego ociekającą dłoń, po czym z powrotem objęłam się ramionami, czując, jak ciepło jego uścisku natychmiast znika. Moje teraz chłodne dłonie owiał zimny wiatr.

– Dołączysz do nas? – spytała ze śmiechem Chloe, machając zapraszająco ręką na rozkołysany kociołek pełen bąbelków.

– Dzięki. – Pokręciłam głową i starałam się nie wzdrygnąć. – Ale jest trochę zimno.

– Zapewniam, że w środku jest cieplej! – Bullmer mrugnął. – Gorące jacuzzi, zimny prysznic...

Wskazał na otwarty prysznic z jednej strony jacuzzi: nad brodzikiem górowała wytworna, duża deszczownica. Nie było na niej żadnej regulacji temperatury, tylko stalowy przycisk z niebieskim kółkiem, na którego widok mimowolnie zadrżałam.

– I potem prosto do sauny. – Skinął palcem na drewnianą kabinę przytuloną do tafli szkła. Wyciągając szyję, dojrzałam szklane drzwi ociekające parą, a zza kapiących strużek prześwitywał czerwony blask piecyka. – Potem spłukać i powtórzyć tyle razy, ile serce wytrzyma.

– To raczej nie moje klimaty – odpowiedziałam niezręcznie.

– Nie możesz tego wiedzieć, jeśli nie próbowałaś – zauważył Cole. Uśmiechnął się, odsłaniając swoje spiczaste kły. – Muszę przyznać, że wyskakiwanie z sauny pod zimny prysznic było dla mnie dość niesamowitym doświadczeniem. W końcu co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Wzdrygnęłam się.

– Chyba dziękuję.

– Jak wolisz. – Chloe się uśmiechnęła.

Leniwie wyciągnęła rękę, kapiąc wodą na aparat Cole'a, leżący obok na ziemi, i podniosła zmrożony kieliszek szampana z maleńkiego stoliczka ustawionego wzdłuż jacuzzi.

– Właściwie to... – Wzięłam głęboki wdech i zwróciłam się bezpośrednio do lorda Bullmera, starając się zignorować przyglądające mi się, zainteresowane twarze pozostałych. – Lordzie Bullmer...

– Proszę mi mówić Richard – przerwał.

Przygryzłam wargę i pokiwałam głową, starając się nie zgubić myśli.

– Richardzie, miałam nadzieję, że będę mogła z tobą o czymś porozmawiać, ale nie jestem pewna, czy to odpowiedni moment. Czy mogłabym spotkać się z tobą później, w twojej kajucie?

– Po co czekać? – Bullmer wzruszył ramionami. – Jedno, czego się nauczyłem w biznesie, to to, że najlepszy czas jest zawsze *teraz*. To, co zdaje się rozważa, niemal zawsze okazuje się tchórzostwem i ktoś inny może cię ubiec.

– No cóż...

Urwałam, bo nie byłam pewna, co robić. Naprawdę nie chciałam rozmawiać przy innych ludziach. Ta uwaga, że ktoś inny miałby mnie ubiec, dodatkowo mnie martwiła.

– Napij się czegoś – zaproponował Bullmer.

Wcisnął przycisk na brzegu jacuzzi i jakaś dziewczyna pojawiła się po cichu, jakby znikąd. To była Ulla.

– Słucham pana? – spytała uprzejmie.

– Szampan dla pani Blacklock.

– Oczywiście, proszę pana. – Roztopiła się w powietrzu.

Wzięłam głęboki wdech. Nie miałam alternatywy. Nikt poza Bullmerem nie mógł sprawić, że zjemy z kursu, a jeśli nie porozmawiam z nim teraz, mogę już nie dostać drugiej szansy. Lepiej mówić od razu, w towarzystwie, niż ryzykować... Wbiłam sobie paznokcie w dłonie, nie pozwalając sobie myśleć o tej możliwości.

Otworzyłam usta. „Przestań drażnić” – syknął głos w mojej głowie, ale zmusiłam się do tej rozmowy.

– Lordzie Bullmer...

– Richardzie.

– Richardzie... Nie wiem, czy rozmawiałeś już z szefem ochrony, Johannem Nilssonem. Widziałeś się z nim dzisiaj?

– Z Nilssonem? Nie. – Bullmer zmarszczył brwi. – On podlega kapitanowi, nie mnie. Dlaczego pytasz?



– Cóż... – zaczęłam.

Ale przerwała mi Ulla, która pojawiła się obok mojego łokcia z tacą, gdzie stały kieliszek do szampana i butelka w wiaderku z lodem.

– Hm, dzięki – powiedziałam niepewnie.

Nie byłam przekonana, czy chcę teraz pić. Nie po wcześniejszych zgryźliwych uwagach Nilssona, a gdy dodać do tego wczorajszego kaca... jakoś dziwnie nie pasowało to do tego, co zamierzałam powiedzieć. Znow poczułam, w jak niewiarygodnej pozycji się znalazłam – byłam gościem Bullmera, reprezentowałam „Velocity” i miałam robić wrażenie na tych wszystkich ludziach swoim profesjonalizmem, roztaczać swój czar, a tymczasem zamierzałam właśnie cisnąć w jego obsługę i gości najgorsze możliwe oskarżenie. Powinnam przynajmniej z wdzięcznością przyjąć ten kieliszek szampana.

Sięgnęłam po kieliszek i zaczęłam z niego ostrożnie sączyć, jednocześnie próbując uporządkować myśli. Szampan był kwaśny, aż przeszedł mnie dreszcz, i prawie się skrzywiłam, nim dotarło do mnie, jakie to byłoby nieuprzejme wobec Bullmera.

– Więc... to trudne.

– Nilsson – przypomniał Bullmer. – Pytałaś, czy z nim rozmawiałem.

– Tak. Cóż, wczoraj w nocy musiałam do niego zadzwonić, bo... Bo słyszałam jakieś hałasy dochodzące z sąsiedniej kajuty. Pod dziesiątką – wyjaśniłam, a potem urwałam.

Richard słuchał, ale słuchała mnie też pozostała trójka, a Lars robił to z dużym ożywieniem. Lecz ponieważ nie miałam wyboru, może powinnam to obrócić na swoją korzyść. Rozejrzałam się szybko po twarzach zgromadzonych, starając się oszacować ich reakcje, szukając jakiegoś śladu poczucia winy lub niepokoju. Wilgotne, czerwone usta Larsa zwinęły się, wyrażając pełen niedowierzania sceptycyzm, a zielone oczy Chloe były szeroko otwarte, pełne szczerzego zaciekawienia. Tylko Cole wyglądał na zmartwionego.

– Tak, w Palmgren – odparł Bullmer. Miał zmarszczone brwi, nie wiedział, do czego zmierzam. – Myślałem, że była pusta. Solberg przecież

odwołał.

– Wysłałam na werandę – powiedziałam, rozpędzając się. Znów powiodłam wzrokiem po słuchaczach. – A kiedy wyjrzałam, nie było tam nikogo, ale na szklanej ścianie zobaczyłam krew.

– Dobry Boże – odezwał się Lars. Uśmiechał się szeroko, nawet nie próbował ukryć niedowierzania. – To brzmi jak wyjęte z powieści.

Czyżby celowo starał się podważyć moje słowa, wytrącić mnie z równowagi? Czy to raczej jego normalne zachowanie? Nie potrafiłam ocenić.

– Kontynuuj – rzucił tonem bliskim sarkazmu. – Siedzę jak na szpilkach, żeby dowiedzieć się, jak to się potoczy.

– Twój pracownik ochrony wpuścił mnie do środka – wyjaśniłam Richardowi, mój głos był teraz ostrzejszy, mówiłam szybko. – Ale ta kajuta była pusta. I krew na szybie została...

Rozległ się brzęk i plusk, a ja urwałam.

Wszyscy się odwróciliśmy i spojrzeliśmy na Cole'a, który trzymał coś z boku poza jacuzzi. Z jego dłoni ciekła krew, spływała po palcach na jasną, drewnianą podłogę.

– Nic mi nie jest, tak mi się wydaje – oznajmił niepewnie. – Przepraszam, Richardzie, nie wiem, jak to się stało, ale przewróciłem swój kieliszek i...

Wyciągnął garść zakrwawionych odłamków.

Chloe przełknęła i zacisnęła oczy.

– Uch! – Twarz miała bladozieloną. – O Boże, Lars...

Richard odstawił swój kieliszek, podniósł się z jacuzzi i sięgnął po biały szlafrok ze stosu leżącego na ławce. Przez chwilę nic nie mówił, tylko obojętnie patrzył na dłoń Cole'a, z której krew spływała na pokład, a potem zerknął na Chloe, która wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. Następnie wydał serię rozkazów niczym chirurg wyrzucający z siebie polecenia przy stole operacyjnym.

– Cole, na Boga, odłóż tę kupkę szkła. Zadzwońię po Ullę, żeby ci pomogła. Lars, zabierz stąd Chloe, żeby się położyła, jest blada jak ściana. Daj jej valium, jeśli będzie trzeba. Eva ma dostęp do leków. Pani

Blacklock... – Zwrócił się do mnie, a potem urwał, zdawał się ostrożnie ważyć każde słowo, a sam owijał się szlafrokiem. – Pani Blacklock, proszę usiąść w restauracji, a kiedy skończę z tym zamieszaniem, omówimy to, co dokładnie pani widziała i słyszała.



## 20

Po godzinie rozumiałam już, jak Richardowi Bullmerowi udało się zająć tak daleko.

Nie tylko wysłuchał całej mojej historii. Dopytywał o każde pojedyncze słowo, sprawdzał mnie w kwestii przedziałów czasowych, konkretów, wydobywał ze mnie szczegóły, o których nie miałam nawet pojęcia, że je znałam. Na przykład o dokładny kształt plamy krwi na szybie, o to, czy została raczej rozsmarowana niż rozprysnięta na powierzchni.

Nie wypełniał żadnych luk własnymi spekulacjami, nie próbował mnie na nic naprowadzić ani przekonać co do aspektów, których nie byłam pewna. Siedział tylko i bombardował mnie pytaniami, popijając gorącą czarną kawę, a jego niebieskie oczy były bardzo jasne. O której godzinie? Jak długo? Kiedy to było? Jak głośno? Jak ona wyglądała? Kiedy mówił, znikło jego lekkie naśladownictwo akcentu cockney, zaczął intonować ze starannością typową dla chłopców z prywatnych szkół, a jego ton stał się czysto profesjonalny. Był całkowicie skupiony, całą uwagę oddał mojej opowieści, a jego twarz nie wyrażała choćby śladu emocji.

Gdyby ktoś spacerował właśnie na zewnątrz po pokładzie i zerknął przez okno, nigdy by się nie domyślił, że właśnie powiedziałam Bullmerowi coś, co mogłoby zadać śmiertelny cios jego firmie, i że opowiedziałam mu o prawdopodobnej obecności psychopaty na pokładzie małego statku. Spodziewałam się raczej czegoś podobnego do przygnębienia Nilssona albo grupowego wyparcia stewardes, ale choć uważnie przyglądałam się twarzy Bullmera, nie widziałam żadnej z tych rzeczy, ani śladu oskarżenia czy też potępienia. Okazywał tyle uczuć, że równie dobrze moglibyśmy próbować

rozwiązać krzyżówkę, a ja mimowolnie byłam trochę pod wrażeniem jego stoicyzmu, choć to nieco dziwne uczucie być jego odbiorcą. Radzenie sobie ze sceptycyzmem i niezadowoleniem Nilssona nie było przyjemne, ale przynajmniej była to bardzo ludzka reakcja. Jeśli chodzi o Bullmera, to nie potrafiłam określić, co on odczuwał. Może był wściekły albo przerażony i po prostu dobrze to ukrywał? A może naprawdę był taki chłodny i opanowany, jak się zdawał?

Być może, pomyślałam, gdy jeszcze raz przeprowadzał mnie przez rozmowę, którą odbyłam z tamtą dziewczyną, właśnie ta zimna krew pozwoliła mu osiągnąć tak wielki sukces – doszedł do wszystkiego sam i osiągnął pozycję, na której daje zatrudnienie setkom ludzi oraz inwestuje miliony funtów.

W końcu, kiedy przeszliśmy już przez moją relację od początku do końca, tam i z powrotem i dookoła, a ja nie byłam już w stanie dostarczyć więcej szczegółów, Bullmer siedział przez chwilę z pochyloną głową i ściągniętymi brwiami i myślał. Potem zerknął przelotnie na rolexa na swoim opalonym nadgarstku i przemówił:

– Dziękuję, pani Blacklock. Wydaje mi się, że więcej teraz nie zdiagnozujemy, a widzę, że obsługa zaczyna już nakrywać do kolacji. Przykro mi, to na pewno musiało być dla pani bardzo przygnębiające i przerażające doświadczenie. Jeśli pani pozwoli, chciałbym to omówić z Nilssonem oraz kapitanem Larsenem, żeby się upewnić, czy zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, i być może moglibyśmy się spotkać jutro z samego rana, by omówić dalsze kroki. W międzyczasie mam ogromną nadzieję, że będzie pani w stanie się odprężyć i nacieszyć tą kolacją oraz całą resztą wieczoru, mimo tego, co się wydarzyło.

– Jaki będzie kolejny krok? Rozumiem, że zmierzamy do Trondheim... ale może moglibyśmy się zatrzymać gdzieś bliżej? Czuję, że powinnam jak najszybciej zgłosić to policji.

– Niewykluczone, że są jakieś miejsca bliższe niż Trondheim, owszem – odparł Bullmer, wstając. – Ale będziemy tam jutro wczesnym rankiem, więc to wciąż możliwie najlepszy dla nas kierunek. Jeżeli zatrzymamy się gdzieś

w środku nocy, myślę, że szanse na znalezienie otwartego komisariatu będą niewielkie. Ale muszę porozmawiać z kapitanem, żeby określić, jakie postępowanie będzie najwłaściwsze. Norweska policja być może nie będzie mogła zadziałać, jeżeli wypadek miał miejsce na wodach brytyjskich lub międzynarodowych, wie pani, to kwestia regulacji prawnych, a nie ich chęci do prowadzenia śledztwa. Wszystko się okaże.

– A jeśli tak było? Co, jeśli byliśmy na wodach międzynarodowych?

– Statek jest zarejestrowany pod banderą Kajmanów. Będę musiał porozmawiać z kapitanem na temat tego, jak to może wpływać na naszą sytuację.

Poczułam, jak ściska mnie w żołądku. Czytałam teksty na temat śledztw prowadzonych na statkach rejestrowanych na Bahamach i w podobnych miejscach – z wyspy wysyłają jednego policjanta, żeby spisał pobieżny raport, a potem starał się go jak najszybciej zarchiwizować. I to tylko w takich wypadkach, kiedy ewidentnie ktoś zaginął. A co by się stało w tym przypadku, kiedy jedyny istniejący dowód na zaginięcie tej dziewczyny dawno przepadł?

Mimo wszystko po rozmowie z Bullmerem poczułam się lepiej. On przynajmniej zdawał się mi wierzyć, potraktował moją relację poważnie, w przeciwieństwie do Nilssona.

Wyciągnął rękę, odchodząc, a kiedy jego przesywające niebieskie oczy spotkały się z moimi, uśmiechnął się po raz pierwszy. Miał ciekawie asymetryczny uśmiech, który unosił jedną część jego twarzy bardziej od drugiej, ale pasował mu, było w nim coś cierpkiego i współczującego.

– Powinnam powiedzieć o czymś jeszcze – odezwałam się nagle.

Bullmer uniósł brwi i opuścił dłoń.

– Tak?

– Ja... – Przełknęłam. Nie chciałam tego mówić, ale skoro zamierzał rozmawiać z Nilssonem, to i tak wyjdzie. Lepiej, żeby usłyszał o tym ode mnie. – Wczorajszego wieczoru piłam, zanim... zanim to się stało. I przyjmuję także antydepresanty. Od dłuższego czasu, mniej więcej odkąd

skończyłam dwadzieścia pięć lat. Mia-miałam załamanie nerwowe. A Nilsson... Wydaje mi się, że jego zdaniem... – Znowu przełknęłam.

Bullmer uniósł brwi jeszcze wyżej.

– Chce pani powiedzieć, że Nilsson podał w wątpliwość pani historię, ponieważ przyjmuje pani leki na depresję?

Jego słowa były tak dosadne, że aż się wzdrygnęłam, ale pokiwałam głową.

– Nie dokładnie w tych słowach... ale tak. Wspomniał coś o tym, że leki źle się łączą z alkoholem, i moim zdaniem pomyślał...

Bullmer nic nie powiedział, przyglądał mi się tylko beznamiętnie, a ze mnie popłynęły słowa, zupełnie jakbym próbowała obronić Nilssona.

– Chodzi o to, że zanim znalazłam się na statku, ktoś się włamał do mojego mieszkania. To był jakiś mężczyzna... Wszedł do mojego mieszkania i mnie napadł. Nilsson się o tym dowiedział i moim zdaniem uważa, cóż, nie że to wymyśliłam, ale że... że mogłam zareagować zbyt emocjonalnie.

– Jestem głęboko zawstydzony tym, że członek załogi tego statku sprawił, iż poczuła się pani w ten sposób – oznajmił Bullmer.

Ujął moją dłoń, przytrzymał ją w żelaznym uścisku.

– Proszę mi wierzyć, pani Blacklock, przyjmuję pani relację z najwyższą powagą.

– Dziękuję – odparłam, ale to jedno małe słowo nie wyrażało całej tej ulgi, że ktoś, w końcu *ktoś* mi uwierzył.

I to nie byle kto – Richard Bullmer, właściciel Aurory. Jedyne osoba, która tak naprawdę mogła znaleźć jakieś rozwiązanie.



Gdy wracałam do kajuty, przycisnęłam sobie dłonie do oczu, które szczypały mnie ze zmęczenia. Potem poszukałam po kieszeniach komórki, żeby sprawdzić godzinę. Prawie siedemnasta. Kiedy ten czas zleciał?



Odruchowo otworzyłam skrzynkę mejlową i wymusiłam odświeżenie, ale nadal nie było połączenia i poczułam ukłucie niepokoju. Na pewno, *na pewno* ten przestój trwa już zbyt długo. Powinnam była wspomnieć o tym Bullmerowi, ale było już za późno. Poszedł – wyslizgnął się jednym z tych niepokojących ukrytych drzwi za ekranem, pewnie żeby porozmawiać z kapitanem lub nawiązać kontakt radiowy z lądem.

Co, jeśli Jude do mnie pisał? A może nawet dzwonił, choć wątpiłam, że byliśmy dość blisko lądu, by złapać sygnał. Czy nadal mnie ignorował? Nagle przypomniały mi się jego dłonie na moich plecach, moja twarz na jego piersi, jego ciepła koszulka pod moim policzkiem – i tęsknota uderzyła mnie z taką siłą, że niemal mnie przygniotła.

Jutro przynajmniej będziemy w Trondheim. Nikt nie zabroni mi wtedy dostępu do internetu.

– Lo – odezwał się jakiś głos za mną.

Odwróciłam się i zobaczyłam Bena idącego wąskim korytarzem. On nie był dużym mężczyzną, ale zdawał się go całkowicie wypełniać. Złudzenie rodem z *Alicji w Krainie Czarów* sprawiło, że z tej perspektywy korytarz jakby się skurczył, a zbliżający się Ben był coraz większy i większy.

– Ben – odpowiedziałam, starając się, by mój głos zabrzmiał przekonująco radośnie.

– Jak poszło? – Zaczął iść razem ze mną w kierunku naszych kajut. – Widziałaś się z Bullmerem?

– Tak... Chyba poszło okej. W każdym razie wyglądało na to, że mi uwierzył.

Nie powiedziałam o tym, o czym zaczęłam myśleć po odejściu Richarda, czyli że przypuszczalnie nie zrobił kariery, grając w otwarte karty. Wyszłam z tego spotkania z poczuciem pewności i podniesiona na duchu, ale kiedy wróciłam myślami do jego słów, zdałam sobie sprawę, że niczego mi nie *obiecał* – tak naprawdę nie powiedział niczego, co można by przytoczyć jako wyraz pełnej wiary w moje słowa. Wiele razy padało „Jeśli to prawda...” oraz „Jeśli twierdzi pani...”. Żadnych konkretów, jak się nad tym zastanowić.

– To świetne wieści – odparł Ben. – Będzie zmieniał kurs?

– Nie wiem. Chyba uważa, że zmiana kursu teraz nie miałaby sensu, bo lepiej dopłynąć do Trondheim i znaleźć się tam jutro jak najwcześniej.

Dotarliśmy już do naszych kajut i wyciągnęłam z kieszeni swoją kartę do pokoju.

– Boże, mam nadzieję, że ta kolacja nie będzie się dziś znowu składać z ośmiu dań – dodałam znużona. – Chciałabym się wyspać na tyle, żeby być w stanie sensownie rozmawiać jutro z policją w Trondheim.

– Czyli nadal taki masz plan? – spytał Ben. Oparł dłoń na futrynie, nie pozwalając mi odejść ani zamknąć drzwi, choć przypuszczałam, że nie było to zamierzone.

– Tak. Jak tylko statek zacumuje.

– Czy to nie zależy od tego, co kapitan powie o położeniu statku?

– Pewnie tak. Bullmer z nim teraz rozmawia. Ale mimo wszystko chcę złożyć oficjalne zeznania, nawet jeżeli nie będą mogli prowadzić śledztwa.

Im szybciej moje słowa trafią do jakichś poważnych dokumentów, tym bezpieczniej się poczuję.

– Jasne – rzucił lekko Ben. – No, to cokolwiek się jutro wydarzy, na policji potraktują cię poważnie. Trzymaj się faktów, mów jasno i bez emocji, tak jak z Bullmerem. Uwierzą ci. Nie masz żadnych powodów, żeby kłamać. – Opuścił rękę i zrobił krok w tył. – Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała.

– No. – Posłałam mu zmęczony uśmiech i już miałam zamykać drzwi, kiedy znów położył rękę na futrynie, żebym nie mogła tego zrobić, nie przytrzaskując mu palców.

– Ach, byłbym zapomniiał – dodał swobodnie. – Słyszałaś o Cole’u?

– O jego ręce? – Prawie o tym zapomniałam, ale wróciło to do mnie zaskakująco wyraźnie, ta krew wolno skapująca na pokład, zielonkawa twarz Chloe. – Biedny. Trzeba to szyć?

– Nie wiem, ale nie chodzi tylko o to. Udało mu się przy tym jakoś tak potrać aparat, że wpadł do jacuzzi. Jest wściekły, mówi, że nie rozumie, jak mógł go położyć tak blisko krawędzi.

– Chyba sobie żartujesz?

– Nie. Jego zdaniem z obiektywem wszystko będzie w porządku, ale aparat i karta SD się spierdoliły.

Poczułam, że pokój się buja i trochę przesuwają, jakby wszystko na zmianę pojawiała się i znikało, a mnie nagle przypomniało się tamto zdjęcie dziewczyny na małym ekranie – zdjęcie, które teraz już pewnie przepadło na zawsze.

– Hej – rzucił ze śmiechem Ben. – Nie musisz się tak pograżać w fatalistycznych scenariuszach! On na pewno ma ubezpieczenie. Szkoda tylko tych zdjęć. Pokazywał nam je przy lunchu. Miał parę świetnych fotek. Na jednym z wczorajszego wieczoru byłaś ty. – Urwał i wyciągnął rękę, żeby dotknąć mojej brody. – Coś jest nie tak?

– Wszystko w porządku. – Odsunęłam od niego głowę, a potem próbowałam się zmusić do przekonującego uśmiechu. – Ja po prostu... Nie wydaje mi się, żebym jeszcze kiedyś popłynęła w jakiś rejs, to naprawdę mi nie pasuje... Wiesz.... to morze... takie poczucie ograniczenia. Naprawdę chciałabym już być w Trondheim.

Serce mi waliło i nie mogłam się doczekać, aż Ben zabierze swoją rękę z drzwi i sobie pójdzie. Musiałam pozbierać myśli, musiałam to przemyśleć.

– Mógłbyś...? – Wskazałam głową dłoń Bena, wciąż spoczywającą na futrynie, a on roześmiał się lekko i wyprostował.

– Pewnie! Przepraszam, nie powinienem cię zagadywać. Pewnie chcesz się przebrać do kolacji... nie?

– Tak – odparłam. Mój głos był wysoki i brzmiał sztucznie.

Ben przesunął dłoń i z przepaszającym uśmiechem zamknął za sobą.

Kiedy już poszedł, zasunęłam zasuwę i oparłam się plecami o drewniane drzwi, przyciągnęłam kolana do brody, oparłam na nich czoło, a pod moimi powiekami rozbłysł jakiś obraz. Zobaczyłam Chloe wyciągającą rękę po swój kieliszek szampana, woda z jej ramienia kapiała na aparat leżący na pokładzie poniżej.

Nie było szans, żeby Cole albo ktokolwiek inny stracił ten aparat do środka. On nie leżał na brzegu jacuzzi. Ktoś musiał wykorzystać to

zamieszanie związane z moim obwieszczeniem i potłuczonym kieliszkiem i podniósł go z podłogi, a potem wrzucił do wody. Nie miałam jak się dowiedzieć, kto to był. To mogło się wydarzyć w każdym momencie – nawet wtedy, kiedy wszyscy zeszliśmy już z pokładu. Mógł być to prawie każdy z gości albo obsługi – a wręcz sam Cole.

Wydawało mi się, że pokój wokół mnie się kurczy, było w nim duszno, ciepło, brakowało mi powietrza i wiedziałam, że muszę wyjść.

Na werandzie nadmorska mgła wciąż otulała statek, ale wzięłam kilka dużych wdechów zimnego powietrza i poczułam, jak ta świeżość wypełnia moje płuca, wybija mnie ze stuporu. Musiałam *pomyśleć*. Czułam się, jakbym miała przed sobą wszystkie elementy układanki i była w stanie je złożyć, jeżeli się postaram. Gdyby tylko głowa mnie tak strasznie nie bolała.

Wychyliłam się przez balkon, tak jak poprzedniej nocy, wspominając tamtą chwilę – drzwi werandy zasuwające się ukradkiem z powrotem, wielki, miażdżący plusk szokujący w tej ciszy, krew rozsmarowaną na szybie – i nagle zyskałam całkowitą pewność, że sobie tego *nie* wyobraziłam. *Żadnej* z tych rzeczy. Ani maskary. Ani krwi. Ani twarzy kobiety w kajucie dziesiątej. Przede wszystkim nie wyobraziłam sobie jej. I przez wzgląd na nią nie mogłam odpuścić. Ponieważ wiedziałam, jak to jest *być* nią – obudzić się w środku nocy z kimś obcym w pokoju, poczuć tę bezradną, całkowitą pewność, że zaraz wydarzy się coś okropnego, czemu nie potrafi się w żaden sposób zapobiec.

Wrześniowe wieczorne powietrze zrobiło się nagle zimne, bardzo zimne, przypominając mi o tym, na jak dalekiej północy jesteśmy – już prawie na kole podbiegunowym. Wstrząsnęły mnie dreszcze. Wyciągnęłam komórkę z kieszeni, jeszcze raz sprawdziłam zasięg, trzymając aparat w górze, jakby to miało w jakiś magiczny sposób poprawić sygnał, jednak nie pokazał mi ani jednej kreski.

Ale jutro. Jutro będziemy w Trondheim i niezależnie od wszystkiego zamierzałam wsiąść z tego statku i wyruszyć prosto do najbliższego komisariatu.



## 21

Malując się do tej wieczornej kolacji, czułam się, jakbym przybierała barwy wojenne – nakładałam, warstwa po warstwie, spokojną, profesjonalną maskę, która miała mi pozwolić to przetrwać.

Po części, a była to wielka część, miałam ochotę się schować pod kołdrą. Myśl o uprzejmych pogaduszkach z grupą osób, wśród których był potencjalny morderca, albo o jedzeniu posiłku podawanego przez kogoś, kto mógł poprzedniej nocy zabić kobietę, była przerażająca i kompletnie surrealistyczna.

Ale z drugiej strony jakaś uparta częśćka mnie nie chciała się poddać. Gdy przy łazienkowym lustrze nakładałam tusz do rzęs pożyczony od Chloe, szukałam w nim odbicia tamtej wściekłej, pełnej ideałów dziewczyny, która przed piętnastoma laty zaczynała studiować dziennikarstwo. Przypomniałam sobie o swoich marzeniach o zostaniu dziennikarką śledczą i zmienianiu świata. Tymczasem wylądowałam w „Velocity”, pisząc o podróżowaniu, żeby zarobić na życie i – właściwie to niemal wbrew sobie – zaczęłam to lubić. Zaczęłam nawet doceniać dodatkowe korzyści i marzyłam, że będę kimś takim jak Rowan i poprowadzę własne czasopismo. I w porządku – nie wstydziłam się tego, o czym pisałam; jak większość ludzi podjęłam taką pracę, jaką znalazłam, i starałam się w niej wypaść jak najlepiej. Ale jak mogłabym spojrzeć w oczy tamtej dziewczynie w lustrze, gdybym nie miała dość odwagi, by podjąć ryzyko i zbadać historię, która sama do mnie wołała?

Pomyślałam o tych wszystkich kobietach, które podziwiałam, nadających ze stref wojennych na całym świecie, o ludziach ujawniających

skorumpowane reżimy, idących do więzienia, by chronić swoje kontakty, ryzykujących życie, żeby przybliżyć się do prawdy. Nie sędzę, żeby Martha Gellhorn zastosowała się do groźby „Przestań drażnić” albo żeby Kate Adie ukrywała się w swoim pokoju hotelowym ze strachu przed tym, co mogłaby odkryć.

„PRZESTAŃ DRAŻYĆ”. Te słowa na lustrze wyryły się w mojej pamięci. Teraz, kiedy wykończyłam makijaż muśnięciem błyszczczyka, chuchnęłam na lustro i na parze przysłaniającej moje odbicie napisałam jedno słowo: „NIE”.

Wyglądałam właśnie suknię, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zawołałam.

– Karla, pani Blacklock.

Otworzyłam drzwi. Karla stała na zewnątrz i uśmiechała się w sposób, który nieustannie wyrażał lekko zaniepokojone zaskoczenie.

– Dobry wieczór, pani Blacklock. Chciałam tylko pani przypomnieć, że kolacja będzie za dziesięć minut, a w salonie Lindgren podawane są już drinki i może pani do nas dołączyć w każdej chwili.

– Dziękuję – odparłam. – Karla? – dodałam niemal odruchowo, kiedy się odwróciła, żeby odejść.

– Tak? – Zwróciła się znów do mnie, jej brwi były uniesione tak, że twarz wyglądała na prawie zatrwożoną. – Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

– Nie... nie wiem. Po prostu... – Wzięłam głęboki wdech, starając się wymyślić, jak to ująć. – Kiedy odwiedziłam was wcześniej w waszej części statku, miałam takie odczucie, że... że może mogłabyś mi przekazać coś więcej. Że być może nie chciałaś mówić przy pani Lidman. I chciałam tylko powiedzieć, że jutro w Trondheim porozmawiam z policją o tym, co widziałam, i jeśli jest coś, cokolwiek, co chciałaś mi powiedzieć, to teraz jest na to odpowiedni moment. Mogę dopilnować, by pozostało to anonimowe. – Znowu pomyślałam o Marcie Gellhorn i Kate Adie, o takich reporterkach, jaką chciałam kiedyś być. – Jestem dziennikarką – powiedziałam tak, by brzmiało to jak najbardziej przekonująco. – Wiesz o tym. My chronimy nasze źródła, to część umowy.

Karla nic nie powiedziała, tylko splotła palce.

– Karla?

Wydawało mi się przez chwilę, że w jej niebieskich oczach dostrzegłam łzy, ale ona zamruwała.

– Ja nie... – zaczęła, a potem wymamrotała pod nosem coś w swoim języku.

– W porządku. Możesz mi powiedzieć. Obiecuję, że to nie wypłynie nigdzie dalej. Boisz się kogoś?

– Nie o to chodzi – zaprzeczyła żałośnie. – Jestem smutna, bo mi pani szkoda. Johann mówi, że pani tu wymyśla, że jest pani... jak to się mówi? Paranoiczką i że... że szuka pani uwagi, wymyślając takie historie. A ja w to nie wierzę. Wierzę, że jest pani dobrą osobą i że pani wierzy, że mówi pani prawdę. Ale pani Blacklock, my potrzebujemy naszej pracy. Jeśli policja powie, że na tym statku stało się coś złego, nikt nie będzie chciał z nami podróżować, a znalezienie nowej pracy może nie być łatwe. Potrzebuję tych pieniędzy, mam małego synka, Erika, zostawiłam go z moją mamą, a ona potrzebuje pieniędzy, które jej wysyłam. I tylko dlatego, że ktoś być może pozwolił koleżance skorzystać z wolnej kajuty, to nie znaczy, że ona została zabita, prawda?

Odwróciła się.

– Chwileczkę. – Wyciągnęłam rękę w stronę jej ramienia, próbując ją powstrzymać. – Co ty mówisz? Tam *była* jakaś dziewczyna? Ktoś ją przemycił na statek?

– Nie mówię niczego. – Wyswobodziła się z mojego uścisku. – Mówię: proszę, pani Blacklock, niech pani nie robi kłopotów, jeżeli nic takiego się nie stało.

A potem pobiegła korytarzem, wbiła kod do drzwi dla obsługi i zniknęła.





W drodze do salonu Lindgren odtwarzałam w głowie tę rozmowę, starając się rozgryźć, co takiego oznaczała. Czy Karla *widziała* kogoś w tej kajucie albo podejrzała, że ktoś tam był? Czy też może była po prostu rozdarta pomiędzy współczuciem dla mnie a swoim strachem przed tym, co mogłoby się stać, gdyby to, co powiedziałam, okazało się prawdą?

Przed salonem ukradkiem zerknęłam do komórki, trzymając się nadziei, że być może jesteśmy dość blisko lądu, by złapać jakiś sygnał, ale nadal nic nie było. Chowałam ją właśnie do wieczorowej torebki, gdy z salonu wyslizgnęła się Camilla Lidman.

– Czy mogę ją od pani wziąć, pani Blacklock? – wskazała na torebkę.

Pokręciłam głową.

– Nie, dziękuję.

Mój telefon miał ustawiony sygnał, kiedy łączył się z roamingiem. Gdybyśmy odzyskali zasięg, chciałam mieć go przy sobie, żeby natychmiast zacząć działać.

– Dobrze. Mogę pani zaproponować kieliszek szampana? – Wskazała na tacę stojącą na małym stoliku przy wejściu, a ja pokiwałam głową i przyjęłam kieliszek.

Wiedziałam, że powinnam zachować trzeźwy umysł na jutro, ale jeden kieliszek na odwagę nie mógł mi zaszkodzić.

– Przekażę jeszcze tylko, że wykład na temat zorzy polarnej został dziś odwołany – odezwała się jeszcze.

Spojrzałam na nią pustym wzrokiem, zdając sobie sprawę, że znowu zapomniałam sprawdzić rozkład dnia.

– Po kolacji miała się odbyć prezentacja dotycząca zorzy polarnej – wyjaśniła, widząc moją minę. – Wykład lorda Bullmera ilustrowany fotografiami pana Lederera, ale niestety lord Bullmer został wezwany w pilnej sprawie, a pan Lederer zranił się w rękę, więc przełożono to na jutro, po powrocie z wycieczki do Trondheim.

Znowu pokiwałam głową i zwróciłam się w stronę sali, żeby sprawdzić, kogo jeszcze brakuje.

Zarówno Bullmer, jak i Cole byli nieobecni, tak jak wspomniała Camilla. Nie widziałam też Chloe, a kiedy spytałam o nią Larsa, powiedział, że źle się czuje i położyła się w swoim pokoju. Anne się zjawiała, chociaż wyglądała blado, a kiedy uniosła kieliszek do ust, jej suknia się rozsunęła, ukazując ciemnofioletowy siniak na obojczyku. Widziałam, jak zerknęłam i pospiesznie odwróciłam wzrok. Zaśmiała się zawstydzona.

– Wiem, to strasznie wygląda, prawda? Przewróciłam się pod prysznicem, ale teraz tak łatwo robią mi się siniaki, że wygląda to dużo gorzej. Takie są niestety skutki uboczne chemioterapii.

Kiedy zajmowaliśmy miejsca przy stołach, dostrzegłam, jak Ben wskazuje krzesło obok siebie, naprzeciwko Archera, ale udałam, że tego nie widzę, i wybrałam krzesło najbliższej sobie, obok Owena White'a. Opowiadał on obszernie Tinie o swoich inwestycjach finansowych oraz o roli, jaką odgrywał w swojej firmie inwestycyjnej.

Kiedy słuchałam jednym uchem ich rozmowy, a drugim reszty stołu, zdałam sobie sprawę, że temat się zmienił i Owen mówi o czymś bardzo cicho, jakby nie chciał zostać podsłuchany.

– Szczerze mówiąc, to nie – zwierzał się Tinie. – Po prostu nie jestem stuprocentowo pewny, czy to zrównoważony układ, to duża luka w sferach inwestycyjnych. Ale nie sądzę, żeby Bullmer miał problem z pozyskaniem środków z jakiegoś innego miejsca. I oczywiście sam ma dość pokaźne zasoby... albo raczej Anne... więc może sobie pozwolić na to, by poczekać na właściwą osobę. Szkoda, że Solberg nie mógł przyjechać, to jest bardziej jego działka.

Tina mądrze pokiwała głową, a potem rozmowa zeszła na inne tematy – wyjazdy wakacyjne w te same miejsca, a także pochodzenie neonowozielonych galaretkowych sześcianów, które pojawiły się właśnie na talerzach przed nami, otoczone małutkimi kupkami czegoś, co chyba mogło być wodorostami. Rozejrzałam się powoli po wszystkich zgromadzonych. Archer mówił coś do Bena i śmiał się w głos. Wyglądał na pijanego, muchę miał już przekrzywioną. Anne, przy tym samym stole, rozmawiała z Larsem. Nie było śladu po łzach, które widziałam wcześniej tego popołudnia, ale

w jej wyrazie twarzy było widoczne jakieś udręczenie, a jej uśmiech, gdy kiwała głową na słowa Larsa, wydawał się wymuszony.

– Głowisz się nad naszą gospodynią? – spytał cichy głos z drugiej strony stołu, a ja obróciłam głowę i zobaczyłam Alexandra sączącego z kieliszka. – To jest prawdziwa enigma. Wygląda tak krucho, a jednak mówią, że to ona rządzi za plecami Richarda. Żelazna pięść w jedwabnej rękawiczce, że tak powiem. Przypuszczam, że posiadanie takich pieniędzy już w wieku, kiedy większość dzieci nadal tylko ślini się do swoich miseczek z płatkami, musi człowieka hartować.

– Dobrze ją znasz? – spytałam.

Alexander pokręcił głową.

– Nigdy jej nie poznałem. Richard spędza pół życia w samolocie, ale *ona* prawie nigdy nie opuszcza Norwegii. To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe; jak wiesz, ja żyję podróżami i nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś mógł się zamknąć w takim malutkim kraju jak Norwegia, podczas gdy restauracje i stolice całego świata stoją otworem. Nigdy nie spróbować prosięcia w El Bulli ani nie zaznać wyjątkowego połączenia kultur, jakie daje Gaggan w Bangkoku! Przypuszczam jednak, że to reakcja na jej wychowanie. Zdaje się, że ona straciła rodziców w wypadku lotniczym, kiedy miała osiem czy dziewięć lat, a resztę dzieciństwa spędziła w różnych europejskich szkołach z internatem, dziadkowie ją tak przerzucali. Pewnie jako dorosła chciała wybrać inne życie.

Sięgnął po widelec i zaczęliśmy właśnie jeść, kiedy rozległ się jakiś hałas przy drzwiach, podniosłam wzrok i zobaczyłam Cole'a idącego niepewnie w stronę stołu.

– Pan Lederer! – Stewardesa pospieszyła po dodatkowe krzesło z tych stojących z boku sali. – Pani Blacklock, czy mogłaby pani tylko...

Przesunęłam lekko swój talerz i krzesło, a ona przygotowała miejsce na szczycie stołu dla Cole'a, który ciężko usiadł. Rękę miał zabandażowaną i wyglądał, jakby wcześniej pił.

– Nie, nie chcę szampana – odpowiedział Hanni, która podeszła z tacą. – Poproszę szkocką.

Hanni pokiwała głową i odeszła pospieszenie, a Cole oparł się na krześle i przesunął ręką po nieogolonej twarzy.

– Przykro mi z powodu aparatu – zagałam ostrożnie.

On jęknął i zobaczyłam, że jest już bardzo pijany.

– To jest, kurwa, jakiś koszmar. A najgorsze, że to, cholera, wyłącznie moja wina. Powinienem był sobie zrobić kopię zapasową.

– Wszystkie zdjęcia przypadły?

Cole wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale pewnie tak. W Londynie mam gościa, który może będzie w stanie odzyskać jakieś dane, ale jak wkładam kartę do komputera, to gównno mi się pokazuje, sprzęt nawet jej nie czyta.

– Bardzo mi przykro. – Serce biło mi szybko. Nie byłam pewna, czy to rozsądne, ale stwierdziłam, że nie mam już nic do stracenia. – To były tylko materiały z tego rejsu? Wydawało mi się, że widziałam jedno ujęcie z innego miejsca...

– No, tak, wymieniałem karty, miałem tam kilka zdjęć z sesji, którą robiłem przed paroma tygodniami w Magellanie.

Znałam Magellana – to był bardzo ekskluzywny klub na Piccadilly, wyłącznie dla wybranych mężczyzn, założony jako miejsce spotkań dyplomatów oraz osób, które klub określał mianem „podróżujących dżentelmenów”. Nie mogły do niego należeć żadne kobiety, ale wpuszczano je jako gości i raz czy dwa byłam tam na jakimś wydarzeniu w zastępstwie za Rowan.

– Jesteś członkiem?

Parsknął.

– Kuźwa, nie ma mowy. To nie w moim stylu, nawet gdyby mnie dopuścili, w co wątpię. Jak na mój gust, to jest miejsce dla samych gburów. Jak gdzieś nie można wchodzić w dżinsach, to to nie dla mnie. Wolę na przykład Frontline. Ale Alexander jest członkiem. Bullmer chyba też. Wiesz, jak to jest, trzeba być albo tak wytwornym, że nie da się normalnie funkcjonować, albo cholernie bogatym. Ja na szczęście nie jestem ani jednym, ani drugim.

Po tej jego ostatniej uwadze nastąpiła chwila ciszy, mówił strasznie głośno i wszyscy zamilkli na dźwięk przekleństw; zobaczyłam, że kilka osób się odwróciło, a Anne skinęła na stewardesę, co znaczyło: „Przynies mu najpierw jedzenie, a dopiero potem whisky”.

– To co tam w takim razie robiłeś? – spytałam cichym głosem, jakbym mogła go w ten sposób przekonać do złagodzenia tonu poprzez naśladownictwo.

– Zdjęcia do „Harpers”.

Przyniesiono mu talerz i zaczął przypadkowo nabijać jedzenie na widelec oraz ładować sobie do ust delikatne, starannie zaprojektowane kęsy, zapewne nie czując nawet ich smaku.

– To chyba była jakaś promocja. Nie pamiętam. Chryste! – Spojrzał na swoją dłoń, widelec leżał niezgrabnie oparty na bandażu. – Kurewsko mnie to boli. Nie ma szans, żebym jutro zwiedzał katedrę w Trondheim, idę do lekarza, żeby to obejrzał i przepisał mi jakieś porządne leki przeciwbólowe.



Po kolacji zabraliśmy nasze kawę do salonu i znalazłam się obok Owena White’a. Oboje wyglądaliśmy przez wysokie okno na mgłę. On uprzejmie skinął głową, ale najwyraźniej nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy. Próbowałam wymyślić, co zrobiłaby Rowan. Oczarowała go? Czy spławiła i poszła rozmawiać z kimś, kto był bardziej przydatny dla „Velocity”? Może z Archerem?

Zerknęłam przez ramię na Archera i zobaczyłam, że jest bardzo, bardzo pijany i że osaczył Hanni w rogu pomieszczenia. Ona stała plecami do okna, a jego postawna sylwetka skutecznie zagradzała jej wyjście. Hanni trzymała w jednej ręce dzbanek z kawą i uśmiechała się grzecznie, ale z pewną ostrożnością. Powiedziała coś i wskazała na dzbanek – była to oczywista wymówka, żeby odejść, ale on się roześmiał i objął jej ramiona ciężką ręką.

Gest ojcowskiego zawłaszczenia, na którego widok moje ciało trochę się wzdrygnęło.

Hanni powiedziała coś jeszcze, czego nie wyłapałam, a potem wysunęła się z jego uścisku z wyćwiczoną wprawą. Przez chwilę na twarzy Archera malowały się ogłupienie i wściekłość, ale potem chyba mu przeszło i poszedł porozmawiać z Benem.

Odwróciłam się z powrotem do Owena White'a i westchnęłam, choć nie byłam pewna, czy to westchnienie wyrażało ulgę z powodu Hanni, czy też rezygnację powodowaną moją niechęcią do zadawania się z nieprzyjemnymi ludźmi, nawet jeśli to dla dobra mojej kariery.

Owen wydawał się krzepiąco nieszkodliwy, choć przyglądając się ukradkiem odbiciu jego profilu w ciemnym, zamglonym oknie, zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czy moglibyśmy mieć z niego jakąś korzyść w „Velocity”. Ben powiedział, że jest inwestorem, ale White podczas tego rejsu był tak skryty, że nie miałam wielkiego pojęcia, czym tak naprawdę się zajmuje.

Może mógłby być doskonałym prywatnym inwestorem, gdyby właściciel „Velocity” zdecydował się zająć jakimiś bardziej dochodowymi rzeczami. W każdym razie nie miałam ochoty przechodzić na drugą stronę salonu.

– No więc, hm – zaczęłam niezręcznie. – Mam poczucie, że nie zostaliśmy jeszcze sobie oficjalnie przedstawieni. Nazywam się Laura Blacklock. Jestem dziennikarką podróżniczą.

– Owen White – odparł po prostu, ale jego ton nie brzmiał tak, jakby chciał mnie spławić. Odniosłam po prostu wrażenie, że był małym człowiekiem.

Wyciągnął rękę, którą uścisnęłam niezgrabnie swoją lewą, w której trzymałam ptifurki, ale to wydawało się i tak lepsze, niż podawać mu prawą, w której trzymałam filiżankę gorącej kawy.

– Co zatem sprowadza pana na Aurorę, panie White?

– Pracuję dla grupy inwestycyjnej – odparł i upił długi łyk swojej kawy. – Bullmer sądził chyba, że polecę Aurorę jako okazję inwestycyjną.

– Ale... z tego co mówił pan Tinie, tak się chyba nie stanie? – spytałam ostrożnie, zastanawiając się, czy wypada przyznawać się do podsłuchiwania, chociaż nie mogłam tego powstrzymać.

Pokiwał głową, nie wydawał się obrażony.

– Właśnie tak. Muszę przyznać, że to raczej nie moja działka, ale poczułem się mile połączony tym zaproszeniem i jestem zbyt przekupny, żeby odmówić sobie darmowej wycieczki. Jak już mówiłem Tinie, szkoda, że Solberg nie mógł przyjechać.

– On miał mieszkać w dziesiątej kajucie, prawda?

Owen pokiwał głową. Nagle dotarło do mnie, że nie jestem do końca pewna, kim jest nieobecny Solberg ani dlaczego nie przyjechał.

– Znał go pan... To znaczy: czy pan go zna? W sensie, Solberga?

– Tak, dość dobrze. Pracujemy w tej samej branży. On w Norwegii, a ja mam swoje główne biuro w Londynie, ale to jest małe poletko. Znamy całą naszą konkurencję. Wyobrażam sobie, że w dziennikarstwie podróżniczym jest podobnie. – Uśmiechnął się i włożył do ust ptifurka, a ja odwzajemniłam uśmiech, przyznając mu rację.

– Więc jeśli to bardziej jego działka, to dlaczego nie przyjechał? – spytałam.

Owen White nie odpowiedział i przez chwilę się zastanawiałam, czy nie posunęłam się za daleko, czy nie zbyt śmiało go wypytuję, ale potem przełknął i zdałam sobie sprawę, że po prostu miał problem ze swoim ciasteczkiem.

– Było jakieś włamanie – wyjaśnił z ustami pełnymi orzechów, a potem znowu przełknął. – Zdaje się, że w jego domu. Zabrano mu paszport, ale moim zdaniem to tylko częściowy powód, dla którego się nie zjawił. Z tego, co słyszałem, jego żona i dzieci byli w domu, są dość wstrząśnięci. Różne rzeczy się mówi na temat skandynawskiego stylu zarządzania biznesem... – Znowu urwał i bohatercko przełknął. – Ale oni wiedzą, że rodzina jest zawsze najważniejsza. Rany, radzę nie próbować tych nugatowych, chyba że ktoś ma bardzo zdrowe zęby. Zdaje się, że poluzowałam sobie plombę.

– *Tylko nie nugat!* – usłyszałam ponad swoim ramieniem, próbując przyswoić to, co właśnie mi powiedziano.

Odwrociłam się i zobaczyłam nacierającego na nas Alexandra.

– Owen, *proszę*, nie mów, że to sobie zrobiłeś.

– Owszem. – Owen wziął łyk kawy i przepłukał nią usta, lekko się krzywiąc. – I żałuję.

– Te rzeczy powinny *przynajmniej* mieć jakieś ostrzeżenie o zagrożeniu dentystycznym. Słuchaj. – Alexander wskazał na mnie. – Potrzebujemy reportażu śledczego. Brutalnego ujawnienia przez „Velocity” podejrzanych powiązań Richarda Bullmera ze stomatologią zachowawczą. Myślę, że z tym oraz tym drugim *wypadkiem* przyszli goście na tym okręcie rejsowym będą mieli *duże* problemy, żeby załatwić sobie ubezpieczenie zdrowotne.

– Drugim wypadkiem? – spytałam ostro, próbując sobie przypomnieć, co powiedziałam Alexandrowi.

Byłam pewna, że nie przedstawiłam mu całej relacji wydarzeń. Czy Lars przekazał mu taką rozmowę z jacuzzi?

– O jakim drugim wypadku pan mówi?

– Jak to? – odparł Alexander i w teatralny sposób szeroko otworzył oczy. – Oczywiście o dłoni Cole’a. A o czym myślałaś?



Po kawie ludzie zaczęli się rozchodzić, Owen zniknął cicho bez pożegnania, a Lars narobił zamieszania przy wyjściu, żartując sobie z Chloe. Bullmera nadal nigdzie nie było, podobnie jak Anne.

– Wpadniesz na kieliszeczek do baru? – spytała Tina, kiedy odstawiłam na stolik pustą filiżankę. – Alexander będzie tam plumkał na fortepianie.

– Nie... nie jestem pewna. – Nadal myślałam o tym, co Owen White powiedział mi przy kawie o włamaniu u Solberga. Co to oznaczało? – Możliwe, że pójde się położyć.

– Ben? – mruknęła Tina.



On spojrzał na mnie.

– Lo? Chcesz, żebym cię odprowadził do kajuty?

– Nie ma takiej potrzeby, poradzę sobie – odpowiedziałam i odwróciłam się do wyjścia.

Byłam już prawie przy drzwiach, kiedy poczułam, jak ktoś mnie chwyta za nadgarstek. Zobaczyłam za sobą Bena.

– Hej – powiedział cicho. – Co tu się dzieje?

– Ben. – Zerknęłam zza niego na pozostałych gości, którzy się śmiali i rozmawiali, a stewardzi sprząтали wokół nich. – Nie rozmawiajmy tutaj. Nic się nie dzieje.

– To dlaczego tak dziwnie się zachowywałaś podczas kolacji? Widziałaś, że zająłem dla ciebie krzesło, i celowo mnie zignorowałaś.

– Nic się nie dzieje.

Poczułam bolesne napięcie w skroniach, jakby złość, którą tłumiłam przez cały wieczór, zaczynała się na mnie odgrywać.

– Nie wierzę ci. Dawaj, Lo, wykrztuś to z siebie.

– Okłamałeś mnie – rzuciłam wściekłym szeptem, nim zdążyłam pomyśleć nad tym, czy to mądre oskarżenie.

Ben wyglądał na wstrząśniętego.

– Co? Nie, nieprawda!

– Serio? – syknęłam. – Czyli ani razu nie opuszczałeś kajuty, kiedy wszyscy grali w pokera?

– Nie!

Tym razem to on obejrzał się za siebie na pozostałych gości. Tina spoglądała na nas, a Ben się obrócił i ściszył głos.

– Nie, nie wychodziłem... A nie, czekaj, wyszedłem po portfel. Ale to nie było kłamstwo... nie było.

– To nie było kłamstwo? Kategorycznie zaprzeczyłeś, jakoby ktoś opuszczał tamtą kajutę. A potem dowiedziałam się od Cole'a nie tylko tego, że *wyszedłeś*, ale też że każdy inny mógł również wyjść pod twoją nieobecność.

– Ale to co innego – wymamrotał. – Boże, wyszedłem, nie wiem o której, ale to było na początku wieczoru. A nie w tym czasie, o którym rozmawialiśmy.

– To dlaczego kłamałeś?

– To nie było kłamstwo! Po prostu nie pomyślałem. Jezu, Lo...

Ale nie pozwoliłam mu dokończyć. Wyrwałam nadgarstek z jego uścisku i szybko wyszłam na korytarz, podczas gdy on patrzył za mną zdumiony.

Byłam tak pochłonięta myślami o Benie, że kiedy wyszłam zza zakrętu, wpadłam na kogoś. To była Anne. Opierała się o ścianę, jakby zbierała się w sobie, żeby coś zrobić, chociaż nie byłam pewna, czy może chodzić o powrót na przyjęcie, czy też do jej kajuty. Wyglądała na potwornie zmęczoną, twarz miała szarą, kręgi wokół jej oczu były jeszcze ciemniejsze niż dotąd.

– Och, bardzo przepraszam! – zawołałam, a potem przypomniałam sobie jej siniak na obojczyku, więc spytałam: – Nie zrobiłam ci krzywdy?

Uśmiechnęła się, cienka skóra wokół jej ust się pomarszczyła, ale oczy się nie uśmiechnęły.

– Nic mi nie jest, jestem po prostu bardzo zmęczona. Czasami... – Przełknęła, a jej głos załamał się na chwilę, nieskazitelny angielski akcent jakoś jej uciekł. – Czasami wydaje mi się, że to jest za dużo. Wiesz, co mam na myśli? Takie *występy*.

– Rozumiem – odparłam współczująco.

– Jeśli pozwolisz, pójdę się położyć – powiedziała, a ja skinęłam głową i odwróciłam się, żeby samej przejść na rufę, w dół schodów prowadzących do tylnych kabin.

– Lo! Lo, czekaj, nie możesz rzucać takich oskarżeń i tak sobie po prostu odejść.

Kurwa. Ben. Poczułam silną chęć, by wślizgnąć się do swojej kajuty i zatrzaskać za sobą drzwi, ale zmusiłam się, by na niego spojrzeć, i oparłam się plecami o boazerię.

– Nie rzuciłam żadnych oskarżeń. Powtórzyłam tylko, co mi powiedziano.

– Ale zasugerowałaś teraz, że mnie podejrzewasz! Znamy się od ponad dziesięciu lat! Zdajesz sobie sprawę, jak ja się czuję z tym, że mogłaś mnie oskarżyć o takie kłamstwo?

W jego głosie naprawdę pobrzmiwało zranienie, ale nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby mnie zmiękczył. To była ulubiona taktyka Bena podczas kłótni, kiedy byliśmy razem – zmienić temat rozmowy z tego, co mnie wkurzało, na to, że zraniłam jego uczucia i zachowuję się nieracjonalnie. Czasami kończyło się na tym, że to *ja* go przeproszałam za sprawienie przykrości *jemu* – moje odczucia były całkowicie ignorowane i jakoś w międzyczasie ostatecznie traciliśmy z oczu problem, który doprowadził do nieporozumienia. Tym razem nie zamierzałam się na to nabrać.

– Nic ci nie zrobiłam – odparłam, starając się nie podnosić głosu. – Tylko stwierdziłam fakty.

– Fakty? Nie bądź śmieszna!

– Śmieszna? – Założyłam ręce na piersi. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy tyle – rzucił wściekły – że zachowujesz się całkiem paranoicznie. Za każdym rogiem widzisz jakieś upiory! Może Nilsson...

Urwał. Zacisnęłam pięści na swojej delikatnej wieczorowej torebce, czując twarde wybrzuszenie telefonu pod śliskimi cekinami.

– No, słucham? Może Nilsson... co?

– Nic.

– Może Nilsson miał rację? Może sobie zmyślam?

– Nie powiedziałem tego.

– Ale do tego zmierzałeś, prawda?

– Proszę tylko, żebyś zrobiła krok do tyłu i *spojrzała* na siebie, Lo. To znaczy: spójrz na to racjonalnie.

Zmusiłam się, żeby nie wybuchnąć, i uśmiechnęłam się.

– Jestem racjonalna. Ale z przyjemnością zrobię krok do tyłu. – Po czym otworzyłam swój apartament, weszłam do środka i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

– Lo! – usłyszałam z zewnątrz, a następnie rozległo się walenie do drzwi. Potem przerwa. – *Lo!*

Nic nie odpowiedziałam, zasunęłam tylko zasuwę i powiesiłam łańcuch. Nikt nie wejdzie do tego pokoju, chyba że staranuje drzwi. A już na pewno nie Ben Howard.

– Lo! – Znowu załomotał. – Słuchaj, czy możesz chociaż ze mną *porozmawiać*? To naprawdę wymyka się spod kontroli. Powiesz mi przynajmniej, co zamierzasz powiedzieć jutro policji? – Urwał i czekał na moją odpowiedź. – Słuchasz mnie w ogóle?

Ignorując go, rzuciłam torebkę na łóżko, ściągnęłam wieczorową suknię i poszłam do łazienki. Zamknęłam drzwi i odkręciłam kurki w wannie, żeby zagłuszyć jego głos. Kiedy w końcu weszłam do gorącej jak wrzątek wody i zakręciłam krany, jedynym dźwiękiem, który słyszałam, był szum wiatraczka przy wentylacji. Dzięki Bogu. Ben musiał się w końcu poddać.



Zostawiłam komórkę w sypialni, więc nie byłam pewna, która była godzina, kiedy wyszłam z wanny, ale palce miałam rozmokłe i pomarszczone, byłam też bardzo senna, ale w dobry sposób, nie tak jak w ostatnich dniach, kiedy męczyło mnie to nerwowe, irytujące wyczerpanie. Kiedy umyłam zęby, wysuszyłam włosy i zawiązałam pasek białego szlafroka, pomyślałam o tym, jak dobrze się wyśpię i jaką logiczną, starannie przygotowaną historię przedstawię jutro na policji.

A potem... Chryste, czułam niemal osłabiającą ulgę na myśl o tym. Potem wsiądę do autobusu, pociągu, czy jaki tam transport publiczny mają w cholernym Trondheim, i udam się na najbliższe lotnisko oraz *do domu*.

Otworzyłam drzwi do kajuty i wstrzymałam oddech, na wpół spodziewając się, że znów rozlegnie się dudnienie Bena i jego krzyki, ale było cicho. Ostrożnie podeszłam do drzwi, moje stopy cicho stąpały po grubym, jasnym dywanie, i odsunęłam zasłonkę wizjera, po czym wyjrzałam na korytarz. Nikogo. A przynajmniej nikogo nie widziałam. Wypukła soczewka

pokazywała tylko część korytarza, jednak jeżeli Ben nie leżał na podłodze pod moimi drzwiami, to raczej sobie poszedł.

Westchnęłam i sięgnęłam po porzuconą wieczorową torebkę, żeby sprawdzić godzinę na komórce i ustawić sobie budzik na jutro. Nie zamierzałam czekać na telefon Karli – chciałam jak najszybciej wstać i wydostać się ze statku.

Ale komórki tam nie było.

Wywróciłam torebkę na lewą stronę, wytrząsnęłam z niej wszystko, ale wiedziałam, że na próżno – torebka była mała i lekka, nie dało się w niej ukryć czegoś większego od pocztówki. Komórka nie leżała też na łóżku. Może ześlizgnęła się na podłogę?

Musiałam się zastanowić.

Mogłam ją zostawić na stole przy kolacji – ale nie wyciągałam jej, a do tego miałam wyraźne wspomnienie tego, jak dotykałam jej przez materiał podczas kłótni z Benem. I zauważyłabym, gdyby torebka zrobiła się lżejsza, kiedy rzucałam ją na łóżko.

Zajrzałam do łazienki, bo mogłam ją jednak odruchowo zabrać, ale tam też jej nie było.

Zaczęłam szukać porządniej, zrzuciłam kołdrę na podłogę, odsunęłam łóżko na bok – i wtedy coś zobaczyłam.

Na dywanie obok drzwi na werandę był jakiś ślad, mokry ślad.

Zamarłam.

Może to ja? Kiedy wyszłam z kąpieli?

Ale wiedziałam, że to niemożliwe. Wytarłam stopy w łazience, a poza tym w ogóle nie chodziłam koło tego okna. Przysunęłam się, dotknęłam opuszkami palców zimnego, wilgotnego kształtu i zauważyłam, że to ślad po bucie. Było wyraźnie widać kształt obcasa.

Była tylko jedna możliwość.

Wstałam, rozsunęłam drzwi werandowe i wyszłam na balkon. Tam przechyliłam się przez poręcz, zaglądając na pustą werandę obok mojej. Przegroda z mlecznego szkła była wysoka i cienka, ale gdyby ktoś miał dość

odwagi i nie bał się wysokości, a do tego nie obawiał się ześlizgnięcia w grobową toń, można by *po prostu* przez nią przeskoczyć.

Cała się trzęsałam, szlafrok nie chronił mnie przed zimnym wiatrem znad Morza Północnego, ale była jeszcze jedna rzecz, którą musiałam sprawdzić, chociaż mogłam później bardzo żałować i byłoby to niezwykle głupie, gdyby nie wyszło.

Ostrożnie zasunęłam drzwi werandy, aż kliknęły.

Potem spróbowałam je znów rozsunąć.

Otworzyły się z łatwością.

Weszłam do środka i zrobiłam to samo, a potem sprawdziłam zamek. Tak jak myślałam, nie dało się w żaden sposób zabezpieczyć drzwi na werandę przed otwarciem ich z zewnątrz. To tak naprawdę było logiczne, jak się nad tym zastanowiłam. Jediną osobą, która powinna być na werandzie, był mieszkaniec pokoju. Nie można było ryzykować, że ktoś przypadkiem zatrzaśnie się na zewnątrz przy niepogodzie i nie będzie w stanie wrócić do środka ani wezwać pomocy albo że jakieś dziecko zamknie tam na złość rodzica i potem nie będzie umiało otworzyć zamka.

I zresztą czego tu się bać? Weranda wychodziła na morze – nie było szans, by ktoś dostał się tu z zewnątrz.

Tylko że jednak były. Jeśli ktoś był odważny i bardzo głupi.

Wtedy zrozumiałam. Żadne zamki, zasuwki ani tabliczki „Nie przeszkadzać” na nic się nie zdadzą, skoro balkon zapewniał łatwy dostęp każdemu, kto znalazłby się w pustej kajucie i miał dość siły w rękach, żeby się podciągnąć.

Mój pokój nie był bezpieczny, nigdy taki nie był.



Z powrotem w pokoju włożyłam dżinsy, buty i ulubioną bluzę z kapturem. Potem sprawdziłam zamek w drzwiach do kajuty i skuliłam się na kanapie z poduszką przytuloną do piersi.

Nie było mowy, żebym teraz zasnęła.

Każdy mógł wejść do pustego apartamentu. I stamtąd wystarczyło już tylko wspiąć się po szklanej przegrodzie do mojego. Każdy pracownik mógł otworzyć pustą kajutę swoją kartą. A jeśli chodzi o gości...

Pomyślałam o ułożeniu kabin. Na prawo od mojej znajdowała się kajuta Archera, byłego żołnierza marynarki, który miał tak silne ramiona, że na myśl o tym aż się wzdrygnęłam. A na lewo... na lewo była pusta kajuta, naprzeciwko zaś apartament Bena Howarda.

Ben. Który celowo zasiał w Nilssonie wątpliwość co do mojej historii.

Ben, który skłamał w kwestii swojego alibi.

I wiedział o zdjęciach w aparacie Cole'a jeszcze przede mną. Jego słowa powróciły do mnie niczym sen: „Pokazywał nam je przy lunchu. Miał parę świetnych fotek...”.

Ben Howard.

Jedyna osoba na całym pokładzie, co do której nie miałam wątpliwości, że jest godna mojego zaufania.

Pomyślałam o swojej komórce, o jego głupocie, o tym, że śmiał wejść i ukraść mi telefon, kiedy się kąpałam. Dużo ryzykował, żeby ją zabrać, pytanie tylko: Dlaczego? Dlaczego teraz? Ale pomyślałam, że wiem.

Odpowiedzią było Trondheim. Dopóki internet na statku nie działał, napastnik nie musiał się niczym martwić. Nie mogłam nigdzie zadzwonić bez wiedzy Camilli Lidman. Ale kiedy zaczniemy się zbliżać do lądu...

Przytuliłam poduszkę mocniej do piersi, a potem pomyślałam o Trondheim, o Judah, o policji.

Musiałam tylko przetrwać do świtu.





## WhoDunnit: Miejsce dyskusji Kanapowych Detektywów

Proszę przeczytać zasady forum przed założeniem wątku oraz zastosować najwyższą ostrożność w przypadku pisania o czymkolwiek potencjalnie szkodliwym dla spraw w toku i/lub oszczerczym. Posty naruszające te wytyczne zostaną usunięte.

Poniedziałek, 28 września, 10.03: Zaginiona Brytyjka

Iamsherlocked: Cześć, czy ktoś jeszcze jest na bieżąco z tą sprawą Lorny Blacklock? Wygląda na to, że znaleziono ciało.

TheNamesMarpleJaneMarple: Właściwie to chodzi o Laure Blacklock. Tak, śledzę tę sprawę. Naprawdę tragiczne i niestety wcale nie takie rzadkie, czytałam gdzieś, że w ciągu kilku ostatnich lat ponad 160 osób zginęło na statkach rejsowych i prawie żadna z tych spraw nie została rozwiązana.

Iamsherlocked: Tak, też chyba o tym słyszałem. Widziałem w „Daily Fail”, że na pokładzie był jej były. Dali tam długi i rzewny wywiad o tym, jaki to jest zmartwiony. Jego zdaniem wysiadła z własnej woli. Czy tylko mnie to trochę śmierdzi? Czy czasem nie mówi się, że co trzecia kobieta ginie z rąk swojego byłego, partnera i tym podobnych?

TheNamesMarpleJaneMarple: „co trzecia kobieta ginie z rąk swojego byłego, partnera i tym podobnych”? Podejrzewam, że masz na myśli, iż w przypadku zamordowanych kobiet co trzecia z nich zostaje zabita przez obecnego lub byłego partnera, ale nie jedna trzecia wszystkich kobiet! Ale tak, taki odsetek wydaje się prawdopodobny. I oczywiście zostaje jeszcze chłopak. W jego zeznaniu pobrzmiwa jakaś fałszywa nuta i podobno przez cały ten czas przebywał poza krajem... Hmm... Bardzo wygodne. Chyba nie tak trudno o samolot do Norwegii, nie?

AnonInsider: Jestem regularnym użytkownikiem WD (choć zmieniłem nazwę, bo nie chcę się ujawniać) i naprawdę wiem coś o tej sprawie, jestem przyjacielem rodziny. Nie chcę mówić zbyt wiele, bo obawiam się zidentyfikowania lub naruszenia prywatności bliskich, ale mogę wam

powiedzieć, że Judah jest całkowicie zrozpaczony zniknięciem Lo i byłbym bardzo ostrożny w sugerowaniu czegokolwiek innego, w przeciwnym razie ten wątek prawdopodobnie zostanie usunięty.

TheNamesMarpleJaneMarple: Anon, twoje uwagi byłyby bardziej przekonujące, gdybyś zdjął maskę, a poza tym nie napisałam powyżej niczego oszczerczego. Powiedziałam, że dla mnie osobiście jego zeznanie nie było przekonujące. Gdzie tu oszczerstwo?

AnonInsider: Słuchaj, MJM, nie interesuje mnie dyskutowanie z tobą, ale wiem, że dobrze znam tę rodzinę. Chodziłem do szkoły z Laurą i gwarantuję ci, że idziesz złym tropem. Jeśli musisz wiedzieć, Lo ma poważne problemy – od lat przyjmuje leki na depresję i zawsze była... cóż, chyba odpowiednim słowem będzie tu: niestabilna. Podejrzewam, że policja będzie się przyglądać również tej kwestii.

Iamsherlocked: To twoim zdaniem samobójstwo?

AnonInsider: Nie powinienem spekulować na temat śledztwa policji – ale tak, to odczytuję między wierszami. Jak widzicie, bardzo starają się nie opisywać tego w prasie jako śledztwa w sprawie morderstwa.

JudahLewis01: Znajomy powiedział mi o tym wątku i zarejestrowałem się, żeby to napisać, a w przeciwieństwie do Anona piszę pod własnym nazwiskiem. Anon, nie mam pojęcia, kim jesteś, ale szczerze mówiąc, możesz spierdalać. Tak, Lo przyjmuje leki (choć, FYI, na zaburzenia lękowe, a nie na depresję, gdybyś naprawdę był jej przyjacielem, tobyś o tym wiedział), ale to samo robią dosłownie setki tysięcy innych ludzi. A sam pomyślałem, że to od razu czyni ją „niestabilną”, jak to ująłeś, albo skłonną do samobójstwa, jest kurewsko obraźliwy. Tak, nie było mnie w kraju. Byłem w Rosji, pracowałem. I tak, znaleźli jakieś ciało, ale nie zostało ono zidentyfikowane jako Lo, więc na tym etapie jest to nadal śledztwo w sprawie osoby zaginionej, dlatego nie widzieliście żadnych sugestii, że chodzi o morderstwo. Czy możecie pamiętać, że rozmawiacie o prawdziwym człowieku i że nie jest to po prostu wasz osobisty odcinek *Napisała: Morderstwo*? Nie wiem, kim są admini tego chłamu, ale zgłaszam ten wątek.

Iamsherlocked: „w przeciwieństwie do Anona piszę pod własnym nazwiskiem”. Nie chciałem żartować, ale na dowód mamy tylko twoje słowa.

MrsRaisin (Admin): Cześć wszystkim, przykro mi, ale zgadzam się z panem Lewisem, ten wątek zapuszcza się w pewne dość nieprzyjemne spekulacje, więc zostanie usunięty. Oczywiście nie chcemy, żebyście przestali rozmawiać o tym, co się dzieje w wiadomościach, więc możecie się przenieść gdzie indziej, ale trzymajcie się, proszę, ustalonych faktów.

InspectörWallander: A co z tym policyjnym blogiem radiowym, który zgłosił pozytywną identyfikację ciała Laury?

MrsRaisin (Admin): Od tej chwili wątek jest zamknięty.



# CZEŚĆ SZÓSTA





## 22

Zostałam uwięziona. Nie wiedziałam, jak to się stało ani gdzie się znalazłam, ale tego jednego byłam pewna.

Pokój bez okna był mały i duszny, a ja leżałam na koi z zamkniętymi oczami i ramionami ułożonymi wokół głowy, starając się nie poddawać wzbierającej we mnie panice.

Tysiąc razy musiałam odgrywać w głowie te wydarzenia w narastającej mgle przerażenia – słyszeć, raz za razem, pukanie do drzwi, gdy siedziałam na skraju kanapy, czekając na Trondheim i świt.

Dźwięk ten nie był szczególnie głośny, ale w ciszy kajuty zaskoczył mnie niczym wystrzał z pistoletu. Moja głowa podskoczyła, poduszka wypadła mi z rąk na podłogę, serce waliło mi jak oszalałe. Jezu. Zdałam sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech, więc zmusiłam się do wydechu, długiego i powolnego, a potem do wdechu, odliczając sekundy.

Znów rozbrzmiało, nie gwałtowne walenie, tylko „stuk, stuk, stuk”, potem długa przerwa i ostateczne „stuk”, jakby dla pewności, nieco głośniejsze od poprzednich. Na to ostatnie stuknięcie zerwałam się na nogi i najciszej, jak zdołałam, podeszłam do drzwi.

Oślaniając wizjer dłonią, tak żeby żaden zdradziecki błysk światła nie ujawnił mojej obecności, odchyliłam klapkę. Potem, kiedy zbliżyłam już twarz do szybki na tyle, żeby zakryć jakiegokolwiek szare światło świtu padające od okna, odsunęłam palce i wyjrzałam przez wypukłą soczewkę.

Nie wiem, kogo spodziewałam się ujrzeć. Może Nilssona. Bena Howarda. Nie zdziwiłabym się nawet na widok Bullmera.

Ale ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie tej osoby, która rzeczywiście stała za tymi drzwiami.

*Jej.*

To była kobieta z kajuty dziesiątej. Zaginiona dziewczyna. Stojąca na zewnątrz, jakby nigdy nic.

Przez chwilę znieruchomiałam, łapiąc powietrze, jakby ktoś mnie uderzył pięścią w brzuch. Ona żyła. Nilsson miał rację – a ja przez cały ten czas się myliłam.

Potem ona odwróciła się na pięcie i zaczęła iść korytarzem w kierunku pomieszczeń obsługi. Musiałam ją złapać. Musiałam ją dogonić, nim zniknie za tymi zamkniętymi drzwiami.

Zdjęłam łańcuch i odsunęłam zasuwę, po czym gwałtownie otworzyłam drzwi.

Nie zatrzymała się, nawet nie zerknęła przez ramię, była już przy wejściu na dolny pokład i wbijała kod. Nie zastanowiłam się. Po prostu wiedziałam, że *tym razem* nie dam jej zniknąć bez śladu. Pobiełam.

Była już za drzwiami, a ja dopiero w połowie korytarza, ale udało mi się chwycić skraj drzwi, gdy się zamykały, boleśnie wbiłam w niego palce, a potem je szarpnęłam i rzuciłam się pomiędzy nie.

W środku było ciemno, żarówka na górze schodów się przepaliła. Albo została wykręcona, jak potem pomyślałam.

Gdy drzwi się za mną zatrzasnęły, zatrzymałam się na sekundę, próbując się rozejrzeć, dostrzec najwyższy schodek. I wtedy to się stało – jakaś ręka złapała mnie od tyłu za włosy, druga wykręciła mi ramię, czyjeś kończyny szamotały się z moimi w ciemności. Nastąpił krótki epizod dyszenia, drapania, przerażenia, moich paznokci wbijających się w czyjąś skórę. Wolną ręką próbowałam sięgnąć za siebie, żeby złapać szczupłą, silną dłoń wplątaną w moje włosy, a potem ta dłoń pociągnęła mocniej, boleśnie odchylając mi głowę do tyłu, a następnie uderzyła nią naprzód o zamknięte drzwi. Usłyszałam trzask swojej czaszki na metalowej futrynie – i potem już nic.





Trafiłam tutaj, sama, leżałam na koi przykryta cienkim kocem. Potwornie bolała mnie głowa, pulsowała powoli w taki sposób, że przygaszone światła w pomieszczeniu wydawały się zniekształcać i migotać, miały wokół siebie dziwne aureole. Na ścianie naprzeciwko wisiała jakaś zasłona, więc mimo drżących kończyn ześlizgnęłam się z łóżka i na wpół zatoczyłam się, na wpół popęzłam w jej kierunku po podłodze. Jednak gdy się podniosłam, podpierając się o górną koję, i odciągnęłam cienką, pomarańczową tkaninę, nie zobaczyłam tam żadnego okna – tylko pustą ścianę z kremowego plastiku, z delikatną teksturą imitującą jakby nierówną powierzchnię tapety.

Wydawało mi się, że ściany na mnie nacierają, pomieszczenie się kurczy, i poczułam, jak oddech mi przyspiesza. „Raz. Dwa. Trzy. Wdech”.

Kurwa. Czuję, jak wzbiera w mnie szloch, grożąc mi uduszeniem od środka.

Byłam w pułapce. O Boże, o Boże, o Boże...

„Raz. Dwa. Trzy. Wdech”.

Podpierając się jedną dłonią o ścianę, niepewnie podeszłam z powrotem do drzwi, choć z góry wiedziałam, że to bez sensu. Były zamknięte.

Starając się nie myśleć o tym, co to znaczyło, sprawdziłam drugie drzwi zamontowane w ukośnej ścianie, ale one otwierały się na miniaturową łazienkę, pustą, jeśli nie liczyć jednego martwego pająka leżącego w umywalce.

Zatoczyłam się do pierwszych drzwi i spróbowałam jeszcze raz, tym razem napinając każdy mięsień ciała, potrząsając drzwiami w futrynie, ciągnąc za klamkę z taką mocą, że z wysiłku dostałam zadyszki, zobaczyłam gwiazdki przed oczami i osunęłam się na podłogę. Nie. Nie, to nie było możliwe – naprawdę mnie uwięzili?

Wstałam i rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym podważyć drzwi, ale niczego takiego nie znalazłam – wszystko w tym pomieszczeniu było albo przyspawane, albo przykręcone, albo wykonane z tkaniny. Spróbowałam

jeszcze raz szarpnąć za klamkę, starając się nie myśleć o tym, że znajduję się w pozbawionej okien klitce wielkości może półtora metra na dwa, w dodatku znacznie pod poziomem morza, a tysiące ton wody przelewają się zaledwie parę centymetrów ode mnie, za stalowym poszyciem. Jednak drzwi się nie poruszyły; zmienił się tylko ból w mojej głowie i zaczął mnie kłuć tak dotkliwie, że w końcu powlokłam się z powrotem w stronę koi i wspierałam się na nią, świadomie nie myśląc o wadze wody, która na mnie napierała, skupiając się za to na obolałej czaszce. Tak mi teraz pulsowała, że czułam swoje tętno w zatokach. O Boże, byłam taka głupia, wybiegłam z tego pokoju prosto w pułapkę...

Staralam się myśleć. Musiałam zachować spokój, zadbać o trzeźwy umysł mimo nacierającej na mnie fali strachu. Myśleć logicznie. Zachować kontrolę. *Musiałam*. Jaki był dzień? Nie sposób było określić, ile minęło czasu. Kończyny miałam zeszywniałe, jakbym leżała w tej pozycji przez dłuższy czas, ale chociaż czułam pragnienie, nie byłam zupełnie wycieńczona. Gdybym leżała nieprzytomna dłużej niż parę godzin, obudziłabym się poważnie odwodniona. Co oznaczało, że pewnie nadal był wtorek.

A w takim wypadku... Ben wiedział, że zamierzałam zejść z pokładu w Trondheim. Powinien przyjść mnie szukać – prawda? Nie pozwoliliby, żeby statek odpłynął beze mnie.

Ale potem zdałam sobie sprawę, że silnik pracuje, a ja czuję, jak fale wznoszą się i opadają pod kadłubem. Albo wcale się nie zatrzymaliśmy, albo wypłynęliśmy już z portu.

O Boże. Wypływaliśmy z powrotem na morze – i wszyscy założyli, że nadal jestem w Trondheim. Jeśli w ogóle mnie szukali, to w całkowicie złym miejscu.

Gdyby tylko głowa mnie nie bolała i myśli przestały się na siebie nakładać... Gdyby tylko ściany przestały mnie coraz ciasniej otaczać, jak w trumnie, utrudniając mi oddychanie, utrudniając *myślenie*.

Paszporty. Nie wiedziałam, jak duży był port w Trondheim, ale musieli mieć jakiś urząd celny lub kontrolę paszportową. A do tego na pewno ktoś na

statku powinien dyżurować przy trapie, żeby sprawdzać wychodzących i wchodzących pasażerów. Nie mogli ryzykować, że popłyną bez kogoś. Gdzieś powinien być zapis tego, że nie opuściłam statku. Ktoś powinien zauważyć, że nadal jestem tutaj.

Musiałam się tego trzymać.

Ale to było trudne – trudne, kiedy jedynym źródłem światła była słaba żarówka, która od czasu do czasu migotała i przygasła, a do tego z każdym kolejnym oddechem było tu coraz mniej powietrza. Boże, to było takie trudne.

Zamknęłam oczy, odcinając się od nacierających na mnie ścian i klaustrofobicznego, migotliwego światła, po czym naciągnęłam sobie cienkie okrycie pod brodę. Spróbowałam się na coś skupić. Na płaskiej, sflaczałej poduszce pod moim policzkiem. Na dźwięku własnego oddechu.

Ale powracał do mnie obraz tamtej dziewczyny, która nonszalancko stała przed moimi drzwiami na korytarzu, z ręką na biodrze, a potem jej kołyszącego kroku, gdy szła w stronę drzwi dla pracowników.

Jak. *Jak?*

Czy ona cały czas ukrywała się na statku? Może w tym pokoju? Ale wiedziałam, nawet nie otwierając oczu, by się rozejrzeć, że tutaj nikt nie mieszkał. Nie czuło się, żeby to miejsce było kiedykolwiek zamieszkane, nie było plam na dywanie, śladów po kawie na plastikowej półce ani słabego zapachu jedzenia, potu i ludzkiego oddechu. Nawet ten pająk zwinięty w umywalce świadczył o tym, że nikt tu niczego nie używał. Nie było szans, żeby ta żwawa dziewczyna, pełna energii i życia, przebywała w tym pokoju i nie pozostawiła po sobie jakiegoś wrażenia. Gdzieś musiała przebywać, ale na pewno nie tu.

To miejsce zdawało się grobowcem. I być może było moim.



## 23

Nie miałam pewności, kiedy zasnęłam, ale musiało tak się stać – byłam wykończona bólem głowy i wyciem silnika statku – bo obudził mnie odgłos kliknięcia.

Usiadłam gwałtownie, uderzając się głową o koję nade mną, po czym znów padłam na plecy, pojękując i ściskając głowę. Krew szumiała mi w uszach, a z tyłu czaszki słyszałam przenikliwe dzwonięcie.

Leżałam, zaciskając z bólu powieki, ale w końcu ustąpił on na tyle, że przewróciłam się na bok i znowu otworzyłam oczy, mrużąc je w słabym jarzeniowym świetle.

Na podłodze leżał talerz i stała szklanka czegoś – pomyślałam, że to pewnie sok.

Podniosłam ją i powąchałam. Wyglądało to i pachniało jak sok pomarańczowy, ale nie miałam odwagi się go napić. Wstałam więc z bólem, otworzyłam drzwi maleńkiej łazienki, a tam wylałam sok do zlewu i napełniłam szklankę wodą z kranu. Okazała się ciepła i nieświeża, ale czułam takie pragnienie, że wypiłabym gorsze rzeczy. Osuszyłam szklankę, nalałam sobie znowu i drugą zaczęłam pić wolniej, wracając na koję.

Głowa mocno mnie bolała i żałowałam, że nie mam przy sobie czegoś przeciwbólowego, ale poza tym czułam się okropnie – byłam słaba i trzęsłam się, jakby łąpała mnie grypa. To pewnie z głodu – minęło wiele godzin, odkąd ostatnio jadłam, i strasznie musiał spaść mi cukier.

Trochę miałam ochotę się położyć i odpocząć, ale zaburczało mi w brzuchu, więc zmusiłam się, by obejrzeć jedzenie na talerzu na podłodze. Wyglądało zupełnie normalnie – klopsy w jakimś sosie, purée z ziemniaków

i groszek, a z boku bułka. Wiedziałam, że powinnam zjeść – ale wzbierał we mnie ten sam wstręt, który zmusił mnie do wylania szklanki soku. To po prostu wydawało się takie niewłaściwe – zjadać posiłek dostarczony przez kogoś, kto zamknął mnie w podwodnym lochu. Tam mogło być wszystko. Trucizna na szczury. Tabletki nasenne. *Albo gorzej*. A jednak nie miałam wyboru, musiałam to zjeść.

Na myśl o włożeniu choćby łyżki sosu do ust poczułam nagle taką panikę i zrobiło mi się tak niedobrze, że wydawało mi się, iż zaraz spuszczę wszystko do kanalizacji, podobnie jak ten sok. Jednak gdy na wpół wstałam, gotowa sięgnąć po talerz, coś do mnie dotarło i usiadłam z powrotem na powolnych, drżących nogach.

Oni nie musieli mnie truć. Po co mieliby to robić? Gdyby chcieli mnie zabić, mogliby mnie po prostu zagłodzić.

Spróbowałam się zastanowić.

Gdyby ten, kto mnie tu umieścił, chciał mnie zabić, to przecież już dawno by to zrobił. Prawda?

Prawda. Mógłby mnie znów uderzyć, mocniej, albo przyłożyć mi poduszkę do twarzy, kiedy zemdlałam, albo też zacisnąć mi foliową torebkę wokół szyi. A jednak tego nie zrobił. Zaciągnął mnie tutaj, co musiało być pewnym wysiłkiem.

Więc nie chciał, żebym umarła. W każdym razie nie teraz.

Jeden groszek. Przecież nie można umrzeć od jednego zatrutego groszku?

Podniosłam go na czubku widelca i przyjrzałam się. Zupełnie normalny. Ani śladu jakiegokolwiek proszku. Żadnego dziwnego koloru.

Włożyłam go to ust i powoli obróciłam językiem, próbując wykryć jakikolwiek obcy smak. Niczego nie wyczułam.

Przełknęłam.

Nic się nie stało. Nic, czego bym się spodziewała – nie wiedziałam wiele o truciznach, ale wyobrażałam sobie, że takie, które zabijają w ciągu kilku sekund, są bardzo rzadkie i niełatwo je zdobyć.

Ale coś się jednak wydarzyło. Zaczęłam odczuwać głód.

Nabrałam na widelec jeszcze kilka ziarenek groszku i jadłam, początkowo ostrożnie, a potem bardziej łąpczywie, bo jedzenie poprawiało moje samopoczucie. Nabiłam na widelec klopsika. Pachniał i smakował zupełnie normalnie – miał taki lekki posmak stołówkowego jedzenia przygotowywanego dla dużych grup.

W końcu talerz był pusty, a ja usiadłam i czekałam, aż ktoś po niego przyjdzie.

I czekałam.

I czekałam.



Czas jest bardzo elastyczny – to pierwsza rzecz, o której człowiek się przekonuje w warunkach braku naturalnego światła, zegara oraz wszelkich sposobów, by oddzielić od siebie kolejne jednostki czasu. Próbowałam liczyć – sekundy, moje tętno, ale doszłam do dwóch tysięcy z kawałkiem i straciłam rachubę.

Głowa mnie bolała, ale bardziej martwiły mnie słabe i drżące kończyny. Najpierw pomyślałam, że to niski cukier, ale po posiłku zaczęłam się martwić, że być może w tym jedzeniu rzeczywiście coś *było*. Potem jednak zaczęłam wracać myślami wstecz, żeby określić, kiedy ostatnio brałam tabletki.

Pamiętam, jak wycisnęłam jedną z blistra tuż po spotkaniu z Nilssonem w poniedziałek rano. Ale wcale jej nie wzięłam. Coś mnie powstrzymało – jakaś głupia potrzeba dowiedzenia, że nie *jestem* chemicznie zależna od tych niewinnych małych, białych kropek. Zostawiłam ją na blacie, bo nie mogłam się w sobie zebrać, żeby ją zażyć, ale też nie chciałam jej wyrzucać.

Nie zamierzałam przerywać leczenia. Po prostu chciałam pokazać... Sama nie wiem co. Chyba że miałam kontrolę. Takie małe, bezsensowne „pierdol się” wymierzone w Nilssona.

Ale później o niej zapomniałam przez kłótnię z Benem. Poszłam bez niej do spa, potem był ten incydent z prysznicem...

Czyli minęło przynajmniej czterdzieści osiem godzin od ostatniej dawki. Może bliżej sześćdziesięciu. Była to nieprzyjemna myśl. Właściwie to bardziej niż nieprzyjemna. Przerażająca.



Pierwszy atak paniki miałam w wieku... Nie wiem, może trzynastu? Czternastu lat? Byłam nastolatką. Pojawił się... i zniknął, a ja byłam przerażona, ale nikomu o tym nie powiedziałam. Wydawało mi się, że to coś, co przytrafia się tylko jakimś świrusom. Wszyscy wkoło szli przez życie i nie trzęśli się ani nie mieli trudności w oddychaniu, no nie?

Przez chwilę było w porządku. Zdałam egzaminy. Zaczęłam się przygotowywać do matury. I mniej więcej w tym czasie zrobiło się naprawdę słabo. Ataki paniki wróciły, najpierw jeden, potem kilka. Po jakimś czasie miałam wrażenie, że radzenie sobie z niepokojem stało się zadaniem na cały etat, a ściany wokół mnie zaczęły się zacieśniać.

Spotykałam się z terapeutą – właściwie to kilkoma. Była taka jedna psycholożka, którą moja mama znalazła w książce telefonicznej – poważna kobieta w okularach, z długimi włosami, która chciała, żebym ujawniła jakieś mroczne sekrety będące kluczem do tego wszystkiego, tylko że ja ich nie miałam. Przez chwilę myślałam o tym, żeby jakiś zmyślić – sprawdzić, czy to by mi poprawiło samopoczucie. Ale moja mama miała dość tej kobiety (a także rachunków za nasze sesje), zanim zdążyłam wymyślić naprawdę dobrą historię.

Potem był taki młody, modny lider terapii grupowej z dziewczętami prezentującymi całą gamę zaburzeń od anoreksji po samookaleczenia. No i na końcu Barry, terapeuta poznawczo-behawioralny polecony przez mojego lekarza rodzinnego, który uczył mnie oddychać i liczyć, a pozostawił mnie



z życiową alergią na siwiejących mężczyzn z miękkimi, wspierającymi, tenorowymi głosami.

Żadna z tych osób mi nie pomogła. Albo raczej: nie pomogła w pełni. Jednak trzymałam się na tyle, żeby przejść przez egzaminy, i poszłam na studia, po czym poczułam się trochę lepiej. Wyglądało na to, że może to wszystko... te *rzeczy* były czymś, z czego wyrosłam, podobnie jak z N Sync i z wiśniowego błyszczycy. Że zostały w mojej dawnej sypialni w domu rodziców razem z resztą bagażu z dzieciństwa. Studia były dość fajne. Po ich ukończeniu byłam gotowa na podbój świata z moim świeżym dyplomem. Poznałam Bena, dostałam pracę w „Velocity”, zamieszkałam sama w Londynie i wydawało mi się, że wszystko znajduje swoje miejsce.

I właśnie wtedy się rozpadłam.



Raz próbowałam odstawić pigułki. Dobrze się czułam w życiu, wyleczyłam się z Bena (o mój Boże, *naprawdę* się z niego wyleczyłam). Mój lekarz rodzinny obniżył mi dawkę do dwudziestu miligramów dziennie, potem do dziesięciu, a potem, ponieważ bardzo dobrze sobie radziłam, do dziesięciu co drugi dzień, aż w końcu przestałam je brać.

Minęły dwa miesiące, nim się załamalam, a w międzyczasie schudłam dwanaście kilo i mogłam stracić pracę w „Velocity”, chociaż nie wiedzieli, dlaczego przestałam chodzić do biura. W końcu Lissie zadzwoniła do mojej mamy, a ona zaprowadziła mnie z powrotem do lekarza, który wzruszył ramionami i powiedział, że może to są efekty odstawienia albo po prostu nie był to dobry czas na przerwanie terapii. Zapisał mi znowu czterdzieści miligramów dziennie – taka była moja pierwotna dawka – i niemal w ciągu kilku dni poczułam się lepiej. Uzgodniliśmy, że spróbujemy innym razem – a ten czas jakoś nigdy nie nastąpił.

Teraz też nie był dobry czas. Nie tutaj. Nie kiedy byłam zamknięta w stalowym pudełku dwa metry pod poziomem morza.

Próbowałam sobie przypomnieć, ile to trwało poprzednim razem – ile czasu minęło, zanim zaczęłam się czuć naprawdę, *naprawdę* chujowo. Z tego co pamiętałam, nie trwało to długo. Cztery dni? Może mniej.

Właściwie to już czułam, jak panika łaskocze moją skórę drobnymi, zimnymi wyładowaniami elektrycznymi.

*Umrzesz tu.*

*Nikt się nie dowie.*

*O Boże. O Boże, o Boże, o...*

Pod drzwiami rozległ się jakiś dźwięk i zamarłam. Przestałam oddychać, myśleć, panikować – siedziałam wmurowana, przywierając plecami do koi. Powinnam się rzucić? Zaatakować?

Kłamka zaczęła się obracać.

Serce podeszło mi do gardła. Wstałam i cofnęłam się pod najdalszą ścianę. Wiedziałam, że powinnam walczyć – ale nie byłam w stanie, skoro nie wiedziałam, kto miał wejść przez te drzwi.

Przed oczyma przebiegały mi obrazy. Nilsson. Szef kuchni w lateksowych rękawiczkach. Dziewczyna w koszulce Pink Floyd z nożem w dłoni.

Przełknęłam.

Następnie jakaś ręka wsunęła się przez szparę i chwyciła talerz, szybka niczym błyskawica, a potem drzwi zostały zatrzaśnięte. Światło zgasło i kajutę spowiła atramentowa ciemność, tak gęsta, że czułam jej smak.

*Kurwa.*



Nie mogłam niczego zrobić. Leżałam w tych nieprzeniknionych ciemnościach i wydawało mi się, że mijały godziny, ale równie dobrze mogły to być dni lub minuty. Przysypiałam i budziłam się, i za każdym razem otwierałam oczy z nadzieją, że *coś* zobaczę, choćby wąską linię światła z korytarza, coś, co by dowodziło, że naprawdę tu byłam, naprawdę istniałam i nie zagubiłam się po prostu w piekle własnej wyobraźni.

W końcu musiałam porządnie zasnąć, bo obudziłam się gwałtownie, a serce mi waliło i chaotycznie kołatało w piersi. Kajuta wciąż była pogrążona w całkowitej ciemności, leżałam tam, trzęsąc się i pocąc, trzymając się koi jak tratwy ratunkowej, kiedy to wyrwałam się z najstraszniejszego snu, jaki przyśnił mi się od dawna.

We śnie ta dziewczyna w koszulce Pink Floyd znajdowała się w mojej kajucie. Było ciemno, ale w ciemności mogłam ją jakoś... nie tyle zobaczyć, ile raczej wyczuć. Po prostu wiedziałam, że tam była, stała na środku pokoju, a ja nie mogłam się poruszyć, bo ciemność przyciskała mnie niczym coś żywego, przywarła mi do piersi. Dziewczyna podchodziła coraz bliżej i bliżej, aż w końcu znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów przede mną, a koszulka odkrywała górę jej długich, szczupłych ud.

Uśmiechnęła się, po czym jednym płynnym ruchem ściągnęła koszulkę. Pod nią była szczupła niczym chart, widać było jej wszystkie żebra, obojczyki i wystającą miednicę, a jej stawy łokciowe były szersze od przedramion, nadgarstki gruzłowate jak u dziecka. Spojrzała na siebie, potem zdjęła stanik, powoli, jakby robiła striptiz, tylko że nie było w nim nic erotycznego. Małe, płaskie piersi i zapadnięty brzuch wcale nie wyglądały seksownie.

Leżałam na koi, dysząc, sparaliżowana ze strachu, a ona na tym nie poprzestała. Dalej się rozbierała. Najpierw majtki zsunęły się z jej wąskich bioder i opadły u jej stóp, przypominając kałużę. Potem włosy, pociągnęła je u nasady. Następnie odkleiła rzęsy, najpierw z jednego oka, potem drugiego, i usta. Nos spadł jej na podłogę. Ściągnęła paznokcie, jeden po drugim, powoli, niczym kobieta zzuwająca wieczorowe rękawiczki, i rzuciła je z lekkim stukotem na podłogę. Po nich upadły jej zęby, klik... klik... klik, jeden po drugim. Aż w końcu – i to było najokropniejsze – zaczęła ściągać skórę, jakby wychodziła z mocno dopasowanej sukni wieczorowej, i został z niej tylko krwawy kawałek, same mięśnie, kości i ścięgna, wyglądała niczym oskórowany królik.

Stanęła na czworakach i zaczęła pełznąć w moją stronę, jej usta bez warg rozwarły się w straszliwej parodii uśmiechu.

Pełzła coraz bliżej i bliżej, a ja w końcu, cofając się, dotarłam do tylnej ściany koi i nie mogłam już bardziej uciec.

Poczułam w gardle jęk. Próbowałam się odezwać, ale byłam niema. Staralam się poruszyć, jednak zamarłam ze strachu.

Ona otworzyła usta i wiedziałam, że zaraz się odezwie – ale wtedy sięgnęła w głąb ust i wyrwała sobie język.



Obudziłam się zdyszana i skulona z przerażenia, ciemność otaczała mnie jak zaciśnięta pięść.

Chciałam krzyczeć. Panika wzbierała we mnie niczym lawa w wulkanie, przepychała się przez zaciśnięte gardło i zęby. A potem pomyślałam, jakby w malignie – co najgorszego może się stać, jeśli krzyknę? Ktoś mógłby usłyszeć? No to niech słyszą. Niech usłyszą i może przyjdą mnie wydostać.

Więc wypuściłam go z siebie, ten krzyk, który we mnie urósł, spuchł i przeciskał się na zewnątrz.

I krzyczałam, krzyczałam i krzyczałam.

Nie wiem, jak długo leżałam tam, trzęsąc się, pięści miałam zaciśnięte na cienkiej, wiotkiej poduszce, a paznokcie wbiły się w nagi materac pod nią.

Wiedziałam tylko, że w kajucie zrobiło się w końcu cicho, jeśli nie liczyć delikatnego szumu silnika i mojego oddechu, charczącego w gardle, które stało się obolałe i szorstkie.

Nikt nie przyszedł.

Nikt nie zapukał do drzwi spytać, co się dzieje, ani nie zagroził, że mnie zabije, jeśli się nie zamknę. Nikt nic nie zrobił. Równie dobrze mogłabym przebywać gdzieś w kosmosie i krzyczeć w bezgłośną próżnię.

Ręce mi się trzęsły i nie mogłam się pozbyć z głowy tamtej dziewczyny, jej surowej, wilgotnej postaci pełzającej w moją stronę, chwytającej się mnie, *domagającej się uwagi.*

Co ja takiego narobiłam? Boże, dlaczego to zrobiłam, dlaczego naciskałam, nie chciałam się zamknąć? Sama *uczyniłam* z siebie cel, bo odmawiałam zachowania milczenia na temat tego, co się wydarzyło w tamtej kajucie. A jednak... a jednak co się właściwie *stało*?

Leżałam tak, przyciskając dłonie do oczu, w dusznej ciemności, starając się to zrozumieć. Tamta dziewczyna żyła – niezależnie od tego, co słyszałam, co mi się *wydawało*, że widziałam. To nie było morderstwo.

Musiała przez cały czas być na statku. Nie zatrzymywaliśmy się. Nie byliśmy nawet na tyle blisko lądu, żeby go zobaczyć. Ale kim ona była i dlaczego się tu ukrywała? I czyją krew widziałam na szybie?

Starałam się zignorować ból głowy, pomyśleć logicznie. Czy ona należała do załogi? W końcu miała dostęp do drzwi obsługi. Ale potem przypomniało mi się, jak Nilsson wpisywał kod, a ja stałam wtedy za jego plecami. Nie starał się osłonić klawiatury. Gdybym chciała, to byłoby dziecinnie proste spisać te liczby, kiedy wszedł. Potem, kiedy już się zeszło na dolny pokład, nie było tam wielu zamkniętych drzwi.

Miała jednak dostęp do pustej kabiny – a do tego *potrzeba* było karty, albo przeznaczonej dla gościa i zaprogramowanej wyłącznie na te drzwi, albo służbowej, która otwierała wszystkie kajuty. Pomyślałam o sprzątaczkach w tych ich malutkich klitkach pod pokładem, ich przestraszonych twarzach patrzących na mnie, nim drzwi się zatrzasnęły. Za ile mogłyby sprzedać taką kartę? Za sto koron? Tysiąc? Nie musiałyby jej nawet sprzedawać – na pewno były takie miejsca, gdzie można sobie coś takiego skopiować. Musiałyby ją tylko wypożyczyć na godzinę czy dwie, nie zadawać pytań. Pomyślałam o Karli – ona praktycznie *powiedziała* mi, że tak się stało, iż ktoś mógł udostępnić kajutę koleżance.

Ale nie musiało tak być. Karta mogła przecież zostać skradziona albo kupiona przez internet – nie miałam pojęcia, jak działają takie elektroniczne zamki. Może nikt inny wcale nie musiał być w to zamieszany.

Czy to możliwe, że przez cały ten czas szukałam napastnika wśród załogi i pasażerów – a tymczasem oni od początku byli niewinni? Pomyślałam

o oskarżeniach rzuconych na Bena, o podejrzeniach, jakie miałam wobec Cole'a, Nilssona, wobec wszystkich, i zrobiło mi się niedobrze.

Ale sam fakt, że ta dziewczyna istniała i była żywa, nie wykluczał automatycznie uczestnictwa innej osoby. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam pewna, że *ktoś* musiał jej pomagać na górnym pokładzie – ktoś napisał tamtą wiadomość na ścianie w spa, ktoś strącił aparat Cole'a do jacuzzi, ktoś ukradł mój telefon. Oni nie mogli *wszyscy* być nią. Ktoś by ją zobaczył i rozpoznał tę dziewczynę, której tak jawnie poszukiwałam od dwóch dni, gdyby kręciła się po całym statku.

Ech, bolała mnie od tego głowa. Dlaczego? Na to pytanie nie potrafiłam odpowiedzieć. Dlaczego uciekać się do takich skomplikowanych działań, żeby ukryć się na statku, żeby uciszyć moje pytania? Gdyby ta dziewczyna zmarła, takie tuszowanie sprawy miałoby sens. Ale ona żyła i miała się dobrze. Może chodziło o to, *kim* była. Czyjaś żoną? Czyjaś córką? Kochanką? Kimś próbującym niepostrzeżenie wymknąć się z kraju?

Pomyślałam o Cole'u i jego byłej żonie, o Archerze i tajemniczej „Jess”. Pomyślałam o tym, jak tamto zdjęcie zniknęło z aparatu.

To wszystko nie miało sensu.

Przewróciłam się na bok, czując wokół siebie ciężar ciemności. Gdziekolwiek się znalazłam, było to gdzieś nisko na statku, tego byłam pewna. Silnik robił dużo większy hałas niż na pokładzie pasażerskim, głośniejszy nawet, niż pamiętałam z piętra dla obsługi. Byłam gdzieś indziej, może na tym samym pokładzie co silnik, głęboko pod poziomem wody, w dole kadłuba.

I na tę myśl znów zaczęło mnie ogarniać przerażenie, te tony, tony wody ciężące na mojej głowie i ramionach, napierające na kadłub, powietrze w kajucie krążące, krążące w kółko, i ja w środku, dusząca się we własnej panice...

Nogi mi drżały. Ostrożnie podniosłam się z koi i przeszłam powoli po podłodze, wyciągając przed siebie ręce, wykrzywiając się ze strachu przed tym, co może tu ze mną być, w tej zupełnej ciemności. Wyobrażenia podpowiadała mi koszmary z dzieciństwa – ogromne pajęczyny na mojej

twarży, ludzie z wyciągniętymi rękoma, może nawet ta dziewczyna, bez powiek, bez warg, bez języka. Ale z drugiej strony wiedziałam, że nie było tu nikogo poza mną – że na pewno byłabym w stanie usłyszeć, wywęszyć, *wyczuć* inną istotę ludzką w tej ograniczonej przestrzeni.

Po kilku chwilach ostrożnego przesuwania się moje palce natrafiły na drzwi i zaczęłam je obmacywać. Spróbowałam najpierw przekreślić klamkę, ale pozostawały zamknięte – niczego innego się nie spodziewałam. Zaczęłam szukać palcami wizjera, ale nie było tam żadnego, a przynajmniej żadnego nie znalazłam na pustej, plastikowej płaszczyźnie. I tak zresztą nie pamiętałam, żebym jakiś wcześniej widziała. Pamiętałam za to – i zaczęłam go zaraz szukać – płaski, beżowy włącznik światła na lewo od drzwi. Moje palce odnalazły go w ciemności, nacisnęłam, a serce waliło mi mocno w piersi.

Nic się nie stało.

Przełączyłam go ponownie, ale tym razem bez nadziei, bo wiedziałam, co zrobili. Na korytarzu na zewnątrz musiało być jakieś ręczne sterowanie, główny wyłącznik albo bezpiecznik. Drzwi były już zamknięte, kiedy światło zgasło, a poza tym w każdej kajucie, w której byłam wcześniej, zawsze było jakieś oświetlenie awaryjne – człowiek nigdy nie przebywał w *całkowitej* ciemności, nawet w nocy. To było coś innego – zupełna, totalna ciemność, którą mogło wywołać tylko całkowite odcięcie dopływu prądu.

Wpełzłam znowu na kolę, położyłam się pod przykryciem, a moje mięśnie zaczęły się trząść z przerażenia oraz tego dziwnego, grypopodobnego objawu, który miałam już wcześniej. Moją głowę ogarniała narastająca pustka, tak jakby ciemność kajuty przenikała przez czaszkę i krążyła po synapsach, zabijając i tłumiąc wszystko poza budzącą się we mnie paniką.

O Boże. Nie. Nie poddawaj się, nie teraz.

Nie mogłam. *Nie mogłam*. Nie mogłam pozwolić jej wygrać.

Zalewająca mnie złość nagle stała się czymś, czego mogłam się ucześcić, czymś konkretnym w tej cichej ciemności małej klitki. Co za suka. Zdradziecka. To by było na tyle, jeśli chodzi o pierdolone siostrzeństwo. Ja dla niej walczyłam, naraziłam swoją wiarygodność, wytrzymałam

powątpiewanie Nilssona i pytania Bena – i po co? Po to, żeby mogła mnie zdradzić, rozbić moją głowę o stalową futrynę i zamknąć mnie w tej cholernej trumnie.

Niezależnie od scenariusza – ona maczała w tym palce.

To na pewno ona zaatakowała mnie na korytarzu. A im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam pewna, że ta dłoń, która pokazała się, by zabrać tacę z jedzeniem, też należała do niej – szczupła, gibka, silna dłoń. Dłoń, która potrafiła drapać, bić i rozbić komuś głowę o ścianę.

Za tym wszystkim musiała stać *jakaś* przyczyna – nikt nie uwikłałby się w tak skomplikowany proces na próżno. Może ona udawała własną śmierć? Może *miałam* zobaczyć to, co się stało? Ale jeśli tak, to po co zachodzić tak daleko w udawaniu, że w ogóle jej tu nie było? Po co sprzątać kajutę, ścierać krew, kraść maskarę i celowo podważać każdy element mojej relacji na temat tamtej nocy?

Nie. Ona nie chciała zostać zauważona. W tej kajucie coś się stało i cokolwiek to było, ja nie miałam być świadkiem.

Leżałam tak, łamiąc sobie poturbowaną głowę, próbując to rozpracować, ale im bardziej się starałam poskładać ze sobą strzępy różnych informacji, tym bardziej czułam, że w tej układance było zbyt wiele elementów.

Próbowałam wymyślić wyjaśnienia, które pasowałyby do tego krzyku, tej krwi i zacierania śladów. Jakaś bójka? Uderzenie w nos, okrzyk bólu, tryskająca krew, ktoś wybiega na werandę, żeby krew spłynęła do morza, zostawia ją roztartą na szybie... Żadnej śmierci. Gdyby ta dziewczyna była jakąś pasażerką na gapę, to wyjaśniałoby to, dlaczego tuszowali sprawę – przenieśli ją w inne miejsce, sprzątnęli krew.

Jednak pozostałe części układanki tu nie pasowały. Gdyby ta bójka była niezamierzona i nieprzemyślana, to jak byliby w stanie tak szybko sprzątnąć kajutę? Wcześniej tamtego dnia widziałam tę dziewczynę w środku, pokój za nią był zawalony ubraniami i rzeczami osobistymi. Jeśli bójka nie została zaplanowana, to nie było mowy, żeby ogołocili i sprzątnęli apartament w ciągu tych kilku minut, które zajęło mi dzwonienie po Nilssona.



Nie – cokolwiek tam się stało, zostało *zaplanowane*. Najpierw posprząтали, starannie wszystko wyczyścili. A ja już zaczęłam podejrzewać, że to nie przypadek, iż właśnie dziesiąta kajuta została pusta. Nie, jedna kajuta celowo nie miała pasażera i to *musiała* być dziesiątka. Palmgren była ostatnią kajutą na statku, za nią nie było już żadnych, z których można by dostrzec coś przepływającego obok, znikającego w spienionej wodzie za statkiem.

Ktoś *zginął*. Tego byłam pewna. Tylko nie tamta dziewczyna. Ale w takim razie kto?

Wierciłam się i przewracałam na boki w ciemności, nasłuchując jakichś dźwięków ponad szumem silnika i próbując odpowiedzieć sobie na pytania, które niespokojnie obracałam w głowie. Mój mózg był otępiały i powolny, ale ciągle do tego wracałam. Kto? *Kto zginął?*



## 24

Znów się obudziłam na to samo metaliczne kliknięcie, które słyszałam wcześniej. Światła rozbłysły. Przez chwilę migały, energooszczędne żarówki rozgrzewały się i mruczały, było je słyszeć nawet mimo odgłosów silnika, a ich szum mieszał się z dzwonieniem w moich uszach. Podskoczyłam, serce przyspieszyło mi w piersi, potrąciłam coś na podłodze obok łóżka i oszołomiona rozejrzałam się wokół.

Przegapiłam szansę.

Szlag by to, znowu przegapiłam swoją szansę.

*Musiałam* się dowiedzieć, co tam się działo, co zamierzali ze mną zrobić, dlaczego trzymali mnie w zamknięciu. Jak długo tam byłam? Czy zaczął się dzień? Czy po prostu taka pora pasowała tej dziewczynie – czy tam porywaczowi – żeby z powrotem włączyć prąd?

Spróbowałam policzyć wstecz. Zostałam ogłuszona jakoś nad ranem we wtorek. Musiała być przynajmniej środa rano, może później. Miałam wrażenie, że przebywam tu dłużej niż dwadzieścia cztery godziny – dużo dłużej.

Poszłam do łazienki, żeby ochlapać twarz wodą. Właśnie się wycierałam, kiedy dostałam zawrotów, zakreśliło mi się w głowie, a całe pomieszczenie zaczęło się przesuwać i drżeć. Poczułam się nagle, jakbym spadała, i wyciągnęłam ręce do futryny, żeby złapać równowagę. Zacisnęłam oczy, walcząc z poczuciem, że spadam bardzo głęboko i szybko w czarną wodę.

Kiedy to ustąpiło, wróciłam na koję, usiadłam i włożyłam głowę między kolana, czując, jak dygocze to z zimna, to z gorąca. Czy statek się *poruszył*? Trudno było odróżnić zawroty głowy od bujania fal, będąc tak głęboko pod

pokładem. Ruchy łodzi wydawały się tu zupełnie inne – nie było to wcale rytmiczne wznoszenie się i opadanie, ale raczej niemrawe turlanie, mieszające się z nieustannym hałasem silnika, co razem wywoływało dziwne, hipnotyczne wrażenie.

Koło łóżka stała taca z drożdżówką i miseczką rozmiękłego musli. To właśnie musiałam potrącić, kiedy się obudziłam. Podniosłam się i zmusiłam do zjedzenia łyżki papki. Nie byłam głodna, ale od poniedziałkowego wieczoru zjadłam tylko parę klopsów. Jeśli miałam stąd wyjść, powinnam walczyć, a żeby walczyć, musiałam jeść.

Tak naprawdę jednak nie chciałam jedzenia. Tylko moich tabletek. *Chciałam* ich, to było takie fizyczne pragnienie, jakie pamiętam z ostatniego razu, kiedy przestałam je brać. Tylko tym razem wiedziałam, że bez nich nic się nie poprawi, choć tak wmawiałam sobie poprzednio. Miało być tylko gorzej.

„Jeśli jeszcze zdążysz tego doświadczyć” – odezwał się wredny głosik w mojej głowie. Musli utknęło mi w gardle i nie mogłam go przełknąć.

Chciałam, żeby tamta dziewczyna z kajuty wróciła. Miałam w głowie barwny, niezwykle brutalny obraz: ja chwytająca ją za włosy, tak jak ona wcześniej mnie, rozbijająca jej kość policzkową o ostry, metalowy brzeg koi, patrząca na płynącą krew, wdychająca jej ostry, surowy zapach w ograniczonej, dusznej kajucie. Przypomniałam sobie znowu krew na werandzie, to, jak rozmazała się na szybie, i z silnym, okrutnym pragnieniem pożałowałam, że to nie *była* jej krew.

*Nienawidzę cię* – pomyślałam. Przełknęłam, mimo bolącego gardła, na siłę wmuszając w siebie rozmokłe, na wpół przeżute płatki. Wzięłam kolejną łyżkę, a palce mi się trzęsły, kiedy zbliżałam je do ust. *Tak bardzo cię nienawidzę. Mam nadzieję, że jednak utoniesz.* Wydawało mi się, że to musli było z cementu, dławiło mnie, kiedy próbowałam je przełknąć, ale wmuszałam je w siebie raz za razem, aż zjadłam połowę.

Nie wiedziałam, czy dam radę, ale musiałam spróbować.

Wzięłam cienką, melaminową tacę i uderzyłam nią o metalowy brzeg koi. Odkoczyła i ledwo zdążyłam się przed nią uchylić. Nagle przypomniało mi

się włamanie – drzwi uderzające mnie w kość policzkową – musiałam zacisnąć na chwilę oczy i oprzeć się o koję dla równowagi.

Nie próbowałam tego po raz drugi. Położyłam tacę na metalowym brzegu, przyłożyłam do niej kolano z bliższego boku, a cały ciężar oparłam na dłoniach trzymających drugi bok. Potem przycisnęłam. Na początku nic się nie stało i nacisnęłam mocniej. Wtedy pękła na pół, robiąc hałas przypominający wystrzał, a ja poleciałam na łóżko. Ale miałam to, czego chciałam – dwa kawałki plastiku, może nie ostre jak żyłotka, ale każdy z nich robił wrażenie, jakby mógł wyrządzić jakąś szkodę.

Wzięłam oba kawałki, zważyłam je w dłoni, sprawdzając, jak się je najwygodniej trzyma, a potem, ściskając ten, który wydawał mi się najgroźniejszą bronią, podeszłam do drzwi i przykucnęłam oparta o ścianę przy futrynie.

I czekałam.



Zdawało się to trwać w nieskończoność, tamten dzień. Raz czy dwa poczułam, jak oczy mi się przymykają – ciało próbowało się odciąć od wyczerpującej powodzi adrenaliny i strachu – ale otwierałam je szybko z powrotem. *Trzymaj się, Lo!*

Zaczęłam liczyć. Tym razem nie z powodu paniki, tylko żeby nie zasnąć. *Raz. Dwa. Trzy. Cztery.* Kiedy doszłam do tysiąca, zmieniłam sposób i zaczęłam odliczać po francusku. *Un. Deux. Trois...* Potem co dwa. Grałam też w głowie w taką grę – *fizz-buzz*, tę dziecięcą zabawę, w której trzeba mówić *fizz* przy każdej wielokrotności pięciu i *buzz* przy wielokrotnościach siedmiu. *Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Fizz.* (Ręce mi się trzęsły). *Sześć. Buzz. Osiem. Dziesięć...* nie, moment, to powinno być *fizz*.

Zniecierpliwiona pokręciłam głową, potarłam bolące ramiona i zaczęłam od nowa. *Raz. Dwa...*

I wtedy to usłyszałam – jakiś dźwięk z korytarza. Trzaśnięcie drzwi. Wstrzymałam oddech.

Ktoś się zbliżał. Serce mi przyspieszyło. Ścisnęło mnie w żołądku.

Klucz w zamku...

A potem drzwi zostały ostrożnie uchylone, a ja do nich doskoczyłam.

Ona.

Zobaczyła, jak zbliżyłam się do szczeliny, i próbowała zamknąć drzwi, ale byłam za szybka. Wcisnęłam ramię w szparę, drzwi trzasnęły mnie w rękę – mocno. Krzyknęłam z bólu, ale odskoczyły i byłam w stanie wcisnąć w tę lukę połowę ciała, po czym wbiłam w jej szamoczące się ramię postrzępiony brzeg złamanej tacy, lecz kobieta, zamiast się wycofać, jak się spodziewałam, wpadła do pokoju, rzuciła mnie na plastikową ścianę, a taca boleśnie rozcięła mi rękę. Podciągnęłam się, krew kapiała mi z grzbietu dłoni, ale ona była szybsza. Dopadła drzwi, zamknęła je, po czym stanęła do nich tyłem, ściskając klucz w garści.

– Wypuść mnie. – Zabrzmiało to jak jęk zwierzęcia, niezbyt ludzko.

Ona pokręciła głową. Stała plecami do drzwi, miała moją krew na twarzy i była przestraszona, ale też z jakiegoś powodu ożywiona, widziałam to w jej oczach. Miała przewagę i wiedziała o tym.

– Zabiję cię – powiedziałam. Poważnie. Uniosłam tacę poplamioną moją krwią. – Poderżnę ci gardło.

– Nie dałabyś rady mnie zabić – odparła, a jej głos był dokładnie taki, jaki zapamiętałam, jej słowa skrywały pogardliwe lekceważenie. – Spójrz na siebie, zdechlaku, ledwo się trzymasz na nogach.

– Dlaczego? – spytałam, a w moim głosie pobrzmiała nuta przypominająca trochę jęczenie małego dziecka. – Dlaczego to robisz?

– Bo nas do tego *zmusiłaś* – syknęła, nagle wściekła. – Nie mogłaś przestać drażnić, prawda? Niezależnie od tego, że próbowałam cię ostrzec. Wystarczyło tylko trzymać gębę na kłódkę i nie paplać o tym, co zobaczyłaś w tej cholernej kajucie...

– A co *zobaczyłaś*? – spytałam, ale ona pokręciła głową, ściągnęła usta.

– Boże, chyba myślisz, że jestem głupsza, niż wyglądam. Czy ty naprawdę *chcesz* umrzeć?

Pokręciłam głową.

– Dobrze. To czego chcesz?

– Wydostać się stąd – odparłam.

Usiadłam gwałtownie na koi, bo nie byłam pewna, czy utrzymam się dłużej na nogach.

Pokręciła głową, tym razem zajadle, i znowu zobaczyłam w jej oczach błysk strachu.

– On nigdy by mi na to nie pozwolił.

On? Na dźwięk tego słowa przeszedł mnie dreszcz, bo to był pierwszy namacalny dowód, że ktoś na górze jej pomagał. Kim był ten *on*? Ale nie śmiałam spytać, nie teraz. Najpierw musiałam zrobić coś ważniejszego.

– W takim razie moje tabletki. Chciałabym mieć moje tabletki.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Te, które trzymałaś przy umywalce? Mogłabym to załatwić. Dlaczego je chcesz?

– To antydepresanty – odparłam gorzko. – Mają... nie powinno się ich zbyt szybko odstawiać.

– Och... – Na jej twarzy odmalowało się nagle zrozumienie. – Czyli dlatego tak źle wyglądasz. Nie rozumiałam tego. Myślałam, że za mocno uderzyłam cię w głowę. Okej. Tyle mogę zrobić. Ale musisz mi obiecać coś w zamian.

– Co?

– Koniec z atakowaniem mnie. Dostaniesz je za dobre sprawowanie, jasne?

– No dobra.

Wyprostowała się, podniosła talerz i miskę, po czym wyciągnęła rękę po odłamek tacy. Zawahałam się przez chwilę, ale w końcu je oddałam.

– Otworzę teraz drzwi – oznajmiła. – Ale nie rób głupstw. Za tymi drzwiami są kolejne, działają na kod. Nie przedostałabyś się daleko. Więc koniec z tymi wygłupami, jasne?

– Dobra – odparłam niechętnie.

Po jej wyjściu siedziałam na koi, patrzyłam w przestrzeń i zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziała.

*On.*

Czyli *miała* jakiegoś wspólnika na pokładzie. A tym jednym słowem można wykluczyć Tinę, Chloe, Anne oraz dwie trzecie obsługi.

Kim był ten on? Zaczęłam ich wyliczać w pamięci.

Nilsson.

Bullmer.

Cole.

Ben.

Archer.

W kolumnie mniej prawdopodobnych umieściłam Owena White'a, Alexandra i członków załogi wraz ze stewardami.

Mój umysł krążył wokół możliwości, ale powracała do mnie wciąż jedna kwestia: spa i napis „PRZESTAŃ DRAŻYĆ”. Na dole był tylko jeden mężczyzna, jeden mężczyzna, który mógł to napisać: Ben.

Musiałam przestać się skupiać na motywach. Pytanie o to *dlaczego* pozostawało na razie bez odpowiedzi, miałam za mało informacji.

Jednak pytanie *jak...* Na pokładzie było bardzo mało osób, które mogły napisać coś na tamtym lustrze. Istniało tylko jedno działające wejście do spa, a Ben był jedynym mężczyzną, który na pewno go używał.

A więc wiele rzeczy składało się w całość. To, jak szybko zaczął podważać moją opowieść przy Nilssonie. Fakt, że on – jeden jedyny na całym pokładzie – próbował się dostać do mojej kajuty tamtego ostatniego wieczoru i wiedział, że zamknęłam się w łazience, co umożliwiło kradzież mojej komórki.

To, że okłamał mnie w kwestii swojego alibi, kiedy grał w pokera.

Oraz to, że tak bardzo próbował mnie powstrzymać przed ciągnięciem tego śledztwa.

Dopasowywanie tych elementów układanki powinno być satysfakcjonujące, ale nie było. Bo jaki miałam pożytek z odpowiedzi tu, na



dole? Musiałam się najpierw wydostać.



## 25

Leżałam na boku, gapiąc się w kremową, melaminową ścianę, kiedy rozległo się pukanie.

– Proszę – rzuciłam głupio, a potem prawie zaśmiałam się z samej siebie, że silę się na uprzejmość w tego typu sytuacji.

Jakie to miało znaczenie, czy powiedziałam „Proszę”, skoro oni i tak zrobią, co im się będzie podobało?

– To ja – odezwał się głos zza drzwi. – Koniec głupich zabaw z tacami, okej? Albo to będzie ostatnia tabletką, jaką ode mnie dostaniesz, jasne?

– Okej – odparłam.

Starłam się nie zabrzmieć zbyt entuzjastycznie, ale usiadłam i owinęłam się cienkim kocem. Nie brałam prysznicą, odkąd się tu znalazłam, więc pachniałam potem i strachem.

Drzwi ostrożnie się uchyliły, a dziewczyna wsunęła dołem tacę z jedzeniem, popychając ją stopą, po czym wślizgnęła się przez szparę i zamknęła za sobą.

– Proszę bardzo. – Wyciągnęła rękę.

Na jej dłoni leżała pojedyncza biała tabletką.

– Jedna? – spytałam z niedowierzaniem.

– Jedna. Jutro może ci przyniosę więcej, jeśli będziesz grzeczna.

Dałam jej właśnie najlepsze możliwe narzędzie do szantażu. Ale pokiwałam głową i sięgnęłam po pigułkę z jej dłoni. Z kieszeni wyciągnęła książkę – w sumie to jedną z moich, z mojego pokoju. *Szklany klosz*. Sama nie wybrałabym tego w tych okolicznościach, ale lepsze to niż nic.

– Pomyślałam, że przydałoby ci się coś do czytania; możliwe, że trochę ześwirujesz, jak nie będziesz miała nic do roboty. – Jej oczy powędrowały ku tabletki, po czym dodała: – Bez obrazy.

– Dzięki.

Odwróciła się do wyjścia.

– Czekaaj.

– Tak?

– Co... – Nagle nie byłam pewna, o co chciałam spytać. Zacisnęłam dłoń wokół tabletki. Cholera. – Co... co się ze mną stanie?

Jej twarz wtedy się zmieniła, pojawiło się na niej wycofanie, jakby ktoś opuścił zasłonę na okno.

– To nie zależy ode mnie.

– A od kogo? Od Bena?

Parsknęła kpiąco.

– Smacznego.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, zauważyła swoje odbicie w małym lusterku na drzwiach łazienki.

– Kurwa, mam krew na twarzy. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Gdyby się dowiedział, że mnie zaatakowałaś... – Weszła do małej toalety, żeby ochlapać twarz wodą i ją przetrzeć.

Ale nie wytarła tylko krwi. Gdy wyszła, zamarłam. Tym jednym prostym gestem sprawiła, że zdałam sobie sprawę, kim naprawdę była.

Ścierając krew, starła też całkiem swoje obie brwi, pozostawiając gładkie, przypominające czaszkę czoło, które nagle stało się boleśnie znajome.

Kobietą z kajuty dziesiątej była Anne Bullmer.



## 26

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby się odezwać. Siedziałam tylko z ustami otwartymi w szoku.

Dziewczyna przeniosła wzrok ze mnie na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i zrozumiała, co zrobiła. Na chwilę na jej twarzy ukazało się niezadowolenie, ale potem chyba się go pozbyła i wymaszerowała z pokoju, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, a potem stuknięcie jakichś dalszych drzwi.

Anne Bullmer.

*Anne Bullmer?*

Wydawało mi się niemożliwe, by mogła to być ta sama wymizerowana, blada, przedwcześnie postarzała kobieta, którą widziałam i z którą rozmawiałam. A jednak jej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną. Te same ciemne oczy. Te same wysokie, wystające kości policzkowe. Jedyne, czego nie rozumiałam, to to, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć.

Gdybym nie widziała jej podczas transformacji, nigdy bym nie uwierzyła, jak bardzo jej włosy i delikatnie narysowane ołówkiem brwi zmieniły jej twarz. Bez nich wydawała się dziwnie pozbawiona rysów i gładka; nie sposób było nie myśleć o śmierci i chorobie, kiedy patrzyło się na tę trupio bladą karnację, a do tego szal zawiązany ciasno wokół jej czaszki tylko podkreślał tę kruchość, boleśnie uwydatniając zmarszczki na szyi oraz kształt wystających kości.

Jednak kształtne, czarne brwi oraz tętniąca życiem grzywa ciemnych włosów zmieniały ją nie do poznania. Z nimi stawała się młoda, zdrowa, żywa.

Zdałam sobie sprawę, że kiedy wcześniej rozmawiałam z Anne Bullmer, byłam tak zahipnotyzowana pułapkami jej choroby, iż w ogóle nie spojrzałam na kryjącą się pod nimi kobietę. Właściwie to starałam się *nie* patrzeć. Widziałam tylko te charakterystycznie udrapowane ubrania, brak brwi oraz niepokojąco gładką czaszkę pod zwiewnymi chustami.

Te włosy to musiała być peruka, nie miałam co do tego wątpliwości. Pod cienkimi, jedwabnymi szalami nie było miejsca na grube, ciemne pukle.

Ale czy ona była chora? Zdrowa? Umierająca? Udawała? Nie rozumiałam tego.

Próbowałam sobie przypomnieć, co mi powiedział Ben – cztery lata chemio- i radioterapii. Czy naprawdę można by to sfalszować, nawet gdyby opłacić prywatnych lekarzy i prowadzić światowy tryb życia, który pozwalał na przeskakiwanie co parę miesięcy z jednego systemu ochrony zdrowia do drugiego? Może.

Wyjaśniało to przynajmniej jedną rzecz – jak się dostała na pokład i co się z nią stało po tamtym nocnym plusku. Po prostu ściągnęła perukę, włożyła szal i powróciła do życia jako Anne Bullmer. Tłumaczyło to także, skąd miała dostęp do każdej części statku – do kart i przestrzeni przeznaczonych dla załogi, a także do tej tajemniczej, zamkniętej krypty w głębi statku. Kiedy twój mąż jest właścicielem, nic nie jest niemożliwe.

Jednak najbardziej zastanawiało mnie *dlaczego*. Po co wkładać perukę i koszulkę Pink Floyd, by spędzać popołudnie w pustej kajucie? Co ona tam robiła? A skoro to była taka tajemnica, to po co w ogóle otwierała drzwi?

Kiedy myślałam nad tym ostatnim pytaniem, nagle przypomniało mi się, jak pukałam do tamtych drzwi – raz, dwa, trzy, przerwa i kolejne stuknięcie – a wtedy zostały gwałtownie otwarte, jakby ktoś czekał na to ostatnie uderzenie. To było dziwne pukanie, osobliwe. Takie pukanie, jakiego można by użyć, kiedy ustalało się z kimś kod. Czy to możliwe, że całkowicie przypadkowo użyłam umówionego wcześniej sygnału na otwarcie drzwi przez kobietę ukrytą w tamtej kajucie – Anne Bulmer ?

Szkoda. Gdybym tylko zastukała dwa razy, jak każdy normalny człowiek, albo chociaż raz. Wtedy w ogóle bym się nie dowiedziała, że ona tam była,

w ogóle nie postawiłabym się w tej sytuacji, w której musiałam zostać zamknięta, uciszona...

Uciszona. To była nieprzyjemna myśl, to słowo utkwilo mi w głowie, pobrzmiwało w niej niczym echo.

Musiałam zostać uciszona. Ale na jak długo? Zamknięta tu, aż... co? Minie jakiś uzgodniony termin?

Czy uciszona... na zawsze?



Na kolację była biała ryba w jakimś śmietanowym sosie, z gotowanymi ziemniakami. Wystygła, ścięła się na brzegach, ale byłam głodna. Nim zjadłam, spojrzałam na tabletkę w mojej dłoni, zastanawiając się, co zrobić. To było pół mojej zwykłej dawki. Mogłam wziąć całą tabletkę od razu albo ją podzielić i zacząć robić sobie zapasy na wypadek... Ale na jaki wypadek? Nie miałam jak uciec, a gdyby Anne postanowiła przestać wydawać mi tabletki, skończyłyby mi się na długo, nimby się nade mną zlitowała.

Ostatecznie połknęłam całą, myśląc, że muszę nadrobić deficyt. Mogłam zacząć je dzielić na pół od kolejnego dnia, gdyby to wydało mi się konieczne. Niemal natychmiast poczułam się lepiej, chociaż logicznie rzecz biorąc, to nie za sprawą leku. Nie wchłaniał się tak szybko i potrzeba było trochę czasu, żeby w ogóle zadziałał na organizm. Jeśli odczuwałam jakąś ulgę, to opierała się ona wyłącznie na efekcie placebo. Jednak w tamtym momencie było mi wszystko jedno. Brałam, co mi dawali.

Potem zaczęłam skubać letnią kolację. Gdy usiadłam na koi, przeżuując chłodnego, klejącego się ziemniaka i wkładając cały wysiłek w to, by wydawał się mniej odstręczający, spróbowałam na nowo ułożyć kawałki układanki, którą z takim trudem poskładałam wcześniej w głowie.

Wiedziałam, co oznaczało tamto rozbawione parsknięcie.



Biedny Ben. Zalało mnie poczucie winy, że tak pospiesznie go oceniłam, a potem przyszła kolejna fala, tym razem złości. Byłam taka skupiona na przypadkowym wspomnieniu Anne o męskim współniku, że nie przyszło mi w ogóle do głowy, iż to ona mogła być tą osobą, która szybko zbiegła po schodach w spa, kiedy miał jej schnać lakier, i napisała te słowa. *Głupia, głupia Lo.*

Ale też głupi Ben. Gdyby nie spędził tych wszystkich lat na umniejszaniu moich uczuć i gdyby nie był taki chętny do ujawniania informacji Nilssonowi, zamiast popierać moją wersję, może nie wyciągałabym pochopnych wniosków.

Wiedziałam teraz, kim był ten „on”. To musiał być Richard Bullmer. To jego statek. I byłam w stanie sobie wyobrazić, że ze wszystkich osób tutaj jemu było najłatwiej zaplanować morderstwo i je popełnić. Na pewno miał większe możliwości niż ten gruby, grymaśny Alexander albo ociężały, misiowaty Nilsson.

Tylko że żadne morderstwo nie miało miejsca. Dlaczego musiałam sobie o tym przypominać? Dlaczego było mi tak trudno to pojąć?

*Bo jesteś tutaj – pomyślałam. Bo coś widziałaś – cokolwiek wydarzyło się w tamtej kajucie, było dla nich na tyle ważne, żeby zamknąć cię tutaj i nie pozwolić ci iść się spotkać z policją w Trondheim. Co tam się wydarzyło? Cokolwiek to było, po prostu nie mogli sobie pozwolić na to, żebym o tym mówiła. Czy chodziło o przemyt? Wyrzucali coś przez burtę jakiemuś współnikowi?*

„Będziesz następna, głupia dziwko” – odezwał się głos w mojej głowie, a ja wyobraziłam sobie, jak spadam w głęboką wodę. Ten obraz wstrząsnął mną niczym szok elektryczny gdzieś w głębi czaszki.

Wzdrygnęłam się i zacisnęłam zęby, zmuszając się do przełknięcia kolejnego kęsa rozgotowanego ziemniaka. Statek się zakołysał i w żołądku poczułam wzbierające mdłości.

Co *miało* się ze mną stać? Były tylko dwie możliwości – w którymś momencie zamierzali mnie wypuścić. Albo zamierzali mnie zabić. I to pierwsze już nie wydawało mi się zbyt prawdopodobne. Dużo wiedziałam.

Wiedziałam o Anne. Wiedziałam, że nie była wcale tak chora, jak udawała. A oni nie mogli pozwolić na to, bym opowiedziała innym swoją historię – o porwaniu, uwięzieniu i wyrządzonych krzywdach. Chociaż czy ktokolwiek by mi uwierzył?

Dotknęłam palcami policzka, na którym wciąż miałam zaschniętą krew po tym, jak uderzyła moją głową w futrynę. Poczułam się nagle ohydnie – brudna, spocona i umazana krwią. Anne – jeśli sądzić po jej wcześniejszych porach wizyt – nie powinna wracać jeszcze przez wiele godzin.

Nie mogłam zrobić wiele, żeby poprawić swój los, zamknięta w tej dwumetrowej trumnie. Ale mogłam przynajmniej się umyć.



Prysznic w żadnym stopniu nie przypominał tego w moim apartamencie na górze. Nawet gdy odkręciłam go na maksa, leciała z niego letnia strużka, ale stałam pod nim tak długo, aż w końcu palce pomarszczyły mi się i rozmiękły. Zakrzepła krew na dłoniach rozpuściła się w wodzie, zacisnęłam powieki i poczułam, jak ciepło przenika przeze mnie, rozgrzewając mięśnie.

Kiedy wyszłam, czułam się lepiej, bardziej sobą. Zmyłam część tego strachu i przemocy, którymi naznaczone było kilka ostatnich dni. Gdy wkładałam z powrotem ubrania, zdałam sobie sprawę, jak nisko upadłam. Śmierdziały – mówiąc wprost – i były poplamione krwią oraz potem.

Położyłam się na koi i zamknęłam oczy, nasłuchując miarowego brzęczenia silnika i zastanawiając się, gdzie jesteśmy. Była środa wieczór – albo może nawet już czwartek rano. Z tego, co pamiętałam, zostały nam już tylko nieco ponad dwadzieścia cztery godziny tej wycieczki. I co potem? Gdy statek dotrze do Bergen w piątek rano, reszta pasażerów wysiądzie, a bez nich stracę ostatnie strzępy nadziei, że ktoś może się zorientować, co się stało.

Przez te dwadzieścia cztery godziny pewnie byłam bezpieczna. Ale później... O Boże, nie mogłam o tym myśleć.

Przycisnęłam sobie dłonie do oczu, słuchając, jak krew mi szumi w uszach. Co powinnam zrobić? Co *mogłam* zrobić?

Jeżeli Anne mówiła prawdę, to robiąc jej krzywdę, niczego bym nie osiągnęła. Po drugiej stronie tych drzwi były kolejne, a po drodze do wyjścia prawdopodobnie także kolejne zakodowane zamki. Czy gdybym wyszła na korytarz, to byłabym w stanie znaleźć i zbić szybkę alarmu pożarowego, nim Anne by mnie dogoniła? Wydawało się to mało prawdopodobne. Jeśli oceniać po jej sile i szybkości, wątpliwe, żebym zaszła tak daleko.

Nie. Najlepsze możliwe rozwiązanie było proste – musiałam przeciągnąć Anne na swoją stronę.

Ale jak? Co ja właściwie o niej wiedziałam?

Spróbowałam się zastanowić: fantastyczne bogactwo, samotne dzieciństwo, ciąганie po różnych europejskich szkołach z internatem. Nic dziwnego, że tak trudno było mi ją połączyć z tamtą dziewczyną. Ta chuda jak wieszak kobieta o smutnych oczach, ubrana w szare jedwabne suknie i drogie chusty na głowę – tak, to mi jakoś pasowało do tego, co o niej słyszałam. Ale ani jedno słowo z opowieści Bena nie przystawało do tej dziewczyny w koszulce Pink Floyd, z drwiącymi ciemnymi oczami i tanią maskarą. Tak jakby istniały dwie Anne. Ten sam wzrost, ta sama waga, ale na tym podobieństwo się kończyło.

A potem... coś we mnie zaskoczyło.

Dwie Anne.

Dwie kobiety.

Ta szara, jedwabna suknia pasująca do jej oczu...

Uniosłam powieki, zestawiałam nogi z koi i jęknęłam na własną głupotę. Oczywiście – *oczywiście*. Gdybym nie była na wpół martwa ze strachu i paniki, gdyby nie ten ból w mojej głowie, dostrzegłabym to. Jak mogłam o tym nie pomyśleć?

Oczywiście, że były dwie Anne.

Anne Bullmer nie żyła – od tamtej pierwszej nocy, kiedy opuściliśmy Anglię.

Za to dziewczyna w koszulce Pink Floyd była bardzo żywa i od tamtej pory się w nią wcielała.

Ten sam wzrost, ta sama waga, te same szerokie kości policzkowe – tylko oczy nie pasowały, ale oni wliczyli to w ryzyko, że nikt nie będzie pamiętał cech kobiety, której dobrze nie poznał. Nikt na pokładzie nie znał Anne przed podróżą. Richard prosił nawet Cole'a, żeby nie robił jej żadnych zdjęć, na Boga! Teraz rozumiałam już dlaczego. Nie po to, by ochronić kobietę wstydzącą się swojego wyglądu, tylko po to, żeby nie było żadnych obciążających zdjęć, nad którymi mogliby się zastanawiać przyjaciele i rodzina jego żony.

Zacisnęłam oczy, chwyciłam się za włosy tak mocno, że aż mnie zabolowało – ciągnęłam się za skalp, próbując zrozumieć, co takiego musiało się stać.

Richard Bullmer – to musiał być on – jakimś sposobem przemycił tę kobietę do kajuty dziesiątej. Była tam, nim cała reszta w ogóle zdążyła dotrzeć na statek.

Tego dnia, kiedy wypłynęliśmy, czekała na hasło, wedle instrukcji Richarda, żeby uprzątnąć kajutę i się przygotować. Przypomniałam sobie, co zobaczyłam wtedy ponad jej ramieniem: jedwabną suknię rzuconą na łóżko, kosmetyki do makijażu, veet w łazience – *wosk do depilacji*. Chryste, jak mogłam być taka głupia? Ona wtedy goliła się i wyrywała sobie z ciała włosy, przygotowując się do odegrania kobiety chorej na raka. Ale zamiast Richarda po umówionym pukaniu do drzwi pojawiłam się *ja*, niechcący dałam jej sygnał, a ona mnie zobaczyła.

Co, do diabła, musiała sobie pomyśleć? Jeszcze raz odtworzyłam w głowie tamten strach oraz irytację wypisane na jej twarzy, kiedy próbowała zatrzaskać drzwi, a ja ją powstrzymałam. Rozpaczliwie usiłowała się mnie pozbyć, ale starała się działać jak najmniej podejrzanie. Lepiej przecież, żebym zapamiętała dziwną kobietę pożyczającą mi maskarę, niż zaczęła opowiadać historie o tym, jak jakaś inna pasażerka zatrzaskała mi drzwi przed nosem.

I to prawie zadziało. *Prawie zadziało.*

Czy powiedziała Richardowi, kiedy po nią przyszedł? Nie miałam pewności, ale moim zdaniem nie. Wydawał się taki normalny podczas tamtej pierwszej kolacji – idealny gospodarz. A poza tym to był jej błąd, a on nie wyglądał na takiego, przed którym człowiek chce się przyznawać do błędów. Bardziej prawdopodobne, że po prostu zacisnęła kciuki i miała nadzieję, że ujdzie jej to na sucho.

Potem spakowała rzeczy, posprzątała pokój i czekała.

Po drinkach tamtego pierwszego wieczoru prawdziwa Anne została jakoś zaprowadzona do kajuty dziesiątej. Czy jeszcze żyła, zwiedli ją tam jakąś bajeczką? Czy może już była martwa?

Tak czy inaczej, w rzeczywistości nie miało to znaczenia, bo efekt końcowy był taki sam. Podczas gdy Richard był w kajucie Larsa i zapewniał sobie alibi nieprzerwaną grą w pokera, kobieta z kajuty dziesiątej wyrzuciła Anne za burtę i miała nadzieję, że jej ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

I udałoby im się to, gdybym ja – przestraszona i strauumatyzowana po włamaniu – nie usłyszała plusku oraz nie wyciągnęła pochopnych wniosków, tak bardzo mylnych, że aż prawie słusznych.

Więc kim ona była? Kim była ta dziewczyna, która mnie uderzyła, która mnie karmiła i uwięziła tu jak zwierzę?

Nie miałam pojęcia. Ale wiedziałam jedno – była moją największą szansą, by wyjść stąd żywą.



Przez całą noc nie spałam, próbując wymyślić, co powinnam zrobić. Judah i rodzice nie spodziewali się mojego powrotu przed piątkiem i aż do wtedy nie mieli żadnego powodu, by podejrzewać, iż stało się coś złego. Ale pozostali pasażerowie musieli wiedzieć, że nie wróciłam na statek. Czy nie powinni wszcząć alarmu? Czy też Bullmer sprzedał im jakąś historię, żeby uzasadnić moje zniknięcie – może zostałam niestety zatrzymana w Trondheim? Niespodziewanie postanowiłam wrócić do domu?

Nie byłam pewna. Starłam się wymyślić, kto mógłby zmartwić się na tyle, by zacząć zadawać pytania. Nie wierzyłam za bardzo, żeby Cole, Chloe lub większość pozostałych zrobiła zamieszanie. Oni mnie nie znali. Nie mieli kontaktu z nikim z mojej rodziny. Prawdopodobnie zaakceptowałyby wszystko, co powiedziałyby im Bullmer.

A więc Ben? On znał mnie dobrze, na tyle, by wiedzieć, że umknięcie bez słowa z samego rana w Trondheim nie było w moim stylu. Ale nie miałam pewności. W zwykłych okolicznościach być może skontaktowałby się z Judah albo moimi rodzicami i podzielił swoimi wątpliwościami... jednak nie rozstałam się z nim w całkiem normalnych okolicznościach. A wręcz oskarżyłam go o udział w morderstwie i nawet gdy pominąć już jego uzasadniony gniew, pewnie nie zaskoczyłoby go, że zniknęłam bez pożegnania.

Ze wszystkich pozostałych gości najbardziej wierzyłam w Tinę i miałam nadzieję, że skontaktowałyby się z Rowan, gdybym nie wróciła. Ale wydawało mi się, że szanse na to były zbyt nikłe, by na nich polegać.

Nie. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce.

Nadszedł ranek, a ja nadal nie spałam, ale wiedziałam już, co muszę zrobić, a kiedy rozległo się pukanie, byłam na to gotowa.

– Proszę – rzuciłam.

Drzwi skrzypnęły, a dziewczyna ostrożnie wsunęła przez nie głowę. Zobaczyła, że siedzę cicho na łóżku, umyta i czysta, z książką na kolanach.

– Hej – przywitałam się.

Postawiła tacę z jedzeniem na podłodze. Tym razem była przebrana za Anne – miała chustę na głowie, nie narysowała sobie brwi. Ale nie poruszała się jak Anne; ruszała się jak tamta dziewczyna, którą widziałam wcześniej, niecierpliwie rzuciła tacą i wyprostowała się bez tego pełnego namysłu wdzięku, jakim się cechowała, gdy udawała żonę Richarda.

– Daj spokój – odparła. Jej głos też był dziwny. Zwykle krystalicznie czyste spółgłoski zlewały się i zacierały. – Skończyłaś? – Skinęła głową na książkę.

– Tak, możesz mi wymienić na inną?

– No, chyba tak. Co chcesz?

– Obojętnie. Cokolwiek. Wybierz coś.

– Okej. – Wyciągnęła rękę po *Szklany klosz*, a ja oddałam go jej i zebrałam się na odwagę, by zrobić to, co musiałam.

– Przepraszam – zaczęłam niezręcznie. – Za tę tacę.

Uśmiechnęła się na to, błysnęły jej białe, proste zęby, a w ciemnych oczach pojawił się psotny błysk.

– Nie szkodzi. Nie mam ci za złe, zrobiłabym to samo. Ale tym razem dostałaś gumową. Nie dam się tak porobić drugi raz.

Spojrzałam na śniadanie leżące na podłodze. Krucha, melaminowa taca została zastąpiona taką wykonaną z grubego, antypoślizgowego plastiku. Na takich podaje się drinki w barach.

– No, trudno. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Zasłużyłam sobie.

– Tabletkę masz na spodku. Pamiętaj, to za dobre zachowanie.

Pokiwałam głową, a ona odwróciła się do wyjścia. Przełknęłam. Musiałam ją zatrzymać, powiedzieć coś. *Cokolwiek*, dzięki czemu nie zostanę skazana na kolejną samotną dobę tutaj.



– Jak masz na imię? – spytałam desperacko.

Odwróciła się, miała podejrzliwy wyraz twarzy.

– Co takiego?

– Wiem, że nie jesteś Anne. Zapamiętałam te oczy. Pierwszego wieczoru Anne miała szare oczy. Ty nie. Poza tym to bardzo przekonujące. Wiesz, jesteś naprawdę dobrą aktorką.

Jej twarz zamarła i przez minutę myślałam, że dziewczyna zaraz zatrzaśnie drzwi i zostawi mnie tu na kolejne dwanaście godzin. Czułam się jak wędkarz ciągnący do siebie wielką rybę na delikatnej żyłce, moje mięśnie były spięte z wysiłku, ale starałam się nie drgnąć ani nie zdradzić.

– Jeżeli się myślę... – zaczęłam ostrożnie.

– Zamknij się – przerwała mi, gwałtowna niczym lwica. Jej twarz całkiem się zmieniła, była dziko wściekła, a oczy miała pełne urazy i podejrzliwości.

– Przepraszam – odparłam pokornie. – Nie chciałam... Słuchaj, czy to ważne? Ja się nigdzie nie wybieram. Komu miałabym powiedzieć?

– Kurwa – rzuciła gorzko. – Czy ty nie rozumiesz, że sama sobie kopiesz grób?

Pokiwałam głową. Ale to już wiedziałam od paru dni. Cokolwiek ta dziewczyna próbowała sobie wmówić – cokolwiek *ja* próbowałam sobie wmówić – był tylko jeden sposób, w jaki mogłam opuścić ten pokój.

– Nie sędzę, żeby Richard mnie wypuścił – oznajmiłam. – Przecież sama o tym wiesz. Więc z nazwiskiem czy bez nazwiska, to nie ma większego znaczenia.

Jej twarz poniżej drogiej chusty na głowie była biała. Kiedy się odezwała, jej ton przepełniała gorycz.

– Sama to wszystko spieprzyłaś. Dlaczego nie mogłaś tego zostawić?

– Próbowałam pomóc! – wyjaśniłam.

Nie chciałam, żeby to tak wyszło, ale w maleńkim pokoju te słowa wybrzmiały przerażająco głośno. Przełknęłam i odezwałam się ciszej:

– Próbowałam pomóc *tobie*, nie rozumiesz tego?

– Dlaczego? – To było na wpół pytanie, na wpół okrzyk frustracji. – Dlaczego? W ogóle mnie nie znałaś, dlaczego musiałaś dalej dążyć?

– Bo wiedziałam, jak to jest być w twojej sytuacji! Wiem... wiem, jak to jest obudzić się w nocy i bać się o własne życie.

– Ale to nie ja – warknęła.

Przeszła przez maleńką kajutę. Z bliska dostrzegłam, że jej brwi lekko odrosły.

– To *nigdy nie byłam ja*.

– Ale to będziesz ty – odparłam, patrząc jej w oczy, żeby nie mogła odwrócić wzroku. Nie mogłam jej nie powiedzieć, co właściwie robiła. – Kiedy Richard przejmie pieniądze Anne... Jak myślisz, jaki będzie jego kolejny krok? Zapewni sobie bezpieczeństwo.

– Zamknij się! Nie masz pojęcia, o czym mówisz. To dobry człowiek. On mnie kocha.

Wstałam i zrównałam się z nią. Nie odrywałyśmy od siebie oczu, nasze twarze w tym niewielkim pomieszczeniu dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów.

– To bzdura, doskonale o tym wiesz.

Ręce mi drżały. Gdyby to poszło źle, mogłaby zamknąć drzwi na klucz i już nigdy nie wrócić, ale musiałam pokazać jej prawdziwe oblicze tej sytuacji. Dla mojego i dla jej dobra. Gdyby teraz odeszła, prawdopodobnie obie byłybyśmy już martwe.

– Gdyby cię kochał, to nie biłby cię i nie zmuszał do przebierania za zmarłą żonę. A *twoim* zdaniem o co w tym wszystkim chodzi? O to, żeby być z tobą? Tu nie chodzi o ciebie. Gdyby tak było, on by się rozwiódł i zaczął nowe życie z tobą... ale ona zabrałaby swoje pieniądze. Była dziedziczką fortuny wartą miliardy funtów. Tacy ludzie nie ryzykują małżeństwa bez intercyzy.

– Zamknij się! – Zatkąła rękoma uszy i pokręciła głową. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Żadne z nas nie chciało się znaleźć w tej sytuacji.

– Naprawdę? Myślisz, że to przypadek, iż zakochał się akurat w kimś zaskakująco podobnym do Anne? Planował to od samego początku. Jesteś tylko narzędziem w jego rękach.

– Nie masz o tym zielonego pojęcia – odwarknęła dziewczyna.

Odwróciła się ode mnie, podeszła tam, gdzie mogłoby być okno, i zawróciła. W jej wyrazie twarzy nie było w ogóle śladu po zmęczeniu i spokoju Anne, tylko nagi strach i wściekłość.

– Wszystkie pieniądze bez tej kontrolującej żony. Zdaje się, że choroba Anne zamachała mu przed nosem taką pokusą i nagle odkrył, że spodobał mu się ten pomysł: przyszłość bez Anne, za to z pieniędzmi. A kiedy lekarze orzekli, że jest zdrowa, nie chciał się pożegnać z tą perspektywą, mam rację? I wtedy zobaczył ciebie; tak zaczął kształtować się jego plan. Gdzie cię poderwał? W barze? Nie, czekaj. – Przypomniałam sobie zdjęcie z aparatu Cole'a. – To było w tym jego klubie, zgadza się?

– Ty nie masz o niczym pojęcia! – krzyknęła dziewczyna. – O niczym!

I nim zdążyłam coś dodać, odwróciła się na pięcie, drżącą ręką otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Wciąż ścisnęła pod pachą *Szklany klosz*. Gdy drzwi się za nią zamknęły, usłyszałam drżący chrobot klucza w zamku. Potem kolejne trzaśnięcie w oddali i zrobiło się cicho.

Usiadłam z powrotem na koi. Czy sprawiłam, że zwątpi w Richarda na tyle, żeby mi zaufać? Czy też pobiegła teraz na górę prosto do niego, opowiedzieć mu o całej tej rozmowie? Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – musiałam czekać.

Ale gdy mijały kolejne godziny, a ona nie wracała, zaczęłam się zastanawiać, ile to jeszcze potrwa.

Nie pojawiła się z kolacją i zaczęłam odczuwać głód. Zrodziły się we mnie podejrzenia, że popełniłam straszliwy błąd.



## 28

Przez długi czas leżałam, wpatrując się w koję nade mną, odtwarzając w głowie tamtą rozmowę i próbując określić, czy popełniłam właśnie największy błąd swojego życia.

Zaryzykowałam, próbowałam nawiązać jakieś porozumienie z tą dziewczyną, zmuszając ją do konfrontacji z tym, co robiła – i zaczynało wyglądać na to, że mi się nie udało.

Czas się dłużył i wciąż nikt nie przychodził. Coraz bardziej rozpraszał mnie głód. Żałowałam, że oddałam jej książkę; nie miałam w kajucie niczego, czym mogłabym zająć swoją uwagę. Zaczęłam myśleć o więziennych izolatkach – o tym, jak zamknięci w nich więźniowie powoli osuwali się w szaleństwo, słyszeli głosy, błagali o uwolnienie.

Przynajmniej ta dziewczyna miała dość litości, by zostawić włączony prąd, chociaż nie byłam taka pewna, czy to był rzeczywiście akt miłosierdzia. Kiedy wychodziła, była taka wściekła, że pewnie wyłączyłaby korki tylko po to, by mnie ukarać. Bardziej prawdopodobne, że zapomniała. Ale ta drobna rzecz – sama myśl, że mogłam decydować o swoim otoczeniu choć w tak nieznaczny sposób – była pomocna.

Znowu wzięłam prysznic i zlizalam z talerza wyschnięty dżem od rogalika. Położyłam się na łóżku, zamknęłam oczy i próbowałam sobie przypominać różne rzeczy: układ domu, w którym dorastałam. Fabułę *Małych kobietek*. Kolor...

Ale nie. Odepchnęłam tę myśl. Nie mogłam myśleć o Judah. Nie tutaj. To by mnie złamało.

Ostatecznie – bardziej żeby przejąć kontrolę nad sytuacją niż dlatego, że moim zdaniem mogło mi to naprawdę pomóc – zgasiłam światło i leżałam, wpatrując się w czerń, próbując zasnąć.



Nie jestem pewna, czy rzeczywiście zasnęłam. Chyba drzemałam. Mijały godziny – albo tak mi się wydawało. Nikt nie przychodził, ale w pewnym momencie w kompletnej ciemności ocknęłam się nagle i usiadłam, puls mi przyspieszył, a ja próbowałam zrozumieć, co się zmieniło. Jakiś hałas? Czyjaś obecność w ciemności?

Serce mi waliło, wyślizgnęłam się z łóżka i zaczęłam po omacku szukać drzwi, ale kiedy włączyłam światło, nie dostrzegłam żadnej zmiany. Kajuta była pusta. Malutka łazienka również pusta jak zawsze. Wstrzymałam oddech, nasłuchując, ale na korytarzu nie usłyszałam żadnych kroków, głosów ani poruszenia. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy.

I wtedy zrozumiałam. Ta cisza. *To* mnie obudziło. Silnik przestał pracować.

Próbowałam policzyć dni na palcach i chociaż nie byłam pewna, podejrzewałam, że musiał być dwudziesty piąty września, piątek. A to oznaczało, że statek dobił do ostatniego portu, w Bergen, gdzie mieliśmy zejść na ląd i wsiąść w samoloty do Londynu. Wszyscy pasażerowie mieli opuścić pokład.

A ja zostałam sama.

Na tę myśl w moich żyłach wezbrała panika. Myśl, że oni byli tak blisko – najprawdopodobniej spali zaledwie parę metrów ponad moją głową – jednak nie mogłam zrobić nic, zupełnie *nic*, żeby mnie usłyszeli. Wkrótce będą pakować walizki i wysiądą, a ja zostanę sama w tej trumnie w kształcie statku.

Ta myśl była nieznośna. Bez namysłu chwyciłam miskę po wczorajszym śniadaniu i najmocniej, jak umiałam, uderzyłam nią w sufit.

– Pomocy! – krzyknęłam. – Czy ktoś mnie słyszy? Proszę, jestem uwięziona, proszę, pomocy!

Nic nie zastukało w odpowiedzi, żadne stłumione krzyki nie dotarły do mnie przez piętra. Ale coś usłyszałam. Jakieś metaliczne zgrzytanie, jakby na zewnątrz coś się ocierało o kadłub.

Czy ktoś mnie usłyszał? Wstrzymałam oddech, próbując uspokoić serce, które waliło tak głośno, że mogło zagłuszyć te słabe dźwięki dochodzące spoza statku. Czy ktoś nadchodził?

Znów zazgrzytało... Poczułam, jak burta statku drży, i nagle dotarło do mnie, co to takiego. Opuszczano trap. Pasażerowie wysiadali.

– Pomocy! – krzyknęłam i znowu zastukałam, tylko tym razem zauważyłam, jak plastikowy sufit wygłusza i pochłania dźwięk.

– Pomocy! To ja, Lo! Jestem tutaj! Na statku!

Żadnej odpowiedzi, tylko chrapliwy oddech w moim gardle i szum krwi w uszach.

– Jest tam kto? Proszę! Proszę, pomocy!

Przyłożyłam dłonie do ściany, czując, jak wibracje kroków na trapie są przenoszone przez kadłub aż pod moje dłonie. Wywołane przez wózki z towarami... i walizki... i oddalające się stopy.

Czułam to wszystko. Ale nie mogłam tego usłyszeć. Byłam głęboko pod wodą, a oni wysoko ponad, gdzie wszelkie słabe wibracje, jakie mogłam wywołać swoją plastikową miseczką, tonęły w dźwiękach wiatru, krzyku mew oraz głosach pozostałych pasażerów.

Upuściłam miskę na podłogę, a ona się odbiła i potoczyła po cienkim dywanie. Potem opadłam na łóżko, skuliłam się, obejmując ramionami głowę i przyciskając czoło do kolan, i zaczęłam płakać wielkimi, dławiącymi łzami ze strachu i rozpacz.

Bałam się już wcześniej. Umierałam już kiedyś ze strachu.

Ale nigdy nie byłam w rozpacz, a to właśnie teraz czułam – rozpacz.

Kłęczałam na cienkim, zapadającym się materacu, szlochałam w kolana, a przed oczyma przebiegały mi obrazy: Judah czytającego gazetę, mojej matki z językiem wsuniętym między zęby rozwiązującej krzyżówkę, mojego

ojca koszącego trawnik w niedzielę i fałszującego pod nosem. Oddałabym wszystko, żeby zobaczyć kogokolwiek z nich w tym pokoju, choćby przez chwilę, tylko żeby im powiedzieć, że żyję i ich kocham.

Ale myślałam jedynie o tym, że oni czekają na mój powrót. I jak będą rozpaczać, kiedy się nie pojawię. Oraz o tym nieskończonym wyroku oczekiwania, beznadziejnego wyczekiwania kogoś, kto nigdy się nie pojawi.





Od: Judah Lewis

Do: Judah Lewis; Pamela Crew; Alan Blacklock

DW: [38 odbiorców]

Wysłano: Wtorek, 29 września

Temat: Lo – aktualności

Drodzy Wszyscy,

bardzo przepraszam, że wysyłam tę wiadomość mejlem, ale jestem pewien, że zrozumiecie, iż te ostatnie kilka dni było bardzo trudne i mieliśmy problemy z odpowiadaniem na wszystkie zapytania.

Aż do tej pory nie mogliśmy się podzielić praktycznie żadnymi konkretami, a to wywołało szereg krzywdzących spekulacji w mediach społecznościowych. Jednak właśnie otrzymaliśmy pewne wiadomości. Niestety nie jest to coś, na co mieliśmy nadzieję, a rodzice Lo – Pam i Alan – poprosili mnie, bym przekazał tę informację jej najbliższym znajomym oraz rodzinie w imieniu ich oraz moim. Wygląda na to, że pewne szczegóły przeciekły już do prasy, a nie chcieliśmy, by ktokolwiek z Was dowiedział się o tym z internetu.

Trudno mi to pisać – dziś nad ranem Scotland Yard poprosił mnie, żebym zidentyfikował zdjęcia, które otrzymali od zespołu norweskiej policji zajmującego się sprawą. Były to fotografie ubrań, które należały do Lo. Rozpoznałem je od razu. Zwłaszcza wintydzowe, charakterystyczne buty, które bez wątpienia należały do niej.

Oczywiście jesteśmy zdruzgotani tym odkryciem, ale trzymamy się i czekamy na dalsze wieści od policji – to wszystko, co wiemy w tej chwili, bo ciało znajduje się nadal w Norwegii. W międzyczasie prosimy Was o dyskrecję w rozmowach z mediami. Jeżeli wiecie coś, co mogłoby się przydać w śledztwie, mogę Wam podać nazwiska funkcjonariuszy ze Scotland Yardu zajmujących się tą sprawą po brytyjskiej stronie. Mamy też przydzielonego opiekuna sprawy, który pomaga nam sobie radzić z zapytaniami mediów, jednak niektóre krążące już historie są przykre i nieprawdziwe, dlatego chcemy Was prosić o pomoc w chronieniu prywatności Lo.

Jesteśmy po prostu wstrząśnięci takim obrotem spraw i staramy się pogodzić z tym, co to oznacza, więc prosimy o chwilę cierpliwości – kiedy tylko będziemy w stanie, na pewno udzielimy kolejnych informacji.

Judah



# CZEŚĆ SIÓDMA





## 29

Nie przyszła.

Tamta dziewczyna nie przyszła.

Mijały godziny, zlewały się ze sobą, a ja wiedziałam, że gdzieś po drugiej stronie tej metalowej trumny ludzie rozmawiali, śmiali się, jedli i pili, podczas gdy ja leżałam tu i mogłam tylko oddychać oraz odliczać sekundy, minuta po minucie, godzina po godzinie. Gdzieś na zewnątrz słońce wschodziło i zachodziło, fale się podnosiły i kołysały kadłubem, toczyło się życie, podczas gdy ja tonęłam w ciemności.

Znów pomyślałam o ciele Anne opadającym bezwładnie w głąb morza i stwierdziłam gorzko, że miała szczęście – to przynajmniej było szybkie. Jedna chwila podejrzliwości, jedno uderzenie w głowę – i tyle. Zaczynałam się bać, że nade mną nikt się tak nie ulituje.

Leżałam na łóżku, przyciskając sobie kolana do piersi, i próbowałam nie myśleć o głodzie wgrzyzającym mi się w żołądek. Moim ostatnim posiłkiem było śniadanie w czwartek i pomyślałam, że musi być już przynajmniej piątkowy wieczór. Strasznie bolały mnie głowa i brzuch, a kiedy wstałam, żeby skorzystać z toalety, było mi słabo i miałam zawroty głowy.

Złośliwy cichy głosik w mojej głowie zaczął mi dokuczać: „Jak myślisz, jak to jest umrzeć z głodu? Myślisz, że to spokojny sposób odchodzenia?”

Zamknęłam oczy. *Raz. Dwa. Trzy. Wdech.*

„To trwa długo. Poszłoby szybciej, gdybyś zdołała nie pić...”

W mojej głowie pojawił się wizerunek – mnie, chudej, bladej i zimnej, zwiniętej pod cienutkim pomarańczowym kocem.

– Świadomie nie myślę o tych obrazach – wymamrotałam. – Świadomie wybieram myślenie o... – Urwałam.

O czym? *O czym?* Żadna z instrukcji Barry’ego nie dotyczyła tego, jakie szczęśliwe obrazy wybierać, kiedy jest się więzionym przez mordercę. Czy powinnam myśleć o mojej mamie? O Judah? O wszystkim, co kochałam, co było mi bliskie i co miałam stracić?

– Wstaw tu sobie jakiś szczęśliwy obraz, ty mały dupku – szepnęłam, ale Barry prawdopodobnie miał na myśli zupełnie inną sytuację.

I wtedy usłyszałam jakiś dźwięk na korytarzu.

Zerwałam się na równe nogi, a krew odpłynęła mi z głowy tak gwałtownie, że prawie się przewróciłam, zdążyłam tylko pochylić się nad koją, zanim ugięły się pode mną nogi.

Czy to była ona? Czy Bullmer?

Oż, kurwa.

Wiedziałam, że za szybko oddycham, czułam przyspieszające serce i łaskotanie w mięśniach, naraz wszystko przed moimi oczami rozsypało się na małe czarne i czerwone kawałki...

A potem zrobiło się kompletnie ciemno.



– Kurwa, kurwa, kurwa...

Jedno słowo powtarzane w kółko, szeptane spanikowanym, zapłakany, monotonnym głosem, gdzieś blisko.

– Jezu, nie możesz się po prostu obudzić?

– Co...? – wydusiłam.

Dziewczyna wydała z siebie jakiś ochrypły okrzyk ulgi.

– Cholera! Nic ci nie jest? Tak mnie przestraszyłaś!

Otworzyłam oczy, zobaczyłam jej zmartwioną twarz pochyloną nad moją. Poczulałam w powietrzu zapach jedzenia i boleśnie zaburczało mi w brzuchu.

– Przepraszam – powiedziała szybko, pomagając mi usiąść na stalowym brzegu koi i kładąc mi poduszkę pod plecy.

W jej oddechu wyczułam alkohol – sznapsa albo może wódkę.

– Nie chciałam cię zostawiać na tak długo, po prostu...

– Jaki dzień? – wychrypiałam.

– Co?

– Ja-jaki mamy dzień?

– Sobotę. Sobotę dwudziestego szóstego. Jest późno, prawie północ. Przyniosłam ci coś na kolację.

Wyciągnęła kawałek owocu, a ja go chwyciłam, czując wręcz mdłości z głodu, i wgryzłam się w niego. Dopiero kiedy jego smak eksplodował mi w ustach, niemal nieznośny w swojej intensywności, zauważyłam, że to była gruszka.

Sobota – prawie niedziela. Nic dziwnego, że czułam się tak okropnie. Nic dziwnego, że te godziny zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Nic dziwnego, że żołądek nawet teraz zaciskał mi się i bolał, kiedy połykałam wielkie kęsy gruszki jak wilk. Byłam tu zamknięta bez jedzenia i bez kontaktu od... Próbowałam to policzyć. Od czwartku rano do soboty wieczorem. Czterdzieści osiem... Sześćdziesiąt... Sześćdziesiąt parę godzin? Naprawdę? Mózg mnie bolał. Brzuch mnie bolał. *Wszystko* mnie bolało.

Żołądek mi się skurczył i znów zabolął.

– O Boże. – Próbowałam się dźwignąć na nogi, które były słabe i drżące. – Chyba zwymiotuję.

Zatoczyłam się do maleńkiej łazienki, a za mną ruszyła zaniepokojona dziewczyna i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi złapać równowagę, kiedy precyzyjnie się przez wąskie drzwi, opadłam na kolana i zaczęłam wymiotować do muszli klozetowej z niebieskimi plamami.

Dziewczyna najwyraźniej współczuła mi mojej niedoli, bo odezwała się niemal nieśmiało:

– Mogę ci przynieść jeszcze jedną, jeśli chcesz. Ale jest też coś ziemniaczanego. Może to będzie lepsze na twój żołądek. Kucharz powiedział, że to jest pyti-pana czy jakoś tak. Nie pamiętam.



Nie odpowiedziałam, tylko klęczałam nad klozetem, przygotowując się do kolejnego ataku. Ale mdłości chyba odpuściły i w końcu otarłam usta, powoli wstałam, podciągając się na poręczu na ścianie i sprawdzając siłę nóg. Potem niepewnie wróciłam na koję i do tacy z jedzeniem. Kosteczki ziemniaków wyglądały i pachniały bosko. Sięgnęłam po widelec i zaczęłam jeść, tym razem wolniej, starając się nie połykać jedzenia w całości.

Dziewczyna mnie obserwowała.

– Przepraszam – powtórzyła. – Nie powinnam cię karać w taki sposób.

Przełknęłam kęs letnich, słonych kawałków ziemniaków, czując chrupanie skarmelizowanej skórki między trzonowcami.

– Jak masz na imię? – odezwałam się w końcu.

Ona przygryzła wargę, odwróciła wzrok, a potem westchnęła.

– Pewnie nie powinnam ci mówić, ale jakie to ma teraz znaczenie. Carrie.

– Carrie. – Znow wzięłam kęs, mówiłam z pełnymi ustami. – Cześć, Carrie.

– Cześć – odpowiedziała, ale w jej głosie nie było ciepła ani życia.

Jeszcze przez chwilę patrzyła, jak jem, a potem powoli przeszła na drugą stronę kajuty i oparła się o przeciwległą ścianę.

Siedziałyśmy chwilę w ciszy, ja metodycznie jadłam, starając się opanować, a ona mnie obserwowała. Potem krzyknęła cicho, pomacała się po kieszeni i coś wyciągnęła.

– Prawie zapomniałam. Proszę.

Była to tabletką owiniętą kawałkiem chusteczki. Zabrałam ją, chcąc niemal zaśmiać się z ulgą. Wydawało się to żałośnie beznadziejne, ta myśl, że dzięki tej maleńkiej, białej kropce może poczuję się lepiej w swoim położeniu. A jednak...

– Dzięki. – Położyłam sobie pigułkę z tyłu języka, wzięłam łyk soku i popiłam.

W końcu talerz był pusty i zeskrobując z niego resztki ziemniaka, zdałam sobie sprawę, że Carrie nadal obserwuje mnie z drugiej strony pokoju. To był pierwszy raz, kiedy czekała, aż zjem. Ta myśl dodała mi odwagi na tyle,

żeby czegoś spróbować. Może to było głupie, ale słowa padły, nim zdołałam je powstrzymać.

– Co się ze mną stanie?

Nic nie odpowiedziała, tylko podniosła się, powoli pokręciła głową i otrzepała swoje kremowe, jedwabne spodnie. Była chuda aż do bólu i przemknęło mi przez myśl pytanie, czy to również ma jakiś związek z udawaniem Anne, czy może naturalnie była taka szczupła.

– Czy on... – Przełknęłam. Igrałam z losem, ale musiałam o to spytać. – Czy on mnie zabije?

Nie odpowiedziała, tylko podniosła tacę i ruszyła w stronę drzwi, ale kiedy się odwróciła, żeby je za sobą zamknąć, dostrzegłam w jej oku wzbierającą łzę, która miała zaraz skapnąć. Zawahała się na sekundę w prawie już zamkniętych drzwiach i pomyślałam, że chce coś powiedzieć. Pokręciła jednak tylko znowu głową, łza spłynęła jej po policzku, a ona wytarła ją prawie ze złością, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

Po jej wyjściu wstałam, trzymając się koi, łapiąc równowagę, a potem dostrzegłam na podłodze kolejną książkę. To był mój egzemplarz *Kubusia Puchatka*.



Zawsze czytałam *Kubusia Puchatka* na pocieszenie, sięgałam po niego w stresujących chwilach. To książka jeszcze z czasów, zanim zaczęłam się bać, bo wokół mnie nie było innych zagrożeń niż ho-honie, a ja – podobnie jak Krzyś – mogłam podbić świat.

Prawie jej nie spakowałam. Ale w ostatniej chwili, kiedy wrzucałam do walizki ubrania i buty, zobaczyłam ją na swoim nocnym stoliku i schowałam jako taki ochronny talizman przeciw stresom podróży.

Przez resztę nocy leżałam na koi z książką otwartą na poduszce obok mnie, przesuwając palcami po wytartej obwolucie. Tekst znałam na pamięć, może nawet za dobrze, i przez to jakoś nie zdołał wywołać we mnie tej znajomej

magii. Zamiast czytać, w kółko powtarzałam w głowie rozmowę z Carrie, myśląc o tym, co mnie czeka.

Były tylko dwa sposoby, w jakie mogłam się stąd wydostać – albo żywa, albo martwa – i wiedziałam, którego pragnę. A w tym wypadku mój wybór był prosty: musiałam się wydostać, z pomocą Carrie czy bez niej.

Przed paroma dniami, przed paroma godzinami, bez wahania powiedziałabym, że moją jedyną prawdziwą szansą było uciec bez jej pomocy – w końcu to ona mnie pobiła, uwięziła, a nawet głodziła. Ale po tym wieczorze nie byłam już taka pewna. Jej ręce, które pomogły mi usiąść; to, jak czekała, aż zjem, obserwując każdy mój kęs; jej twarz przepełniona smutkiem; oczy, kiedy odwróciła się do wyjścia... Nie uważałam jej za morderczynię, na pewno nie była nią z wyboru. A w tych ostatnich kilku dniach wydarzyło się coś, co pozwoliło mi to sobie uświadomić. Pomyślałam o długim, koszmarnym czekaniu na jej powrót, o tym, jak wolno mijały kolejne godziny, jak mój głód nieubłaganie narastał. Ale teraz po raz pierwszy pomyślałam, że być może te godziny dla niej również płynęły wolno i były męczarnią, że być może ona również zaczynała dostrzegać coś, na co nie była gotowa. Musiała mnie sobie wyobrażać tu, na dole, jak słabnę i słabnę, wbijam paznokcie w drzwi. Aż w końcu złamała postanowienie i zbiegła do mnie ze skradzionym talerzem letniego jedzenia.

Co musiała sobie pomyśleć, kiedy otworzyła te drzwi i zobaczyła mnie leżącą na podłodze – że przyszła za późno? Że się przewróciłam, może z głodu, może po prostu z wyczerpania? I nagle widocznie dotarło do niej, iż nie będzie w stanie żyć z kolejną śmiercią, nie z taką, którą spowodowała sama.

Nie chciała, żebym umarła, byłam o tym przekonana. I wątpiłam, czy byłaby w stanie mnie zabić, nie jeśli cały czas będę jej przypominać o tym, że znalazłam się tu z jej powodu, ponieważ o nią walczyłam i próbowałam jej pomóc.

Z drugiej strony Bullmer... Bullmer, który przez cały okres chemioterapii swojej żony liczył jej pieniądze i planował jej śmierć tylko po to, żeby odebrano mu to wszystko w ostatniej chwili...

Tak. Byłam w stanie wyobrazić sobie aż za dobrze, że Bullmer byłby w stanie zabić. I prawdopodobnie w ogóle by go to nie poruszyło.

Gdzie on się podziewał? Czy opuścił statek, zapewniając sobie alibi, podczas gdy Carrie głodziła mnie na śmierć? Nie byłam pewna. Dobrze się zatroszczył o to, żeby odciąć się od śmierci Anne; nie byłam w stanie sobie wyobrazić, by pozwolił sobie zamieszać się w moją.

Gdy tak rozmyślałam, usłyszałam powolny, zgrzytający ryk uruchamianego silnika statku. Przez chwilę mruczał, a potem poczułam, jak cały statek zabujał się i przechylił. Wiedziałam, że znów wyruszyliśmy, wypłynęliśmy z portu w Bergen, statek pochłonęła ciemność, a my wracaliśmy na Morze Północne.



## 30

Silnik znów się zatrzymał, kiedy się obudziłam, ale czułam wokół nas przesuające się masy wody. Zastanawiałam się, gdzie jesteśmy – może na fiordach. Wyobraziłam sobie wznoszące się w górę ściany ciemnych skał, okalających wąski skrawek bladego nieba nad nimi i tonących w dole w głębokim, niebieskim morzu. Wiedziałam, że niektóre z fiordów mogły sięgać głęboko na ponad kilometr, tam gdzie było niewyobrażalnie ciemno i zimno. Ciało zatopione w takiej głębokości mogłoby nigdy nie zostać odnalezione.

Zastanawiałam się właśnie, która godzina, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i pojawiła się Carrie z miseczką musli oraz kubkiem kawy.

– Przepraszam, że tylko tyle – powiedziała, odstawiając tacę. – Teraz wszyscy pasażerowie i załoga opuścili pokład i trudniej zdobyć jakieś jedzenie, nie budząc podejrzeń kucharza.

– Załoga wysiadła? – Te słowa mnie zdumiały, choć nie byłam do końca pewna dlaczego.

– Nie cała. Został kapitan i część jego ludzi. Ale wszyscy obsługujący pasażerów pojechali z Richardem do Bergen na jakąś grupową integrację.

A więc Bullmera nie było na statku. Może to wyjaśniało zmianę nastawienia Carrie. Skoro Bullmer wyjechał...

Zaczęłam powoli jeść musli, a ona tak jak wcześniej usiadła i przyglądała mi się tymi smutnymi oczami pod brutalnie wydepilowanymi brwiami.

– Nie wyskubałaś sobie rzes? – spytałam pomiędzy kęsami.

Pokręciła głową.

– Nie, nie byłam w stanie się na to zdobyć. Moje rzęsy bez tuszu i tak są dość mało widoczne, ale pomyślałam, że gdyby ktokolwiek zauważył, powiem, że są sztuczne.

– Kto... – Urwałam.

Chciałam spytać „Kto ją zabił?”, ale nagle nie mogłam się zdobyć na to, by powiedzieć to na głos. Za bardzo się bałam, że to mogła być Carrie. A przecież moją największą szansą było przekonanie jej, że *nie była* morderczynią, nie zaś przypominanie jej o tym, iż raz już to zrobiła i może to powtórzyć.

– Co? – spytała.

– To... To znaczy, co powiedzieliście moim krewnym? I pozostałym pasażerom? Myślą, że jestem w Trondheim?

– Tak, włożyłam perukę i wysiadłam ze statku z twoim paszportem. Wybrałam taki czas, kiedy wszyscy stewardzi przygotowywali śniadanie, a przy trapie dyżurował jeden z marynarzy. Na szczęście nie byłaś na oprowadzaniu po mostku kapitańskim, więc żadnego z nich nie poznałaś. I na szczęście obie mamy ciemne włosy. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś była blondynką. Nie mam blond peruki. A potem wróciłam na statek jako Anne i miałam nadzieję, że nikt nie zauważy, iż Anne wsiadła, choć nigdy tak naprawdę nie wysiadała.

Szczęście. Nie takiego słowa bym użyła. A więc papiery się zgadzały – był zapis tego, że opuściłam Aurorę i nigdy nie wróciłam. Nic dziwnego, że nie pojawiła się policja z nakazem przeszukania statku.

– Jaki był plan? – spytałam. – Gdybym cię nie zobaczyła? Co się miało wydarzyć?

– Też musiałabym wsiąść w Trondheim – odparła gorzko. – Ale tym razem jako Anne. I wtedy włożyłabym perukę, przebrała się, narysowała sobie brwi i zniknęła w tłumie jako kolejna anonimowa turystka. Trop urwałby się w Trondheim: niestabilna kobieta na skraju śmierci zaginęła bez śladu... A potem, kiedy wszystko by przycichło, mieliśmy się z Richardem „poznać”, zakochać, tym razem publicznie, i odegrać wszystko jeszcze raz, przed kamerami.

– Dlaczego to *zrobiłaś*, Carrie? – spytałam ją zrozpaczona, a potem ugryzłam się w język.

To nie był dobry moment, żeby obracać ją przeciwko sobie. Musiałam ją mieć po swojej stronie i nie udałoby mi się to, gdyby czuła się zaatakowana. Ale nie potrafiłam już w sobie tego dłużej dusić.

– Po prostu tego nie rozumiem.

– Ja czasem też nie rozumiem. – Przyłożyła sobie dłonie do twarzy. – To nie miało tak *być*.

– Więc opowiedz mi.

Wyciągnęłam rękę, niemal nieśmiało, i położyłam ją jej na kolanie, a ona się wzdrygnęła, jakby spodziewała się ciosu. Zdałam sobie sprawę, jaka była przerażona – ile z tej jej brutalnej energii brało się ze strachu, nie nienawiści.

– Carrie? – zachęciłam ją.

Odwróciła wzrok i zaczęła mówić w stronę pomarańczowej zasłony, jakby nie potrafiła spojrzeć mi w oczy.

– Poznaliśmy się w Magellanie. Byłam tam kelnerką i próbowałam rozkręcić karierę aktorską. A on... On chyba po prostu zawrócił mi w głowie. To było coś jak z *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, ja bez grosza, a on się zakochał, pokazał mi życie, o jakim mi się nie śniło...

Urwała, przelknęła.

– Oczywiście wiedziałam, że ma żonę. Był w tej kwestii całkowicie szczery. Więc nigdy nie mogliśmy się widywać publicznie, a mnie nie było wolno nikomu o nim mówić. Ich małżeństwo było skończone, niemal jeszcze zanim się zaczęło. Ona okazała się strasznie zimna i kontrolująca, żyli osobno, ona w Norwegii, a on w Londynie. Wiesz, nie miał łatwego życia. Jego matka odeszła, kiedy był małym dzieckiem, a ojciec zmarł niedługo po tym, jak Richard skończył szkołę. To się wydawało takie niesprawiedliwe, że Anne, osoba, która powinna kochać go najbardziej na świecie, nie była nawet w stanie spędzać z nim czasu! Ale umierała, a on nie mógł się zdobyć na rozwód z kobietą, której zostało tylko parę miesięcy życia... To się



wydawało zbyt okrutne. Ciągłe opowiadał o tym, co będzie dalej, kiedy ona umrze, kiedy będziemy razem...

Głos jej się załamał i przez minutę myślałam, że to wszystko, że zaraz wstanie i sobie pójdzie, ale ona zaczęła znowu mówić, tym razem słowa przychodziły szybciej, jakby nie potrafiła ich zatrzymać.

– Jednego wieczoru wpadł na taki pomysł, powiedział, że powinnam się przebrać za jego żonę i pójść z nim do teatru, żebyśmy mogli być razem w przestrzeni publicznej. Dał mi jedno z jej kimon, a ja obejrzałam film, żeby przyjrzeć się, jak ona mówi, żeby wiedzieć, jak się poruszać i zachowywać. Schowałam włosy pod czepkiem pływackim, a na wierzch włożyłam jeden z jej szali. I udało nam się. Siedzieliśmy w łoży tylko we dwoje, piliśmy szampana i och, to było cudowne. Jakbyśmy grali w jakąś grę, wszystkich oszukaliśmy. Robiliśmy tak raz czy dwa, tylko wtedy, kiedy Anne bywała w Londynie, żeby nikt nie nabrał podejrzeń, a parę miesięcy później on wpadł na ten pomysł. Na początku wydawało mi się to szalone, ale wiesz, on taki już po prostu jest. Przy nim naprawdę można uwierzyć, że nie ma rzeczy niemożliwych. Powiedział, że zbliża się ta wycieczka dla dziennikarzy, że Anne miała tam być pierwszego wieczoru, ale że późno w nocy wysiądzie i wróci do domu w Norwegii. I spytał, co ja na to, żeby zostać i ją udawać. Że może przeszmugłować mnie na pokład i bylibyśmy *prawdziwą* parą – razem, publicznie, przez cały tydzień. Obiecał mi, że dam radę. Powiedział, że nikt na tym statku tak naprawdę jej nie poznał i że dołoży starań, by nie robiono mi zdjęć, więc nie będzie szans, by ktoś nas przyłapał po fakcie. Statek miał kończyć podróż w Bergen, a ludzie mieli po prostu założyć, że Anne została na parę dni dłużej. Ja tymczasem ostatniego dnia miałam się przebrać w swoje ubrania i wrócić do domu jako ja. Załatwił też, żeby jeden z innych gości się nie pojawił, żeby była jedna pusta kajuta, i powiedział tylko jedną rzecz...

Urwała.

– Jedyne problem był taki, że musiałam obciąć włosy, żeby być przekonująca. Ale to mi się wydawało... Wydawało mi się to tego warte. Żeby z nim być.

Przełknęła, a potem znowu się odezwała, tym razem już ciszej:

– Pierwszego wieczoru przebierałam się właśnie za Anne, kiedy do kajuty wszedł Richard. Był wściekły. Powiedział, że Anne dowiedziała się o romansie, że oszalała i że rzuciła się na niego. On ją odepchnął, żeby się obronić, a ona wtedy się potknęła i uderzyła głową o stół kawowy. Kiedy próbował ją ocucić... zobaczył... – Zawahała się, ale mówiła dalej: – Zobaczył, że ona nie żyje. Nie wiedział, co zrobić. Powiedział, że jeśli odbędzie się policyjne śledztwo, to moja obecność na pokładzie zostanie ujawniona, a nikt nie uwierzy w jego wersję o szamotaninie. Powiedział, że oboje zostaniemy oskarżeni, on jako morderca, ja jako współdziałająca w planowaniu zbrodni. Powiedział, że to wyjdzie na jaw, że przebierałam się za Anne. Wspomniał, że Cole ma moje zdjęcie w ubraniach Anne. Przekonał mnie... – Urwała, a z emocji głos ugrzązł jej w gardle. – Przekonał mnie, że jedyne wyjście to wyrzucić ciało Anne za burtę i działać dalej zgodnie z planem. Jeśli zaginie w Bergen, nikt nie będzie miał nas na celowniku. Ale to *nie miało* się potoczyć w ten sposób!

Na końcu języka miałam słowa protestu. Jak Anne miała wysiąść ze statku pierwszego wieczoru, skoro w Norwegii mieliśmy być dopiero kolejnego dnia? I jak mogła wysiąść bez paszportu, tak żeby załoga o tym nie wiedziała? To nie miało w ogóle sensu. Jedyne wytłumaczenie było takie, że Richard od początku nie planował, by Anne zeszła po tym trapię z własnej woli, i z pewnością Carrie musiała o tym wiedzieć. Nie była głupia. Ale widziałam już ten rodzaj świadomego zaślepienia u kobiet, które upierały się, że partnerzy ich nie zradzali mimo wszelkich dowodów; u wyzyskiwanych pracowników, którzy przekonywali, że tylko wykonują rozkazy i robią to, co konieczne. Wydawało się, że nie ma ograniczeń dla tego, w co ludzie potrafią uwierzyć, jeśli chcą, a jeżeli Carrie przekonała samą siebie, by przyjąć pokrętną wersję wydarzeń Richarda, prawdopodobnie mnie nie posłucha.

Wzięłam więc głęboki wdech i zadałam to pytanie, od którego wszystko zależało.

– A co się miało stać ze mną?

– Cholera! – Carrie wstała, przejechała dłońmi po głowie, aż zsunęła jej się chusta, ukazując pod spodem ogoloną głowę. – Nie *wiem*. Proszę, przestań mnie o to pytać.

– On mnie zabije, Carrie. – Byłam już pewna, że zabije nas obie, ale nie miałam pojęcia, czy ona jest gotowa to usłyszeć. – Proszę, *proszę*, czy możesz nas obie wydostać, wiem, że możesz. Dam ci dowody... Powiem, że mnie uratowałeś, że...

– Po pierwsze – przerwała mi z surową miną. – Nigdy bym go nie zdradziła. *Kocham* go. Najwyraźniej tego nie rozumiesz. A po drugie, nawet gdybym uciekła z tobą, skończyłabym z wyrokiem za morderstwo.

– Ale gdybyś zeznawała przeciwko niemu...

– Nie – ucięła. – Nie. To się nie wydarzy. Kocham go. A on kocha mnie. Wiem o tym.

Odwróciła się w stronę drzwi, a ja zdałam sobie sprawę, że to moja jedyna szansa, że muszę *spróbować* pokazać jej prawdę o tym, w co jest zamieszana, nawet jeżeli miałyby odejść i zostawić mnie tu na głodową śmierć.

– On cię zabije, Carrie – powiedziałam jej za uchem, kiedy wyciągnęła rękę w stronę drzwi. – Przecież o tym wiesz. Zabije mnie, a potem ciebie. To twoja ostatnia szansa.

– Kocham go – odpowiedziała. Głos jej się załamał.

– Tak bardzo, że pomogłeś mu zabić żonę?

– Ja jej nie zabiłam! – krzyknęła, a ten zraniony krzyk rozbrzmiał boleśnie głośno w tej ciasnej przestrzeni.

Stała do mnie plecami, z ręką na klamce, a całe jej ciało drżało jak u dziecka wstrząsanego szlochem.

– Ona już nie żyła, a przynajmniej tak mi powiedział. Zostawił jej ciało w kabinie w walizce, a ja przeciągnęłam je do kajuty dziesiątej, kiedy wszyscy jedliście kolację. Musiałam tylko wrzucić ją całą za burtę, kiedy on grał w pokera. Ale...

Urwała, odwróciła się i opadła na podłogę, po czym oparła czoło na kolanach.

– Ale co?

– Ale ta walizka była niewiarygodnie ciężka. On ją chyba czymś dociążył i kiedy wciągałam ją do apartamentu, uderzyłam nią o futrynę. Wieko się otworzyło i wtedy... – Zaszlochała. – O Boże, ja już sama nie wiem! Ta jej twarz była cała zakrwawiona, ale przez sekundę... Wydawało mi się, że jej powieki zatrzepotały.

– Jezu. – Zamarłam z przerażenia. – To znaczy... chyba nie wyrzuciłaś jej żywej?

– Nie wiem. – Skryła twarz w dłoniach. Głos jej się łamał, był wysoki i piskliwy, drżał jak u kogoś na granicy hysterii. – Krzyknęłam, nie zdołałam się powstrzymać. Ale dotknęłam krwi na jej twarzy i ona była *zimna*. Gdyby żyła, to krew byłaby ciepła, prawda? Pomyślałam, że może to sobie wyobraziłam, że może to jest jakiś mimowolny ruch, mówią, że tak się dzieje, nie? W kostnicach i tak dalej. Nie wiedziałam, co zrobić, po prostu zatrzasnęłam tę walizkę! Ale musiałam nie zamknąć jej dobrze, bo kiedy wyrzuciłam ją za burtę, zamek się otworzył i zobaczyłam jej twarz... jej twarz w wodzie... O Boże!

Urwała, oddychała szybko i przerywanie, ale kiedy ja próbowałam pojąć, jak straszną rzecz być może zrobiła, a także wymyślić, co mogłabym odpowiedzieć na to wyznanie, znowu się odezwała:

– Wiesz, od tamtej pory nie mogę spać. Co noc leżę, myśląc o niej, zastanawiając się, czy ona wtedy żyła.

Spojrzała na mnie i po raz pierwszy dojrzałam w jej oczach uczucia – winę i strach – które tak rozpaczliwie próbowała ukryć już od pierwszego wieczoru.

– To nie miało się wydarzyć – dodała. – Ona miała umrzeć w domu, we własnym łóżku... a ja... a ja...

– Nie musisz tego robić – odezwałam się pospiesznie. – Cokolwiek się wydarzyło wokół śmierci Anne, nie możesz tego cofnąć. Naprawdę mogłabyś żyć z tym, że zabiłaś też mnie? Jedna śmierć na sumieniu doprowadziła cię prawie do szaleństwa, Carrie. Nie pozwól na drugą, błagam cię, dla dobra nas obu. *Proszę*, pozwól mi odejść. Nic nie powiem.

Przysięgam. Powiem... powiem Judah, że wysiadłam w Trondheim i musiałam stracić przytomność. I tak nikt by mi nie uwierzył! Nie wierzyli mi, kiedy powiedziałam, że za burtę wyrzucono jakieś ciało. Dlaczego w tym przypadku miałyby być inaczej?

Wiedziałam dlaczego: z powodu DNA. Odcisków palców. Śladów zębów. Śladów krwi Anne, które musiały zostać na tej szklanej przegrodzie oraz gdzieś w kabinie Richarda.

Ale nie powiedziałam żadnej z tych rzeczy, a Carrie najwyraźniej o nich nie pomyślała. Jej panika musiała się wyciszyć wraz z tym wyrzucanym w ogromnym tempie wyznaniem, a oddech spowolnił. Teraz patrzyła na mnie, twarz miała we łzach, ale spokojną, do tego dziwnie piękną po ustąpieniu hysterii.

– Carrie? – spytałam nieśmiało, bojąc się mieć nadzieję.

– Pomyślę o tym – odparła.

Podniosła się na kolana, sięgnęła po tacę i odwróciła się do drzwi. Wtedy potknęła się o *Kubusia Puchatka* i spojrzała w dół. W jej twarzy coś się zmieniło, podniosła książkę i przekartkowała ją wolną dłonią.

– Uwielbiałam ją, kiedy byłam mała – powiedziała.

Pokiwałam głową.

– Ja też. Musiałam ją czytać ze sto razy. Ten fragment na końcu, z tym zagajnikiem... Zawsze wtedy płaczę.

– Moja mama nazywała mnie Tygrysiem. „Jesteś jak Tygrysek”, mówiła. „Niezależnie od tego, jak bardzo upadniesz, zawsze się jeszcze raz odbijesz”. – Zaśmiała się drżącym śmiechem, a potem rzuciła książkę w nogi koi, z wyraźnym wysiłkiem przenosząc uwagę na sprawy praktyczne. – Słuchaj, możliwe, że nie będę ci mogła przynieść dziś kolacji. Kucharz nabiera podejrzeń. Postaram się, ale jeśli nie zdołam, to przyniosę ci więcej na śniadanie, okej?

– Okej – odpowiedziałam. – Dziękuję – dodałam pod wpływem jakiegoś impulsu.

Pomyślałam o tym, kiedy wyszła – jakie to głupie, że podziękowałam kobiecie trzymającej mnie w niewoli, kupującej sobie moje posłuszeństwo

poprzez wydzielanie mi jedzenia i leków. Czy to już syndrom sztokholmski?

Może. Chociaż jeśli ja go miałam, to i tak jej przypadek był dużo cięższy od mojego. Może to było bliższe prawdy: nie byłyśmy porywaczką i ofiarą, tylko dwojgiem zwierząt w dwóch przegrodach tej samej klatki. Jej była po prostu odrobinę większa.



Ten dzień mijał rozziewając wolno. Po wyjściu Carrie spacerowałam po pokoju, starając się zignorować coraz większy głód oraz narastający strach przed tym, co może się stać, jeśli Carrie nie uświadomi sobie prawdy o planie Richarda.

Byłam przekonana, że nie zamierzał utrzymać Carrie przy życiu dużo dłużej niż do odegrania odejścia Anne w Bergen. Kiedy zamknęłam oczy, widziałam pod powiekami obrazy – twarz Anne, jej oczy szklane ze strachu, kiedy Carrie wypuściła walizkę. Carrie idącej niewinnie jakąś norweską alejką, a za nią zbliżającą się postać.

A teraz ja...

Żeby pomyśleć o czymś innym, skupiałam się na domu i na Judah, aż w końcu strony *Kubusia Puchatka* zaczęły się rozmywać, a znajome, wytarte zdania rozpląły się w powodzi łez, po której byłam zbyt wyczerpana, by robić cokolwiek poza leżeniem.

Zaczynałam już tracić nadzieję na kolację i byłam bliska konkluzji, że Carrie jednak nie zdołała zdobyć dla mnie żadnego jedzenia, kiedy usłyszałam zewnętrzne drzwi, a potem hałas pospiesznych kroków w korytarzu na zewnątrz. Spodziewałam się, że zapuka, ale usłyszałam tylko klucz w zamku i drzwi otworzyły się na oścież. Było oczywiste, że nie miała przy sobie jedzenia, kiedy tylko weszła do pokoju, ale wszystko to wyleciało mi z głowy, gdy zobaczyłam jej spanikowaną minę.

– On wraca – wybuchła.

– Co?

– Richard. Wraca dziś wieczorem. Miał być jutro, ale dostałam właśnie wiadomość, że wraca dziś.





„Telegraph” Online  
Wtorek, 29 września

Z OSTATNIEJ CHWILI: Podczas poszukiwań zaginionej Brytyjki, Laury Blacklock, odnaleziono drugie ciało



# CZEŚĆ ÓSMA





## 31

– On... on wraca? – Miałam suche usta. – Co to znaczy?

– Jak myślisz, co to może znaczyć? Musimy cię wydostać ze statku. Za jakieś pół godziny przybiją do portu po Richarda. A potem...

Nie musiała więcej mówić. Przełknęłam, język kleił mi się do podniebienia.

– Ja... jak?

Wyciągnęła coś z kieszeni i podała mi, a ja przez chwilę nie rozumiałam. To był paszport, ale nie mój. Jej.

– To jedyny sposób. – Ściągnęła z głowy szal, odkrywając ogoloną głowę, szorstką od odrastających włosków, a potem zaczęła się rozbierać.

– Co ty *robisz*?

– Wsiądziesz ze statku jako Anne i wsiądziesz do samolotu jako ja. Jasne?

– Co? Oszalałaś. Chodź ze mną!

– Nie mogę. Jak mam to, kurwa, wyjaśnić załodze? To jest moja koleżanka, którą trzymałam w ukryciu?

– Powiedz im! Powiedz im prawdę!

Pokręciła głową. Była już teraz w samej bieliźnie, trzęsła się mimo zaduchu i ciepła w stęchłym wnętrzu kajuty.

– I co mam im powiedzieć? Cześć, jestem zupełnie obcą osobą, a kobieta, za którą mnie mieliście, została wyrzucona za burtę? Nie. Nie mam pojęcia, czy mogę im ufać. W najlepszym wypadku on jest ich pracodawcą. W najgorszym...

– Czyli co? – Byłam na skraju hysterii. – Zostaniesz tutaj i pozwolisz mi też się zabić?

– Nie. Mam plan. Przestań się ze mną kłócić i weź moje ubrania.

Wyciągnęła je w moją stronę, zawiniątko jedwabiu, które wydawały się w dłoniach lekkie jak piórko. Ona była szokująco szczupła, przez skórę było jej widać praktycznie wszystkie kości, nie mogłam na to nie patrzeć.

– A teraz daj mi swoje.

– Co? – Spojrzałam na siebie, na moje poplamione, przepocone dzinsy, koszulkę i bluzę z kapturem, które nosiłam już od ponad tygodnia. – To?

– Tak. *Pospiesz się!* – Jej głos był podenerwowany. – Jaki masz rozmiar buta?

– Szóstkę – odparłam tonem stłumionym przez koszulkę, którą właśnie ściągałam.

– Dobrze. Ja też.

Popchnęła w moją stronę espadryle, które miała na sobie, a ja zrzuciłam buty i zaczęłam ściągać dzinsy. Obie byłyśmy teraz w bieliźnie, ja niezręcznie próbowałam się pozakrywać, a ona była całkowicie skupiona i zaczęła wkładać moje rozrzucone ubrania. Wciągnęłam jedwabną tunikę przez głowę, czując, jak droga tkanina chłodno otula moją skórę. Carrie ściągnęła z nadgarstka gumkę i podała mi ją bez słowa.

– Do czego to?

– Do związania włosów. Nie jest to idealne rozwiązanie. Będziesz musiała *bardzo* uważać z szalem, ale to wszystko, co dam radę zrobić. Nie mamy czasu, żeby ogolić ci głowę, a do tego jeszcze, jeśli zamierzasz opuścić kraj z moim paszportem, lepiej, żebyś przy kontroli miała prawdziwe włosy. Nie chcemy dawać im powodów, by przyglądali się zdjęciu.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie mogę być sobą? Przecież policja na pewno mnie szuka?

– Po pierwsze, Richard zabrał twój paszport. A on ma tu wielu znajomych, nie tylko biznesowych. Zna także wysoko postawione osoby w norweskiej policji. Musisz się znaleźć jak najdalej od niego, nim zdąży połączyć fakty. Uciekaj. Uciekaj z wybrzeża. Przedostań się przez granicę do Szwecji. A kiedy wsiądziesz do samolotu, nie leć do Londynu. On się będzie tego spodziewał. Poleć z jakąś przesiadką, może przez Paryż.

– To brzmi absurdalnie – powiedziałam, ale jej podenerwowanie mi się udzieliło. Wsunęłam stopy w espadryle, schowałam paszport do kieszeni kimona. Carrie zapięła moje wintydzowe skórzane buty. Poczułam lekkie ukłucie żalu – te buty były najdroższą częścią garderoby, jaką miałam. Potrzebowałam kilku tygodni i wielu zachęt ze strony Judah, żeby zdobyć się na odwagę i wysupłać na nie pieniądze. Jednak te buty zdawały się niewielkim poświęceniem w zamian za – potencjalnie – moje życie.

W końcu byliśmy już całkiem ubrane – na koi między nami leżała tylko chusta na głowę.

– Siadaj – rzuciła szorstko Carrie.

Usiadłam na brzegu łóżka, podczas gdy ona stanęła za mną i owinęła przepięknie drukowany szal wokół mojej głowy. Był zielony i złoty, wymalowany we wzór poskręcanych lin i kotwic, a mnie nagle przypomniała się Anne – prawdziwa Anne – opadająca w niebieskozielone głębiny, z białymi kończynami wplątanymi w pozostałości tysięcy wraków, unieruchomiona na zawsze.

– Proszę bardzo – powiedziała w końcu Carrie. Wsunęła kilka wsuwek, żeby przytrzymać brzegi szala na miejscu, a potem przyjrzała mi się krytycznie od stóp do głów. – Nie jest idealnie. Nie jesteś dość chuda, ale w kiepskim świetle ujdzie. Dzięki Bogu, że nie poznałam większości marynarzy. – Spojrzała na zegarek. – Dobra. Ostatnia sprawa. Wal.

– Co?

Jej słowa nie miały sensu. O co chodzi?

– Walnij mnie. Uderz moją głowę o koję.

– Co? – Zaczynałam się powtarzać, ale nic nie mogłam na to poradzić. – Oszalałaś? Nie będę cię biła!

– *Uderz mnie* – rzuciła wściekle. – Czy ty nic nie rozumiesz? To musi być przekonujące. To moja jedyna szansa, żeby Richard uwierzył, że nie przyłożyłam do tego ręki. To musi wyglądać tak, jakbyś mnie zaatakowała, jakbyś ze mną wygrała. *Uderz mnie*.

Wzięłam głęboki wdech i trzasnęłam ją dłonią w policzek. Jej głowa odskoczyła, ale to nie było dość mocne, sama to widziałam, nawet kiedy

spojrzała na mnie kwaśno, pocierając sobie policzek.

– Chryste Panie, czy ja muszę wszystko robić sama?

Wzięła głęboki wdech, a potem, nim zdołałam pojąć, co zamierza, walnęła głową w brzeg koi.

Krzyknęłam. Nie umiałam się powstrzymać. Krew zaczęła się lać z płytkiego rozcięcia metalowym skrajem łóżka i kapała po jej – po mojej – białej koszulce, tworząc kałużę na podłodze. Carrie zatoczyła się do tyłu, jęcząc z bólu, i objęła głowę dłońmi.

– *Jezu* – wyjęczała. – Cholera jasna, to bolało. O Boże.

Opadła na kolana, jej oddech był krótki i gwałtowny, a przez sekundę wydawało mi się, że zemdleje.

– Carrie – zawołałam spanikowana, opadając na kolana obok niej. – Carrie, czy ty...

– Nie klękaj w tym, głupia suko! – krzyknęła, odpychając moją rękę. – Chcesz wszystko zniszczyć? Nie możesz mieć krwi na ubraniu! Co, do diabła, powie wtedy załoga? Chryste, o Boże, dlaczego to nie przestaje lecieć?

Wstałam niezręcznie, prawie potykając się o ciągnące się kimono, i przez chwilę tylko stałam, drżąc. Potem się ocknęłam i pobiegłam do łazienki po gruby zwitek papieru.

– Proszę. – Głos mi drżał.

Ona podniosła żałośnie wzrok, a potem wzięła papier i przycisnęła go do rozcięcia. I opadła z powrotem na koję, z poszarzałą twarzą.

– C-co powinnam zrobić? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Jedyne, co może mi pomóc, to to, żeby Richard uwierzył, że pobiłaś mnie tak mocno, że nie mogłam cię zatrzymać. Mam nadzieję, że tyle wystarczy. A teraz spadaj – rzuciła ochryple. – Zanim wróci i wszystko to pójdzie na marne.

– Carrie, ja... Co mogę zrobić?

– Dwie rzeczy – oznajmiła, zgrzytając z bólu zębami. – Po pierwsze, daj mi dwadzieścia cztery godziny, zanim pójdziesz na policję. Okej?



Pokiwałam głową. Nie taki miałam zamiar, ale czułam, że tego przynajmniej nie mogę jej odmówić.

– Po drugie, *wypierdalaj stąd* – jęknęła. Twarz miała tak bladą, że się wystraszyłam, ale jednocześnie wyrażała ona wściekłą determinację. – Próbowałaś mi pomóc, tak? W ten sposób wpakowałaś się w to gówna. Więc to jest jedyna rzecz, którą ja mogę zrobić dla ciebie. Nie marnuj mojego czasu. Spierdalaj stąd!

– Dziękuję – wychrypiałam.

Nie odpowiedziała, tylko machnęła ręką w stronę korytarza. Kiedy doszłam do drzwi, odezwała się:

– Karta do pokoju jest w twojej kieszeni. W torebce na toalecie znajdziesz około pięciu tysięcy koron. Są norweskie, duńskie i szwedzkie, ale wydaje mi się, że łącznie mają wartość około pięciuset funtów. Weź wszystko. Są tam karty kredytowe i dowód osobisty. Nie znam numerów PIN do tych kart. Nie należą do mnie, tylko do Anne. Ale może znajdziesz jakieś miejsce, gdzie wystarczy podpis. Będziesz musiała poprosić kogoś o opuszczenie trapu, żebyś mogła wysiąść na ląd, chyba że już go wyciągnęli dla Richarda. Powiedz im, że właśnie dzwonił i że chcesz mu wyjść naprzeciw.

– Okej – szepnęłam.

– Przebierz się i uciekaj z portu najszybciej, jak zdołasz. – Zamknęła oczy i położyła się. Zwitek papieru przyciśnięty do jej skroni był już przesiąknięty czerwienią. – A, i zamknij mnie na klucz.

– Zamknąć cię? Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. To musi wyglądać przekonująco.

– Ale co, jeśli on tu nie przyjdzie i cię nie odnajdzie?

– Przyjdzie – odparła bezbarwnym tonem. – To pierwsze, co zrobi, kiedy zauważy moje zniknięcie. Przyjdzie sprawdzić, co z tobą.

– Okej... – odparłam niechętnie. – Ja... jaki jest kod do drzwi?

– Do drzwi? – Otworzyła zmęczone oczy. – Jakich drzwi?

– Mówiłaś, że za tymi drzwiami są kolejne. Z elektronicznym panelem na PIN.

– Kłamałam – odparła znużona. – Nie ma żadnych drzwi. Powiedziałam tak tylko po to, żebyś mi nie uciekła. Po prostu idź cały czas w górę.

– To... Dziękuję, Carrie.

– Nie dziękuj mi. – Znowu zamknęła oczy. – Po prostu zwijaj się, dla dobra nas obu. I nie oglądaj się za siebie.

– Okej.

Zrobiłam krok w jej stronę, nie wiem po co – może żeby ją przytulić. Ale ona miała pierś ochlapaną świeżą krwią, która wciąż płynęła z rany na jej skroni. I rzeczywiście – plamy na mojej sukni nikomu by nie pomogły, a już na pewno nie jej.

To była najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam – odwróciłam się od kobiety, która wyglądała, jakby miała się wykrwawić na śmierć, i to wszystko z mojego powodu. Ale wiedziałam, co muszę zrobić – dla dobra nas obu.

– Do widzenia, Carrie – powiedziałam.

Nie odpowiedziała. Uciekłam.



Korytarz na zewnątrz okazał się wąski, było w nim gorąco jak w piekle, nawet jeszcze bardziej niż w tej małej, dusznej kajucie, z której wyszłam. Na drzwiach widniała ciężka zasuwa, wwiercona prosto w plastik, a na niej ciężka kłódka z wystającym z niej kluczem. Zatrzasnęłam ją, przełknęłam wzbierające mi w gardle poczucie winy, a potem się zawahałam, trzymając klucz. Powinam go zabrać? Zostawiłam go. Nie chciałam, żeby Carrie spędziła tam choćby chwilę dłużej, niż musiała.

Drzwi kajuty znajdowały się na końcu burego, beżowego korytarza. Na drugim końcu zobaczyłam drzwi oznaczone tabliczką: „Nie wchodzić – tylko dla upoważnionych”, a za nimi znajdowały się schody. Rzuciłam jedno zbolełe spojrzenie za siebie, na zamknięte drzwi kajuty, za którymi krwawiła Carrie, a potem pobiegłam w stronę schodów i zaczęłam się wspinać.

Wspinałam się i wspinałam, serce waliło mi w piersi, nieużywane dawno nogi drżały. Czułam, jak spocona dłoń ślizga się na plastikowej poręczy, i przypominał mi się oślepiający blask Wielkich Schodów, błysk kryształu, polerowana mahoniowa poręcz pod moimi palcami, gładka jak jedwab. Poczułam, jak wzbiera we mnie jakiś śmiech, równie irracjonalny jak wtedy, gdy chichotałam podczas pogrzebu babci. Mój strach i przerażenie zaczęły się przeradzać w histerię.

Pokręciłam głową i parłam dalej, na kolejne piętro; minęłam drzwi oznaczone „Obsługa” i „Tylko dla personelu”.

Wspinałam się dalej, aż w końcu dotarłam do wielkich, stalowych drzwi ze sztabą, podobnych do wyjścia pożarowego. Stałam tam przez chwilę, dysząc po długiej wspinaczce i czując, jak zimny pot zbiera mi się u podstawy kręgosłupa. Co było po drugiej stronie?

Za mną leżała Carrie, zwinięta na koi w tej dusznej trumnie zwanej kajutą. Przewróciło mi się w żołądku i zmusiłam się, żeby pozbyć się tego obrazu z głowy. Skupić się, zimno i świadomie, na czekających mnie dalszych krokach. Musiałam się wydostać – a potem, kiedy tylko będę bezpieczna, mogę... co? Wezwać policję, wbrew prośbie Carrie?

Kiedy tam stałam, z dłonią na drzwiach, boleśnie wróciła do mnie tamta noc w moim mieszkaniu – kiedy chowałam się we własnej sypialni, zbyt przerażona, by otworzyć drzwi i skonfrontować się z tym, co... kto był po drugiej stronie. Może lepiej by było, gdybym rozwaliła kopniakiem zamknięte drzwi, wypadła z pokoju i stawiała mu czoła, nawet gdyby wiązało się to ze strasznym pobiciem. Mogłabym teraz wracać w szpitalu do sił, z Judah u boku, a nie tkwić uwięziona w tym koszmarze na jawie.

Cóż, tym razem drzwi nie były zamknięte.

Popchnęłam je i otworzyłam.



To światło. Uderzyło mnie prosto twarz, aż zamrugałam i zakręciło mi się w głowie, gdy stałam wpatrzona w tęczowe pryzmaty tysiąca kryształów Swarovskiego. Służbowe drzwi prowadziły prosto na Wielkie Schody, gdzie żyrandol świecił dzień i noc, niczym ogromne „Pierdol się” wymierzone wprost w ekonomię, umiar i globalne ocieplenie, nie wspominając już o dobrym smaku.

Chwyciłam się polerowanej drewnianej poręczy, żeby złapać równowagę, rozglądając się na lewo i prawo. Na zakręcie schodów było lustro, które odbijało błysk żyrandola, powielając wielokrotnie jego roztańczone światło, a kiedy się obróciłam i zauważyłam w lustrze siebie, przez chwilę nie mogłam uwierzyć, serce podeszło mi do gardła – bo w tej szybie dostrzegłam Anne, z głową opatuloną złotem i zielenią, z wystraszonymi i zasinionymi oczami.

Wyglądałam na kogoś, kim byłam – na zbiega. Zmusiłam się, żeby się wyprostować i iść wolniej, mimo że miałam ochotę zmykać niczym przerażony szczur.

„Szybciej, szybciej, szybciej” – warknął głos w mojej głowie. „Bullmer nadchodzi. Ruszaj się”. Ale szłam powoli i statecznie, przypominając sobie dostojną postawę Anne – Carrie – która mierzyła każdy krok niczym ktoś, kto stara się oszczędzać siły. Szłam w kierunku dziobu statku, do pierwszej kajuty, w kieszeni ścisnęłam kartę do tego apartamentu, czując jej uspokajający kształt pod spoconymi palcami.

A potem trafiłam w ślepy zaułek; schody prowadziły do restauracji, nie dało się przejść na dziób. *Kurwa*. Musiałam źle skręcić.

Odwrociłam się, próbując sobie przypomnieć trasę, którą szłam, gdy spotkałam Anne – Carrie – tamtego wieczoru przed Trondheim. Boże. Czy to naprawdę było zaledwie w ubiegłym tygodniu? Miałam wrażenie, że minęły całe wieki, całe życie. Chwileczkę – chyba powinnam skręcić w prawo przy bibliotece, nie w lewo. Czy nie?

*Pospiesz się, na Boga, szybciej!*

Ale szłam spokojnie, z wysoko uniesioną głową, starając się nie oglądać za siebie i nie wyobrażać sobie, że jakieś dłonie chwytają mnie za powiewającą jedwabną suknię i ściągają z powrotem w dół. Skręciłam w prawo, potem w lewo, minęłam magazyn. Wydawało mi się, że to dobra droga. Byłam pewna, że pamiętałam zdjęcie lodowca.

Kolejny zakręt – i kolejna ślepa uliczka, ze schodami prowadzącymi na pokład. Chciałam się rozplakać. Gdzie były cholerne *oznakowania*? Czy pasażerowie mieli tu znajdować kajuty telepatycznie? Czy też apartament Nobla celowo został ukryty, żeby zwykli ludzie nie mogli nachodzić VIP-ów?

Pochyliłam się, położyłam ręce na kolana i poczułam, jak mięśnie trzęsą mi się pod jedwabiem. Oddychałam powoli, starając się uwierzyć w siebie. Byłam w stanie sobie z tym poradzić. Nie mogłam wciąż błąkać się po korytarzach, płacząc, kiedy Richard wejdzie po trapie.

*Wdech... Raz... Dwa...* Kojący głos Barry'ego w mojej głowie zezłościł mnie na tyle, że wyprostowałam się i ruszyłam znów naprzód. Wsadź to sobie, Barry. Wsadź sobie to pozytywne myślenie w jakieś bolesne miejsce.

Znów byłam w bibliotece i spróbowałam jeszcze raz, tym razem skręciłam w lewo przy magazynie. I nagle znalazłam się na miejscu. Przede mną widniały drzwi do apartamentu.

Poszukałam klucza w kieszeni, czując, jak adrenalina łączy wszystkie neurony w moim ciele. Co, jeśli Richard zdążył już wrócić?

*Nie bądź znowu przegrywem, który stchórzył pod tymi drzwiami, Lo. Dasz radę.*

Wsunęłam kartę i otworzyłam drzwi, bardzo szybko, gotowa wycofać się i uciekać, gdyby ktoś był w środku.

Ale nikogo tam nie było. Światła zostały zapalone, ale było pusto, drzwi do łazienki i osobnej sypialni stały otworem.

Nogi się pode mną ugięły i opadłam na kolana na gruby dywan, a w gardle wezbrało mi coś bliskiego szlochu. Ale nie byłam jeszcze bezpieczna. Nie byłam nawet jeszcze w połowie drogi. Torebka. Torebka, pieniądze, płaszcz, a potem spadam z tego cholernego statku na zawsze.

Zamknęłam za sobą drzwi, ściągnęłam kimono i szybko, bo tu i tak nikt nie przyglądał się moim gorączkowym ruchom, zaczęłam przeszukiwać szuflady Anne. Pierwsze spodnie, które przymierzyłam, to były dzinsy, niemożliwie ciasne, nie mogłam ich wciągnąć nawet do połowy ud. Znalazłam jednak sportowe legginsy, w które zdołałam się wcisnąć, a do tego anonimową czarną koszulkę. Potem zarzuciłam na to z powrotem kimono, ciasno je zawiązałam i poprawiłam w lustrze szal na głowie, bo trochę się zsunął.

Żałowałam, że nie mogę włożyć ciemnych okularów, ale za oknem było czarno – zegar na nocnym stoliku Anne pokazywał kwadrans po dwudziestej trzeciej. O Boże, Richard mógł wrócić w każdej chwili.

Z powrotem wsunęłam na nogi espadryle Carrie, a potem rozejrzałam się za portmonetką, o której mówiła. Nie leżała na nieskazitelnie wypolerowanej toalecie, ale otworzyłam losowo kilka szuflad, zastanawiając się, czy pokojówka nie odłożyła jej czasem dla bezpieczeństwa. Pierwsza szuflada była pusta. Druga była wypełniona wzorzystymi chustami na głowę i... Już miałam ją zamknąć, kiedy zauważyłam, że pod jedwabiami chyba coś się kryje, jakiś twardy, płaski kształt wśród cienkich niczym pajęczyna chust. Odsunęłam je na bok – i oddech zamarł mi w piersi.

Pod nimi leżał pistolet. Nigdy nie widziałam żadnego na żywo i znieruchomiałam, jakbym się spodziewała, że wystrzeli, nawet jeśli nikt go nie dotyka, a z tyłu mojej głowy zaczęły się kłębić pytania. Powinam go zabrać? Był nabity? Czy w ogóle był *prawdziwy*? Głupie pytanie – wątpiałam, by ktokolwiek zwracał sobie głowę trzymaniem w kajucie repliki broni.

A jeśli chodzi o to, czy powinnam ją zabrać... Próbowałam sobie wyobrazić, jak celuję do kogoś z pistoletu, i nie udało mi się. Nie, nie mogłam go zabrać. Nie tylko dlatego, że nie miałam pojęcia, jak go używać, i wielce prawdopodobne, że prędzej postrzeliłabym siebie niż kogokolwiek innego, ale bardziej dlatego, że *musiałam* przekonać policję, by mi uwierzyła i zaufała, a pojawienie się na komisariacie ze skradzionym, nabitym pistoletem w kieszeni skończyłoby się tak, że prędzej by mnie zamknięto, niż wysłuchano.

Z pewną niechęcią nakryłam go z powrotem szalami, zasunęłam szufladę i wróciłam do poszukiwań portfela.

Znalazłam ją w trzeciej szufladzie od dołu: portmonetkę z brązowej skóry, trochę zużytą, ułożoną ostrożnie na stosiku dokumentów. W środku znajdowało się kilkanaście kart kredytowych i garść banknotów – nie miałam czasu ich liczyć, ale spokojnie mogło być to te pięć tysięcy koron, o których wspomniała Carrie, może więcej. Wsunęłam portmonetkę do kieszeni legginsów, pod kimonem, a potem po raz ostatni rozejrzałam się po pokoju, gotowa do wyjścia. Wszystko wyglądało tak, jak kiedy przyszłam, z wyjątkiem tego portfela. Pora ruszać.

Wzięłam głęboki wdech, przygotowałam się, a potem otworzyłam drzwi. Kiedy to zrobiłam, usłyszałam głosy na korytarzu. Przez chwilę zastanawiałam się, czy po prostu bezczelnie nie wyjść. Ale wtedy jeden z głosów odezwał się nieco flirtującym tonem:

– Oczywiście, proszę pana, wszystko, co mogę zrobić dla pańskiej satysfakcji...

Nie czekałam, aż usłyszę więcej. Z ukradkowym kliknięciem zatrzasnęłam drzwi, przygasiłam światło i stałam tak w ciemności, oparta plecami o solidne drewno, a moje serce waliło z zawrotną prędkością. Palce miałam zimne i zdrętwiałe, nogi słabe, ale to moje serce – serce pędzące jak szalone w niekontrolowanym, spanikowanym, wystraszonej rytmie – mogło mnie zdradzić. Kurwa, kurwa, kurwa! *Oddychaj, Laura. Raz, dwa...*

*Zamknij się, do cholery!*



Nie miałam pojęcia, czy ten krzyk rozległ się w mojej głowie, ale jakoś, z ogromnym wysiłkiem, zdołałam oderwać się od drzwi i wypaść na werandę. Szklane drzwi się rozsunęły i już byłam na zewnątrz, a chłodne wrześnie powietrze zaskoczyło moją skórę, która od wielu dni nie czuła świeżego powietrza.

Stałam tak przez chwilę, oparta plecami o szybę, czując swój puls w skroniach i gardle, a moje serce waliło o żebra. Potem wzięłam głęboki wdech i przesunęłam się na bok, tam gdzie weranda zakreślała wzdłuż rogu statku. Nie było mnie teraz widać przez okno, opierałam się plecami o zimny, stalowy kadłub, ale widziałam błysk światła, kiedy drzwi na korytarz się otworzyły, a potem rozbłysły lampy w kajucie, oświetlając też werandę. *Nie wychodź, nie wychodź*, modliłam się, kuląc się w rogu, czekając na kliknięcie i rozsunięcie szyby. Ale nic takiego się nie stało.

Pokój odbijał się w szklanej osłonie. Obraz był przecięty na pół w miejscu, gdzie szyba kończyła się na wysokości żeber, a odbicie powielało się w podwójnych i potrójnych warstwach szyby. Ale widziałam w pokoju jakiegoś mężczyznę, który się po nim kręcił. Jego ciemna sylwetka przesunęła się w kierunku łazienki i usłyszałam szum kranów oraz plusk toalety, a potem zaczął grać telewizor, to niebiesko-białe mruganie od razu rozpoznałam w odbiciu na szybie. Prócz jego dźwięków dosłyszałam też rozmowę telefoniczną oraz imię „Anne” i wstrzymałam oddech. Czy on pytał, gdzie mogła być Carrie? Ile czasu minie, nim pójdzie jej szukać?

Rozmowa najwyraźniej się zakończyła, a przynajmniej mężczyzna przestał mówić, i zobaczyłam, jak jego sylwetka znów się poruszyła, kiedy opadł na białą przestrzeń łóżka. Był cieniem rozciągniętym na jego jasnym prostokącie.

Czekałam, robiło mi się coraz zimniej, przestępowałam z nogi na nogę, próbując choćby odrobinę się ogrzać, ale nie śmiałam poruszyć się bardziej, żeby on nie dostrzegł jakiegoś ruchu odbitego w tej samej szklanej przegrodzie, w której ja go podglądałam. Noc była niewiarygodnie piękna i po raz pierwszy, odkąd tu wyszłam, rozejrzałam się wokół.

Byliśmy w głębi jednego z fiordów, wokół nas wznosiły się skaliste ściany doliny, a woda pod nami była czarna, nieruchoma i nieokreślenie głęboka. Po drugiej stronie fiordu widziałam światła jakiejś małej osady oraz latarnie łodzi zacumowanych na spokojnych wodach. Ponad tym wszystkim górowały gwiazdy – czyste i białe, niemal nieznośnie piękne. Pomyślałam o Carrie, głęboko w dole, uwięzionej i krwawiącej niczym zwierzę we wnykach... Proszę, dobry Boże, niech ją znajdą. Nie mogłabym znieść, gdyby coś jej się stało. Byłam odpowiedzialna za zamknięcie jej tam, za pozostawienie jej zgodnie z tym szalonym planem.

Czekałam, nie mogąc już powstrzymać drżenia, aż Richard pójdzie spać. Ale nie zasypiał. Przygasił przynajmniej lekko światła, ale telewizor dalej świecił, a migające obrazy rzucały na pokój odcienie niebieskiego i zielonego, chwilami robiło się czarno. Znowu przestąpiłam z nogi na nogę, wsuwając chłodne dłonie pod pachy. A jeśli zasnął przed telewizorem? Skąd miałabym o tym wiedzieć? Ale nawet gdyby zasnął porządnie i głęboko, nie byłam pewna, czy zdobyłabym się na taką odwagę, by wejść do pokoju mordercy i przejść tamtędy na palcach, kiedy on spał zaledwie kilkanaście centymetrów obok.

Więc jaki miałam wybór? Czekać, aż pójdzie szukać Carrie?

A potem coś usłyszałam, coś, co sprawiło, że serce mi zamarło, a potem znów ruszyło, z dwukrotnym przyspieszeniem. Silnik statku zaczął pracować.

Zalała mnie panika, niczym zimna morska fala, i starałam się myśleć – jeszcze się nie poruszaliśmy. Była szansa, że trap wciąż był opuszczony. Słyszałabym, gdyby go podnosili. Pamiętałam, że kiedy wyruszyliśmy z Hull, silnik mruczał i brzęczał jeszcze długo, zanim naprawdę odbiliśmy od brzegu. Ale czas uciekał. Ile mi zostało? Pół godziny? Kwadrans? Może mniej, skoro na pokładzie nie było żadnych pasażerów, to po co czekać.

Stałam tak, zamarłam, nie będąc w stanie podjąć żadnej decyzji. Powinnam zaryzykować ucieczkę? Czy Richard spał? Nie umiałam tego ocenić po odbiciu na ścianie balkonu – było zbyt rozmyte i nieczytelne.

Wyciągając głowę i poruszając się najdelikatniej, jak byłam w stanie, wyjrzałam zza rogu drzwi werandy do cichego pokoju – ale właśnie wtedy

on się poruszył i sięgnął po szklankę, a potem ją odstawił, ja zaś szybko cofnęłam głowę; serce mi waliło.

*Kurwa.* Musiała być pierwsza nad ranem. Dlaczego on nie spał? Czekał na Carrie? Przecież musiałam zsiąść z tego statku. *Musiałam.*

Pomyślałam o oknach werandy, o tym, że można je otworzyć z zewnątrz, a ktoś bardzo odważny – lub bardzo głupi – mógłby się wspiąć po wysokiej szybie pomiędzy werandami i wejść do sąsiedniej kajuty. W środku mogłabym się z niej wydostać, a potem uciec w kierunku trapu. Było mi obojętnie, jaką historię musiałabym zmyślić, gdybym już tam dotarła. Na pewno zdołałabym się wydostać, jeśli nie dla mnie, to chociaż dla Anne i Carrie.

Nie – pieprzyć to. Dla *mnie*.

Musiałam opuścić statek dla siebie – ponieważ nie zrobiłam niczego, by sobie na to zasłużyć, poza tym że znalazłam się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nie zamierzałam pozwolić, by Bullmer dodał mnie do swojej listy kobiet, którym zniszczył życie.

Spojrzałam na siebie, na miękkie i śliskie kimono, w którym nie sposób się wspinać. Odwiązałam pasek i zrzuciłam z siebie delikatny jedwab. Opadł na podłogę z delikatnym szelestem. Podniosłam materiał, zwinęłam w możliwie najciaśniejszą kulę i przerzuciłam go przez przegrodę, a on wylądował z delikatnym, ledwie dosłyszalnym „pac”.

Potem spojrzałam w górę, na wyższą ode mnie szybę, i przełknęłam.

Nie byłam w stanie wspiąć się na samą przegrodę, to było oczywiste. A przynajmniej nie bez jakiegoś poważnego sprzętu albo drabiny. Ale szklana ściana wychodząca na morze – na nią prawdopodobnie mogłam się wspiąć. Kończyła się na wysokości moich żeber, a ja byłam dość gibka, żeby przełożyć przez nią jedną nogę i podciągnąć się, by usiąść na niej okrakiem, a tam wstać, przytrzymując się szklanej przegrody.

Był tylko jeden problem. To było ponad morzem.

Nie boję się wody – a przynajmniej nigdy się nie bałam. Ale kiedy wyjrzałam na te ciemne fale, przywierające zażarcie do kadłuba statku,

poczułam, jak ściska mnie w żołądku i coś się w nim przewróciło, jakby nawrót choroby morskiej.

Cholera. Naprawdę miałam to zrobić? Najwyraźniej tak.

Wytarłam spocone dłonie o legginsy z lycry i zrobiłam głęboki wdech. To nie mogło być łatwe, nie oszukiwałam się, ale *było* możliwe. W końcu Carrie to zrobiła, żeby wejść do mojej kajuty. Jeśli ona dała radę, ja też mogłam.

Wyciągnęłam palce, a potem powoli zahaczyłam jedną nogą o szybę wychodzącą na morze i wykorzystując całą siłę swoich osłabionych przebywaniem w zamknięciu mięśni, podciągnęłam się tak, że usiadłam okrakiem na szklanej ścianie. Na lewo miałam kajutę z rozsuniętymi zasłonami, a drzwi werandy pozwalały mi dokładnie zobaczyć każdemu, kto obróciłby głowę w tę stronę. Na prawo była stroma przepaść prosto w wody fiordu pode mną – nie miałam pojęcia, jak daleko, ale pod tym kątem wyglądało to na wysokość podobną do dwóch-trzech pięter domu mieszkalnego. Nie byłam pewna, która strona była bardziej przerażająca – miałam tylko nadzieję, że moje ruchy nie przyciągną uwagi Richarda. Przełknęłam, chwyciłam się nogami śliskiej szyby i próbowałam się zebrać na odwagę. Nie zrobiłam jeszcze najtrudniejszego. To był ten moment.

Trzęsąc się ze strachu i wysiłku, podniosłam jedną stopę przed siebie i chwyciłam się brzegu mlecznej osłony, a potem podciągnęłam się i stanęłam. Teraz musiałam tylko przerzucić swój ciężar na drugą stronę boku przegrody, tego wychodzącego na morze, i zeskoczyć bezpiecznie na drugą stronę.

„Tylko”. No jasne.

Nabrałam głęboko tchu i poczułam, że moje zimne, spocone palce ześlizgują się po szybie. Cholera, nie miałam się czego *chwycić*. Skoro każda część tego statku została odpicowana, to czy nie mogli też dać jakiejś błyskotki na tę przegrodę? Może parę kryształów górskich, jakieś eleganckie złobienie, *cokolwiek*, o co mogłabym zahaczyć palce?

Wyciągnęłam jedną stopę, przestawiłam ją na drugą stronę wysokiej szklanej szyby... i od razu wiedziałam, że te espadryle to był błąd.

Nie zdjęłam ich, bo myślałam, że ochronią mi stopy, a dodatkowa przyczepność do szyby nie zaszkodzi, jednak kiedy mój ciężar zawisł nad wodą, poczułam, jak podeszwa stopy, na której się podpierałam, ześlizguje się z ostrego brzegu.

Krzyknęłam i rozpaczliwie zacisnęłam palce na szybie przed sobą. Gdybym była w stanie utrzymać się tylko siłą woli, udałoby mi się. Poczułam, jak złamał mi się jeden paznokieć, potem drugi – a potem jakby szyba została mi wyrwana spomiędzy palców, którymi gorączkowo próbowałam ją utrzymać, z taką gwałtownością, że nie byłam już w stanie zareagować – nawet krzykiem.

Przez krótki, przerażający moment czułam wiatr na policzku, moje włosy załopotały w ciemności, dłonie wciąż ścisnęły powietrze. Spadałam, spadałam tyłem w stronę niezgłębionych wód fiordu.

Upadłam w czerń morza z dźwiękiem przypominającym wystrzał, a to gwałtowne, silne uderzenie sprawiło, że oddech zamarł mi w płucach.

Czułam bąbelki powietrza umykające ze mnie, kiedy przecięłam powierzchnię, a lodowate zimno wody przeniknęło mnie do kości, podczas gdy osuwałam się coraz głębiej w czerń. A potem jakiś łagodny prąd wzniosł się pode mną, chwycił mnie za stopy i pociągnął.



## 33

Nie pamiętam, co czułam, kiedy tonęłam – tylko to druzgocące uderzenie o powierzchnię wody, a potem paralizujące zimno. Pamiętam jednak wzbierającą we mnie panikę, kiedy głęboko, głęboko w dole pochwycił mnie prąd.

*Kopcie*, powiedziałam swoim nogom, czując, jak oddech utyka mi w gardle. I kopałam. W czerni, w zimnie, kopałam, po pierwsze dlatego, że nie chciałam umrzeć, a potem, gdy zaczęło mnie pochłaniać to czarne zimno, nie było już nic innego, co mogłabym zrobić, ponieważ płuca wołały o oddech i wiedziałam, że jeśli wkrótce nie wynurzę się na powierzchnię, to umrę.

Prąd chwycił mnie i ciągnął za nogi śliskimi palcami, próbując wciągnąć mnie głębiej w ciemność fiordu, a ja kopałam i kopałam coraz bardziej zdesperowana i zrozpaczona. W tej czerni, z wirującymi wszędzie wokół prądami wody, niemal nie sposób było odróżnić góry od dołu. Co, jeśli kierowałam się coraz głębiej? A jednak nie odważyłam się przestać. Instynkt przetrwania był zbyt silny. *Umierasz!* – krzyczał głos z tyłu mojej głowy. A moje nogi nie umiały odpowiedzieć na niego inaczej, jak tylko kopiąc, kopiąc i kopiąc.

Zacisnęłam oczy, bo szczypała mnie w nie sól, a pod moimi zamkniętymi powiekami zaczęły rozbłyskać i migotać światła, przerażająco podobne do błysków odbierających mi widzenie podczas ataków paniki. Jednak o dziwo, co niewiarygodne, kiedy znowu otworzyłam oczy, dostrzegłam coś: blady, świetlisty blask księżyca na wodzie.

Przez sekundę prawie w to nie uwierzyłam, ale zbliżał się on coraz bardziej, a nacisk prądu na moje ciało malał, aż w końcu wynurzyłam się na powierzchnię i zaczerpnęłam tchu, co brzmiało raczej jak krzyk niż wdech. Woda spływała mi po twarzy, kaszlałam, szlochałam i znów kaszlałam.

Byłam bardzo blisko kadłuba statku, na tyle blisko, by czuć pulsowanie silnika, które niosło się po wodzie, więc wiedziałam, że muszę płynąć dalej. Nie tylko dlatego, że miałam świadomość, iż nawet w niezbyt zimnym morzu można umrzeć w wyniku hipotermii, ale co ważniejsze, gdyby statek zaczął się poruszać, kiedy ja znajdowałam się tak blisko, nie ocaliłoby mnie nic poza boską interwencją. A w tych ostatnich kilku dniach miałam dość pecha, by myśleć, że jeśli jest tam jakiś Bóg, to najwyraźniej niezbyt mnie lubi.

Drżąc, przebierałam nogami i próbowałam zebrać się w sobie. Wynurzyłam się przed statkiem i dostrzegłam rząd świateł na nabrzeżu oraz ciemny kształt czegoś, co mogło być drabiną, chociaż moje zalane łzami oczy nie pozwalały mi się dobrze przyjrzeć.

Trudno mi było podporządkować sobie ciało; tak bardzo się trzęsłam, że ledwo byłam w stanie zapanować nad kończynami, ale zmusiłam ramiona i nogi, żeby zaczęły się poruszać, i stopniowo zaczęłam płynąć w stronę świateł, kaszłając między falami uderzającymi mnie w twarz, czując chłód wody przeszywający mnie aż do kości i zmuszający do powolnego, głębokiego oddechu, mimo że każda część mojego ciała pragnęła sapać i dyszeć pod wpływem fizycznego ataku zimna. Coś miękkiego, lecz zwarte obilo mi się o twarz, gdy płynęłam, i wzdrygnęłam się, ale bardziej z zimna niż obrzydzenia. Martwymi szczurami i rozkładającymi się rybami będę się martwić na lądzie. Teraz jedyne, co mnie obchodziło, to przetrwanie.

Spadłam nie dalej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów od brzegu, ale teraz zdawało mi się to dużo dalej. Płynęłam i płynęłam, a czasami mogłam przysiąc, że światła wybrzeża oddalają się ode mnie, innym razem znów wydawały się tak blisko, że dałoby się je niemal chwycić – ale w końcu poczułam zardzewiałe żelazo drabiny, które uderzyło o moje zdrętwiałe palce. Zaczęłam się wspinać i ześlizgiwać, ześlizgiwać



i wspinać, starając się nie zwalniać uścisku palców, kiedy wciągałam swoje mokre i drżące kończyny po szczelkach.

Na skraju nabrzeża upadłam na beton i dyszałam, kaszlałam, trzęsłam się. Po chwili podniosłam się na dłoniach i kolanach, po czym spojrzałam w górę, najpierw na Aurorę, a potem na małe miasteczko przede mną.

To nie było Bergen. Nie miałam pojęcia, gdzie się znaleźliśmy, ale wyglądało to na jakąś małą osadę, ledwie wioskę, i tak późno w nocy nie było tam żywej duszy. Wzdłuż wybrzeża stało kilka kawiarni i barów, ale wszystkie zamknięte. W kilku sklepowych wystawach świeciły się światła, ale jedyny budynek, jaki dojrzałam, który wyglądał, jakby ktoś mógł otworzyć w nim drzwi, to hotel wychodzący na zatokę.

Trzęsąc się, podniosłam się na nogi, przeszłam pod niskim łańcuchem, który odgradzał stromą przepaść od lądu, i na wpół poszłam, na wpół powlokłam się w kierunku hotelu. Silnik Aurory zaczął teraz pracować głośniejsze, jakoś bardziej niespokojnie. Kiedy przemierzałam betonową część nabrzeża, która wydawała mi się nieskończona, znowu zahuczał głośniejsze, a potem rozległ się dźwięk chlupoczącej wody. Odwróciłam się za siebie ze strachem i zobaczyłam, że statek ruszył, z dziobem skierowanym na zewnątrz fiordu, a jego silniki zgrzytały i buczały, podczas gdy okręt powoli oddalał się od brzegu.

Szybko uciekłam spojrzeniem, przepełniona obawą, że jeśli tylko odwrócę się, by zerknąć na statek, przyciągnę uwagę ludzi na pokładzie.

Gdy dotarłam do schodów prowadzących do drzwi hotelu, silnik znów przyspieszył, a ja poczułam, że nogi się pode mną uginają. Waliłam, waliłam, waliłam w te drzwi. Usłyszałam swój głos mówiący: „Proszę, proszę, och, proszę, niech ktoś przyjdzie...”. A potem drzwi się otworzyły, wylało się przez nie światło i ciepło, a ja poczułam, że ktoś mnie podniósł i wciągnął przez próg w bezpieczne miejsce.



Jakieś pół godziny później siedziałam skulona w wiklinowym fotelu, owinięta syntetycznym czerwonym kocem na słabo oświetlonym, oszklonym tarasie wychodzącym na zatokę. W dłoniach trzymałam kubek kawy, ale byłam zbyt zmęczona, żeby ją pić. W tle słyszałam jakieś głosy mówiące po... To chyba musiał być norweski. Obezwładniało mnie zmęczenie. Czulałam się, jakbym nie spała porządnie od wielu dni – co było prawdą. Broda opadała mi na pierś, a potem podnosiłam ją szybko z powrotem, jakbym sobie przypominała, gdzie byłam i skąd uciekłam. Czy to było prawdziwe, ten koszmar o pięknym statku z całą przypominającą trumnę, głęboko pod falami? Czy to tylko jedna, bardzo długa halucynacja?

Na wpół drzemałam, na wpół obserwowałam światła wciąż czarnej zatoki, a odległa kropka Aurory daleko poza fiordem przesuwała się na zachód. I wtedy usłyszałam ponad ramieniem czyjś głos.

– Proszę pani?

Podniosłam wzrok. Był to mężczyzna z lekko przekrzywioną plakieta z napisem „Erik Fossum – główny menedżer”. Wyglądał, jakby wyciągnięto go z łóżka, włosy miał rozczochrane, a guziki koszuli krzywo zapięte. Przesunął dłonią po nieogolonej brodzie, po czym usiadł w fotelu naprzeciw mnie.

– Dzień dobry – odparłam znużonym tonem.

Opowiedziałam już swoją historię mężczyźnie w recepcji, przynajmniej tyle, ile uznałam, że mogę bezpiecznie zdradzić, oraz na ile pozwalał jego angielski. To był ewidentnie nocny portier, wyglądał i brzmiał bardziej na Hiszpana lub Turka niż Norwega, chociaż chyba po norwesku mówił lepiej niż po angielsku, który może wystarczał mu do udzielania informacji o meldowaniu i godzinach otwarcia, ale nie nadawał się do mojej pokręconej opowieści o zmianie tożsamości i morderstwie.

Widziałam, że pokazywał menedżerowi jedyny dowód osobisty, jaki przy sobie miałam – ten należący do Anne – i słyszałam jego cichy, ostrożny ton, a także własne nazwisko powtarzane kilka razy.

Teraz mężczyzna siedzący naprzeciw mnie splótł palce i uśmiechnął się nerwowo.

– Pani... Black Lock, dobrze mówię?

Pokiwałam głową.

– Nie do końca rozumiem. Szef nocnej zmiany próbował mi to wyjaśnić, ale jak to się stało, że ma pani przy sobie karty kredytowe Anne Bullmer? Dobrze znamy Anne i Richarda, czasami się tu zatrzymują. Czy jest pani ich znajomą?

Przyłożyłam ręce do twarzy, tak jakbym mogła wcisnąć do niej z powrotem zmęczenie, które groziło, że mnie obezwładni.

– To... to naprawdę długa historia. Proszę, czy mogę tutaj skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić na policję.

Podjęłam już decyzję, kiedy zawisłam – ociekająca wodą i wykończona – na wypolerowanej ladzie recepcji. Mimo obietnicy danej Carrie to była moja największa szansa, by ją uratować. Ani przez sekundę nie wierzyłam, że Richard pozwoli jej żyć. Za dużo wiedziała, za dużo spieprzyła. Bez chusty na głowie nie mogłam już udawać Anne, a bez paszportu Carrie nie byłam też w stanie odgrywać jej, a oba zaginęły gdzieś w zatoce, głęboko pod wodą. Przetrwał tylko portfel Anne, jakimś cudem ocalał w kieszeni legginsów z lycrą, kiedy wypełzłam po drabinie z wody.

– Oczywiście – odparł współczującym tonem Erik. – Czy chciałaby pani, żebym to ja zadzwonił? Możliwe, że w środku nocy nie dyżuruje tam nikt mówiący po angielsku. I muszę panią ostrzec, w tym miasteczku nie mamy komisariatu; najbliższy znajduje się kilka godzin stąd, w sąsiedniej... jak to się mówi... w sąsiedniej dolinie. Pewnie dopiero jutro ktoś będzie mógł stamtąd dojechać.

– Ale proszę im powiedzieć, że to pilne – odparłam znużona. – Im szybciej, tym lepiej. Mogę zapłacić za nocleg. Mam pieniądze.

– Proszę się tym nie przejmować – odparł z uśmiechem. – Czy podać pani coś jeszcze do picia?

– Nie, nie, dziękuję. Proszę tylko im powiedzieć, żeby przyjechali *jak najszybciej*. Ktoś może być w stanie zagrożenia życia.

Ciężko oparłam głowę na dłoni, powieki prawie mi się zamknęły, a on wrócił do recepcji i usłyszałam dźwięk podnoszonej słuchawki, a potem pik-

pik-pik wybieranego numeru. Wydawał się długi. Może w Norwegii mieli inną wersję 999. Albo może dzwonił na lokalny komisariat.

Dzwonił. Ktoś po drugiej stronie odebrał i nastąpiła krótka rozmowa. Przez mgłę wyczerpania usłyszałam, jak Erik mówi coś po norwesku, z czego wychyciłam tylko słowo „hotel”. Potem nastąpiła przerwa i kolejna seria po norwesku. Potem usłyszałam swoje nazwisko, powtórzone dwa razy, a następnie „Anne”.

– *Ja, din kone, Anne* – powtórzył Erik, jakby osoba po drugiej stronie nie dosłyszała albo nie dowierzała jego słowom. Potem jeszcze coś po norwesku, śmiech i na końcu: – *Takk, farvel, Richard*.

Moja głowa oparta o rękę podskoczyła, a ja cała nagle oblałam się zimnym potem i znieruchomiałam.

Wyjrzałam na statki w zatoce, na Aurorę i jej światła znikające w oddali. I... czy to tylko moja wyobraźnia? Wyglądało na to, że statek się zatrzymał.

Siedziałam tak jeszcze przez chwilę, obserwując światła, próbując zmierzyć ich odległość w stosunku do charakterystycznych punktów zatoki, i wreszcie się upewniłam. Aurora nie wypływała już z fiordu na zachód. Zawracała. Wracała do portu.

Erik się rozłączył i wybierał teraz inny numer.

– *Politiet, takk* – powiedział, kiedy ktoś odebrał.

Przez chwilę nie mogłam się poruszyć, świadomość tego, co zrobiłam, unieruchomiła mnie. Nie wierzyłam za bardzo w ostrzeżenia Carrie przed siecią wpływów Richarda. Uznałam je za paranoję kobiety, która została zbyt skrzywdzona, by wierzyć w możliwość ucieczki. Ale teraz... teraz te lęki wydały mi się aż zbyt prawdziwe.

Delikatnie odstawiłam kawę na stół, pozwoliłam, by czerwony koc opadł na podłogę, i bardzo cicho otworzyłam drzwi na taras, po czym wymknęłam się w noc.



## 34

Pobiegłam krętymi ulicami małego miasteczka, oddech rozrywał mi pierś, a kamienie wbijały się w bose stopy i sprawiały, że krzywiłam się z bólu. Ulice zaczęły się przerzedzać, a światła latarni zanikać, ale biegłam dalej w tych ciemnościach i zimnie, potykając się o niewidoczne kałuże, o mokrą trawę i wysypane żwirem ścieżki, aż w końcu straciłam czucie w stopach na tyle, że nie wyczuwałam już tych wszystkich skaleczeń i kamieni.

Nawet wtedy biegłam dalej, rozpaczliwie pragnęłam oddalić się jak najbardziej od Richarda Bullmera. Wiedziałam, że to nie potrwa w nieskończoność, że w pewnym momencie będę musiała się poddać – ale moją jedyną nadzieją było przeć naprzód tak długo, jak dam radę, aż w końcu znajdę sobie jakieś schronienie.

Wreszcie nie mogłam już dłużej biec. Najpierw przeszłam do zdyszanego, kulejącego truchtu, a potem, gdy światła wioski mały w oddali, zwolniłam do bolesnego, nierównego chodu. Byłam na krętej drodze, która wiła się w ciemności, pięła po zboczu fiordu. Co kilkaset metrów oglądałam się przez ramię, patrzyłam w dół, w dolinę, na niknące plamki światła małego portowego miasteczka oraz na czarne, gładkie wody fiordu, po których zbliżały się światła Aurory. Teraz nie dało się tego nie zauważyć. Wyraźnie widziałam statek i zauważyłam też, że niebo nade mną zaczęło zmieniać kolor.

Musiał nadchodzić świt – Boże, jaki to mógł być dzień? Poniedziałek?

Ale coś mi się wydawało dziwne i po paru minutach zdałam sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Te światła nie były na wschodzie, tylko na północy.

To, co widziałam, nie było świtem, lecz przedziwnymi zielonymi i złotymi pasmami zorzy polarnej.

To odkrycie doprowadziło mnie do śmiechu – gorzkiego, ponurego chichotu, który w tym nieruchomym powietrzu rozbrzmiał szokująco głośno. Co takiego powiedział Richard? Każdy powinien przed śmiercią zobaczyć zorzę polarną. No cóż, to ja zobaczyłam. Ale nie wydawało mi się to już takie ważne.

Zatrzymałam się na chwilę, przyglądając się ruchomemu cudowi zorzy, ale wtedy, na myśl o Richardzie, znów zaczęłam iść. Z każdym krokiem przypominałam sobie gorączkowe przekonywania Carrie, żebym wynosiła się i uciekała – jej histeryczne podejrzenia co do zasięgu wpływów Richarda.

Nie wydawały mi się one teraz takie histeryczne.

Gdybym tylko jej uwierzyła... Nie powinnam była pokazywać dowodu Anne w hotelu ani zdradzać Erikowi tych kilku szczegółów, które mu podałam. Ale po prostu nie byłam w stanie uwierzyć, że ktokolwiek, nieważne, jak zamożny, mógłby mieć aż takie możliwości. Teraz zdałam sobie sprawę, że się myliłam.

Jęknęłam w reakcji na własną głupotę i na zimno, które przenikało przez moje cienkie, wilgotne ubrania; a najbardziej na to, że zostawiłam ten portfel na blacie. Głupia, głupia, głupia ja. To było pięć tysięcy przemoczonych, rozmiękłych, ale wciąż dobrych do użycia koron, a ja je tam zostawiłam dla Richarda na powitanie, kiedy pojawi się w hotelu. Co miałam zrobić? Nie miałam żadnego dokumentu, nie miałam gdzie spać, nie mogłam sobie kupić nawet tabliczki czekolady, a co dopiero biletu na pociąg. Najlepiej, gdybym znalazła jakiś komisariat, tylko jak? Gdzie? I czy odważyłabym się powiedzieć im prawdę, gdybym tam trafiła?

Właśnie się nad tym zastanawiałam, kiedy usłyszałam za sobą ryk silnika, obróciłam się i zobaczyłam jakiś samochód wyjeżdżający z zakrętu, przerażająco szybko. Najwyraźniej kierowca nie spodziewał się tu nikogo o takiej porze.

Rzuciłam się na bok, potknęłam i spadłam, zsuwając się po długim rumowisku. Byłam podrapana i zakrwawiona, z legginsów zostały strzępy, a ja wpadłam z pluskiem do kamienistego rowu, jakiegoś strumyka czy też kanału spływającego w dół do fiordu. Tymczasem auto zahamowało z piskiem na drodze jakieś półtora czy dwa metry nade mną, jego przednie reflektory były wycelowane w dolinę, a kłębiący się dym z rury wydechowej w blasku tylnych świateł wydawał się czerwony.

Usłyszałam chrzęst kroków na drodze u góry. Richard? Jeden z jego ludzi? *Musiałam* uciec.

Próbowałam oprzeć ciężar na kostce, ale poczułam, jak się pode mną ugina. Spróbowałam jeszcze raz, ostrożniej. Bolało mnie tak, że zaszlochałam.

Na ten dźwięk mężczyzna oświetlony z tyłu w taki sposób, że widziałam tylko jego zarys, wyjrzał w dół z drogi i zawołał coś po norwesku. Ręce mi się trzęsły.

– N-nie mówię po norwesku. – Staralam się przy tym nie szlochać. – Mówi pan po angielsku?

– Tak, mówię po angielsku – odparł mężczyzna z silnym obcym akcentem. – Proszę mi podać rękę. Pomogę pani.

Zawahałam się, ale nie było szans, żebym wydostała się z tego rowu bez pomocy, a jeżeli ten mężczyzna naprawdę zamierzał mnie skrzywdzić, mógł równie dobrze zejść do mnie i zaatakować mnie pod osłoną rowu. Lepiej się stąd wydostać, a wtedy przynajmniej zdołam uciec, jeśli będę musiała.

Światła samochodu mnie oślepiały, więc wyciągnęłam rękę, osłaniając się przed ich blaskiem. Widziałam tylko jakiś czarny kształt i aureolę blond włosów pod czapką. Przynajmniej nie był to Richard, tego byłam pewna.

– Proszę dać mi rękę – powtórzył mężczyzna, tym razem z nutą zniecierpliwienia. – Jest pani ranna?

– Nie, nie j-jestem ranna. To znaczy, kostka mnie boli, ale chyba nie jest złamana.

– Proszę tu postawić nogę... – Wskazał na skałę jakieś trzydzieści centymetrów nad rowem. – A ja panią podciągnę.



Skinęłam głową i z poczuciem, że być może robię coś bardzo głupiego, postawiłam zdrową stopę na kamieniu i wyciągnęłam w górę prawą rękę.

Poczułam, jak ten mężczyzna chwycił mnie za nadgarstek niewiarygodnie mocnym uściskiem, a potem chrząknął i zaczął ciągnąć, zapierając się o skałę na skraju rowu. Mięśnie i ścięgna ręki zabolowały mnie w proteście, a kiedy spróbowałam oprzeć ciężar na tej chorej stopie, krzyknęłam, lecz w końcu z bolesnym i rozpaczliwym szarpnięciem wydostałam się z rowu i stanęłam, cała się trzęsąc, na skraju drogi.

– Co pani tu robi? – spytał mężczyzna.

Nie widziałam jego twarzy, ale w jego głosie pobrzmiewała troska.

– Zgubiła się pani? Miała pani wypadek? Ta droga prowadzi prosto w góry, to nie jest właściwe miejsce dla turystki.

Próbowałam wymyślić, co odpowiedzieć, kiedy zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Po pierwsze, że na biodrze miał jakąś kaburę, widziałam jej zarys na tle świateł auta. A po drugie, że to był policyjny radiowóz. Gdy stałam tak sparaliżowana, próbując wymyślić, co powiedzieć, usłyszałam, jak cichą noc przeszył trzask krótkofalówki.

– Ja... – wydusiłam.

Policjant zrobił krok naprzód i przekrzywił czapkę, żeby lepiej mnie widzieć, po czym zmarszczył brwi.

– Jak się pani nazywa?

– Ja... – odparłam i urwałam.

Rozległ się kolejny trzask z krótkofalówki, a on uniósł palec.

– Przepraszam na chwilę.

Przyłożył sobie dłoń do biodra i zobaczyłam, że to, co wzięłam za pistolet, było krótkofalówką na pasku, wiszącą obok pary kajdanek. Powiedział coś krótko do słuchawki, a potem wszedł do auta od strony kierowcy i zaczął dłuższą rozmowę przez radio samochodowe.

– *Ja* – usłyszałam, a potem nastąpiła rozmowa, której nie rozumiałam. On popatrzył na mnie przez przednią szybę, spojrział mi w oczy, a spojrzenie miał zdumione. – *Ja* – powtórzył znowu. – *Der et riktig. Laura Blacklock.*

Wydawało mi się, że wszystko zwolniło, i z lodowatą pewnością zdałam sobie sprawę, że teraz albo nigdy. Jeśli ucieknę teraz, być może popełnię błąd. Ale jeśli tego nie zrobię, być może nie będę żyła dość długo, by się o tym przekonać, a nie mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko.

Wahałam się jeszcze tylko przez sekundę, a potem zobaczyłam, że policjant odłożył słuchawkę krótkofalówki i sięgnął po coś do schowka.

Nie miałam pojęcia, co zrobić. Ale już raz nie uwierzyłam Carrie i to prawie kosztowało mnie wszystko, co mam.

Zebrałam w sobie odwagę, bo spodziewałam się bólu, i zaczęłam biec – nie w górę drogi, jak wcześniej, tylko w dół, przez pola. Pędziłam w dół stromego fiordu.



## 35

Robiło się jasno, gdy zdałam sobie sprawę, że nie dam już rady iść dalej, że moje mięśnie są wyczerpane ponad możliwości i po prostu przestały mnie słuchać. Nie szłam już, tylko się zataczałam, jakbym była pijana, a kolana się pode mną ugięły, kiedy próbowałam przekroczyć przewrócony pień drzewa.

Musiałam się zatrzymać. Gdybym tego nie zrobiła, przewróciłabym się tam, gdzie stałam, gdzieś w norweskiej dziczy, gdzie nigdy nie odnajdą mojego ciała.

Potrzebowałam schronienia, ale już dawno temu odeszłam od drogi i nie widziałam żadnych domów. Nie miałam telefonu. Nie miałam pieniędzy. Nie wiedziałam nawet, która godzina, chociaż musiał się zbliżyć świt.

W moim suchym gardle wezbrał szloch, ale właśnie w tamtym momencie zobaczyłam, jak coś się wyłania spomiędzy rzadkich drzew – jakiś długi, niski kształt. Nie dom – ale może jakaś stodoła?

Ten widok dał moim nogom ostatni zastrzyk energii i wytoczyłam się spomiędzy drzew na pełną drogę, a potem przeszłam przez bramę w drucianym ogrodzeniu. To rzeczywiście *była* stodoła, chociaż ta nazwa wydawała się niemal zbyt wielka jak na tę stojącą przede mną budę z rozchwianymi drewnianymi ścianami i zardzewiałym żelaznym dachem.

Dwa kudłate kucyki odwróciły ciekawie głowy, kiedy je minęłam, a potem jeden z nich wrócił do picia z, co zauważyłam z radością, koryta pełnego wody, której powierzchnia była złotoróżowa w delikatnym świetle świtu.

Ruszyłam do niego, opadłam na kolana w krótkiej trawie obok koryta i nabrałam wody w dłonie, po czym wypijałam ją wielkimi łykami. To była deszczówka, smakowała błotem, ziemią i rdzą z metalowego koryta, ale nie

obchodziło mnie to. Byłam zbyt spragniona, by myśleć o czymkolwiek poza ukojeniem spieczonego gardła.

Wypiłam tyle, ile byłam w stanie, a potem się wyprostowałam i rozejrzałam. Drzwi stodoły były zamknięte, ale kiedy położyłam dłoń na zasuwce, otworzyły się i ostrożnie weszłam do środka, po czym zamknęłam je za sobą.

W środku było siano – mnóstwo bel siana – i jakieś tuby, które mogły być paszą lub suplementami, a na ścianie na hakach wisiało kilka końskich derek.

Powoli, pijana ze zmęczenia, ściągnęłam jedną i położyłam na najniższej kupce siana – w ogóle nie myślałam o szczurach, pchłach ani nawet o ludziach Richarda. Na pewno nie było szans, żeby mnie tu znaleźli, a ja doszłam już do momentu, w którym było mi niemal wszystko jedno – gdyby pozwolili mi po prostu odpocząć, mogliby mnie nawet porwać.

Potem położyłam się na tym tymczasowym łóżku i przykryłam drugim kocem. A następnie zasnęłam.



– Halo?

Znów odezwał się głos w mojej głowie, boleśnie głośny. Uniosłam powieki i zobaczyłam oślepiające światło oraz jakąś twarz wpatrującą się w moją. Starszy mężczyzna z gęstą, białą brodą, bardzo podobny do Kapitana Igła, przyglądał mi się wilgotnymi, orzechowymi oczami z mieszaniną zaskoczenia i troski.

Zamrugałam i podskoczyłam, serce boleśnie mi waliło, a potem próbowałam się podnieść na nogi, ale moją kostkę przeszył ból i się zachwiałam. Mężczyzna chwycił mnie za ramię, mówiąc coś po norwesku, a ja bez namysłu wyrwałam mu się dziko i upadłam na podłogę stodoły.

Przez kilka chwil tylko na siebie patrzyliśmy, on oglądał moje zadrapania i rozcięcia, ja patrzyłam na jego pomarszczoną twarz i psa, który szczekał, krążąc za nim.

– *Kom* – powiedział w końcu, podnosząc się z bólem z kucek i wyciągając ku mnie rękę z ostrożnym spokojem, jakbym nie była człowiekiem, tylko zranionym zwierzęciem, które może ugryźć pod byle pretekstem.

Pies znów zaszczekał, tym razem histerycznie, a mężczyzna krzyknął coś przez ramię, co najwyraźniej musiało znaczyć „Cicho bądź!”.

– Kim... – Oblizала usta i spróbowała jeszcze raz. – Kim pan jest? Gdzie ja jestem?

– Konrad Horst – odparł mężczyzna, wskazując na siebie.

Wyciągnął portfel i zaczął w nim szperać, aż znalazł zdjęcie starszej kobiety z zaróżowionymi policzkami i białym kokiem, tulącej dwóch małych blondynków.

– *Min kone* – dodał, powoli wymawiając głoski. A potem dopowiedział jeszcze coś, co zabrzmiało jak: – *Wori bon-bon*.

Wskazał na zewnątrz stodoły, na zaparkowane przed nią bardzo stare volvo.

– *Bilen min. Kom* – powtórzył.

Nie wiedziałam, co robić. W zdjęciach jego żony i wnuków *było* coś uspokajającego, ale przecież nawet gwałciciele i zabójcy mogą mieć wnuki. Z drugiej strony, może to był po prostu miły starszy pan. Może jego żona mówiła po angielsku. A przynajmniej pewnie mają telefon.

Spojrzałam na swoją kostkę. Nie miałam większego wyboru. Spuchła tak, że była dwa razy większa niż zwykle, a ja nie wiedziałam, czy zdołam w ogóle dokuśtykać do tego auta, a co dopiero dostać się samej na jakieś lotnisko.

Kapitan Iglo wyciągnął rękę i machnął nią delikatnie.

– Prooosz? – mruknął pytająco, jakby dawał mi jakiś wybór. Ale to była iluzja. Nie miałam wyboru.

Pozwoliłam mu pomóc sobie wstać i poprowadzić się do samochodu.



Dopiero kiedy jechaliśmy, zdałam sobie sprawę, jak daleko dobiegłam w nocy. Z tego zadrzewionego zbocza wzgórza nie było nawet widać fiordu, a volvo podskakiwało jeszcze wiele kilometrów po koleinach, nim dotarliśmy do czegoś, co przypominało drogę.

Skrećaliśmy na asfalt, gdy zauważyłam coś w małym zagłębieniu pod radiem – komórkę. Była bardzo, bardzo stara, ale jednak zawsze to jakiś telefon.

Wyciągnęłam rękę. Prawie nie mogłam oddychać.

– Mogę?

Kapitan Iglo zerknął na mnie, a potem się uśmiechnął. Położył mi komórkę na kolanach, ale potem postukał w ekran, mówiąc coś po norwesku. Spojrzałam na ekran i zrozumiałam, co miał na myśli. Nie było w ogóle zasięgu.

– *Vente* – powiedział głośno i wyraźnie. – Czekał – dodał po angielsku, z silnym norweskim akcentem.

Trzymałam komórkę w ręku, patrząc na ekran, w gardle miałam gulę, a za oknem przewijały się drzewa. Ale czegoś nie rozumiałam. Data na komórce wskazywała dwudziesty dziewiąty września. Albo coś źle policzyłam, albo zgubiłam gdzieś jeden dzień.

– To... – wskazałam na telefon. – Dziś naprawdę jest dwudziesty dziewiąty?

Kapitan Iglo zerknął na ekran i pokiwał głową.

– *Ja, tjuniende*. Wto-rrek – powiedział, powoli wymawiając każde słowo. Wtorek. Był *wtorek*. Musiałam przespać w tej małej szopie cały dzień i noc.

Właśnie próbowałam to przyswoić i starać się nie myśleć o tym, jak bardzo muszą się o mnie martwić Judah i moi rodzice, kiedy skrećiliśmy na podjazd schludnego niebieskiego domku, a w rogu ekranu coś zamrugało – pojedyncza kreska zasięgu.

– Proszę? – podniosłam go, a serce tak mi podeszło do gardła, że dziwnie mi było wydobywać z niego słowa. – Mogę zadzwonić do mojej rodziny w Anglii?

Konrad Horst powiedział coś po norwesku, czego nie rozumiałam, ale kiwał głową, więc palcami drżącymi tak mocno, że ledwo trafiałam w klawisze, wcisnęłam +44, a potem wybrałam numer komórki Judah.





## 36

Przez długi czas nic nie mówiliśmy. Staliśmy na środku lotniska jak głupki, przytulając się, a Judah dotykał mojej twarzy, włosów i siniaków na policzku, jakby nie mógł uwierzyć, że to naprawdę ja. Możliwe, że ja robiłam z nim to samo, nie pamiętam.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzał Judah. – Nic ci nie jest.

A potem popłynęły łzy i zaczęłam płakać w surową, drapiącą wełnę jego kurtki, a on w ogóle nic nie mówił, tylko trzymał mnie tak mocno, jakby miał mnie nigdy nie puścić.



Na początku nie chciałam, żeby Horstowie dzwonili na policję, ale nie umiałam im tego wytłumaczyć, a po rozmowie z Judah i po tym, jak obiecał zadzwonić do Scotland Yardu z moją historią – tak niewiarygodną, że sama prawie w nią nie wierzyłam – zaczęło do mnie docierać, że nawet Richard Bullmer nie byłby w stanie zapłacić tyle, żeby się z tego wykręcić.

Gdy przyjechała policja, zabrali mnie do ośrodka zdrowia, żeby opatrzyć moje pokaleczone stopy i skręconą kostkę, a także wystawić mi receptę na leki. Zdawało się to trwać całą wieczność, ale kiedy w końcu lekarze uznali, że mogę wyjść, od razu zostałam przewieziona na komisariat, gdzie czekał już na mnie urzędnik z ambasady brytyjskiej w Oslo.

Recytowałam opowieść o Anne, Richardzie i Carrie raz za razem, aż końcu mnie samej wydawała się coraz mniej wiarygodna.

– Musicie jej pomóc – powtarzałam. – Carrie. Musicie wyruszyć za tym statkiem.

Brytyjski urzędnik i policjant wymienili spojrzenia, a policjant powiedział coś po norwesku. Od razu wiedziałam, że ta informacja, której mi nie zdradzają, nie może być dobra.

– Co? – spytałam. – O co chodzi? Co się stało?

– Policja znalazła dwa ciała – wyjaśnił w końcu pracownik ambasady dziwnym, formalnym tonem. – Pierwsze w poniedziałek, we wczesnych godzinach porannych, zostało wyciągnięte przez łódź rybacką. Drugie później, w ten sam poniedziałek, wyłowione przez policyjnych nurków.

Schowałam głowę w dłoniach, przycisnęłam sobie palce do oczu, aż wzrosło w nich ciśnienie, a pod powiekami ukazały się plamy i ogniki. Wzięłam głęboki wdech.

– Proszę mi powiedzieć. – Spojrzałam na niego. – Muszę wiedzieć.

– Ciało wyciągnięte przez nurków należało do mężczyzny – mówił powoli urzędnik ambasady. – Został postrzelony w skroń, policja twierdzi, że mógł sam to sobie zrobić. Nie miał przy sobie dowodu osobistego, ale przypuszczają, że to ciało Richarda Bullmera. Załoga Aurory zgłosiła jego zaginięcie.

– A... – Przełknęłam. – A to drugie?

– Drugie należało do kobiety, bardzo szczupłej, z ogolonymi włosami. Policja będzie musiała przeprowadzić sekcję zwłok, ale pierwsze przypuszczenia są takie, że utonęła. Pani Blacklock? – Rozejrzał się z niepokojem, jakby nie wiedział, co zrobić. – Nic pani nie jest, pani Blacklock? Proszę, czy ktoś może przynieść chusteczkę? Proszę nie płakać, pani Blacklock, nic już pani nie grozi.

Ale nie mogłam mówić. A najgorsze, że on miał rację – *ja* byłam bezpieczna, ale nie można było tego powiedzieć o Carrie.

Powinno mnie to jakoś pocieszać, że Bullmer się zabił, ale wcale tak nie było. Po prostu siedziałam, płacząc w chusteczkę, którą mi dali, i myśląc o Carrie oraz o tym wszystkim, co zrobiła ze mną i dla mnie. Nie oceniałam jej, zapłacała za wszystko własnym życiem. Nie zdążyłam jej uratować.



Taksówka z lotniska zabrała nas do Judah. Właściwie o tym nie rozmawialiśmy, ale jakoś nie mogłam wrócić do swojego mieszkania w suterenie. Miałam już dość zamknięcia w pomieszczeniach pozbawionych światła, a Judah zdawał się to rozumieć.

W jego salonie ułożył mnie z kocem na kanapie, jakbym była małym dzieckiem albo kimś dochodzącym do siebie po chorobie, i ucałował mnie w czoło delikatnie, jakbym miała się rozpaść.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś w domu – powtórzył. – Kiedy pokazali mi tamto zdjęcie z twoimi butami...

Oczy zaszczyły mu łzami i ja też poczułam łzy w gardle.

– Ona je wzięła – powiedziałam ochryple. – Żebym mogła ją udawać. Ona...

Ale nie dałam rady dokończyć.

Judah przytulał mnie długo, a potem, kiedy już mógł mówić, przełknął.

– Wiesz... wiesz co, ludzie zostawiają ci dużo wiadomości. Dzwonią do mnie, bo twoja poczta głosowa się zapchała. Spisuję je.

Poszukał w kieszeni i podał mi listę. Przejrzałam ją. Większość z nich to imiona, których mogłam się spodziewać: Lissie... Rowan... Emma... Jenn...

Ale jedno czy dwa mnie zaskoczyły:

„Tina West – wielka ulga, że jesteś bezpieczna. Nie musisz oddzwaniać”.

„Chloe? Yansen – ma nadzieję, że masz się dobrze. Dzwon, proszę, gdyby ona albo Lars mogli coś dla ciebie zrobić”.

„Ben Howard. Brak wiadomości”.

– Boże, Ben! – Poczułam ukłucie winy. – Dziwię się, że w ogóle się do mnie odzywa. Z grubsza oskarżyłam go o to, że za tym wszystkim stoi. Naprawdę zadzwonił?

– Nie tylko zadzwonił – odparł Judah, a ja zobaczyłam, jak ukradkowo wyciera oczy w koszulkę. – To on wszczął alarm. Zadzwonił do mnie z Bergen, żeby się dowiedzieć, czy wróciłaś cała do domu, a kiedy powiedziałem, że nie miałem od ciebie żadnych wieści od soboty, kazał mi zadzwonić na brytyjską policję i powiedzieć, że to pilna sprawa. Mówił, że od Trondheim robił zamieszanie, ale nikt z załogi go nie słuchał.

– Chcesz, żebym poczuła się jeszcze gorzej? – Przyłożyłam sobie dłonie do twarzy.

– Hej, to nie zmienia faktu, że on jest małym, zarozumiałym dupkiem. – Judah uśmiechnął się do mnie ujmująco, a mnie ścisnęło w sercu, bo zobaczyłam, że jego ząb wrósł z powrotem. – A do tego udzielił dość gównianego wywiadu dla „Mail”, z którego wynikało, że wy dopiero co się rozstaliście.

– Okej – odparłam z drżącym śmiechem. – To teraz czuję się trochę lepiej z tym, że oskarżyłam go o morderstwo.

– Słuchaj, chcesz może herbaty?

Pokiwałam głową, a on wstał i poszedł do kuchni. Wzięłam garść chusteczek z pudełka na stoliku, żeby otrzeć sobie oczy, a potem sięgnęłam po pilota i włączyłam telewizor, żeby spróbować trochę normalnego życia.

Przełączałam kanały, szukając czegoś bezpiecznego i znajomego – może powtórki *Przyjaciół* albo *Jak poznałem waszą matkę* – kiedy zamarłam, a serce podeszło mi do gardła.

Wzrok miałam utkwiony w ekranie telewizora – patrzyłam na gapiącego się na mnie mężczyznę.

To był Bullmer.

Jego oczy wpatrywały się we mnie, usta miał wygięte w tym swoim asymetrycznym uśmiechu i przez sekundę myślałam, że to może halucynacje. Nabrałam powietrza, chciałam zawołać Judah i zapytać, czy on też widzi tę twarz spoglądającą na mnie z ekranu jak w najgorszym koszmarze – ale

wtedy nastąpiło przejście do prezentera i rozumiałam, co się działo. To było oświadczenie o śmierci Bullmera.

– ...pilna wiadomość o śmierci brytyjskiego biznesmena i członka Izby Lordów Richarda Bullmera. Lord Bullmer, który był głównym akcjonariuszem pogrążonej w kłopotach Northern Lights Group, został znaleziony martwy po tym, jak zaledwie parę godzin wcześniej zgłoszono jego zaginięcie na luksusowym statku Aurora przy norweskim wybrzeżu.

Znów nastąpiło przejście, tym razem do Richarda stojącego na podium, jakby wygłaszał jakąś mowę. Jego usta się poruszały, ale słowa były wyciszone, żeby prezenter mógł dalej opowiadać, podczas gdy kamera zrobiła zbliżenie na twarz Bullmera. Ściszyłam dźwięk, wstałam z kanapy i uklęknęłam przed telewizorem, z głową zaledwie kilkanaście centymetrów od ekranu.

Kiedy przemówienie się skończyło, Richard się uklonił, a kamera jeszcze raz zrobiła zbliżenie na jego twarz. Wyjrzał prosto z ekranu i mrugnął do mnie charakterystycznie – tak, że przewróciło mi się w żołądku i skóra mi ścierpła.

Drżącymi dłońmi uniosłam pilota, gotowa pozbyć się tego obrazu z życia raz na zawsze, ale wtedy kamera zrobiła najazd na publiczność i zobaczyłam jakąś kobietę w pierwszym rzędzie, uśmiechniętą i klaszczącą. Zamarłam z palcem uniesionym ponad przyciskiem wyłączenia. Była niewiarygodnie piękna, miała długie włosy w kolorze ciemnego złota i szerokie kości policzkowe, i przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie już ją wcześniej widziałam. I wtedy... rozumiałam.

To była Anne. Anne, nim Richard z nią skończył, młoda, piękna i żywa.

Klaskała, gdy nagle zdała sobie sprawę, że kamery są skierowane na nią. Zerknęła w obiektyw, a ja zobaczyłam coś w jej oczach, choć trudno powiedzieć, czy sobie tego nie wyobraziłam. Wydawało mi się, że w jej wyrazie twarzy było coś smutnego, jakby uwięzionego, przestraszonego. Ale potem uśmiechnęła się szerzej i zadarła brodę do góry, a ja rozumiałam, że to była kobieta, która nigdy się nie poddawała, nigdy nie ustępowała, kobieta walcząca do samego końca.

Potem obraz się zmienił i byliśmy z powrotem w studiu, a ja wyłączyłam telewizor i wróciłam na kanapę. Naciągnęłam na siebie koc, odwróciłam się twarzą do ściany, nasłuchując, jak Judah parzy herbatę w kuchni... i myślałam.



Zegar na nocnym stoliku Judah pokazywał, że minęła północ. Leżeliśmy razem, jego pierś dopasowała się do mojego kręgosłupa, obejmował mnie ramionami, przytulał tak mocno, jakby nie wierzył, że nie zniknę w nocy.

Odczekałam, aż wydawało mi się, że zasnął, nim pozwoliłam sobie na płacz, ale kiedy moją klatką piersiową szarpnął wyjątkowo gwałtowny szloch, on się odezwał cichym, niskim tonem tuż ponad moim uchem:

– Wszystko w porządku?

– Myślałam, że śpisz. – Mój głos się rwał i był ochrypły od łez.

– Płaczesz?

Chciałam zaprzeczyć, ale miałam ściśnięte gardło i nie mogłam się odezwać, a zresztą nie miałam już ochoty na kłamstwa ani udawanie.

Pokiwałam głową, a on przesunął rękę wyżej i dotknął moich mokrych policzków.

– Och, kochanie. – Usłyszałam, jak przełyka. – Będzie... Nie musisz... – Urwał i nie był w stanie mówić dalej.

– Nie mogę przestać o niej myśleć – powiedziałam mimo bolącego gardła. Łatwiej było na niego nie patrzeć, mówić w cichą ciemność, której towarzyszyły skrawki księżycowego światła na podłodze. – Nie mogę się z tym pogodzić, to niewłaściwe.

– Bo on się zabił? – spytał Judah.

– Nie chodzi tylko o to. Anne. I... i Carrie.

Judah nie odpowiedział, ale wiedziałam, co sobie myśli.

– No, powiedz to – dodałam gorzko.



Westchnął, a ja poczułam jego pierś wznoszącą się i opadającą za moimi plecami, jego ciepły oddech na moim policzku.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, ale nic nie potrafię poradzić na to, że jestem... zadowolony.

Obróciłam się pod kołdrą, żeby na niego spojrzeć, a on podniósł dłoń.

– Wiem, wiem, że to źle, ale to, co ona ci zrobiła... Poważnie, gdyby to ode mnie zależało, nie wypuściłbym jej stamtąd. Zostawiłbym ją tam rybom na pożarcie. Pewnie dobrze, że to nie była moja decyzja.

Poczułam, jak wzbiera we mnie złość w imieniu Carrie, która była bita, zastraszana i okłamywana.

– Ona zginęła przeze mnie. Nie musiała mnie wypuszczać.

– Bzdura. Znalazłaś się tam wyłącznie przez nią. Ona nie musiała zabijać innej kobiety i cię więzić.

– Nie wiesz tego. Nie wiesz, co się dzieje między innymi ludźmi.

Pomyślałam o przerażeniu Carrie, o siniakach na jej ciele, o jej przekonaniu, że nigdy nie zdoła uciec przed Richardem. Miała rację.

Judah nie odpowiedział. Nie widziałam jego twarzy w ciemności, ale czułam jego milczącą niezgodę.

– Co? – spytałam. – Nie wierzysz mi? Nie uważasz, że człowiek może dać się w coś wciągnąć ze strachu albo dlatego, że nie widzi innego wyjścia?

– Nie, nie o to chodzi – odparł powoli Judah. – Wierzę w to. Ale mimo wszystko uważam, że jesteśmy odpowiedzialni za własne czyny. Wszyscy się boimy. Ale nie powiesz mi chyba, że zrobiłabyś coś takiego innemu człowiekowi, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji byś się znalazła. Nie zamknęłabyś nikogo w ten sposób, nie uwięziła, choćbyś nie wiem jak się bała.

– Nie wiem – odparłam.

Pomyślałam o Carrie, o tym, jaka była odważna i delikatna. Pomyślałam o tych maskach, które nosiła, żeby ukryć w sobie przerażenie i samotność. Pomyślałam o siniaku na jej obojczyku i o strachu w oczach. Pomyślałam o tym, jak wszystko za mnie oddała.

– Słuchaj. – Usiadłam i owinęłam się kołdrą. – Ta praca, o której mówiłeś przed moim wyjazdem. Ta w Nowym Jorku. Odrzuciłeś ją już?

– Tak, to znaczy, no... nie. Zamierzam tak zrobić. Jeszcze do nich nie dzwoniłem. Po twoim zaginięciu trochę mi to umknęło. Dlaczego pytasz? – W jego głosie zaczął pobrzmiwać niepokój.

– Bo moim zdaniem nie powinieneś. Myślę, że powinieneś ją przyjąć.

– Co? – On też usiadł, a promień księżycowego blasku padł mu na twarz, ukazując przede mną wyraz pełen szoku i złości. Przez chwilę najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć, a potem wylały się z niego pytania. – Co, *u diabła*? Dlaczego? Skąd ci się to wzięło?

– No, to jest przecież życiowa szansa. Zawsze marzyłeś o tym stanowisku. – Owinęłam sobie pościel wokół palców, odcinając dopływ krwi, aż zrobiły się zdrętwiałe i zimne. – I bądźmy szczerzy, tutaj nic cię przecież nie trzyma.

– Nic mnie tu nie trzyma? – Usłyszałam, jak przetyka, zobaczyłam jego pięści zaciskające się i prostujące pod białą pościelą. – *Wszystko* mnie tu trzyma, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ja... czy ty ze mną zrywasz?

– Co? – Tym razem ja byłam w szoku. Pokręciłam głową i wzięłam go za rękę, głaszcząc palcami ścięgna i kości tych dobrze znanych dłoni. *Cholera*. – Jude, nie! Nie ma mowy! Chodzi mi... Po prostu próbuję cię poprosić... Pojedźmy. Razem.

– Ale... „Velocity”... twoja praca. Zastępstwo za Rowan na macierzyńskim. To twoja wielka szansa. Nie mogę ci tego spieprzyć.

– To nie jest moja wielka szansa. – Westchnęłam. Zsunęłam się pod kołdrę, wciąż trzymając dłoń Judah. – Zdałam sobie z tego sprawę na statku. Spędziłam... ile? Prawie dziesięć lat, pracując dla „Velocity”, podczas gdy Ben i cała reszta podejmowali ryzyko, zaczęli się zajmować ważniejszymi i ciekawszymi rzeczami, a ja nie. Za bardzo się bałam. I czułam, że jestem im to winna za to, że mnie wspierali, kiedy było źle. Ale Rowan nigdzie się nie wybiera. Wróci za pół roku, może mniej, a ja nie będę miała gdzie się podziąć. I szczerze mówiąc, nawet gdybym się wspięła gdzieś wyżej, to już nie chcę tego robić. Nigdy tego nie chciałam, dotarło to do mnie na

pokładzie tego statku. Bóg mi świadkiem, miałam dość czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Co masz na myśli? To... Odkąd się poznaliśmy, mówisz wyłącznie o tym.

– Wydaje mi się, że zapomniałam, czego chciałam. Nie chcę skończyć jak Tina i Alexander, podróżować od jednego kraju do drugiego i oglądać tylko pięciogwiazdkowe hotele oraz gwiazdki Michelin. Tak, Rowan była w większości luksusowych kurortów na Karaibach, ale za to spędza połowę życia, opisując takie historie, jakie chcą opowiadać ludzie pokroju Bullmera, a ja tego nie chcę, już nie. Wolę pisać o takich rzeczach, o których ludzie *nie chcą*, żebyśmy wiedzieli. Ale jeżeli zamierzam znów zaczynać od zera, to cóż, mogę być freelancerką wszędzie. Sam wiesz.

Przyszła mi do głowy pewna myśl i zaśmiałam się drżącym, mimowolnym śmiechem.

– Mogłabym napisać książkę! *Moje dryfujące więzienie, prawdziwe piekło na siedmiu morzach*.

– Lo. – Judah chwycił moje dłonie, oczy miał szeroko otwarte i ciemne w świetle księżyca. – Lo, przestań, przestań żartować. Mówisz serio?

Wzięłam głęboki wdech. Potem pokiwałam głową.

– Nigdy w życiu nie mówiłam tak poważnie.



Później Judah zasnął, jego głowa leżała w zagłębieniu mojego ramienia w taki sposób, że wiedziałam, iż ręka w końcu mi ściernie, ale nie chciałam się odsunąć.

– Śpisz? – szepnęłam.

Przez chwilę nie odpowiadał i myślałam, że zasnął, bo zwykł odpływać nagle, między jednym a drugim oddechem, ale potem się poruszył i odezwał:

– Trochę.

– Ja nie mogę zasnąć.

– Ciii... – Przekręcił się w moich ramionach, dotykając mojej twarzy. – Jest dobrze, już po wszystkim.

– Nie o to chodzi... chodzi o...

– Dalej o niej myślisz?

Pokiwałam głową w ciemności, a on westchnął.

– Kiedy zobaczyłeś jej ciało... – zaczęłam, a on pokręcił głową.

– Nie zobaczyłem.

– Jak to? Myślałam, że policja wysłała ci zdjęcia do identyfikacji?

– To nie było ciało. Żałuję, gdybym zobaczył zwłoki Carrie, a nie twoje, to nie spędziłbym dwóch dni w męczarniach, myśląc, że nie żyjesz. To były tylko ubrania. Zdjęcia ubrań.

– Dlaczego tak zrobili?

Wyglądało to na dziwną decyzję. Dlaczego prosili Judah o identyfikację ubrań, a nie zwłok?

Poczułam, jak w ciemności Judah wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wtedy założyłem, że to dlatego, iż ciało było zbyt zmasakrowane. Ale rozmawiałem potem z funkcjonariuszem zajmującym się tą sprawą po twoim telefonie, bo chciałem się dowiedzieć, jak, u diabła, mogli się tak pomylić. A on rozmawiał z Norwegami i wyglądało na to, że te ubrania znaleziono osobno.

Ha. Leżałam, próbując to rozgryźć. Czy Carrie zrzuciła buty i bluzę, żeby spróbować uciec wplaw, w rozpaczliwym staraniu, by umknąć Bullmerowi?

Niemal bałam się zasnąć, bo spodziewałam się, że nawiedzi mnie pełna wyrzutu twarz tej dziewczyny, jednak kiedy w końcu zamknęłam oczy, pojawiło się przede mną oblicze Bullmera – roześmiane, jego siwiejące włosy potargał wiatr, gdy rzucił się w dół z pokładu Aurory.

Otworzyłam oczy, serce mi waliło i próbowałam sobie przypomnieć, że już go nie ma – że jestem bezpieczna, że Judah leży w moich ramionach i że cały ten koszmar dobiegł końca.

Ale tak nie było. Bo po prostu nie mogłam uwierzyć w to, co się stało.

To nie śmierci Carrie nie potrafiłam zaakceptować – tylko Bullmera. Nie dlatego, że uważałam, iż powinien przeżyć, ale ponieważ jego śmierć w tym

wszystkim nie miała żadnego *sensu*. Mogłabym uwierzyć w samobójstwo Carrie, ale nie jego. Choćbym nie wiem, jak się starała, nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ten człowiek, ze swoją chłodną, brutalną determinacją, mógłby się poddać. Tak zaciekle walczył, z zimną krwią rozgrywał swoje karty. Naprawdę miał to wszystko odrzucić, tak po prostu? To nie wydawało mi się możliwe.

Ale było. I musiałam to zaakceptować. Odszedł.

Znów zamknęłam oczy, odpychając od siebie jego widmo, i otoczyłam swoim ciałem Judah. Zaczęłam myśleć, bardzo świadomie, o przyszłości, o Nowym Jorku oraz o tym ryzyku, które zamierzałam podjąć.

Przez chwilę zobaczyłam wyraźny jasny obraz odmalowany w ciemności pod moimi powiekami: mnie samej stojącej z zimną krwią na samym skraju jakiegoś bardzo wysokiego szczytu, balansującej na poręczy, a pode mną ciemne fale.

Ale nie bałam się. Spadłam już i przeżyłam.



„Evening Standard”

Czwartek, 26 listopada

### ZIDENTYFIKOWANO TAJEMNICZĄ KOBIETĘ Z AURORY

Prawie dwa miesiące po szokującym odkryciu w morzu dwóch ciał, z których jedno należało do brytyjskiego biznesmena i członka Izby Lordów Richarda Bullmera, norweska policja wydała dziś oświadczenie ujawniające, że zwłoki wyłowione przez rybaków w Morzu Północnym należą do jego żony, Anne Bullmer, dziedziczki fortuny Lyngstadów wartej miliardy funtów.

Ciało lorda Bullmera zostało znalezione setki kilometrów dalej przez policyjnych nurków przeszukujących wody brzegowe w okolicach Bergen w Norwegii, po tym, jak zgłoszono zaginięcie lorda na jego statku – ekskluzywnym, butikowym okręcie rejsowym Aurora Borealis.

### TO NIE SAMOBÓJSTWO

Anglojęzyczne oświadczenie potwierdza wcześniejsze ustalenia norweskiej policji o tym, że przyczyną śmierci lady Bullmer było zatonięcie, podczas gdy śmierć lorda Bullmera została spowodowana raną postrzałową w skroni. Ten dokument zaprzecza jednak wcześniejszym doniesieniom o samobójstwie lorda Bullmera, stwierdzając wprost, że nie zadał on sobie tej rany sam, jak stwierdził lokalny patomorfolog.

Odkrycie pistoletu owiniętego w ubrania należące do zaginionej kilka dni wcześniej brytyjskiej dziennikarki Laury Blacklock, odnalezonego wraz z ciałem lorda Bullmera, doprowadziło do początkowych przypuszczeń o tym, iż te dwie tragedie były ze sobą powiązane.

Pani Blacklock została później odnaleziona cała i zdrowa w Norwegii, ale jej rodzice zażądali policyjnego śledztwa po tym, jak przez dwa dni byli przekonani, że tamto ciało zostało zidentyfikowane jako należące do ich zaginionej córki. Scotland Yard podkreślił, że na żadnym etapie nie zidentyfikowano tych zwłok jako pani Blacklock, przyznał jednak, że odnalezienie ubrań pani Blacklock zostało „niewłaściwie zakomunikowane” rodzinie, i stwierdził, że jest w prywatnym kontakcie z rodziną Blacklock w związku z tym incydentem.

W odpowiedzi na zapytanie „Standard” rzecznik norweskiej policji oświadczył, że choć pani Blacklock była przesłuchiwana w związku ze śledztwem, nie jest uznana za podejrzaną w sprawie żadnego z tych zgonów, a postępowanie nadal jest w toku.





CZAT BANKOWY: 6 grudnia, 16.15

Dzień dobry, witamy w czacie obsługi klienta.  
Rozmawia pani z Ajeshem z działu kont osobistych.  
W czym mogę dziś pani pomóc, pani Blacklock?

Dzień dobry, piszę, ponieważ na moje konto wpłynęła dziwna kwota. Chciałam się dowiedzieć, czy mają państwo jakieś informacje na temat nadawcy. Dziękuję. Lo.

Dzień dobry, Pani Blacklock, sprawdzę to.  
Czy mogę się zwracać do Pani po imieniu?

Tak, jasne.

O jaką transakcję chodzi, Lauro?

Taką sprzed dwóch dni, datowaną na 4 grudnia, w wysokości 40 000 franków szwajcarskich.

Pozwól, że to sprawdzę.  
Mam tu Twoje dane, czy to jest transakcja z dopiskiem „Tygrysek się odbił”?

Tak, zgadza się.

Sprawdziłem numer rozliczeniowy. To szwajcarski bank z siedzibą w Bernie. Przykro mi, ale nie mamy żadnych informacji na temat tożsamości właściciela rachunku. To konto numeryczne. Czy po tym jesteś w stanie coś wywnioskować?

W porządku, dziękuję. Nie szkodzi. Jestem pewna, że to od przyjaciela, chciałam tylko sprawdzić.

Dziękuję za potwierdzenie.

Nie ma za co. Czy mogę Ci w czymś jeszcze pomóc, Lauro?

Nie, to wszystko. Dziękuję. I do widzenia.



## Podziękowania

Bardzo dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi przy pisaniu *Kobiety z kabiny dziesiątej*. Pisanie jest dziwną, samotniczą pracą, ale wydawanie to już zdecydowanie sport drużynowy, a ja jestem bardzo wdzięczna, że w moją książkę zaangażowali się tacy oddani, zabawni i po prostu mili ludzie.

Jako pierwszym chcę podziękować dwóm Alison, Alison Hennessey z Harvill Secker i Alison Callahan ze Scout, za to, że były taktownymi, wnikliwymi i nieustraszonymi redaktorkami i ogólnie dowiodły, że co trzy mózgi to nie jeden.

Podziękowania za wsparcie i doping należą się też wielu ludziom z Vintage, ale jestem szczególnie dłużna Liz Foley, Bethan Jones, Helen Flood, Áine Mulkeen, Rachel Cugnoni, Richardowi Cable'owi, Christianowi Lewisowi, Faye Brewster, Rachael Ludbrook oraz Vershy za ich piękny projekt, Simonowi Rhodesowi z produkcji i wreszcie, rzecz jasna, Tomowi Drake-Lee i wszystkim z działu handlowego za to, że oddali moją książkę w ręce czytelników; jak również Jane Kirby, Penny Liechti, Monique Corless i Samowi Coatsowi z działu praw za sprzedawanie jej na całym świecie. Dziękuję, że tak się zatroszczyliście o tę książkę, oraz za to, że jestem dumna z wydawania w Vintage.

Moja agentka Eve White oraz jej zespół zawsze mnie wspierają, a ja jestem niezmiennie zdumiona i przepelniona wdzięcznością za tę cudowną społeczność pisarską, zarówno wirtualną, jak i na żywo.

Moi przyjaciele i rodzina wiedzą, jak bardzo ich kocham, więc nie będę tego tu powtarzać – ale kocham!



# Spis treści

\*\*\*

## CZEŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

## CZEŚĆ DRUGA

6

7

8

9

## CZEŚĆ TRZECIA

10

11

12

13

## CZEŚĆ CZWARTA

14

15

16

#### CZEŚĆ PIĄTA

17

18

19

20

21

#### CZEŚĆ SZÓSTA

22

23

24

25

26

27

28

#### CZEŚĆ SIÓDMA

29

30

#### CZEŚĆ ÓSMA

31

32

33

34

35

36

37

Podziękowania